

BESTSELLEROWA MIĘDZYNARODOWA SERIA THRILLERÓW

**Zanim zaczniesz czytać,
weź kilka głębokich
oddechów.**

Javier Sierra

**To coś znacznie więcej
niż najlepszy thriller.
To arcydzieło gatunku.**

ABC

BLIZNA

JUAN GÓMEZ-JURADO

sqn
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

BLIZNA

SERIA O ANTONII SCOTT

Reina Roja. Czerwona Królowa (wyd. kwiecień 2023)

Loba Negra. Czarna Wilczyca (wyd. czerwiec 2023)

Rey Blanco. Biały Król (wyd. sierpień 2023)

DLA TYCH, KTÓRZY POLUBILI TE HISTORIE I CHCIELIBY POZNAĆ PREQUELE:

Blizna (wyd. luty 2024)

Pacjent (wyd. sierpień 2024)

Sekretna historia Pana White'a (wyd. październik 2024)



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

BLIZNA

JUAN GÓMEZ-JURADO

TŁUMACZENIE: BARBARA BARDADYN

KRAKÓW 2024

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Irina](#)

[Simon](#)

[Wcześniej. Pierwszy błąd](#)

[1. Spotkanie](#)

[2. Impertynencja](#)

[3. Kij hokejowy.](#)

[4. Spaghetti](#)

[5. Kruczek prawny.](#)

[6. Byk](#)

[7. Lekcja](#)

[8. Rada](#)

[Drugi błąd](#)

[1. Transkrypcja](#)

[2. Rodzice](#)

[3. Spacer](#)

[4. Kawa](#)

[5. Regał](#)

[6. Garaż](#)

[7. Dwa ciała](#)

[8. Kołdra](#)

[9. Plama](#)

[10. Trochę powietrza](#)

[11. Świeczka](#)

[12. Wołowina](#)

[13. Chmura](#)

[14. Partyjka](#)

[15. Nieobecność](#)

[16. Wizyta](#)

[17. Spotkanie](#)

[18. Godzina](#)

[19. Wiadomość](#)

[20. Dowód](#)

[21. Dziesięć milionów](#)

[22. Epitafium](#)

[23. Warsztat](#)

[24. Warsztat](#)

[Teraz. Trzeci błąd](#)

[1. Ponowne spotkanie](#)

[2. Wyścig](#)

[3. Przystanek](#)

[4. Spokojna noc](#)

[5. Gra](#)

[6. Koniec](#)

[7. Spostrzeżenie](#)

[Ostatni błąd](#)

[1. Pożegnanie](#)

[Nota od autora](#)

[Podziękowania](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Reklamy](#)

*W tekście wykorzystano fragment Zimowej powieści Williama
Shakespeare'a w przekładzie Gustawa Ehrenberga.*

Dla Babs

Miej oczy szeroko otwarte przed ślubem i przymykaj je później.

Benjamin Franklin

Jak ktoś ciepło odziany może zrozumieć kogoś, komu jest zimno?

Aleksander Solżenicyn

Powiedz mi, mały, czy tańczyłeś już z diabłem w bladym świetle księżyca?

Jack Napier (przeł. Wojciech Łysek)

IRINA

Dziewczynka nie poczuła bólu, kiedy gwóźdź rozerwał jej skórę pod lewym okiem.

SIMON

Mój pierwszy błąd polegał na tym, że się w niej zakochałem.

Mój drugi błąd polegał na tym, że nie zapytałem ją o tę bliznę.

Zła wiadomość jest taka, że jestem o krok od popełnienia trzeciego błędu, a będzie on znacznie gorszy niż dwa poprzednie.

Z mojego prawego ramienia zwisa plecak, a w nim, w mocno ściśniętych plikach po sto, znajduje się przyszłość moja i wszystkich moich pracowników. Jeśli przejdę przez drzwi, które mam przed sobą, jeszcze bardziej zrujnuję życie wszystkich, których znam, i ich rodzin. Jakby i tak już niewystarczająco mnie nienawidzili.

Z mojego lewego ramienia wypływa gorący strumień, który cieknie po ręce i skapuje z lufy pistoletu. Uchwyt lepi się od krwi, która zasycha między palcami. Ściskam go mocniej, żeby dodać sobie pewności siebie.

Nie działa.

Szkarłatna kałuża obok mojego buta robi się coraz większa, w miarę jak ogarniają mnie wątpliwości, a siły witalne wyciekają przez ranę. Oświetlający korytarz białawy neon mruga, a moje oczy na moment tracą ostrość. Trzęsą mi się kolana, a strach jest lodowatą stalową kulą w moich trzewiach.

Jestem o krok od popełnienia największego błędu w swoim życiu.

Dobra wiadomość?

Dobra wiadomość jest taka, że nie będę żył na tyle długo, by go żałować.

WCZEŚNIEJ

PIERWSZY BŁĄD

1

SPOTKANIE

Pochylam się i wymiotuję do wielkiego chromowanego kosza na śmieci. Mój żołądek kurczy się jak cytryna wyciśnięta do cna. Napór krwi w głowie sprawia, że czas wokół się zatrzymuje i istnieje tylko ta zimna, metaliczna krawędź, o którą się opieram, aż znów mogę normalnie oddychać.

– Dobrze się czujesz, Simon? – pyta Tom.

Dotyk dłoni przyjaciela na moim ramieniu jest uspokajający, pocrzepiający. Przynajmniej do chwili, gdy przytakuje. Wtedy chwytą mnie za koszulę i ciągnie do tyłu, próbując mnie wyprostować. Żeby to się udało, muszę się oprzeć o ścianę, bo Tom jest ode mnie jakieś dwadzieścia centymetrów niższy i waży dwadzieścia kilogramów mniej.

– No to weź się w garść, na miłość boską. Dziś stawiamy wszystko na jedną kartę, dragalu – mówi, dając znać recepcjonistce za swoimi plecami.

Próbuję wciągnąć do płuc więcej powietrza, robiąc długie, nieregularne wdechy.

– Może należałoby przełożyć spotkanie o kilka dni. Udoskonalić kilka zmiennych, dać Lisie nowy...

– Jezu, twój oddech cuchnie dyskotekowym kibelem – przerywa mi Tom, marszcząc nos. – Nie, niczego nie będziemy przekładać, bo ten koleś wróci do Chicago dopiero w przyszłym roku, a do tego czasu wylądujemy na ulicy, żebrząc pod mostem albo jeszcze gorzej. Wiesz, ile mnie kosztowało załatwienie tego spotkania? Wejdiesz tam, pokażesz mu to cholerne чудо, które zaprojektowałeś, i będziemy bogaci.

Tom oczywiście ma rację, choć nie chcę tego przyznać.

Nie reaguję zbyt dobrze na presję, na interakcje społeczne ani nawet na bycie w pobliżu innych ludzi. Lubię samotność. Poszedłem kiedyś do psycholożki, żeby opowiedzieć jej o lęku, zimnych potach, mdłościach i zawrotach głowy, na jakie cierpiałem w obecności innych, a ona powiedziała mi, że ja tylko tak myślę, że wolę być sam, ponieważ nigdy nie przestałem być sam. Że moje rzekome preferowanie izolacji to racjonalizacja.

Na stole stała miska pełna jeżynowych cukierków, a ja nie mogłem oderwać od nich wzroku, podczas gdy ona wypowiadała te słowa, które zamieszały w moich schematach myślowych bardziej, niżbym chciał. Gdy tylko poruszyła temat mojego brata, ucieszyłem się, że mam pretekst, by wstać i przerwać sesję. A ponieważ do wybicia pełnej godziny zostało jeszcze dziesięć minut, wziąłem sobie garść tych jeżynowych cukierków. Mam wielką rękę i wciąż pamiętam skonsternowaną twarz psycholożki, kiedy jej nowy pacjent i trzy czwarte miski z cukierkami zniknęli za drzwiami.

Nie pozwalam, by ktokolwiek mówił o moim bracie Arthurze. Nigdy.

Wraz z ostatnim szarpnięciem Toma jakimś cudem biorę się w garść. Omijam stado pufów w krzykliwych kolorach, które zachęcają do pozostania na nogach, i podchodzę do recepcjonistki. Uśmiechnięta Azjatka w zbyt mocnym makijażu i z włosami zebranymi w tak ciasny kucyk, że aż boli od samego patrzenia, siedzi za biurkiem wykonanym z żywicy i szkła, które zawstydziłoby centrum dowodzenia statku Enterprise.

– Przepraszam, że musiała to pani oglądać.

Dziewczyna śmieje się wyrozumiale.

– Proszę się nie przejmować. Jest pan czwartą osobą, która wymiotuje do kosza, a jestem w tej pracy dopiero od dwóch tygodni.

Wyciąga do mnie pudełko chusteczek i z wdzięcznością biorę całą garść.

– Kiedy dawali pani pracę, na pewno nikt nie uprzedził, że będzie tu pani miała darmowe widowisko. Parada żebraków!

– Wiem, co dla was, mózgowców, znaczy spotkanie z wielkim szefem. Niektórzy przychodzą nawet w koszulce z logo naszej firmy, żeby się podlizać. Oni nie wytrzymują nawet trzech minut.

– A więc ta słynna historia z klepsydrą to prawda?

Ona wzrusza ramionami, jak gdyby powiedziała za dużo.

– Wygląda pan na miłego gościa. Podpiszcie swoje NDA i zaprowadzę was do sali konferencyjnej, będzie się pan mógł trochę odświeżyć.

Pokazuje mi ekran dotykowy z bardzo długim tekstem pełnym punktów i klauzul, załączników i parafek zamieszczonych przez prawników. Nawet nie udaję, że to czytam, tylko składam podpis palcem wskazującym na końcu dokumentu. Nie wiem, czy podpisałem umowę o zachowaniu poufności, czy sprzedałem swoją duszę Infinity. W tym przypadku to jedno i to samo. Biorąc pod uwagę to wszystko, co ci goście o mnie wiedzą (o każdym z nas, tak naprawdę), to tak, jakby już byli moimi właścicielami.

Tom podchodzi ze swoją skórzaną teczką i z moją torbą listonoszką. On też podpisuje się na ekranie, po czym otwierają się dwa szklane panele, aby wpuścić nas do raju. Dziesięć lat temu, kiedy skończyłem studia na inżynierii informatycznej, dałbym wszystko, byle tylko dostać się do siedziby Infinity, żeby być częścią tego zespołu, poznać niektóre z ich licznych sekretów. To była najmniejsza z siedzib przedsiębiorstwa, ale i tak cieszyła się wszystkimi udogodnieniami, dzięki którym stała się najbardziej pożądaną firmą przez młodych absolwentów w całej Ameryce: darmowe przekąski i napoje o każdej porze, stolówka prowadzona przez szefa kuchni godnego pięciogwiazdkowej restauracji, sale wypoczynkowe, siłownia... Widzimy to wszystko, przechodząc, więc recepcjonistka nie musi zadawać sobie trudu, by cokolwiek nam wyjaśniać. My przyszliśmy prosić o pieniądze, a zatem nie zasługujemy na zwyczajowe zwiedzanie z przewodnikiem, czego z pewnością ma już po dziurki w nosie.

Jestem wdzięczny za jej obojętność. Ten Simon, który zabiłby, żeby tu wejść, już nie istnieje. Lata pukania od jednych drzwi do drugich, żeby dostać szansę, zniszczyły go, nasilając jego fobię społeczną, aż stał się

mierzącym metr dziewięćdziesiąt i ważącym sto kilogramów pustelnikiem, który teraz przemierza korytarze swojego wyblakłego raję.

Tom Wilson, mój prawnik i najlepszy przyjaciel (obiektywnie rzecz biorąc, jedyny) jest moim zupełnym przeciwieństwem. Drobny, rudowłosy, o żywym spojrzeniu, niezmordowany. Zawsze ma dobre słowo i uśmiech dla każdego, kogo spotka. Jeśli poszukasz w Wikipedii hasła „powierzchnowy urok”, pojawi się jego zdjęcie. Przechodząc obok stołówki, mijamy atrakcyjną dziewczynę w dużych okularach w rogowej oprawie, w znoszonej koszulce z Kermitem Żabą i dopasowanych džinsach. Niesie tacę z sałatką, butelką wody i zielonym jabłkiem. Tom zabiera jabłko i puszcza do dziewczyny oko. Gdybym ja zrobił coś takiego, skończyłoby się telefonem na policję i zakazem zbliżania się, ale Tom w odpowiedzi dostaje śmiech zaskoczenia, a potem szeroki uśmiech, który trwa do chwili, gdy Tom znika za pierwszym rogiem, gdzie prowadzi nas recepcjonistka.

Kiedy Tom się odwraca, napotyka moje słabo skrywane zazdrosne spojrzenie. Nienawidzę go.

– Nienawidzę cię – mówię mu tylko po to, żeby nie miał żadnych wątpliwości.

– No weź, Simon. Rozchmurz się. Dla naszego gospodarza musisz być w dobrym humorze.

Rzuca mi jabłko, z którego ugryzł jeden, okrągły i wielki kęs – parodia słynnego logo Apple. Desperacko macham rękami, żeby je złapać, nie upuszczając torby, ale nie udaje mi się. Jabłko i torba lądują na podłodze.

Recepcjonistka się odwraca i spogląda na mnie pełnym nagany spojrzeniem, podczas gdy ja próbuję zebrać kawałki jabłka z wykładziny. Sprawia wrażenie, jakby żałowała, że wcześniej potraktowała mnie tak uprzejmie, i lodowatym gestem wskazuje nam salę konferencyjną.

– Proszę tu zaczekać i postarać się za bardzo nie napaskudzić.

Jak zawsze Tom świetnie się bawi, a ja płacę za nieswoje grzechy. Odsuwam go na bok i wchodzę do pomieszczenia, szukając śmietnika, by wyrzucić resztki bałaganu.

– Nie obrażaj się, stary – mówi Tom. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Ci ludzie lubią spontaniczność.

Prycham rozdrażniony. Palce mam lepkie od soku, a mój oddech przyspiesza. Zachary Myers, właściciel i założyciel Infinity, człowiek, którego podziwiałem i chciałem poznać, odkąd byłem dzieciakiem i zainstalowałem jego pierwszy, rewolucyjny system operacyjny, za chwilę

tu przyjdzie, a ja uścisknę mu dłoń swoją wielką lepką łapą. Kręcę się dookoła, nie znajdując żadnego miejsca, gdzie mógłbym pozbyć się zmiążdżonego owocu.

Sala jest pomalowana cała na biało, stół jest zrobiony z jednego kawałka jakiegoś sztucznego tworzywa, a za każde z szesnastu otaczających go krzeseł mógłbym opłacić sobie rok studiów. Nigdzie jednak nie widzę śmietnika. W końcu się poddam i wrzucam resztki jabłka do bocznej siatkowej kieszonki w torbie listonoszce, gdzie powinna siedzieć butelka z wodą. Nienawidzę zapachu jabłka i nienawidzę Toma za to, że zniszczył moją ulubioną torbę, która jest w idealnym rozmiarze, by zmieścić się w niej laptop, i jest jedną z nielicznych toreb na pasku wystarczająco długim, by otoczyć moje wielkie cielsko i nie wyglądać przy tym niczym szalik, jak w przypadku innych.

– Ej, stary, dlaczego nie wyrzuciłeś go do tego śmietnika? – pyta mój przyjaciel, wskazując szczelinę w ścianie. Po naciśnięciu część wysuwa się na zewnątrz: za późno, by uratować moją torbę, ale w samą porę, by moja złość na Toma osiągnęła temperaturę wrzenia.

– To koniec. Wychodzimy stąd. Nie mam zamiaru pokazać się Myersowi w takim stanie – mówię, zabierając torbę i kierując się do wyjścia.

Tom łapie mnie za przedramię.

– Zamknij się i usiądź. Prawda, że teraz czujesz się lepiej? Zniknęły mdłości?

Zatrzymuję się w pobliżu drzwi ze szkła grubego jak pięść i odwracam się do niego. Ten drań urządził to całe przedstawienie, żebym zapomniał o napadzie lęku i skupił się na jego głupstwach, co najwyraźniej zadziałało.

– Nie schrzań tego, okej? Nie chcę, żeby było tak samo jak...

Gestem nakazuję, żeby się przymknął, i wzrokiem wskazuję małą szklaną półkulę w rogu sali; to na pewno kamera wykorzystywana podczas wideokonferencji, której Myers bez wątpienia użyje do nagrania naszego spotkania, o ile już nie jest włączona. W Infinity nigdy nie szanowali prywatności klientów, którzy korzystają z ich przeglądarki internetowej, poczty e-mail czy urządzeń elektronicznych. W przeszłości celebryci na całym świecie padali ofiarą ich braku skrupułów, ostatnim razem kilka tygodni wcześniej, kiedy nastąpił ogromny wyciek zdjęć erotycznych dużej liczby gwiazd, które przechowywały w chmurze Infinity pamiętki ze swoich łóżkowych akrobacji.

Infinity wystosowało żalose przeprosiny, tłumacząc się potężnym atakiem grupy hakerów, ale to na kilometr śmierdziało tym, że ktoś zostawił otwarte tylne drzwi, sekretne wejście dające dostęp do danych wszystkich klientów, którzy przechowywali swoje osobiste informacje na przepastnych serwerach Infinity. Wystarczyło tylko wpisać nazwisko konkretnej osoby i sprawdzić, czy zachowywała się niegrzecznie ze swoim partnerem albo z kimś innym.

Każdy system ma tylne drzwi, a jeśli nie szanujesz prywatności swoich klientów na tyle, by jej chronić, bardzo wątpię, byś nie naruszał prywatności skromnych właścicieli start-upu, którzy przychodzą prosić o pieniądze do twojego biura.

Tom od razu rozumie, puszcza do mnie oko i zaczyna gadać o swojej zdobyczy, farmaceutce, która pracuje przy ulicy Main, i o niesamowitej kolacji, jaką zjedli wczoraj w greckiej restauracji nieopodal jej domu. Jestem przekonany, że zmyśla połowę szczegółów, że to tylko teatr dla naszych gospodarzy, ale i tak zazdroszczę mu tej łatwości nawiązywania kontaktów z innymi ludźmi. Jestem pogrążony w myślach, słucham Toma jednym uchem, gdy nagle odchrząknięcie tuż przy drzwiach sprawia, że obaj zrywamy się na równe nogi.

Za nami, jakby wyrósł spod ziemi, stoi jedyny człowiek, który może uratować naszą firmę przed ruiną.

2

IMPERTYNENCJA

Z biegiem lat przestałem wierzyć w Zachary'ego Myersa, przestałem czuć pełne szacunku uwielbienie, jakim darzyłem takie postaci jak on, Bill Gates czy Steve Jobs. Kiedy byłem niewiele więcej niż nastolatkiem, który stawiał swoje pierwsze kroki w środowisku programistycznym, znałem każdy szczegół z ich życia, chłonałem każde słowo, jakie wypowiadali w wywiadach, chciałem się dowiedzieć, jak się rozwijali od absolutnie niczego do chwili, gdy stali się rewolucjonistami, którzy zmienili świat.

Aż pewnego dnia wpadłem na własny pomysł, plan, dzięki któremu sam chciałem dorzucić swoje ziarenko piasku i, jak powiedziała by Tom, „zarobić tyle forsy, że mógłbym się na niej położyć”. Nagle moi bohaterowie stali się bardziej przyziemnymi, mniej wspaniałymi facetami. Wraz z każdą z tysięcy godzin, jakie spędziłem na wstukiwaniu kodów, wymyślając Lisę, blask gwiazd powoli przygasał, a ich słowa traciły swój sens. Nie chciałem już myśleć inaczej ani pozostać głodny i szalony. Chciałem tylko dokończyć ten cholerny wynalazek, na którego punkcie miałem obsesję od lat. W szczególnie ciężkim okresie zerwałem ze ścian zdjęcia moich idoli

i wyrzuciłem je do kontenera na śmieci w pudełku po pizzy pełnym brzegów.

Nie cierpię brzegów pizzy.

Ciężka praca i fiasko ponoszone za fiaskiem sprawiły, że stałem się cyniczny wobec moich idoli z lat nastoletnich – co za zaskoczenie. Cóż, muszę przyznać, że poznanie osobiście Zachary’ego Myersa absolutnie nie pomogło w zmianie tego podejścia.

– Dzień dobry, panie Wilson, panie Sax – wita się.

Przyszedł sam, ubrany w swój kultowy strój, złożony z dżinsów i białego T-shirta, bledszy i bardziej postarzały niż na zdjęciach. Zbliża się do sześćdziesiątki i nawet te miliardy, które ma, nie zdołają tego zmienić.

Tom podchodzi, żeby uścisnąć mu dłoń, ale założyciel Infinity trzyma ręce za plecami.

– Przepraszam, ale nie podaję ręki, kiedy kogoś poznaję – mówi oschle. – Proszę usiąść.

– Rezerwuje pan to sobie na drugie spotkanie, panie Myers?

– Słucham?

– Uściśnięcie dłoni.

Myers uśmiecha się lodowato, lustrując nas spojrzeniem z góry na dół. Moja wygnieciona koszula i bojówki z szerokimi kieszeniami, tani garnitur Toma. Czuję ciężar jego spojrzenia i znowu dopadają mnie lęk i mdłości. Nawet Tom, który ma skórę z tytanu i mniej wstydu niż libański sprzedawca używanych samochodów, wierci się skępowany.

– Łatwo sprawdzić, kto zajmuje się ciężką pracą, a kto public relations – mówi Myers i stawia przed sobą mały plastikowy przedmiot, mityczną klepsydrę, dzięki której zyskał sławę bezkompromisowego i chłodnego szefa nawet w tym świecie wypełnionym tak wielkimi ego, że potrzeba szerpów, lin wspinaczkowych i tlenu, żeby je pokonać. Podobno używa tej klepsydry do wszystkiego, od prezentacji dokonywanej przez szefa działu po wypicie kawy. „Każda czynność, której wykonanie zajmuje dłużej niż trzy minuty, jest stratą czasu”, oświadczył w magazynie „Time”, gdy został wybrany Człowiekiem Roku. Kiedy przygotowywaliśmy się do tego spotkania, Tom mocno podkreślał, jak bardzo żał mu pani Myers.

– Upokarzanie się pukaniem do kolejnych drzwi, aby pozyskać inwestorów, to bardzo ciężka praca – broni się Tom, który nie lubi, gdy bierze się go za człowieka z drugiego szeregu.

Myers go ignoruje i zwraca się do mnie.

– Panie Sax, jeśli pański wspólnik nadal będzie opowiadał dykteryjki, jeśli jeszcze raz otworzy usta na tym spotkaniu, nie będziemy nawet potrzebować tego – mówi, odwracając klepsydrę. – Proszę zaczynać. Niech mi pan opowie o Lisie.

Rzucam Tomowi rozpaczliwe spojrzenie. Nie tak to zaplanowaliśmy. Tom miał zrobić około czterdziestosekundową prezentację, potem ja miałem wykonać minutowy pokaz, a na końcu Tom miał powiedzieć o możliwościach Lisy, o wszystkich jej zastosowaniach i szansie, jaka się z nią wiąże. Bez wsparcia podczas wystąpienia czuję się pogubiony, mdłości wracają. Tom wzrusza ramionami i daje mi znak głową, żebym mówił.

Myers zaczyna się niecierpliwić i bębni palcami w stół.

– Dwie minuty i czterdzieści sekund.

Próbuję głęboko oddychać, co teoretycznie pomaga mi kontrolować mdłości, i wyjmuję z torby telefon. Nie jest to jeden z tych jego i Myers nie kryje niezadowolenia, ale dobrze wiem, co robię. Nie chcę podejmować ryzyka, dlatego załadowałem prototyp aplikacji na telefon innej firmy, na którym zablokowałem możliwość kontaktu ze wszystkim, oprócz mojego laptopa. Nie połączymy się nawet z kuszącym wi-fi Infinity. W tym momencie komputer, który właśnie postawiłem na stole, i mój telefon tworzą system zamknięty chroniony 4096-bitowym kluczem zabezpieczeń. Gdyby wszystkie serwery Infinity, umieszczone w hali przemysłowej wielkości sześciu boisk piłkarskich w Kolorado, pracowały jednocześnie nad jego rozszyfrowaniem, zajęłoby im to około sześciu tysięcy lat, plus minus sto lat. Oczywiście w tym celu należałoby odciąć od poczty elektronicznej dwadzieścia procent światowej populacji, a ciekawe, jak ludzie wytrzymałoby sześć tysięcy lat bez wysyłania sobie filmików z kotami.

– Przypuszczam, że przekazano panu, co...

– Proszę niczego nie przypuszczać, panie Sax. Nie wiem nic o Lisie. Proszę mi ją sprzedać.

Jego współpracownicy musieli przekazać mu streszczenie tego, co przygotowaliśmy – to pewne. Pojawiliśmy się na kilku blogach, ale nie było to nic spektakularnego. Jumping Crab (tak nazwaliśmy naszą firmę, nazwa, która nagle brzmi dla mnie śmiesznie i dziecinnie), młoda firma z Chicago, pracuje nad nowym systemem rozpoznawania obrazów. Drugorzędne gazety w paru liniijkach wspomniały mimochodem, że mamy problemy

z pozyskaniem finansowania – eufemizm na określenie tego, że pukaliśmy do drzwi wszystkich możliwych inwestorów i że jesteśmy totalnie splukani.

To, że nikt nie wspomógł nas nawet centem, nie jest winą Toma, tylko moją. LISA jest skomplikowana, to чудо, ale nie zawsze działa, w znacznej mierze z powodu ograniczeń narzuconych przez moją obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Na wszystkich prezentacjach poniosłem spektakularną klęskę. W ciągu ostatnich miesięcy, w obliczu nieuchronnego bankructwa, Tom dzwonił do Infinity (jedni z nielicznych, u których jeszcze nie zaliczyliśmy porażki) ponad sto razy – bez powodzenia. A mimo to parę tygodni temu dostał telefon i zaproszono nas na dziś, tutaj, nie na spotkanie z szefem działu czy kimś takim, tylko z samym Zacharym Myersem. Gdyby zadzwonił do niego święty Piotr, zapraszając na spotkanie z Wszechmogącym, Tom byłby mniej zdziwiony.

– LISA to angielski akronim od Algorytmu do Wyszukiwania Interpolacji Liniowej. W przeciwieństwie do tradycyjnych algorytmów, jak program do odwrotnego wyszukiwania obrazów, jaki oferuje pańska firma, nie wykorzystuje krawędzi obiektu, żeby określić, czym on jest. LISA szuka na obrazie fragmentu, który może rozpoznać, i przewiduje, co najprawdopodobniej znajdzie później.

– Uczenie statystyczne. Już tego próbowano.

– Ale robiono to za pomocą obrazów, szukając podobieństw między krawędziami, co wymaga niemal nieskończonych porównań. Mój algorytm wykorzystuje słowa.

Myers unosi brew. Nie wiem, czy tylko udaje, czy naprawdę jest zaskoczony. Jak na razie nie powiedziałem niczego, czego nie przekazali mu już jego współpracownicy, przypuszczam, że głośno się z nas śmiejąc.

– To niemożliwe, panie Sax. Mówi pan o intuicji. Sztucznej intuicji.

Gdybym dostawał centa za każdym razem, gdy to słyszałem, mógłbym kupić sobie sofę, która zastąpiłaby tę, którą w zeszłym tygodniu musiałem sprzedać na eBayu, żeby zapłacić rachunek za prąd, i nie musiałbym siadać na drewnianych skrzynkach.

– Zamiast szukać sylwetki i porównywać ją ze swoją bazą danych, co zajęłoby znacznie więcej czasu i byłoby nieprecyzyjne, LISA identyfikuje parametr i ustanawia prawdopodobieństwo, wykorzystując zmienne w danym kontekście. Nie skupia się na obrazie jako takim, tylko próbuje zrozumieć, gdzie on pasuje, tak jak małe dziecko, kiedy patrzy na coś nowego.

To Arthur podsunął mi pomysł, żeby właśnie tak zaprogramować Lisę. Arthur i jego wyjątkowy sposób postrzegania świata, tak czuły, tak niewinny. Ale nie będę mu o tym opowiadał. Nigdy nie rozmawiam z nikim o Arthurze.

– Panie Sax, to, co pan proponuje, jest genialne, ale to tylko science fiction.

Tom prostuje się na krześle i zamierza zaproponować, ale Myers paraliżuje go, podnosząc kościsty palec w kształcie pałeczki do gry na bębnie. Z teczki wyjmuje trzy przedmioty i kładzie je przed sobą na stole: pudełko zapalek, dozownik cukierków PEZ w kształcie księżniczki Disneya oraz zwykły długopis.

– Proszę zidentyfikować te trzy przedmioty za pomocą swojej aplikacji, zanim skończy się czas, panie Sax. Wtedy będziemy mogli dalej rozmawiać.

Kątem oka spoglądam na klepsydrę i oceniam, że nie zostało nawet czterdzieści sekund. Zaczynam od długopisu, bo to najłatwiejsze. Za pomocą aplikacji robię zdjęcie, pilnując, żeby nazwa marki długopisu była dobrze widoczna. Później dozownik cukierków. Księżniczka na wieczku stanowi problem, bo może poprowadzić algorytm setkami różnych ścieżek. Nie mam pojęcia, jak zareaguje, więc robię dwa zdjęcia, jedno z przodu, drugie z boku, i wciskam przycisk wyślij.

I na końcu prawdziwe wyzwanie, czyli pudełko zapalek. To jedno z tych w kształcie książki, dużo tekstu i mała objętość. Chcę je przestawić, żeby znaleźć jak najlepszy kąt, ale Myers mi na to nie pozwala.

– Bez dotykania, panie Sax.

Słońce zachodzi, a gasnące światło, które wpada przez duże okna na dwudziestym siódmym piętrze, nie jest bynajmniej korzystne dla Lisy. Zrobienie zdjęcia na wprost na niewiele się przyda, więc umieszczam telefon z boku w bliskiej odległości i fotografuję w taki sposób, żeby było widać główki zapalek. Kiedy odsuwam komórkę, spada ostatnie ziarenko w klepsydrze.

– Obawiam się, że wasz czas dobiegł końca, panowie – mówi Myers, wstając.

– Nie chce pan zobaczyć rezultatów? – pytam, próbując zyskać na czasie. LISA nie wydała jeszcze wibracji, która wskazuje na zakończenie wyszukiwania.

Myers patrzy na mnie i na telefon. Zauważam, jak jego własne zasady walczą z ciekawością. Wreszcie zwycięża ta ostatnia i Myers wyciąga rękę. Podaję mu telefon, a on wciska zielony przycisk, który właśnie pojawił się na ekranie.

– Pierwszy. Przedmiot – mówi kobiecy głos, czysty i wyraźny. Najbardziej zmysłowy, jaki udało mi się znaleźć w bankach audio, ale robi tyle pauz, że trudno go polubić. – Długopis. Uni-ball. Eye Micro. Kolor. Czarny. Dostępny w. Infinity Shopping. Za. Dwa dolary trzydzieści osiem centów. Czy mam go zamówić, Simon?

– Nie, dziękuję, LISA. Przejdź do następnego.

Aplikacja robi pauzę, przetwarzając moje polecenie, i przez chwilę jestem w strachu, że się zawiesiła.

– Drugi. Przedmiot – mówi w końcu. – Dozownik. Cukierków. PEZ. Różne modele. Dostępny w. Infinity Shopping. Od. Trzech dolarów jednego centa. Chcesz iść do sklepu, Simon?

– Nie, LISA. Przejdź do następnego.

Wbijam paznokcie w wewnętrzną część dłoni. To będzie boleć.

– Trzeci. Przedmiot. Wyniki. Niejednoznaczne.

Nie mogła rozpoznać pudełka zapalek. Czuję falę porażki i opadam na krzesło, nie mając odwagi spojrzeć Myersowi w twarz. Zapada cisza, która zdaje się trwać całą wieczność, i wreszcie Tom ośmiela się ją przerwać.

– Czy mogę się już wtrącić, panie Myers?

Założyciel Infinity niezauważalnie kiwa głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Jeśli można, proszę pana. LISA ma nieskończenie wiele zastosowań. Pierwotnie Simon wymyślił ją jako system mający ułatwiać ludziom zakupy. Wystarczy zobaczyć przedmiot, zrobić zdjęcie w aplikacji i gotowe, już można go kupić. Nie potrzeba kodu kreskowego ani nawet nie trzeba wiedzieć, jak się nazywa. Człowiek jedzie autobusem, widzi czyjeś adidasy i dziesięć sekund później może je sobie zamówić w jakimkolwiek sklepie online.

Tom nie musi dodawać, że sklepem, ze względu na domyślną przeglądarkę, byłby Infinity Shopping, wielki ból głowy dla Zachary'ego Myersa, zawsze dwa kroki za Amazonem. Nie musi mu też wyjaśniać, co aplikacja mogłaby zrobić dla jego biznesu.

LISA oznacza przełom, największą rewolucję na rynku nowych technologii, odkąd Steve Jobs zaprezentował iPhone'a w 2007 roku.

– Ale LISA może zrobić znacznie więcej niż tylko pomagać w zakupach. Algorytm Simona jest skalowalny, proszę pana, im więcej wie, tym więcej się uczy i szybciej dostarcza wyniki. A za parę lat moglibyśmy sprzedawać licencje na aplikacje edukacyjne, artystyczne, przemysłowe i badawcze.

– O ile będzie działać – fuka Myers, podnosząc pudełko zapalek.

– Potrzebowalibyśmy pieniędzy na udoskonalenie algorytmu, na bazę danych...

Mężczyzna po drugiej stronie stołu sztywnieje, słysząc trzeszczenie kręgow szyjnych, kiedy jego ciało się napina, szykując się do bitwy. Teraz jest na swoim terenie.

– Ile?

Nie zawieź mnie teraz, Tom, myślę. Niech nie zadrzy ci głos.

– Dziesięć milionów dolarów na początek w zamian za dziesięć procent akcji – odpowiada Tom z taką samą swobodą, z jaką czytałby menu dnia. Kto by pomyślał, że parę godzin temu pożyczał pieniądze od mojej sąsiadki, żeby móc zatankować. – Sto milionów w drugiej turze w zamian za kolejne dziesięć procent. Pięćset milionów w trzeciej turze, otwartej dla każdego oferenta, za pozostałe dwadzieścia procent.

Myers powstrzymuje wybuch śmiechu, wydając nieprzyjemne dźwięki, niczym miech, który nie napęlił się do końca.

– Powiedział pan, panie Wilson, że LISA ma wiele zastosowań. Kto będzie decydować o tym, jakie konkretnie?

– Simon i ja będziemy kontrolować pięćdziesiąt jeden procent akcji.

– Myślę, że nie macie odpowiedniej pozycji, by wynegocjować tak dobry układ, panie Wilson. Wasza aplikacja działa z przerwami, jej interaktywność jest słaba, a interfejs użytkownika pozostawia wiele do życzenia. Nie wspominając o waszej sytuacji finansowej. Na rachunku bankowym pańskiego wspólnika jest debet w wysokości siedmiuset dolarów – mówi, wskazując na mnie palcem – i nie sądzę, by mógł spłacić dwa kredyty hipoteczne, jakie zaciągnął na dom swoich rodziców. A pan nie jest wcale w lepszej sytuacji. Ani wasi trzej pracownicy, którzy od miesięcy nie dostają nędznej pensji.

Tom na mnie patrzy, udając zbulwersowanego, ale obaj wiedzieliśmy, że ten moment nadejdzie. Żaden miliarder nie spotyka się z kolesiami, którzy przychodzą prosić go o pieniądze, nie zlecając uprzednio finansowego prześwietlenia.

– Jestem pewien, że możemy dojść do porozumienia, pod warunkiem że Infinity zostanie właścicielką technologii – ciągnie Myers.

– To wykluczone – mówi Tom. – Jeśli nie chce pan w to wejść, w porządku. Znajdziemy kogoś innego.

– Pukaliście już do wszystkich drzwi. Jak zamierzacie opłacić rachunki do tego czasu?

Wtedy przypominam sobie odcinek *Zwariowanych melodii*, który oglądałem kiedyś z Arthurem. Królik Bugs wlecze się spragniony przez pustynię, szukając oazy, a Kaczor Daffy wyskakuje zza kamienia, sprzedając lemoniadę w cenie złota. To najbrudniejsza i najstarsza na świecie zagrywka. Zastanawiam się, czy to właśnie z tego powodu Infinity nie przyjęła nas wcześniej. Myers chce mieć tę technologię, chce jej rozpaczliwie, i przez cały ten czas krążył nad nami, czekając, aż znajdziemy się w krytycznej sytuacji, byśmy nie mogli negocjować.

– LISA jest prawie gotowa – mówi Tom. – Pokażemy ją innemu inwestorowi.

– Nie, nie jest. Trafiła w pełni w przypadku produktu, na którym widać nazwę modelu, trafiła częściowo w przypadku cukierków i nie trafiła z zapawkami. Będziecie potrzebować więcej niż dziesięciu milionów dolarów, żeby zbudować bazę danych obrazów, i mnóstwo teraflopsów, żeby LISA mogła się uczyć. Ja mogę wam to wszystko zaoferować. Jestem gotów kupić waszą technologię i włączyć was do naszego zespołu za sześciocyfrową pensję, ubezpieczenie zdrowotne dla was i waszej najbliższej rodziny – mówi, patrząc na mnie kątem oka.

Ta wzmianka o Arthurze, choć zawoalowana, to więcej, niż mogę znieść, więc wstaję.

– Panie Myers – mówię, starając się brzmieć stanowczo. – Przez sześć lat wklepywałem pięć milionów linii kodu Lisy. Myśli pan, że pańscy inżynierowie mogą odkryć, jak to zrobiłem? W takim razie życzę powodzenia, bo prędzej będę pracował w McDonalddie, niż sprzedam panu swoje pomysły za pensję i opiekę dentystyczną.

Pod koniec mój głos drży tak bardzo, że da się zrozumieć ledwie co trzecią sylabę, ale domyślam się, że przekaz dotarł do Myersa, ponieważ wstaje i wściekły wychodzi z sali.

Tom klepie mnie po plecach.

– Gratulacje, Simon – mówi. – Właśnie doprowadziłeś nas do ruiny.

3

KIJ HOKEJOWY

Tom i ja pokonujemy drogę powrotną w niewygodnej ciszy. Widzę jego oburzenie i frustrację, jakie okazuje w sporadycznych wybuchach. Jestem wdzięczny, że wyładowuje się na dźwigni zmiany biegów starego forda fiesty, zamiast skrócić mi kark.

– Posłuchaj, Tom...

Jak zwykle czeka, aż zacznę przeproszać, żeby móc zaatakować. Robi tak, odkąd się poznaliśmy, osiem lat temu, kiedy obaj byliśmy na ostatnim roku studiów. Właśnie zmarli moi rodzice, więc żeby zapewnić Arthurowi opiekę, starałem się zarobić trochę dodatkowego grosza, naprawiając komputery. Tom traktował swojego laptopa dokładnie tak samo jak forda fiestę (to ten sam, którego miał wtedy), więc potrzebował wszelkiej pomocy, jakiej mogłem mu udzielić. Kiedy skończyłem naprawę, powiedział, że nie ma pieniędzy, by mi zapłacić, ale zaprasza mnie na piwo. Po sześciu kolejkach byliśmy już przyjaciółmi. Tom lubił gadać jak najęty, a mnie podobało się, że poznałem kogoś, kto wypełnia ciszę, która towarzyszyła mi wszędzie, niczym dodatkowa część mojego ciała. Chociaż teraz chyba patrzę na to inaczej. Tom był wszystkim, czym ja nie byłem:

wulkanem energii bez celu, reklamą bez produktu. Poznając mnie, znalazł właściwą ścieżkę i dowiedział się, co sprzedawać, a ja mu to właśnie odebrałem.

– Nie, to ty mnie posłuchaj – mówi, skręcając w prawo tak gwałtownym ruchem kierownicy, że aż mną zarzuca. – Mogłem iść do jakiejś prestiżowej kancelarii, zamiast łapać gówniane zlecenia tu i tam, nie mogąc tak naprawdę z nikim nawiązać stałej współpracy, bo musiałem organizować tę firmę, prowadzić twoją księgowość, rozmawiać z inwestorami. Okej, może nie do jednej z tych wielkich kancelarii, ale na pewno do jakiejś mniejszej. Teraz miałbym dobrą pensję i samochód młodszy niż dwudziestoletni. Przed czterdziestką zostałbym współnikiem. Ale odłożyłem to wszystko na bok przez ciebie, gnojku. Przysięgałeś mi, że będziemy bogaci.

Zmienia pas, nie włączając kierunkowskazu, i trzyma palec na klaksonie, wyprzedzając samochód, który nie jedzie tak szybko, jak on by chciał, co w przypadku Toma oznacza co najmniej dziesięć kilometrów ponad dozwoloną prędkość.

– Jedź po swojej stronie, palancie! – krzyczy do lusterka wstecznego. – Nie żebym prosił o zbyt wiele. Wystarczyłoby mi osiągnięcie zysku za okres, jaki nad tym pracowaliśmy, i Myers był naszą ostatnią szansą. Teraz nie mamy nic i siedzimy w długach po uszy. Myślałeś o tym, co będzie z Arthurem za kilka tygodni, kiedy ludzie z ośrodka przestaną wierzyć, że czek został wysłany pocztą?

Nie wkurzam się na Toma za to, że wspomniał o Arthurze, ponieważ Tom należy do rodziny, ponieważ ma rację i ponieważ boję się, że wyładujemy na barierce ochronnej, jeśli zacznę się krzywić.

– Infinity oferowała nam rozwiązanie, Simon. Nie było idealne, jasne, że nie, ale to dobre rozwiązanie. A ty wszystko zaprzepaściłeś.

Tyłny błotnik fiesty mija drugi samochód o niecałe trzy centymetry. Silnik protestuje, jakby miał za chwilę wybuchnąć, a ja trzymam się fotela i zastanawiam, czy dojedziemy żywi.

Kiedy wreszcie hamuje dwie przecznice od mojego domu, oddycham z ulgą, wysiadając z samochodu, ale Tom natychmiast dba o to, żeby w moim gardle powstała kolejna gęstwa, tym razem innego rodzaju.

– Wiesz, co tak naprawdę mnie wnerwia, Simon? – pyta, nachylając się do szyby od strony pasażera. – Że ty się nie odzywasz. Zawsze siedzisz cicho, we własnym świecie, czekając, aż inni wyciągną cię z tarapatów, aż rozgryzą, co się dzieje w twojej głowie. Od dawna zachęcam cię, żebyś

wyrzucił z siebie wszystko, żebyś odważył się wykrzyknąć światu prosto w twarz, ile jesteś wart. A w dniu, kiedy wreszcie to robisz, tylko wszystko chrzanisz.

Odjeżdża z piskiem opon, zostawiając na asfalcie czarny ślad i drugi taki sam w mojej świadomości. To, co zrobiłem, nie było fair wobec Toma, z kolei coś przeciwnego nie byłoby fair wobec Lisy. Chciałbym mu to wyjaśnić, móc wszystko naprawić, ale jego ford fiesta jest już tylko punkcikiem na końcu ulicy.

Niebo zrobiło się brudnoszare, idealnie pasujące do moich myśli, a latarnie powoli nabierają życia, kiedy idę do domu przy ślepej uliczce na końcu osiedla. Mieszkam tu całe życie, chociaż teraz nie jest to już okolica zamieszkała przez wyższą klasę średnią, jak wtedy, gdy moja matka, ze mną w ciąży, się tu wprowadziła. Z powodu kryzysu wielu sprzedało swoje domy i wyprowadziło się z Chicago do Indiany albo Missouri, gdzie lokale są tańsze. Cena metra kwadratowego drastycznie wzrosła i wiele domów stoi teraz pustych. Zabito w nich okna, bezskutecznie próbując nie dopuścić do tego, by nastolatki zakradli się do środka, żeby tam pić, ćpać i się migdalić.

W oddali widzę kilku takich, grają w hokeja na wolnej przestrzeni między moją ulicą a prostopadłą do niej. Normalnie nie zwróciłbym na nich uwagi, gdyby nie postać, która idzie wyprostowana jak struna, stawiając krótkie i pospieszne kroki, i wchodzi w sam środek grupy. Jeden z nastolatków, jakiś idiota wyższy i większy od pozostałych, w czarnej koszulce z czaszką, akurat w tej chwili podnosi kij, żeby oddać strzał na prowizoryczną bramkę zrobioną z dwóch plecaków. Potyka się o nowo przybyłego i o mało nie upada na ziemię.

– Nedorozwój z ciebie, czy co? – pyta Czaszka, popychając go.

– No tak, stary, nie widzisz? – odzywa się inny ze śmiechem.

Obstępują go i dotykają, popychają, śmieją się z jego ciemnych, skośnych oczu, okrągłej twarzy, krótkich palców. On rozgląda się wokół, przestraszony. Chce, żeby przestali.

To Arthur.

– Co jest, niedorozwój? – rzuca Czaszka, łapiąc go za ramię. – Jesteś w szoku, widząc tylu bystrzaków, co?

– Zesrał się w spodnie, na bank – mówi inny.

– To prawda, niedorozwój?

Arthur nie odpowiada, tylko patrzy w ziemię, niczego nie rozumiejąc.

– Sprawdzimy – zarządza Czaszka, sięgając ręką do jego paska. – Ciekawe, w jakim kolorze ma gacie.

Arthur wydaje jęk sprzeciwu, dla mnie niesłyszalny, ponieważ przemierzam ulicę długimi susami, biegnąc mu na ratunek, przeklinając się za to, że jestem taki powolny i ociężały. W każdym razie wcale nie muszę tego słyszeć. Słucham tego od lat. To przytłumione, głębokie, rozdzierające miauczenie. Wołanie o pomoc bezbronnego niewinnego chłopca, kogoś, kto nie rozumie, czym jest agresja, ponieważ w jego sercu istnieje tylko dobroć. Wyrządzenie krzywdy komuś takiemu to niedopuszczalne okrucieństwo.

Wpadam do kółeczka, odsuwając nastolatków na boki. Nie muszę nawet używać rąk, jestem czterdzieści centymetrów od nich wyższy. Ich lider, Czaszka, to już inna sprawa. Musi być gdzieś w drugiej klasie szkoły średniej, ma metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie bary. To jeden z tych łobuzów, które zbyt wcześnie się rozwinęły, pewnego dnia odkryły, że podoba im się, gdy inni się ich boją, i zrobiły sobie dwór sługusów z tych najslabszych. Widzę ich w ciągu tych paru sekund, jakich potrzebuję, by do niego dopaść: ten odrabia mu pracę domową, ten śmieje się z jego żartów, tamten aspiruje do roli lidera, ale zadowala się byciem mięśniakiem. Kiedy jesteś takim przegrywem jak ja, uczysz się zauważać swoich wrogów i ich unikać. Ale teraz krzywdzą Arthura.

Łapię Czaszkę za ramię, nie dając mu czasu na reakcję. Wyrywam mu kij z rąk. Szarpie się, próbując go odzyskać i się mnie pozbyć. Jest duży i silny. Ale ja jestem większy i silniejszy.

Rzucam go na ziemię. On próbuje się podnieść, ale ja łapię kij za plastikowy uchwyt, dawniej biały, a teraz poszarzały od potu i brudu, i opieram główkę o jego brodę.

– Trisomia dwadzieścia jeden. Na to cierpi Arthur. Jego geny mają dodatkowy chromosom. Nie on o tym decydował, podobnie jak ty nie decydowałeś o tym, że będziesz blondynem. Powtórz to, chcę mieć pewność, że dobrze zapamiętałeś. Trisomia dwadzieścia jeden.

Czaszka patrzy na mnie wybałuszonymi oczami. Nie jest przyzwyczajony do przegrywania. Podnosi rękę do twarzy, próbując odsunąć końcówkę kija od podbródka. Przyciskam mocniej.

– Pojechało cię, stary? To boli!

Nie znoszę żadnej z politycznie poprawnych nazw, jakimi ludzie określają to zaburzenie: zespół Downa, niepełnosprawność intelektualna. A jeśli komuś przyjdzie do głowy powiedzieć na głos jedną z tych powszechnych obelg (niedorozwój, mongoł, debil) najprawdopodobniej dostanie w ryj. Nie jestem agresywny, ale nikt nie będzie obrażał mojego brata.

Nigdy.

– Nie wiem, czy mnie pojechało – mówię, jeszcze mocniej przyciskając kij. – Może. Ale teraz to ja mogę sprawić, że zaraz połkniesz własne zęby, jeśli nie zrobisz tego, co każę.

Czaszka rozgląda się dookoła. Wszyscy przyjaciele na niego patrzą, a on nie jest gotów stracić swojego statusu samca alfa. Próbuje się wywinąć, pełznąąc do tyłu w niezbyt godnej lidera pozycji, ale przydeptuję krawędź jego spodni z obniżonym krokiem, a on ląduje na tyłku, obcierając sobie łokcie.

– Cholera!

Znowu umieszczam kij przy jego ustach, upewniając się, że ostra krawędź przyciska jego dolną wargę do dziąsła.

– Trisomia dwadzieścia jeden. Na to cierpi Arthur. Powtórz.

– Trisomia dwadzieścia jeden! Trisomia dwadzieścia jeden! Już! Zadowolony?!

Chwytam kij hokejowy oburącz (to gruby kij z dobrego dębowego drewna) i rozwalam go na prawym kolanie z suchym i gwałtownym trzaskiem. Boli jak diabli, ale wytrzymam. Warto, żeby zobaczyć ich przerażone gęby. Ci chłopcy praktycznie przyszli na świat z takim kijem pod pachą i wiedzą, że aby go złamać, potrzeba ogromnej siły.

– Teraz już tak – mówię, rzucając resztki kija na Czaszkę. – Wynocha stąd.

Chłopcy przerywają kółko, które utworzyli wokół nas, i rzucają się do ucieczki. Czaszka biegnie na końcu, a kiedy znajduje się w bezpiecznej odległości, odwraca się, żeby do mnie krzyknąć:

– Jak cię złapię, to zabiję, skurwielu!

Ignoruję go, odwracam się do Arthura i rozkładam ramiona. Z początku nie jest mu łatwo, wciąż jest śmiertelnie przestraszony. Patrzy na mnie, lewą ręką ciągnie za prawy rękaw, robi krok w bok, potem drugi. Nie poganiam go, nie wykonuję żadnego gwałtownego ruchu, który mógłby go przestraszyć jeszcze bardziej. Wreszcie się poddaje i podchodzi szukać

pocieszenia, obejmuje mnie, ukrywa głowę w mojej klatce piersiowej i wybucha płaczem.

– Popychali mnie, Simon.

– Wiem, Arthur.

4

SPAGHETTI

Arthur urodził się cztery lata przede mną, co oznacza, że zostało mu jeszcze siedemnaście, co najwyżej dwadzieścia lat. Rzadko kiedy bowiem osoby z trisomią 21 przekraczają pięćdziesiątkę, tym bardziej gdy mają problemy z sercem, tak jak Arthur. Wszystko w nim jest skomplikowane, inne. Każdy organ jego ciała jest zagrożony ze względu na genetyczną osobliwość. Raz, kiedy rodzice myśleli, że śpimy, usłyszałem, jak tata mówi, że wszystkie wady w jego organizmie były spowodowane przez Naturę, która jak najszybciej próbowała naprawić błąd Boga. Mama nie odpowiedziała, wydała jedynie – niewinny, nieznaczący – pomruk niezadowolenia.

Arthur i ja siedzieliśmy wtedy na tylnym siedzeniu w samochodzie, nie pamiętam już, skąd wracaliśmy, i chciałem krzyknąć, powiedzieć, że Arthur nie jest żadnym błędem, ale byłem tylko wystraszonym dzieciakiem, a Arthur spał, więc milczałem, zamieniłem te słowa w długie, zatrute ciernie, i pozwoliłem, by zostały w moim wnętrzu. Myślę, że to właśnie tamtego dnia zacząłem nienawidzić ojca, że wtedy zaczęło we mnie dojrzewać to, co stało się później.

– Dlaczego nie jesteś w ośrodku, Arthur? – pytam w drodze do domu.

Ośrodek Caulfield dla Osób Wymagających Szczególnych Potrzeb znajduje się zaledwie cztery przecznice stąd, właśnie dlatego mama wybrała to osiedle. Już przed moimi narodzinami nasze życie kręciło się wokół Arthura. Ja nie mogę narzekać. Biorąc pod uwagę ryzyko, jakie istniało, że i ja urodzę się z trisomią, to cud, że odważyli się mnie mieć. Cud, lekkomyślność albo skrajny egoizm. Jeszcze nie zdecydowałem.

– Dziś był kalafior.

Wykonuję przesadzony gest wymiotny, a Arthur śmieje się na całe gardło. Dołączam do niego, chociaż jestem smutny, zmartwiony, a lodówka jest pusta. Chcę mu powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego, do cholery, nie zostaje na kolacji tam, gdzie jedzenie jest zdrowe, odpowiednie i opłacone aż do końca tygodnia, zamiast przychodzić do domu, kiedy przypuszczalnie miałem być sam, żeby lizać rany i użalać się nad sobą, włączyć jakiś odcinek *Zagubionych* albo *House of Cards* i psioczyć na scenarzystów na jakimś blogu, żeby poczuć się lepsi, a później użalać się nad sobą jeszcze trochę, aż zasnę. Tymczasem on swoją obecnością wszystko psuje, bo muszę przygotować mu kolację i robić dobrą minę do złej gry, i zagrać z nim w UNO i spróbować wygrać, bo jeśli przegrywam, on się na mnie złości, a wygranie jest bardzo trudne, ponieważ on jest w tym ode mnie znacznie lepsi. W dodatku cały czas myślę o swojej wtopie na spotkaniu i o tym, jak zawiodłem Toma, i o tym, jak poprawić zmienną rozpoznawania otoczenia świetlnego Lisy w zależności od godziny, żeby nie powtórzyło się już coś takiego jak z zapalkami, i o tym, że jeśli nie zapłacę rachunku, to jutro odetną nam wodę, bo przysłali już trzecie wezwanie.

Chcę powiedzieć mu to wszystko, ale mówię tylko:

– Zrobię ci spaghetti.

Arthur znowu się śmieje.

– A ja zrobię sos pomidorowy i zetrę ser.

Obdarza mnie takim uśmiechem, że na chwilę zapominam o problemach. Jego sos pomidorowy nie ma sobie równych.

Ponieważ poziom jego niepełnosprawności intelektualnej jest relatywnie niski jak na takie schorzenie, Arthur może dowolnie wychodzić z ośrodka i do niego wracać. Chociaż powinien tam spać i jeść posiłki, dają mu dość dużą swobodę, czasami nawet mnie o tym nie uprzedzając, tak jak dziś. Nie mogę narzekać, biorąc pod uwagę cierpliwość, jaką mają do opłat, i to, jak bardzo pobyt tam jest korzystny dla mojego brata. Każdego dnia wykonuje

ćwiczenia psychomotoryczne, żeby wspomóc koordynację i równowagę mięśniową, uczy się wykonywać proste zadania i maksymalnie rozwijać swoje umiejętności. Parę lat temu nauczyli go posługiwać się wiertarką i postanowił zmienić wystrój salonu. Siedziałem wtedy w piwnicy, programując ze słuchawkami na uszach i słuchając bardzo głośnej muzyki, bo tylko w taki sposób mogę się skupić i nie myśleć o niczym innym. Kiedy się zorientowałem, co robi Arthur, na głównej ścianie umieścił już w rzędzie siedemnaście haczyków. Idealnie wypoziomowanych, w odległości dokładnie dwóch cali jeden od drugiego i półtora metra od podłogi.

– Na kurtki – powiedział z szerokim uśmiechem.

Nie mamy tylu kurtek, ale oprócz haczyków Arthura teraz w salonie nie zostało wiele więcej, o czym się przekonuję po wejściu do domu. Otwierając drzwi, odsuwam stopą kilka kopert, które wrzucono do wrzutki w drzwiach, z bijącym po oczach czerwonym napisem OSTATNIE WEZWANIE, ZAPŁAĆ TERAZ, i dokonuję inwentaryzacji:

- okropna lampa z fioletowym tulipanem, której na eBayu nikt nie chciał licytować,
- sterta gazet z lat osiemdziesiątych robi za stolik kawowy,
- trzy drewniane skrzynki, które znalazłem obok kontenera na śmieci przy Walmarcie (po jabłkach), oraz
- sporo pajęczyn.

Arthur niespecjalnie jest zaskoczony tymi pustkami. Jego pokój wciąż jest nienaruszony, a tam, gdzie w pozostałej części domu widzę puste przestrzenie, on widzi teraz nowe miejsca, w których może ustawić swój pociąg z lego. Za każdym razem, gdy jakiś mebel zamienia się na pieniądze, którymi mogę opłacić OSTATNIE WEZWANIE, on rusza na poprzednie miejsce, gdzie zostawił swój pociąg, rozmontowuje go i buduje na nowo (nie patrząc na instrukcję) w tym nowym miejscu, w którym parkiet zachował jeszcze oryginalny kolor i pachnie nieco inaczej, kurzem i nieobecnością.

Ostatnim miejscem, w którym zbudował pociąg, jest to po sofie, która zniknęła dwa tygodnie temu, więc mijamy go (ja stawiam krok nad, on obchodzi dookoła) w drodze do kuchni. Wyjmuję duży garnek, ale

zamieniam na mały, gdy się przekonuję, że z ostatniej paczki spaghetti została tylko połowa, i parskam śmiechem, gdy umieszczam garnek pod kranem i okazuje się, że odcięli nam wodę.

– Ostatni dzień jest jutro, chciwe skurwysyny! – krzyczę do szefów przedsiębiorstwa, którzy na pewno mnie słuchają.

– Powiedziałeś „skurwysyny” – zwraca mi uwagę Arthur, który trzyma już w dłoni tarkę do sera.

Przeszukuję kieszenie i szuflady w kuchni (mógłbym przysiąc, że gdzieś tu leżało parę ćwierćdolarówek) i udaje mi się zebrać ostatnie osiem dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, które wystarczą na pizzę neapolitańską z Joe’s bez dodatkowych składników, bez napiwku dla dostawcy.

– To już nie jest wieczór spaghetti, Arthur, teraz to wieczór pizzy.

– Mogę zjeść twoje brzegi?

Wkurzony dostawca, pizza w zasadzie bez smaku i film z Jamesem Bondem (to ulubiona seria Arthura). Po tym wszystkim wysyłam brata do łóżka. Po chwili słyszę jego głos, woła mnie, żebym przyszedł i powiedział mu „dobranoc”.

– Wstrząśnięty, nie zmieszany!

Przytulam go, opowiadam sprośny żart, skręca się ze śmiechu, znowu go przytulam. Nagle łapie mnie za nadgarstek i pyta:

– Simon kocha Arthura?

Myślę o wielkiej porażce, jaką jest moje życie, o odpowiedzialności, jaką oznacza w nim Arthur, o tym, jaki jestem samotny. Myślę o tym, że żebym mógł być blisko Arthura, Tom i ja nie przeprowadziliśmy się do Doliny Krzemowej, rzut beretem od inwestorów i miejsc, gdzie rzeczy po prostu się dzieją dla ludzi takich jak ja.

– Tak, Arthur. Simon kocha Arthura. Bardzo mocno.

Uśmiecha się, zamyka powieki, jego oddech staje się coraz wolniejszy. Całuję go w czoło i gaszę lampkę na stoliku nocnym. Jestem już prawie przy drzwiach, kiedy woła mnie ponownie.

– Simon?

– Słucham, Arthur.

– Podobała mi się ta koszulka z czaszką.

– Śpij już, Arthur.

Schodzę po schodach, kiedy dzwoni telefon.

To Tom.

Wątpię, żeby dzwonił z przeprosinami. Tom nigdy się nie usprawiedliwia, tylko żartuje i zachowuje pozory normalności, a dzięki temu wcale nie poczuję się znacznie lepiej. Dochodzi północ, a ja jestem wyczerpany, więc odrzucam połączenie. Kilka sekund później dzwoni ponownie.

– O co chodzi?

– Jesteś pieprzonym geniuszem, o to chodzi.

Jego głos ma jakieś dziwne metaliczne echo, którego nigdy wcześniej nie słyszałem.

– Tom, jest późno...

– Simon, zadzwonił do mnie Myers. Powiedział, że jest pod wrażeniem twojego podejścia i twojej wiary w siebie, i że lepiej to sobie przemyślał.

W tym momencie Tom równie dobrze mógłby mówić do mnie po mandaryńsku albo klingońsku, bo nie rozumiem absolutnie niczego. Nagle mojemu mózgowi udaje się połączyć słowa ze znaczeniem.

– Chcesz powiedzieć...?

– Chcę powiedzieć, że wchodzi do pierwszej tury, Simon. Chcę powiedzieć, że jesteśmy bogaci.

Rozglądam się dookoła, patrzę na pusty salon, laptop, na którym oglądaliśmy film, puste i zatłuszczone pudełko po najgorszej pizzy w mieście.

Po raz drugi tego wieczoru parskam śmiechem.

5

KRUCZEK PRAWNY

W życiu często bywa tak, że kiedy myślisz, że wszystko jest na najlepszej drodze, wtedy masz największe szanse na to, by wszystko schrzanić. Epicka, okropna wtopa, która – zanim ją popełnisz – będzie ci się wydawać wspaniałym pomysłem. Tak dobrym, że będziesz dążył do jego realizacji, śpiewając i tańcząc, niczym karaluch, który nurkuje do wiadra ze środkiem owadobójczym, wykonując podwójny korkociąg.

Kolejne dni przypominają szaleństwo.

Następnego dnia po spotkaniu z Myersem wzywamy do siedziby głównej Jumping Crab (tak nazywamy zaplecze kwaciarni rodziców Toma, jedyne miejsce, na którego wynajem mogliśmy sobie pozwolić) Marcie, Janet i Lucasa, czyli naszych pracowników. To najlepsi eksperci od zdjęciowych baz danych, jakich udało nam się zatrudnić za osiem dolarów na godzinę. Tom zbiera ich w sali konferencyjnej, czyli przy stole z Ikei stojącym między sześcioma workami z nawozem a rolką bibuły, i dziękuje im za

czas, jaki z nami spędzili, oraz za ogromny wysiłek, jaki włożyli w ten projekt.

– Wiemy, że dawaliście z siebie wszystko, choć wiedzieliście, że najprawdopodobniej poniesiemy klęskę.

– Zamierzasz nas zwolnić, prawda? – pyta Janet, nerwowo bawiąc się swoimi dreadami.

Pozostali milczą, ponieważ zważywszy na ton przemowy Toma i jego okropnie poważną minę (jestem pewien, że przez całą noc ćwiczył ją przed lustrem), to oczywiste, że nadchodzą złe wieści.

Kiedy wreszcie Tom rzuca nowinę, Janet siedzi z rozdziawionymi ustami, Lucas przewraca się na worki z nawozem, łapiąc się za głowę, a Marcia obejmuje najpierw Toma, a później mnie, Janet i w końcu wybiega z kwiaciarni. Wraca po niespełna trzydziestu sekundach z butelką szampana, którą ukradła w sklepie obok, co sprawia, że pan Wang, właściciel, wpada do nas z furją, domagając się szesnastu dolarów. Marcia wkłada mu do ręki papierowy kubek, napełnia go po brzegi szampanem, ochlapuje mu koszulę i w jakiś sposób udaje się doprowadzić do tego, że wszyscy wznosimy toast, łącznie z osłupiałym panem Wangiem, który nie zna zbyt dobrze angielskiego, ale cieszy się wraz ze swoimi szalonymi sąsiadami.

Każde z nich ma w firmie jednoprocentowy udział, co oznacza, że przy obecnej wartości Jumping Crab (sto milionów dolarów) są milionerami. Przynajmniej na papierze.

Martwi mnie właśnie to „przynajmniej”. Tom wynegocjował z doradcami prawnymi Infinity początkowy zastrzyk finansowy w wysokości pół miliona dolarów, żeby ruszyć z projektem, na poczet zakupu akcji.

– Jak to na poczet? Dlaczego nie kupią akcji od razu? – pytam Toma, który nie przestaje wykonywać telefonu za telefonem. Ma na linii kilku agentów nieruchomości i dyrektora swojego banku, jednocześnie nie przestaje rozmawiać z ludźmi z Infinity.

– Najpierw chcą się upewnić.

Wyczuwam tu jakiś haczyk i tak też mówię Tomowi.

– Wyczuwam tu jakiś haczyk, Tom. Dadzą nam tyle kasy tak po prostu? Bezzwrotnie?

– No, właściwie nie bezzwrotnie.

– To właściwie jak, Tom?

– Za trzy miesiące chcą testu polowego.

– Jakiego testu polowego?

– Nic, z czym byś sobie nie poradził. Słuchaj, chciałem pogadać z...

Wstaję i odrywam mu telefon od ucha.

– Jakiego testu polowego, Tom?

Oddycha głęboko, odchrząkuje i odpowiada:

– Niezawodność siedemdziesiąt cztery procent.

– Na jakiej próbie?

– Tysiąca przedmiotów.

– Oszalałeś?

– Słuchaj, możesz to zrobić. Możemy to zrobić. Otworzą dla nas swój bank zdjęć i będziemy mogli liczyć na pomoc ich ludzi.

– A jeśli nie zdążymy? Będą konsekwencje?

– Jest tam jakiś kruczek prawny.

– Zdefiniuj „kruczek”, Tom.

Jego odpowiedź jest szeptem ukrytym za uśmiechem od ucha do ucha, autentycznym jak drewniany iPhone.

– Tom, powiedz, że właśnie nie wyszeptales „zwrócić pół miliona dolarów”.

– Dobra, nie mówię. Oddasz mi telefon? – pyta.

Próbuje go odzyskać. Ja podnoszę rękę, tak że nie może go dosięgnąć.

– Tom, nie możemy zwrócić pół miliona dolarów. Nie moglibyśmy zwrócić nawet ceny połowy donuta, i sam dobrze o tym wiesz. O czym mi nie mówisz?

Poluznia sobie krawat, a to zły znak. Tom nigdy nie wykonuje tego gestu. Niektórzy brytyjscy ambasadorowie mają gorzej zawiązane krawaty niż Tom.

– Jeśli nie zdołamy przejść próby polowej ani nie będziemy mogli zwrócić pieniędzy, Myers weźmie sobie Lisę, a my nie dostaniemy niczego. Ani udziałów w firmie, ani umowy z Infinity. Nie będzie nas.

A więc o to chodzi. Myers wystawia nas na próbę, wszystko albo nic. Jeśli zawiedziemy, to największy postęp w inżynierii informatycznej w obecnym stuleciu będzie miał praktycznie za darmo. A bardzo wątpię, żeby grał czysto.

– Tom...

Przez długą minutę patrzy na mnie w milczeniu. Słowa są zbędne, tym bardziej po naszej rozmowie wczorajszej nocy. Świetnie wiem, że nie dostaniemy lepszej szansy niż ta.

- W porządku.
- Zuch chłopak – mówi, zabierając mi telefon i znowu wciskając przycisk połączenia. – Spraw, żeby ten krab skakał.

Kiedy postanowiliśmy połączyć siły i stworzyć firmę, wybraliśmy nazwę Jumping Crab (skaczący krab), bo nie przyszło nam do głowy nic lepszego. Apple, Google i Facebook były już zajęte, pora była późna, byliśmy pijani, a następnego dnia należało pójść do rejestru przedsiębiorstw. W telewizji w barze, gdzie próbowaliśmy wymyślić nazwę, pojawiła się reklama, w której podskakiwał kreskówkowy krab, Tom powiedział, że to niemożliwe, bo nogi skorupiaków tak nie funkcjonują, i to wszystko.

To, na co się porwaliśmy, od początku było nie do zrobienia, teraz jedynie dorzucaliśmy kolejne poziomy niemożliwości.

Tom dokonuje rzeczy niewiarygodnej: jeszcze przed porą lunchu udaje mu się wynająć funkcjonalne biuro w Loop (dzielnicy finansowej Chicago) za kwotę, która nie jest rozbojem w biały dzień. Robię mu listę wyposażenia, jakiego potrzebujemy, i po trzech dniach od podpisania umowy mamy już zbudowane sieci, zainstalowane serwery, by zarządzać bezpośrednią komunikacją Lisy z bazami danych Infinity, i zatrudnionych jedenastu nowych pracowników. Marcia przynosi nawet worki z nawozem z kwaciarni i układa je w recepcji naszego nowego biura w sposób, która ona nazywa „artystycznym”, jako przypomnienie, że wygrzebaliśmy się z gówna i że bez ciężkiej pracy nietrudno będzie do niego wrócić.

Jeszcze tego samego wieczoru Tom zarządza, że my, wspólnicy, musimy wybrać się na kolację, żeby to uczcić. Żadnej tłustej pizzy, tylko elegancki lokal, taki jak Cindy's na trzynastym piętrze jednego z hoteli, na szczycie świata. Tom przychodzi z farmaceutką, która jednak istnieje naprawdę i okazuje się pierwszą dziewczyną mojego przyjaciela, której nie mam ochoty udusić po piętnastu sekundach od chwili, gdy się odezwie. Marcia przyprowadza swoją dziewczynę, Janet swojego męża, a Lucas swoją żonę.

Przy stole siedzi nas dziewięcioro. Zgadnijcie, kto jest liczbą nieparzystą.

Między drugim toastem a deserem odchodzę od stołu i wychodzę na taras widokowy restauracji, skąd rozpościera się spektakularny widok na jezioro

Michigan i Millennium Park. Omijam faceta, który przykleka z błękitnym pudełeczkiem od Tiffany'ego w dłoni, żeby oświadczyć się Tlenionej Blondynce, która zgadza się, zgadza się, no jasne, że się zgadza, i ruszam na koniec tarasu. Obserwuję nieskończoną liczbę oświetlonych okien i myślę o życiach, które kryją się za tymi miriadami świateł. Tylne lampy samochodów, które gubią się na alei Michigan w kierunku południowym, w stronę ciepłych domów, gdzie czekają bliscy, zostawiają niezwykle delikatną smugę na grubym szkle. Efemeryczną, prawie niezauważalną, do tego wręcz stopnia, że trzeba się bardzo wysilić, by ją dostrzec.

Zastanawiam się, ilu z tych kierowców zostawi na świecie prawdziwy ślad, ilu z nich odniosło sukces, ilu zostało najlepszymi w tym, co robią. Ilu ograniczyło się do bycia częścią ustalonego porządku, bez większych ambicji niż piwo na koniec dnia, sobotni seks, nowy samochód co trzy lata. Normalne życie, rutynowe życie, zwyczajne życie. Bez wyróżniania się, bez innowacji, bez żadnych zmian.

Mnie natomiast trzy miesiące dzieli od spełnienia amerykańskiego snu. Osiągnięcia totalnego sukcesu, pełnego pakietu ze wszystkimi dodatkami. Willa na przedmieściach, szofer, asystent, helikopter, prywatny samolot, czarna karta kredytowa.

Chyba nigdy wcześniej nie byłem tak nieszczęśliwy.

Tom też wychodzi i staje obok mnie, opierając się o duże okno. W dłoni trzyma kieliszek bordeaux (trzeci), oczy mu błyszczą.

– Dobrze się czujesz, Simon? Znowu miałeś mdłości?

Kręcę głową ze wzrokiem i myślami zagubionymi w pustce pod nami. Kątem oka zerkam na parę, która zastąpiła tamtą pierwszą po drugiej stronie tarasu. Tleniona Blondynka Numer Dwa krzyczy tak, tak, milion razy tak, oczywiście, że chce za niego wyjść.

– Byłeś bardzo milczący podczas kolacji – mówi Tom. Język ma nieco ciastowaty od wina.

– Po prostu jestem zmęczony.

– Czujesz się trochę samotny, co, drażalu?

Na taras wychodzi kolejna para. Zastanawiam się, czy stoją tam w kolejce, czy może *maitre* wydaje im numerki. Następne kolano na ziemi, następny kawałek sprasowanego węgla. Tleniona Blondynka Numer Trzy klaszcze w dłonie uradowana. Zastanawiam się, o co tyle krzyku, koniec końców diament to tylko przezroczysty kamień.

Tom nie odpuszcza.

– Jak myślisz, jak długo potrwa twoja samotność od chwili, gdy zaczniesz się pojawiać na okładce „Wired” i na liście Fortune 500?

– Wtedy to nie będzie prawdziwe uczucie.

Tom może sprawiać wrażenie powierzchownego, impulsywnego i egocentrycznego dupka, zdaniem jedenastu z szesnastu dziewczyn, które widziałem, jak wysiadały z jego forda fiesty po zerwaniu z nim, trzaskając drzwiami, pokazując mu środkowy palec i kopiąc tylne koło. Ale nie jest idiotą.

– No tak. Nagle cię przypiliło. Chcesz kogoś poznać, dopóki jesteś Simonem Saxem, a nie rachunkiem bankowym czy czymś takim.

– Właśnie.

– No to musisz częściej wychodzić. Otworzyć się trochę, poznać nowych ludzi. Nigdy nie dajesz sobie szansy.

– Dzięki, Oprah.

– Mówię serio.

– Nie mam czasu na wychodzenie, Tom. Muszę ulepszyć Lisę, muszę opiekować się Arthurem...

Robię pauzę. Tom milczy i czeka, tak jak milczał i czekał setki razy wcześniej, kiedy zasłaniałem się równie marnymi wymówkami, byle tylko nie stawiać czoła żalosnej rzeczywistości.

– Boję się poznawać ludzi. Boję się randek i tego wszystkiego.

Mój najlepszy przyjaciel patrzy na mnie w bardzo dziwny sposób. Nie żebym ujawnił jakąś wielką rewelację, która go zaskoczyła, ale chyba po raz pierwszy, odkąd się znamy, mówię otwarcie o swoich lękach, a on nie wie, jak ma to potraktować.

– Obawiam się, dragalu, że w tej sprawie nie da się nic zrobić. Jeśli nie chcesz być sam, musisz kogoś poznać. Może popytam wśród moich koleżanek, a nuż znają jakąś komiksową i komputerową maniaczkę, która by do ciebie pasowała.

– Pomyślę o tym.

Kłamię i obaj o tym wiemy.

– Szkoda, że LISA nie może rozwiązać twojego problemu, prawda, dragalu?

I w ten sposób karaluch zaczyna wskakiwać do wiadra ze środkiem owadobójczym.

6

BYK

Słowa Toma krążą mi po głowie, kiedy wracam taksówką do domu. Nie mogę się doczekać, aż usiądę przed klawiaturą. Płacę kierowcy, nie domagając się reszty (dziś jest dzień pierwszych razów – to jasne), sześcioma krokami pokonuję salon i korytarz, dwoma żwawymi susami schodzę do piwnicy, gdzie potykam się o róg pralki.

Laptop się uruchamia, a ja pocieram łydkę, by złagodzić ból, i włączam monitory. Wciśnięty między zepsutą suszarkę do prania a bojler, który działa tylko w dni parzyste, znajduje się mój stół do pracy. W poprzednim życiu był to stół do ping-ponga, który ktoś porzucił niedaleko parku i który do dziś na jednym rogu trochę cuchnie moczem. Porozkładałem na nim mnóstwo rzeczy, których potrzebuję do pracy: aparaty fotograficzne, kilkanaście twardych dysków, setki papierów, karteczek samoprzylepnych i notesy, w których tworzyłem algorytm, dzięki któremu LISA funkcjonuje. Ostatnia wersja zajmuje niemal całą kartkę ciasnym pismem, pokrytą plamami rozlanego napoju i czegoś, co – jestem niemal pewien – jest ketchupem. Biorąc pod uwagę, że znam go na pamięć i że ten długi ciąg operacji matematycznych jest wart wiele milionów dolarów, powinienem

go zniszczyć, a nie zostawiać luzem na stole, chociaż nie wyobrażam sobie multimilionera Zachary'ego Myersa, który zakrada się do mojego domu, żeby ukraść moje sekrety.

Porównywanie tych rzeczy ze sprzętem, jaki mam w nowym biurze, to tak, jakby porównywać procę z karabinem maszynowym, ale to, co zamierzam zrobić, zostawiłoby ślad na nowo podłączonych serwerach Infinity. A w tej chwili bardziej cenię sobie prywatność niż szybkość.

Otwieram folder, w którym trzymam prototypy Lisy, wybieram ostatni i wykonuję kopię. Zaczynam ją pospiesznie edytować, z umysłem przytępionym winem i trzewiami płonącymi od czterech energetyków, które wypilem na rozbudzenie. Ale mimo że jestem podпиты i mam palce wielkości kielbasek, potrafię stukać w klawiaturę trzysta razy na minutę bez ani jednej pomyłki. Nic dziwnego, że dziewczyny się biją, żeby mnie poznać.

Pół godziny i kolejne dwa energetyki później mam alternatywną wersję Lisy ze zmodyfikowanym kodem źródłowym do użytku osobistego. W tej wersji nie będzie szukać wśród artykułów dostępnych w stu pięćdziesięciu najważniejszych sklepach internetowych, tylko na zupełnie innej stronie. Która, gdy się dobrze zastanowić, też jest sklepem. Podczas surfowania po sieci z milion razy widziałem ich reklamy, głównie na forach dla samotnych świrów, takich jak ja. Zmieniają się w zależności od pory roku, ale najczęściej powtarza się taka z atrakcyjną Słowianką o niesamowitych biodrach w obcisłej czerwonej sukience, która patrzy prosto na mnie i wyznaje, że pragnie znaleźć męża w moim kraju, z mnóstwem wykrzykników i żalostną gramatyką. Nazywa się *russianWives.com* i jest to najbardziej ekskluzywna strona dla dyskretnych amerykańskich dżentelmenów, którzy szukają szczerzej i pracowitej żony w krajach ze Wschodu, jak głosi jej własna definicja. Rynek ciał dla szaleńców, którzy są gotowi dać się naciągnąć, zrujnować czy oszukać, w zamian za pozwolenie na pobyt w Stanach Zjednoczonych, według Fox News.

Trzeba być naprawdę zdesperowanym, żeby usiąść, surfować po sieci, oglądać jedno po drugim zdjęcia kobiet, niekiedy w sugestywnych pozach, szukając tej jedynej, która odpowiada twoim życzeniom. Coś takiego musi sprawiać, że człowiek czuje się strasznie brudny, i ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

W tym celu zaprogramowałem Lisę.

Kończąc kompilowanie wykonywalnej wersji kodu źródłowego, gratuluję sobie błyskotliwości i konsekwencji. Ponieważ boję się, że będą mnie kochać ze względu na pieniądze, poszukam sobie kogoś, kto pokocha mnie ze względu na moją narodowość. Wiem, wiem, jak na iloraz inteligencji 162 zachowuję się jak jakiś popieprzony geniusz.

Tryumfalnym piknięciem kompilator obwieszcza, że plik wykonywalny LISA2 jest gotowy. Otwieram go i interfejs prosi mnie o zdjęcie referencyjne, żeby zacząć szukać kobiety moich marzeń.

Ktoś inny na moim miejscu wybrałby jakąś supermodelkę, sławną aktorkę albo prezenterkę telewizyjną, ale ja doskonale wiem, kto jest prototypem kobiety idealnej.

Elizabeth Krapowski, dyrektorka zarządzająca w firmie produkującej wyroby mięsne.

Kiedy ją poznałem, miałem piętnaście lat i dwa dni. Pamiętam, bo urodziny mam szóstego września, a ona dołączyła właśnie do naszej szkoły, w tamtym roku była jedyną nową uczennicą. Przywitała się z nami, stojąc przy tablicy, zgodnie z tradycją, powiedziała, skąd pochodzi, zgodnie z tradycją, i gdy tylko nauczycielka się odwróciła, ze stoickim spokojem zniosła kilka papierowych kulek, zgodnie z tradycją rzuconych jej w twarz.

Elizabeth co do joty przestrzegała zasad ustalonych dla uczennic w Amundsen High School i przez cały rok nie zwracała na mnie uwagi. Ona też nie miała przyjaciół, była samotniczką, która dostawała dobre oceny i robiła wszystko, by w stołówce nie rzucać się w oczy. Przypuszczam, że od razu wiedziała, że rozmawiając ze mną, nie poprawi zbyt wiele swojej pozycji społecznej, a ja nie zrobiłem nic, żeby wyprowadzić ją z błędu.

Z jakiegoś nieznanego powodu po feriach wiosennych Elizabeth przeszła dużą przemianę. Zaprzyjaźniła się z buntowniczkami z ostatnich ławek, przestała się ubierać jak pastuszka, zaczęła się umawiać ze wszystkimi chłopakami, jacy tylko się nawinęli, i była *cool*. Jak wiele dziewczyn, które od zawsze były uosobieniem cnót wszelakich, Elizabeth Krapowski przeszła na przeciwną stronę i, w powszechnej opinii, została zdzirą.

Starłem się nie ślinić za każdym razem, gdy wchodziła do klasy ze swoimi ognistymi czerwonymi włosami, porcelanową cerą i w dzinsowej

kurtce, która teraz wybrzuszała się w odpowiednich miejscach. Sądziłem, że jestem potajemnie zakochany w Elizabeth, ale może wcale nie była to taka tajemnica w obliczu katastrofy, która nadeszła.

Nie wiem, czy to było coś w rodzaju rytuału przejścia, zemsty czy tylko żartu, który wymknął im się spod kontroli, ale na fizyce Elizabeth podała mi karteczkę z informacją, byśmy po lekcjach spotkali się pod trybuną boiska do baseballu. Boisko do baseballu, w połowie drogi między szkołą a moim domem, to miejsce, gdzie idą pary, żeby się obściskować, kiedy nie mają jeszcze samochodu, a chcą mieć trochę intymności.

Absolutnie nie rozumiałem, dlaczego Elizabeth przekazała mi tę karteczkę akurat tego dnia, ale i się nad tym zbyt nie zastanawiałem, bo przez kolejnych pięć godzin mój mózg nie pracował normalnie. Pamiętam tylko, że serce waliło mi jak młot, że bez przerwy zerkałem na zegarek i że kupiłem sześć opakowań ekstramocnych miętowych gum do żucia.

Kiedy Elizabeth zjawiła się pod trybuną, półtorej godziny później, niż było ustalone, już prawie zapadł wieczór, a ja pochłoniąłem pięć i pół opakowania gum.

– Cześć, Simon – powiedziała, pojawiwszy się między stalowymi belkami, które podtrzymywały trybunę. Wyjęła z kurtki paczkę papierosów i zaproponowała mi jednego. – Chcesz szluga?

Wziąłem, żeby nie wyjść na niemotę, ale tylko jeszcze bardziej na takiego wyglądałem, gdy zaciągnąłem się pierwszy (i ostatni) raz w swoim życiu i zacząłem kasłać jak szalony.

Elizabeth się roześmiała i zabrała mi papierosa z ręki.

– Tak czy inaczej, nie do twarzy ci ze szlugiem. Masz dziewczynę? Taki duży i silny chłopak nie może się pewnie opędzić od lasek.

– Nie mam – zdołałem powiedzieć to, o czym ona doskonale wiedziała. Nie do końca wierzyłem w to wszystko, co się dzieje.

Położyła rękę na mojej klatce piersiowej i przycisnęła.

– Masz duże mięśnie. Jesteś trochę gruby, ale wyglądasz jak byk. To mnie podnieca.

Dotknęła mojej szyi, ramienia i rąk. Przysunęła twarz do mojej twarzy i wysunęła usta pomalowane na ciemnoczerwono.

– Napnij bicepsy – nakazała nagle łamiącym się głosem.

Posłuchałem, a ona wydała z siebie ciche chrapnięcie.

– O rany, są twarde jak piłka do futbolu. Poobściskujmy się.

Stanała na palcach, żeby mnie pocałować. Śmiertelnie przerażony rozchyliłem usta i poczułem w ustach jej język, który poruszał się niecierpliwie. Smakował tytoniem i lukrecją, a ja nigdy w życiu nie próbowałem nic lepszego.

– Ktoś ci związał łapy czy co? – powiedziała, podnosząc moje ręce, które zwisały martwo po bokach. Nie miałem zielonego pojęcia, co powinienem zrobić. – Złap mnie za tyłek, Simon.

Posłuchałem gorliwie, grzebiąc pod miniówką i opuszkami palców bawiąc się gumką jej majtek. Pociągnąłem za mocno i puściłem, smagając ją niechcący. Ona znieruchomiała z zamkniętymi oczami i przez moment sądziłem, że zacznie na mnie wrzeszczeć.

– Proszę, proszę, taki milczący chłopiec. Wszystko masz tak samo wielkie?

Lewą rękę zsunęła z mojej klatki piersiowej na brzuch, włożyła ją pod koszulkę, przez chwilę bawiła się pępkiem, a potem skierowała ją, z palcami mocno przyciśniętymi do skóry, pod spodnie.

– Rany – powiedziała Elizabeth, otwierając szeroko oczy, gdy jej palce zacisnęły się wokół tego, czego szukała. – Wygląda na to, że byk pasuje do ciebie idealnie, mistrzu.

Znowu mocno mnie pocałowała, trzymając za szyję prawą ręką, podczas gdy tą drugą rozpięła mi spodnie i opuściła je na dół. Miałem na sobie bokserki z guzikami, z tych, co trzeba patrzeć, żeby móc je zdjąć, ale ona radziła sobie bardzo dobrze bez patrzenia i zdołała opuścić je do połowy ud.

– Ktoś ci już kiedyś obciągał, Simon? – wyszeptała mi do ucha.

W tym momencie miałem tak przyspieszony oddech i tak wysokie tętno, że sądziłem, że to, co usłyszałem, to jakieś urojenie albo że za chwilę się obudzę.

I wtedy ze snu wyrwał mnie charakterystyczny głos.

– Simon? Simon, gdzie jesteś?

Pośród cieni wyłonił się Arthur, oświetlając miejsce latarką do czytania, której używał zawsze, gdy wracał do domu. Żarówka świeciła bardzo jasno, bo tego poranka sam wymieniłem dziewięciowoltową baterię.

Nad naszymi głowami rozległy się przenikliwe śmiechy, okrutne, nieprzyjemne wybuchy śmiechu.

– Jakież dziewczyny powiedziały mi, żebym przyszedł, że tu na mnie czekasz, Simon – powiedział Arthur, nie przestając na mnie świecić.

Stałem tam, umierając ze wstydu i upokorzenia, ze spodniami opuszczonymi do kostek i ze sztywnym masztem na widoku, próbując zrozumieć, co tu się, do cholery, dzieje, kiedy nagle śmiech Elizabeth dołączył do rechotu na górze.

– Niedorozwój? – zapytała, nie przestając się śmiać. W świetle latarki Arthura jej twarz nie wyglądała już tak anielsko. – Ale z was pindy. Zapłacicie mi za to, przysięgam.

– Może jemu też zechcesz obciągnąć, Liz! – zawołała jedna z tych harpii na trybunie.

Streszczając: zabrałem Arthura do domu, ostrzegłem go, żeby nie słuchał nieznajomych spotkanych na ulicy, i przez kilka dni nie chodziłem do szkoły, mówiąc mamie, że mam gripę, co pozwoliło mi spędzić cały ten czas na lizaniu ran w moim pokoju.

Wieść o zdarzeniu musiała się szybko roznieść, bo po moim powrocie zaczęli mnie nazywać Byk Niedorozwój i aż do ukończenia szkoły zostawiali przed moją szafką puszkę po red bullu.

To moja historia pierwszego pocałunku sprzed siedemnastu lat. Zanim zrobiłem to z Liz, byłem tylko chronicznie nieśmiałym chłopakiem. Kilka miesięcy później zdarzył się Wypadek i nikt ze szkoły nie chciał się ze mną spotykać po tym, co się stało. Potem zaczęły się mdłości i napady lęku, i chociaż zdarzały się jakieś krótkie, niefortunne i żalosne flirty (któraś z dziewczyn Toma miała brzydkie przyjaciółki, które nie chciały wcześniej wracać do domu), moje życie uczuciowe tak wygląda do dziś.

Jakikolwiek inny facet na moim miejscu znienawidziłby Elizabeth Krapowski. Na początku faktycznie jej nienawidziłem, ale szybko jej przebaczyłem, bo nie sędzę, żeby miała złe intencje. Jeszcze długo byłem w niej zakochany, choć stopniowo o niej zapomniałem. Później pojawił się Facebook i teraz mam ten przywilej, że jestem jednym z tysiąca stu czterdziestu trzech wybrańców, których obdarzyła swoją wirtualną przyjaźnią. To sprawia, że czuję się naprawdę wyjątkowo.

Nie mam obsesji na punkcie mojej dawnej szkolnej dręczycielki. Możliwe, że codziennie zaglądam na jej stronę (nigdy nie zostawiam komentarzy, mam jeszcze godność) i rzucam okiem na aktualizacje, tylko po to, żeby być na bieżąco. Może od czasu do czasu sprawdzam jej status,

mając nadzieję, że zmieni go z „W związku” na „To skomplikowane”, ale nie jest też tak, że życzę jej źle czy coś takiego. Ma dwoje dzieci, jest żoną dekoratora wnętrz z San Francisco, a ja bardzo się cieszę szczęściem ich obojga.

Nigdy przedtem jednak nie zachowywałem zdjęć Elizabeth na twardym dysku (oprócz kilku z jej wyjazdu z przyjaciółkami na Bahamy, ale to bez znaczenia). Potrzebuję takiego, na którym jest na pierwszym planie, uśmiechnięta, z dobrze widocznymi rysami, żebym mógł przekazać je Lisie jako punkt odniesienia, by znalazła kobietę moich marzeń.

Żałosne? Na pewno.

Desperackie? Bez wątpienia.

Chore? Może.

Skuteczne? Zobaczymy.

Znalezienie pośród setek zdjęć opisanych jako Elizabeth Krapowski takiego, na którym patrzy prosto w aparat, nie robiąc kaczego dzioba, zajmuje mi więcej czasu niż zaprogramowanie alternatywnej wersji LISY. Chcę się już poddać i zostawić to na jutro, kiedy znajduję takie z książki pamiętkowej z ostatniego roku szkoły. Ktoś je zeskanował i oznaczył jej nazwiskiem.

Jest już grubo po północy, przeszła mi już euforia wywołana winem, w piwnicy jest strasznie zimno i jestem już tym zmęczony, ale chcę wiedzieć, czy nowe zmienne, które wprowadziłem w algorytmie, naprawdę działają. Nie wiedząc, ile bólu, krwi i cierpienia przyniesie mi moja ciekawość, przenoszę zdjęcie Elizabeth na interfejs i wciskam przycisk.

7

LEKCJA

Podczas gdy LISA wyszukuje, ja rozglądam się dookoła, spodziewając się, że rozpęta się burza z piorunami i błyskawicami, że pojawi się zezowaty garbus imieniem Igor powłóczący nogami albo że ktoś wypowie jedno z tych słynnych zdań, jakie się mówi, kiedy człowiek wykorzystuje naukę do złych celów. Ale nie licząc wilgoci na ścianach, bulgotania bojlera i rozdartego plakatu Bruce'a Springsteena, jestem kompletnie sam.

I właśnie dlatego robię to, co robię.

– Wyszukiwanie. Zakończone. Simon. Znaleziono. Pięć. Wyników – powiadamia mnie LISA.

– To żyje! To żyje! – krzyczę tylko po to, by kontynuować tradycję szalonych geniuszy.

Rezultat jest dość rozczarowujący. Trzy wyniki znalezione przez Lisę mają identyczne zdjęcie profilowe i nie są prawdziwe, chyba że Scarlett Johansson rozpaczliwie poszukuje męża. Ostatecznie po to są tego typu strony. Tylko niewielka część rejestrujących się osób to kobiety (mimo że one mogą założyć konto bezpłatnie), więc administratorzy muszą stworzyć

tysiące fałszywych profili jako przynętę, żeby mało rozgarnięci samotnicy wyskoczyli z kasy.

Czwarty wynik to atrakcyjna kobieta, która pozuje w bikini i przygryza kciuk. Patrząc na nią, mam bardzo złe przeczucia, więc odrzucam ją od razu.

Piąty jednak...

– Widziałeś, Bruce? – zwracam się do plakatu na ścianie. – Co byś powiedział o tej dziewczynie?

Boss nie zwykł odpowiadać, zawsze jest zajęty swoją gitarą i zapowiadaniem koncertu w United Center, 25 września 2002 roku. Fantastyczny, najlepszy koncert w ramach trasy The Rising. Tak mówią. Nie byłem na nim, plakat ukradłem z uniwersyteckiej tablicy ogłoszeń, żeby udawać, że mam jakieś życie.

Kobieta z ostatniego wyniku absolutnie w niczym nie przypomina Elizabeth Krapowski oprócz tego, że ma rude włosy i bardzo jasną skórę, niemal tak białą jak ściana, o którą się opiera. Rysy, nieco asymetryczne, są ostre, ma wysokie kości policzkowe i mięsiste usta. Wszędzie mogłaby uchodzić za ładną, choć nie zjawiskową, gdyby nie jej oczy.

Oczy są jakby z innego wymiaru.

Gdybym miał przypisać im jakiś kolor, powiedziałbym, że są zielone. Gdybym miał przypisać im jakąś cechę, powiedziałbym, że są intensywne. Nie ma jednak sposobu na opisanie siły tego spojrzenia, spokojnego smutku, jaki wyrażają.

Pod lewym okiem ma cienką linię, która sięga aż do połowy policzka. Blizna jest długa i stara, ale nie szpecąca. Wręcz przeciwnie, dodaje dziewczynie specyficznej, niemal niepokojącej energii.

Czuję, że coś zaczyna mi skakać na przeponie – niczym smerf na trampolinie. Odchylam się na oparcie krzesła, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęcia, i staram się oddychać spokojnie.

Nie mam pojęcia, czy jestem zakochany, ponieważ nie czułem tego nigdy wcześniej. Wiem natomiast, że już po mnie.

Podchodzę do starej betonowej umywalki, która znajduje się obok bojlera, oplukuję twarz zimną wodą, nie zważając, że ochlapuję sobie buty, wracam do komputera i klikam w link do profilu dziewczyny o smutnych oczach. Otwiera się strona i zaczynam czytać. Nazywa się Irina E. Ma dwadzieścia cztery lata i dyplom z zarządzania. Mieszka w Kijowie, lubi tańczyć, słuchać muzyki i oglądać stare filmy. Ma metr siedemdziesiąt trzy

centymetry wzrostu, nie pali, nie pije. W rubryce „Czy chcesz mieć dzieci” zaznaczyła „Powie ci później”.

To wszystko.

Jeśli chcę dowiedzieć się o Irinie E. czegoś więcej, zobaczyć więcej zdjęć Iriny E. albo skontaktować się z Iriną E., muszę zarejestrować się na stronie, wprowadzić dane mojej karty kredytowej i podpisać krwią w wykropkowanym miejscu – informuje mnie uprzejmie wyskakujące okienko.

– Trzeba było mówić wcześniej – kwituję. Zamykam wyszukiwarkę, opuszczam klapę laptopa i wstaję oburzony.

Po sześciu sekundach siadam z powrotem, podnoszę klapę laptopa, znowu otwieram wyszukiwarkę, wracam do ostatniej przeglądanej strony, klikam w „Zarejestruj się” i wklepuję wszystkie swoje dane, wprowadzam numer karty kredytowej (na szczęście mam jakieś saldo po finansowym zastrzyku od Infinity) i tak, oczywiście, że chcę się zarejestrować za jedyne dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Gdy tylko wciskam przycisk wyślij, ogarnia mnie dziwne uczucie pustki, jakiejś nieokreśloności. Jeśli nigdy tego nie czuleś, nie możesz zrozumieć, co się ze mną dzieje, ale jeśli to czuleś, to będziesz wiedział, jak okropne okazuje się odkrycie, że nie masz pełnej kontroli nad swoimi działaniami, jakbyś był własną marionetką. Rozum wciąż wysyła sygnały ostrzegawcze z mocą syreny łodzi podwodnej, ale twoje ręce należą do całkiem odłączonego i autonomicznego systemu z własną mapą drogową, akurat w jednym z tych momentów w życiu, które wyznaczają przed i po.

Nigdy nie grałem w pokera, lecz teraz wyobrażam sobie, co czuje nałogowy hazardzista, który zastawia dom, samochód i fundusz na studia dla dzieci, trzymając w ręce parę trójek.

Co ja, do diabła, robię?

I dlaczego nie mogę przestać tego robić?

Przychodzący mail potwierdza mi, że płatność została zaakceptowana i że jestem już zarejestrowany. Wracam na stronę Iriny i loguję się za pomocą nazwy użytkownika i hasła. Chcę dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Nie ma więcej zdjęć ani więcej informacji. Tylko to, co widziałem wcześniej.

Zaczynam się obawiać, że profil Iriny to fejk, że nigdy się nie dowiem, jaka historia kryje się za tymi smutnymi zielonymi oczami, i doświadczam

mieszanki ulgi i rozczarowania.

– Właśnie dostałeś ważną lekcję, Simon. Za jedyne dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Zapisuję sobie w myślach, że jutro rano muszę usunąć dane karty kredytowej, zanim jakiś rosyjski haker opije się wódką na placu Czerwonym na mój koszt. Ale ze mnie idiota. To, że jakiś prymityw, co nie umie nawet podłączyć USB, da się nabrać na takie oszustwo, to jeszcze można zrozumieć, ale ktoś taki jak ja...

Zamierzam właśnie wszystko zamknąć i iść do łóżka, kiedy mój wzrok pada na przycisk pod zdjęciem Iriny, który teraz jest aktywny. Ktoś, kim nie jestem ja, ale kto używa moich rąk, postanawia kliknąć w kopertę z napisem „WYŚLIJ WIADOMOŚĆ” i pisze:

Cześć, jak się masz? Jestem Simon.

To na pewno zdobędzie jej serce. Brawo, Simon.

Nie mam czasu, by obliczyć, która godzina jest w Europie Wschodniej, ani nawet zastanowić się, kiedy mi odpowie, ponieważ w mojej skrzynce odbiorczej niemal natychmiast pojawia się czerwone kółeczko.

Dziewczyna o smutnych oczach odpowiedziała.

Czkałowe, Ukraina

Gospodarstwo u podnóża Karpat

Październik 1999

Kiedy Mama zaczęła wołać jej imię, dziewczynka zwiisała z gałęzi starego dębu, trzymając się jedynie czubkami palców. Gdyby tylko przekręciła szyję o kilka centymetrów w prawo, mogłaby zobaczyć samochód terenowy stojący na ostatnim zakręcie dróżki prowadzącej do jej domu. Później przez wiele długich lat i w niekończących się koszmarach ten szczegół będzie się powiększał w jej wspomnieniach i przypisze mu ogromne znaczenie. Gdyby spojrzała, gdyby wyjrzała z lasku, gdyby podeszła na skraj dróżki, gdyby pobiegła zawiadomić ojca...

Ale ona była tylko ośmioletnią dziewczynką skupioną na swojej grze.

„Siedemset jednaście. Siedemset dziesięć. Siedemset dziewięć”.

Liczyła w myślach wstecz, bardzo powoli, pozwalając sobie na niespieszny oddech między każdą liczbą. Oksana nauczyła ją tej gry minionego lata, kiedy uznała, że jest na tyle silna, by móc wytrzymać wystarczająco długo, żeby mieć dobrą zabawę, i na tyle mądra, żeby wiedzieć, kiedy należy się poddać.

– Nie zaciskaj palców, zaciskaj ramię – powiedziała jej, kiedy ona pierwszy raz spadła i z płaczem wylądowała na kamienistym podłożu. – Palce powoli będą ci się ześlizgiwać, ale nie zwracaj na to uwagi. Zaciskaj tutaj.

„Tutaj” było miejscem tuż przy łokciu, gdzie znajdował się mięsień, o którego istnieniu nawet nie wiedziała. Oksana powiedziała, że to mięsień

zginacz łokciowy nadgarstka i że to właśnie on zapewnia ręce siłę. Oksana wiedziała takie rzeczy, ponieważ chciała zostać lekarką i uczyła się na pamięć wykresów z podręcznika do przyrody.

„Siedemset. Sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Sześćset dziewięćdziesiąt osiem”.

Z biegiem czasu dziewczynka zauważała, że mięsień zaczyna się odznaczać, robi się coraz twardszy, i nauczyła się, że może skupić całą energię swojego ciała właśnie w tym punkcie i nie myśleć o niczym.

– Licz wstecz od tysiąca – powiedziała jej Oksana. – Jeśli wytrzymasz do zera, zwisając z gałęzi, dam ci prezent.

Nie wyjawiała, co to za prezent, i dziewczynkę to właśnie najbardziej zmotywowało. Podczas wykonywania prac domowych zastanawiała się, co to może być. Może jeden z tych naszyjników z drewnianych koralików, które Oksanie tak bardzo się podobały. Dziewczynka nie miała żadnego, ale siostra pożyczała jej jeden ze swoich, kiedy w czwartki, dzień targowy, wybierały się do Rachowa po paliwo do piły łańcuchowej Taty, cukier, wódkę i leki dla świń. Dziewczynka wciskała się między Oksaną a Tatę na przednim siedzeniu starej furgonetki i jechali, słuchając muzyki w radiu. Czasami leciała piosenka, którą Tato lubił, i wtedy pogłębiał nieco i śpiewał cicho, stukając w kierownicę w rytm muzyki. Jej ojciec miał piękny, głęboki i spokojny głos. Kiedy śpiewał, dziewczynka dostawała gęsiej skórki i miała ochotę płakać ze szczęścia.

Podczas gdy rolnik kupował potrzebne rzeczy, Oksana i jej siostra rozglądały się po sklepiu przy placu imienia Lenina. Kiedy była ładna pogoda, stara właścicielka siadała na składanym krzeselku w cieniu pomnika dawnego rosyjskiego rewolucjonisty. Broda statui idealnie odznaczała się na ziemi, niczym ciemna strzała na bruku, i staruszka miała rozrywkę, rzucając okruszki chleba właśnie w to miejsce, żeby gołębie je dziobały.

Oksana zawsze przymierzała kilka naszyjników, które sprzedawczynie robiła swoimi kościstymi rękami. Pytała dziewczynkę, który pasuje jej najlepiej, a ona odpowiadała, zawsze kierując się własnym gustem, egoistycznie myśląc o dniu, w którym siostra pożyczy jej naszyjniki. Wkrótce ona też będzie miała taki jeden. Te zwykle kosztowały dziewięć hrywien, a te dwurzędowe, z niebieskimi kryształkami – jedenaście. Dziewczynka uzbierała już siedem hrywien i trzynaście kopiejek, które trzymała pod obluzowaną deską w kącie swojego pokoju. Na ósme

urodziny Tato da jej dwie hrywny, za które mogłaby sobie kupić jednego z tych wielkich fioletowych lizaków, które staruszka wystawiała obok stojaka z widokówkami, i jeszcze zostałoby jej trochę kopiejek.

„Sześćset sześćdziesiąt cztery. Sześćset sześćdziesiąt trzy. Sześćset sześćdziesiąt dwa”.

Odkryła, że delikatne kołysanie (prawie bez poruszania się, tylko z niezauważalnym machaniem stopami) pozwalało jej wytrzymać dłużej.

„Sześćset pięćdziesiąt dziewięć. Sześćset...”

Mama znowu ją zawołała, ponagłajaco przeciągając ostatnią literę jej imienia, jak robiła zawsze, gdy się niecierpliwiła, i dziewczynka się puściła, prychając ze złością. Na gałęzi były widoczne dwie białe, delikatne rany, w miejscu, w którym zawsze trzymała ręce i gdzie już nie rosła ciemna, szorstka kora.

Gdy tylko dotknęła ziemi, uzmysłowiła sobie, że ma lodowate łydki, pobięła więc, żeby je rozgrzać, rozstawiając szeroko stopy i pozwalając, by wysoka trawa, która rosła za zagrodą, łaskotała ją w odkrytą skórę. Wiele koników polnych, zdenerwowanych wtargnięciem na ich teren, w poszukiwaniu spokoju przemknęło wąską żwirową dróżką niczym ulotne brązowe pociski, a dziewczynka się roześmiała i pobięła dalej.

– Ogłuchłaś?

Jej matka wyjrzała na tylną werandę, wychylając za drzwi połowę ciała i wycierając dłonie ścierką, która wcześniej była piękną bluzką w kwiaty.

– Nie, Mamo.

– Chodź szybko, mamy dużo roboty – powiedziała i otworzyła szeroko drzwi, żeby wpuścić córkę.

Przechodząc obok niej, dziewczynka podskoczyła, usiłując pocałować ją w policzek, lecz dosięgnęła tylko do ramienia. Matka, zmiękczona, złagodziała nieco wyraz twarzy (na tyle, żeby córka się nie rozluźniła) i wymieniła jej listę zadań do zrobienia, kierując się do kuchni, gdzie w garnku gotował się *borszcz*. Wspaniały zapach rzodkiewki i aromatycznych ziół sprawił, że zaburczało jej w brzuchu.

– Mogę zjeść *salo*?

– Włóż trochę do miseczki. Ale nie opychaj się. Nie zostało już dużo.

Dziewczynka weszła na taboret i wyjęła z kredensu ostatni słoik z *salo*. Tłuszcz wieprzowy doprawiony przez Mamę odpowiednią ilością czosnku, żeby był pyszny. Otworzyła słoik i zobaczyła, że zostały tylko białawe resztki na dnie.

– Użyj łyżki – poleciła matka, ale było już za późno.

– Kiedy zrobisz więcej? – zapytała dziewczynka, oblizując palec.

– Za pięć tygodni mamy świniobicie. Wtedy będziesz mogła zjeść tyle, ile zechcesz.

Niezadowolona dziewczynka podbiegła do komody stojącej obok kominka, pod zdjęciem Taty z czasów, gdy był w wojsku. Jak zawsze przystanęła na chwilę, by popatrzeć na fotografię, która wisiała na ścianie lekko przekrzywiona. Jej uwagi nie przykuwał jednak mundur ani strzelba na ramieniu, ani twarz ojca (bez brody i znacznie młodszego), lecz czapka, która chroniła przed palącym słońcem, zostawiając tylko ciemnobrązowy pasek tam, gdzie powinny się znajdować oczy. Jej zawsze było zimno, ale marzyła, by pojechać kiedyś tam, gdzie słońce grzeje tak mocno, że wiosną nie trzeba okrywać się trzema kocami. Kraj taki jak *Fnistan*, ale nie *Fnistan*. Jej ojciec opowiadał o nim dopiero po trzecim kieliszku wódki i nawet dziewczynka wiedziała, że to nie jest dobre miejsce.

Otworzyła komodę, wyjęła obrus i talerze i ruszyła w stronę stołu w salonie, który był zawalony podręcznikami i zeszytami siostry.

– Nie hałasuj tak – poprosiła Oksana. – Uczę się.

– Zaraz będzie kolacja.

Nie odrywając wzroku od książki, Oksana wskazała długopisem na zewnątrz, przed dom, gdzie piła łańcuchowa ojca nadal wyla z przerwami (ochryple, piskliwie, ochryple, piskliwie), zapowiadając zimę. Drewnitnia była prawie pełna, ale Tato powiedział, że w tym roku śniegi przyjdą wcześniej i chce być przygotowany.

Dziewczynka, widząc, że siostra nie zamierza jej pomóc, zaczęła kłaść obrus po jedynej wolnej stronie, szybko się jednak przekonała, że w ten sposób niczego nie zdołała. Musiała zestawić talerze na krzesła.

– Musisz mieć otwarte wszystkie książki naraz?

Oksana wzruszyła ramionami, przygryzła skuwkę długopisu i nie podnosząc głowy, wsunęła za ucho rudy kosmyk, który opadł jej na czoło. Była bardzo ładna, wszyscy jej to powtarzali. Od kilku miesięcy chłopcy z wioski szturchali się na jej widok. Dziewczynka uważała, że odkąd siostrze urosły *hrudy*, zrobiła się zbyt pewna siebie. Wypowiadała trudne

słowa i rzucała głupie teksty, które nic nie znaczyły, tylko po to, żeby podkreślić, jaka jest ważna, dać jasno do zrozumienia, że to ona jest starsza, i żeby stworzyć między nimi dystans. Wkurzało ją, że jest traktowana przez siostrę jak mała dziewczynka, że nie bawi się z nią tak często jak dawniej albo że uważa, że obowiązek nakrycia do stołu jej nie dotyczy.

Zamachnęła się wielkim materiałem w kratkę, żeby zakryć najpierw książki, a później głowę Oksany. Siostra krzyknęła, protestując, i pociągnęła za sukienkę dziewczynki, aż obie, śmiejąc się głośno, znalazły się z głowami pod obrusem.

– Tato nie skończył jeszcze ciąć drewna!

– A właśnie że skończył! Posłuchaj!

Hałas piły łańcuchowej ustał, ale było coś jeszcze, jakiś dźwięk nietypowy dla gospodarstwa. Oksana przechyliła głowę na bok i zmrużyła oczy, skupiając się, by lepiej słyszeć.

– Ktoś tam jest.

Oksana jednym ruchem odrzuciła obrus, który je zakrywał, i teraz dziewczynka usłyszała głos Taty, choć nie mogła zrozumieć, co mówił. Obie podeszły do okna w salonie, zaciekawione, przepychając się i śmiejąc.

– Z kim rozmawia? Widzisz?

Ich ojciec stał tam w spodniach roboczych typu ogrodniczki i bez koszuli mimo zimnego wiatru wiejącego z doliny. W jednej ręce trzymał piłę w rękawicy, podczas gdy drugą drapał się w tył głowy. Dziewczynka nie mogła dojrzeć, z kim ojciec rozmawia, ledwie widziała profil gościa, który chyba o coś pytał.

– To Borys – powiedziała Oksana chłodnym tonem. – Borys Mogliewicz.

Dziewczynka słyszała kiedyś, jak siostra rozmawiała z Mamą o Mogliewiczu, chłopaku z Rachowa. Wyłapała tylko fragmenty rozmowy, ale wiedziała, że chłopak wykrzykiwał do siostry brzydkie rzeczy z samochodu. Mama powiedziała jej, żeby się do niego nie zbliżała, że on obraca się w bardzo złym towarzystwie. Dziewczynka nie rozumiała, co to znaczy, bo ona nie lubiła być sama i nie rozumiała, jak bycie w towarzystwie może być czymś złym. Kiedy zapytała o to Oksanę, ona odpowiedziała, że zrozumie, kiedy będzie starsza – odpowiedź, która tak naprawdę oznaczała, że sama nie ma o tym pojęcia.

– Czego chce?

– Ćśś. Cicho. Próbuje coś usłyszeć.

Oksana przykleiła ucho do szyby i być może dlatego nie zobaczyła tego, co się stało, dopóki nie było za późno. Ale dziewczynka owszem, widziała, jak zbliża się ten drugi, ten, który podszedł do Taty od tyłu, bardzo powoli idąc po trawie, gdzie nie chrząścił żwir. Mężczyzna w czarnej kurtce z podwiniętymi rękawami, mężczyzna, którego ręce były pokryte dziwnymi rysunkami.

Dziewczynka go zobaczyła i przeczuwała, że coś się zdarzy, coś złego.

8

RADA

– Simon? Ziemia do Simona.

Czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Marcia patrzy na mnie, marszcząc brwi i delikatnie kręcąc głową. Teraz to ona kieruje nowym zespołem ekspertów od obrazów cyfrowych, których zatrudniliśmy i którzy siedzą właśnie w moim gabinecie. Tom mianował ją wiceprezeską do spraw Fajnych Rzeczy czy dał jej jakieś inne pompatyczne i pomocnicze stanowisko, ale cieszę się, że to właśnie ona kieruje nowym zespołem, ponieważ lepiej ode mnie radzi sobie z ludźmi.

Chyba zadała mi pytanie i wszyscy czekają, aż coś powiem, ale jedyne, o czym jestem w stanie teraz myśleć, to wiadomość od Iriny.

Cześć. Skąd jesteś?

Trzy słowa. To wszystko. Trzy zwyczajne słowa, trzy słowa, które nic nie znaczą, które do niczego nie zobowiązują. Tak puste, że moja samotność wypełnia je znaczeniem, aż stają się pragnieniem kontaktu z człowiekiem, które mnie przepelnia. Wyobrażam ją sobie przed komputerem, podczas

przerwy w pracy, jak wchodzi na stronę i przekonuje się, że wreszcie dostała wiadomość. Otwiera ją i przygląda się zdjęciu na moim profilu, to jedyne, jakie znalazłem, na którym nie przypominam goryla, który właśnie się obudził. Patrzy na moje brązowe oczy, na moje czarne, bardzo krótkie włosy, na trzydniowy zarost, który teraz jest taki modny (ja pozostaję mu wierny od dwunastu lat), na mój głupkowaty uśmiech, na policzki, które nie pozbyły się jeszcze pyzatości z dzieciństwa. Wyobrażam sobie, jak kalkuluje, ocenia, próbując rozstrzygnąć, czy jestem godny zaufania, czy jestem czuły, czy mam pieniądze, czy jem mięso, czy jestem wierzący, czy chcę mieć dzieci, czy jestem seryjnym zabójcą, czy włączam telewizor bardzo cicho, gdy chcę spróbować zasnąć. „Tak, tak, nie, tak, nie, tak, nie, tak”, odpowiadam w myślach fotografii ze smutnymi oczami, ponieważ nie odważyłem się jeszcze odpowiedzieć na jej wiadomość.

Marcia odchrząkuje. Ona też czeka na odpowiedź.

– Przepraszam. Miałem złą noc. Mów dalej, Marcia.

Wiceprezeska wyjaśnia im, na czym będzie polegać ich zadanie: połączyć bazę danych Lisy z obrazami, jakie udostępnia nam Infinity, a potem zaprząć ją do pracy.

– Musicie bombardować ją wszystkim, co znajdziecie. Dodajcie tyle zdjęć do kolejki zadań, ile tylko zdołacie, i sprawdzajcie rezultaty jeden po drugim. Kiedy LISA czegoś nie rozpozna, wyjaśnijcie jej, co widzi, używając tych tabelek, które przygotował Simon – mówi, pokazując garść papierów. – Wysłałam wam kopie mailem.

– Co mamy zrobić z nierozpoznanymi zdjęciami?

– Pójdą do innej kolejki zadań i LISA zmierzy się z nimi ponownie kilka godzin później. Jeśli znowu zawiedzie, Simon je dostanie i przeanalizuje, żeby ulepszyć kod źródłowy.

Jedna z nowych dziewczyn podnosi rękę.

– Każdego dnia do internetu wrzuca się miliony nowych zdjęć...

– Siedemdziesiąt milionów na sam Instagram. A na Facebooka pięć razy więcej – uściśla Marcia.

– Jak niby LISA ma je wszystkie rozpoznać?

– Jej algorytm działa w sposób podobny do ludzkiego mózgu, a przynajmniej bardzo podstawowego ludzkiego mózgu. Wyobraź sobie, że pokazujesz jej zdjęcie biurka z gabinetu Simona. Najpierw poszuka czegoś, co pozwoli jej wiedzieć, o jaką skalę chodzi, na przykład długopisu albo tej puszki red bulla...

Co zrobić, zasmakowałem w nim w szkole.

– Kiedy LISA identyfikuje biurko, zaczyna myśleć o tym, jakie rzeczy prawdopodobnie się na nim znajdują. Laptop czy talerz mają bardzo wysokie prawdopodobieństwo, z kolei hipopotam bardzo małe. Wszystkie te operacje wykonuje w setnych sekundy, a związki, jakie tworzy między przedmiotami, powiększają jej wiedzę. Im więcej takich powiązań stworzy, tym inteligentniejsza się stanie i szybciej będzie gotowa do powszechnego użytku.

– Możemy poznać algorytm Lisy? To pomogłoby nam pracować.

Marcia poważnieje i wskazuje na mnie.

– LISA to sekret firmy. To wynalazek Simona i tylko Simon ma do niego dostęp. W klauzuli poufności, którą dostaliście od Toma Wilsona, znajdują się ogólne zasady odnośnie do tego, co powinniście wiedzieć, ale musicie pamiętać, że wszyscy pracujemy dla Simona. Za kilka lat z dumą wspomnicie, że siedzieliście w tym gabinecie.

Jedenaście osób rzuca mi pełną gamę spojrzeń, od zazdrości do podziwu. Wydaje mi się, że moje milczenie i zdystansowanie błędnie biorą za geniusz.

Gdyby tylko wiedzieli.

Nowi wreszcie opuszczają gabinet, zostawiając mnie samego z bólem głowy, poczuciem winy i Marcją, która stoi przy drzwiach. Wciąż jest nas tu dużo jak na tak niewielkie pomieszczenie.

– Coś się stało, Simon?

Zwlekam z odpowiedzią. Nie ma sensu ukrywać prawdy przed Marcją, a poza tym nie chcę tego robić. Ktoś musi mi powiedzieć, że nie oszalałem. Marcia jest dwa lata ode mnie starsza, urodziła się w małym miasteczku w stanie Wisconsin i jest lesbijką, więc w przeszłości musiała się mierzyć z mnóstwem gówna, mnóstwem oskarżycielskich palców, mnóstwem niezrozumienia. Marcia jest miła i inteligentna, ale pod spodem pulsuje cyniczny pragmatyzm typowy dla kogoś, kto wie, czego chce, i ma gdzieś, co powiedzą inni.

Powinienem się przed nią otworzyć, powiedzieć jej, co zrobiłem i dlaczego. Opowiedzieć o odwiecznej potrzebie czucia przy sobie czyjejś skóry, o ostrym ataku samotności, który dopadł mnie podczas wczorajszej

kolacji, o pomysle Toma, by szukać dziewczyn w internecie, o głupiej zabawie ze zdjęciem Elizabeth i jak to wszystko doprowadziło do tego, że przez całą noc gapilem się na fotografię ze smutnymi oczami i milion razy czytałem wiadomość, na którą nie odpowiedziałem, ale jedyne, co jestem w stanie wydusić, to:

– Nic, po prostu poznałem dziewczynę.

Marcia się uśmiecha i chce coś powiedzieć, ale akurat w tym momencie do gabinetu wpada Tom, wyciągając zestaw słuchawkowy z ucha.

– Mam już projekt umowy z Infinity. Potrzebuję parę ryz papieru, żeby go wydrukować. – Spogląda na Marcie, która wykonuje w jego stronę porozumiewawcze gesty, a potem patrzy na mnie. – Co kombinujecie?

– Simon jest zaaakoochoaaany – mówi Marcia śpiewnym tonem, udając, że gra na skrzypcach.

Tom patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Przecież jeszcze wczoraj wieczorem się użalałeś, a jest – patrzy na zegarek – dziewiąta jedenaście rano. Kiedy to się stało?

– To znajoma znajomej z Facebooka. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale wczoraj pisaliśmy ze sobą.

Twarz Toma rozświetla szczerą radość. Wiem, jak bardzo mnie lubi (i ja jego), i dlatego czuję się jeszcze gorzej, że go okłamuję.

– Podoba ci się i teraz ty musisz zrobić kolejny krok, prawda? – pyta Tom.

– Chyba tak. Jeszcze nie wiem.

– Te sprawy zawsze są trudne, Simon – wtrąca Marcia. – Ale musisz zebrać się na odwagę. Ja też poznałam Carlę przez internet i jesteśmy bardzo szczęśliwe.

– Nie wiem, czy to dobry moment. Powinienem się skupić na pracy, nie mamy zbyt wiele czasu.

Tom kręci głową.

– Znowu zaczynasz? Wczoraj byłeś zdruzgotany, bo czułeś się samotny i bałeś się, że nikogo nie poznasz, a dziś siedzisz tu i błagasz nas z cielecym wzrokiem, byśmy dali ci pozwolenie na flirtowanie z kimś. Trochę ćwiczeń pomoże ci się skupić i rozładować napięcie.

Marcia kopie go w łydkę, żeby przestał robić obsceniczne gesty.

– Pomijając ostatnie chamskie zdanie, zgadzam się z wiceprezesem do spraw prawnych.

– A jeśli się nie uda? A jeśli się okaże, że pomyliłem się co do niej?

– A jeśli zaatakują nas Marsjanie? – Tom łapie mnie za przedramię z szerokim uśmiechem. – Pozwól, że dam ci radę, Simon. Myślę, że powinieneś pójść na całość. Mam przeczucie. Uwierz mi, nic złego z tego nie wyniknie.

DRUGI BŁĄD

1

TRANSKRYPCJA

Inspektorka Ramírez: Kiedy ostatni raz widział pan żywego Toma Wilsona, panie Sax?

Simon Sax: Mówiłem to już pani koledze.

Inspektor Freeman: Przykro mi, musi pan to powtórzyć. Był problem z magnetofonem, przesłuchamy pana jeszcze raz.

Simon Sax: Siedzimy tu od sześciu godzin.

Inspektor Freeman: Został zamordowany człowiek, panie Sax. Naszym obowiązkiem jest to wyjaśnić.

Simon Sax: Potrzebuję adwokata?

Inspektorka Ramírez: Niech sam pan nam to powie, panie Sax.

Simon Sax: Nie zrobiłem nic złego.

Inspektor Freeman: W takim razie nie ma takiej potrzeby. Choć jeśli chce pan poszukać adwokata, może pan to zrobić w dowolnym momencie.

Inspektorka Ramírez: Musi nam pan tylko o tym powiedzieć i pozwolimy panu zadzwonić.

Inspektor Freeman: Kiedy ostatni raz widział pan żywego Toma Wilsona, panie Sax?

Simon Sax: Wczoraj po południu, kiedy wychodził z biura. Wyszedł pół godziny przede mną.

Inspektorka Ramírez: Czy kiedy wychodził, wyglądał na zdenerwowanego?

Simon Sax: Nie zwróciłem uwagi. Nie sędzę.

Inspektor Freeman: Nie zwrócił pan uwagi.

Simon Sax: Patrzyłem w ekran komputera. Robiłem coś ważnego.

Inspektor Freeman: Pamięta pan, co było takie ważne?

Simon Sax: I tak nie zrozumiecie.

Inspektorka Ramírez: Proszę spróbować.

Simon Sax: Obliczałem wielokrotną regresję liniową.

Inspektorka Ramírez: Słucham?

Simon Sax: Obliczałem zależność między jedną zmienną zależną i wieloma zmiennymi niezależnymi.

Inspektorka Ramírez: Ma pan rację, nie rozumiem.

Inspektor Freeman: Jak masz, do cholery, zrozumieć, Ramírez, skoro ledwo skończyłaś studia.

Inspektorka Ramírez: Nie każdy jest matematycznym geniuszem jak pan Sax.

Simon Sax: Tak bym tego nie nazwał.

Inspektor Freeman: Proszę wybaczyć mojej koleżance, panie Sax. A jak by pan to nazwał?

Simon Sax: Jestem ekspertem od widzenia komputerowego.

Inspektor Freeman: Tym się właśnie zajmujecie w swojej firmie? Tylko proszę jak najprościej, żeby inspektorka Ramírez mogła zrozumieć.

Simon Sax: Tworzymy program do rozpoznawania obrazów.

Inspektorka Ramírez: I obliczał pan tę linię wielokrotności...

Inspektor Freeman: To się tak nie nazywa. Prawda, panie Sax?

Simon Sax: Wielokrotna regresja liniowa.

Inspektorka Ramírez: ...obliczał pan cokolwiek to jest i widział, jak Tom Wilson wychodzi z biura.

Simon Sax: Właśnie.

Inspektor Freeman: Czy kiedy wychodził, wyglądał na zdenerwowanego?

Simon Sax: Już powiedziałem, że nie.

Inspektorka Ramírez: Nie, powiedział pan, że nie zwrócił uwagi.

Simon Sax: Chwila, o co w tym wszystkim chodzi?

Inspektor Freeman: Byliście w biurze sami?

Simon Sax: Tak, wyszedłem jako ostatni. Przed wyjściem nastawiłem alarm.

Inspektorka Ramírez: Czy Tom Wilson wszedł do pańskiego gabinetu, żeby się pożegnać?

Simon Sax: Nie.

Inspektor Freeman: Dziwne.

Simon Sax: Co jest dziwne?

Inspektor Freeman: Kiedy dwie osoby są same w biurze i jedna z nich wychodzi, zwykle informuje o tym tę drugą osobę.

Inspektorka Ramírez: Ze względu na alarm i w ogóle.

Inspektor Freeman: I tak nakazuje dobre wychowanie.

Inspektorka Ramírez: No wie pan, człowiek podchodzi do drzwi, stuka, proponuje pójście na piwo do baru na dole...

Inspektor Freeman: Ty nigdy tak nie mówisz, Ramírez.

Inspektorka Ramírez: Nie zarabiam wystarczająco dużo, żeby pić z tobą piwo. Za plecami nazywamy go SpongeBobem Kanciastoportym, panie Sax. Ze względu na czerwony krawat i dlatego, że wszystko wchłania.

Inspektor Freeman: Jesteśmy w dobrych relacjach tu, na komisariacie.

Inspektorka Ramírez: Żegnamy się, kiedy wychodzimy.

Simon Sax: Czy macie do mnie jeszcze jakieś pytania?

Inspektor Freeman: Tom Wilson się z panem nie pożegnał?

Simon Sax: Nie wiem. Może tak zrobił.

Inspektorka Ramírez: Żeby było jasne w transkrypcji, pan Sax podniósł rękę i pomachał dłonią.

Inspektor Freeman: Czy to było typowe pożegnanie dla pana Wilsona?

Simon Sax: Zwykle do mnie zaglądał.

Inspektor Freeman: Bo się panowie przyjaźnili.

Simon Sax: Był moim najlepszym przyjacielem od sześciu, prawie siedmiu lat. Chwila, po co tyle pytań o to, czy przyszedł się pożegnać, czy nie?

Inspektorka Ramírez: Jest pan ostatnim znajomym, który widział go żywego. Musimy wiedzieć, w jakim stanie wyszedł z biura.

Inspektor Freeman: Czy pan i pan Wilson pokłóciliście się?

Simon Sax: Nie, nie pokłóciliśmy się.

Inspektor Freeman: Dziwne.

Simon Sax: Co jest dziwne?

Inspektor Freeman: Po pańskim wstępnym przesłuchaniu...

Simon Sax: Tym, które się nie nagrało?

Inspektorka Ramírez: Magnetofon nie miał baterii.

Inspektor Freeman: Rozmawialiśmy z kilkoma pańskimi pracownikami, rozumie pan, rutynowe działanie. W każdym razie potwierdzają, że Tom Wilson i pan nie odzywaliście się do siebie.

Simon Sax: Nie tak wyglądała sytuacja.

Inspektorka Ramírez: A jak wyglądała sytuacja, panie Sax?

Simon Sax: Pracujemy nad czymś bardzo ważnym. Były spięcia.

Inspektor Freeman: Może nam pan wyjaśnić, o co chodzi?

Simon Sax: Tom szukał inwestorów i znalazł ich w Infinity. Umowa z nimi przewidywała, że prototyp rozpoznawania obrazów, nad którym pracujemy, musi być skończony w określonym terminie. Zostało nam już tylko kilka dni, a nie jesteśmy gotowi.

Inspektorka Ramírez: A jeśli zdążycie?

Simon Sax: Infinity zainwestuje w naszą firmę dziesięć milionów dolarów w zamian za dziesięć procent akcji.

Inspektor Freeman: To dużo pieniędzy.

Simon Sax: Jeśli zdążymy.

Inspektor Freeman: I akcje, które panowie mają, mocno zyskają na wartości.

Simon Sax: Oczywiście.

Inspektorka Ramírez: Pan Wilson miał trzydzieści lat. Zna pan wiele trzydziestoletnich osób, które sporządzają testament, panie Sax?

Simon Sax: Nie znam zbyt wielu ludzi.

Inspektorka Ramírez: Pan Wilson nie miał dużego majątku. Wynajmował mieszkanie, a mimo to sześć tygodni temu sporządził testament. Według Marcii Lopez, pańskiej koleżanki, było to uwzględnione w umowie ramowej podpisanej z Infinity. Zgadza się?

Simon Sax: Ta umowa liczy sześćset sześćdziesiąt cztery strony. Nie przeczytałem całości. Tom zajmuje się tymi sprawami.

Inspektor Freeman: Zajmował.

Simon Sax: Zajmował.

Inspektorka Ramírez: Mimo to znalazł pan testament pana Wilsona.

Simon Sax: Obaj musieliśmy podpisać szereg prawnych zabezpieczeń. Tom powiedział, że to powszechna praktyka. Nie przywiązywałem do tego większej wagi.

Inspektorka Ramírez: Bardzo wygodnie.

Inspektor Freeman: Nie odpowiedział mi pan, panie Sax.

Simon Sax: Wiedziałem o testamencie. Nie znam szczegółów. Jak już mówiłem, to bardzo długa umowa.

Inspektorka Ramírez: Zostawił panu dwadzieścia pięć procent akcji firmy.

Inspektor Freeman: I forda fiestę, rocznik dziewięćdziesiąty szósty.

Simon Sax: (*Śmiech*).

Inspektor Freeman: Co tak pana bawi, panie Sax?

Simon Sax: Ja... cholera, przepraszam. Przepraszam. Cholera.

Inspektor Freeman: Skontaktowaliśmy się z Infinity, żeby zapytać o umowę. Opowiedzieli o tym prawnym zabezpieczeniu. Wygląda na to, że wasza firma nie może zmienić większościowych udziałowców, dopóki nie skonkretyzuje się wejście do niej Infinity w takim czy innym sensie.

Simon Sax: Więc dlatego Tom sporządził testament.

Inspektor Freeman: Za tydzień akcje, które zostawił panu Tom Wilson, będą warte dwadzieścia pięć milionów dolarów. To ogromna kwota.

Inspektorka Ramírez: Dobry powód, żeby kogoś zabić.

Simon Sax: Nie zabiłem Toma.

Inspektorka Ramírez: W pańskiej rodzinie zdarzały się przypadki przemocy. A to, co się stało z pańskim ojcem...

Simon Sax: To była obrona własna.

Inspektorka Ramírez: Gdzie był pan wczoraj wieczorem, panie Sax?

Simon Sax: Nie wierzę. Naprawdę zadajecie to pytanie, jak w kiepskich filmach?

Inspektor Freeman: Prawda, że brzmi absurdalnie? Powtarzałem to inspektorce Ramírez wiele razy. Zawsze, gdy przesłuchujemy podejrzanego o morderstwo i ona zadaje to pytanie, szlag mnie trafia. Brakuje tylko, żeby przyniosła lampę i skierowała ją w twarz podejrzanego.

Inspektorka Ramírez: Bez względu na to, ile razy się nad tym zastanawiam, wciąż uważam, że to najlepsza forma, by o to zapytać.

Simon Sax: Jestem podejrzany o zabójstwo?

Inspektorka Ramírez: Czy celuję w pana lampą?

Simon Sax: Nie zabiłem Toma. Prosto z biura poszedłem do domu.

Inspektor Freeman: O której godzinie wrócił pan do domu?

Simon Sax: Mniej więcej o jedenastej. Mogę podać dokładną godzinę. Chwilę po powrocie wysłałem do Marcii maila z mojego laptopa.

Inspektorka Ramírez: Cóż, laptop to laptop. Mógł pan wysłać maila z każdego innego miejsca i powiedzieć, że zrobił to pan z domu.

Simon Sax: Nie, tak naprawdę to nie. Jest rejestr połączeń.

Inspektorka Ramírez: Jest pan geniuszem komputerowym, panie Sax. Naprawdę nie zna pan sposobu na wysłanie maila ze swojego domu tak, by to nie pan go wysłał?

Simon Sax: Nie wiem, czy podoba mi się pani ton.

Inspektor Freeman: Proszę wybaczyć inspektorce Ramírez. Niech mi pan wierzy, odpowiadanie na nasze pytania leży w pańskim najlepszym interesie. Próbujemy tylko panu pomóc. Wykluczyć pana jako podejrzanego. Czy ktoś może potwierdzić, że był pan w domu, panie Sax?

(Sześć sekund ciszy)

Inspektor Freeman: Czy mam powtórzyć pytanie, panie Sax?

Simon Sax: Moja narzeczona.

Inspektorka Ramírez: Czy pańska narzeczona była w domu, kiedy pan wrócił?

Simon Sax: Tak, była w domu.

Inspektorka Ramírez: Co jedliście na kolację, kiedy pan wrócił?

Simon Sax: Nie jedliśmy kolacji. Nie byłem głodny.

Inspektor Freeman: Oglądaliście razem telewizję? Pamięta pan, jaki program?

Simon Sax: Nie, nie oglądaliśmy telewizji.

Inspektorka Ramírez: Było późno, przypuszczam, że pańska narzeczona już spała.

Simon Sax: Nie, nie spała. Wyszła się przywitać.

Inspektor Freeman: Pamięta pan, jaką miała na sobie piżamę?

Simon Sax: Nie miała żadnej piżamy. Była naga. Wyszła do mnie na korytarz, zabrała mnie do łóżka i kochaliśmy się. Czy już zaspokoilem pańską ciekawość, czy mam podać więcej szczegółów?

Inspektor Freeman: Nie ma potrzeby podnosić tonu, panie Sax.

Inspektorka Ramírez: Czy tej nocy któreś z was wychodziło z domu?

Simon Sax: Nie, zasnęliśmy. O siódmej rano zadzwonił do mnie ojciec Toma, mocno zdenerwowany, i powiedział, że znaleziono go na Devon Avenue.

Inspektor Freeman: Chcielibyśmy jeszcze wrócić do pańskiej narzeczonej.

Simon Sax: Zostawcie Irinę w spokoju.

Inspektor Freeman: Nawet gdybyśmy chcieli, to niemożliwe, panie Sax.

Simon Sax: Uważacie, że Irina jest podejrzana?

Inspektorka Ramírez: Lubimy rozważać wszystkie opcje.

Inspektor Freeman: Proszę nam opowiedzieć o pańskiej narzeczonej Irinie Skorbajuk.

Simon Sax: Skorbaciuk.

Inspektor Freeman: Tak się wymawia? Proszę wybaczyć. Co to za nazwisko? Rosyjskie?

Simon Sax: Ukraińskie.

Inspektorka Ramírez: W sumie bez różnicy...

Simon Sax: Pani jest Portorykanką, prawda? Chciałaby pani, żeby mylono panią z Meksykanką?

Inspektor Freeman: Jak się poznaliście, pańska narzeczona i pan?

Simon Sax: Czy mogę dostać szklanek wody? Jest mi strasznie gorąco.

Inspektor Freeman: Gdy tylko skończymy, panie Sax. Nie zajmie to dużo czasu. Im szybciej zrobimy postępy, tym szybciej będzie pan wolny.

Simon Sax: Poznaliśmy się przez internet.

Inspektorka Ramírez: Na stronie do kupowania żon, prawda?

Simon Sax: *RussianWives.com* nie jest stroną do kupowania żon.

Inspektor Freeman: Mógłby pan opisać charakter i cel wspomnianej strony?

Simon Sax: To serwis randkowy dla singli.

Inspektorka Ramírez: To strona, na której atrakcyjne Rosjanki polują na bogatego męża. Pokazują swoje chude słowiańskie tyłki i w ciągu trzech lat zdobywają obywatelstwo.

Inspektor Freeman: Ramírez, mogłabyś przynieść szklanek wody dla pana Saxa?

Inspektorka Ramírez: I może jeszcze puchową poduszkę?

Inspektor Freeman: Ramírez!

Inspektorka Ramírez: Cholera!

(Słysząc mocne uderzenie opisane przez inspektorkę Ramírez jako niezamierzone trzaśnięcie drzwiami z powodu przeciągu).

Inspektor Freeman: Żeby było jasne w transkrypcji, inspektorka Ramírez opuszcza na chwilę przesłuchanie pana Saxa. Proszę wybaczyć mojej koleżance, panie Sax.

Simon Sax: Nie ma sprawy. Często mi się to zdarza. Ludzie nie rozumieją mojego związku z Iriną.

Inspektor Freeman: Musi być trudno, kiedy człowiek czuje się osądzany. To nie po chrześcijańsku interpretować uczucia i emocje innych.

Simon Sax: Chwila, czy nie tym się właśnie zajmujecie?

Inspektor Freeman: My tylko porządkujemy historie. Proszę pomóc mi wyjaśnić swój związek z Iriną. Koniec końców jej sytuacja jest delikatna.

Simon Sax: Irina jest w Stanach legalnie, wszystkie jej papiery są w porządku.

Inspektor Freeman: Wiza K jest czasowa i można ją cofnąć, prawda?

Simon Sax: Grozi pan mojej narzeczonej?

Inspektor Freeman: Ja tylko wyjaśniam sprawę. Nie sędzę, żeby urząd imigracyjny miał coś przeciwko, jeśli jest pan zakochany w Irinie i to prawdziwy związek.

Simon Sax: Poznaliśmy się przez internet. Rozmawialiśmy mailowo, później przez WhatsAppa, przez Skype'a... Rozmawialiśmy dniami i nocami. Zrozumieliśmy, jak wiele nas łączy. To tak jakby... jakbyśmy się znali od zawsze.

Inspektor Freeman: Postanowiliście zrobić kolejny krok. To zupełnie logiczne.

Simon Sax: Zaproponowałem, żeby za mnie wyszła i przeprowadziła się do Stanów Zjednoczonych. Zgodziła się.

Inspektor Freeman: Nie obawia się pan, że pana wykorzystuje?

Simon Sax: Nie! Irina nie jest taka. Ona nie jest... Nie, nie obawiam się.

Inspektor Freeman: Żeby ubiegać się o wizę K w charakterze narzeczonej, powinniście się poznać osobiście.

Simon Sax: Ja nie mogłem polecieć do Ukrainy, nie miałem czasu. Mam na głowie test polowy dla Infinity. Postanowiliśmy, że spotkamy się w Dominikanie, tam nie wymagają wiz dla obywateli Ukrainy. Zrobiliśmy sobie zdjęcia, filmiki...

Inspektor Freeman: Kto zapłacił za bilet, panie Sax?

Simon Sax: Ona.

Inspektor Freeman: Irina zapłaciła za swój bilet?

Simon Sax: Nie. Irina zapłaciła za swój bilet i za mój.

Inspektor Freeman: Wow.

Simon Sax: Nie wierzy mi pan?

Inspektor Freeman: Nie tego się spodziewałem.

Simon Sax: Irina skończyła studia magisterskie, ciężko pracowała w Kijowie i pierwsze, co zrobiła po przylocie do Stanów, to znalazła sobie zatrudnienie.

Inspektor Freeman: Jako kelnerka w barze.

Simon Sax: To tylko na jakiś czas. Chce ruszyć naprzód. Nie poprosiła mnie ani o centa.

Inspektor Freeman: Może postrzega pana jako inwestycję długoterminową.

Simon Sax: Inwestycję w co? Ona nic nie wie o umowie z Infinity, obie strony utrzymywały to w absolutnej tajemnicy. Dla niej jestem nieudacznikiem, który mieszka w domu rodziców i opiekuje się bratem.

Inspektor Freeman: A nie pomyślał pan...?

Simon Sax: Mówi pan tak samo jak Tom, cholera! No jasne, że pomyślałem! O wszystkim, co mogło panu przyjść do głowy, już wcześniej myślałem setki razy!

Inspektor Freeman: Pan Wilson nie akceptował pańskiego związku, prawda? Uważał, że ona nie jest tym, za kogo się podaje. O to się panowie pokłócili?

(Jedenaście sekund ciszy)

Inspektorka Ramírez: Mam już dość twojego owijania w bawełnę, Freeman.

Inspektor Freeman: Inspektorka Ramírez dołącza do przesłuchania pana Saxa.

Simon Sax: A moja woda?

Inspektorka Ramírez: Chrzanić wodę. Proszę nam powiedzieć prawdę, Sax. Wszystko wiemy. Tom tylko panu przeszkadzał. Zostało ledwie kilka dni, żebyście dzięki pańskiemu wynalazkowi zostali milionerami. Pan wykonał całą ciężką robotę, a on co robił? Dzwonił przez telefon.

Simon Sax: Nie wie pani, o czym mówi.

Inspektorka Ramírez: Potem zjawiała się ona i Tom miał wobec niej obiekcje. To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. W jakiś sposób zwabiła go na Devon Avenue pod pretekstem rozmowy i pojednania. Potem do niego strzeliła i zostawiła go na ulicy jak psa, żeby się wykrwawił.

Inspektor Freeman: Żeby było jasne w transkrypcji, inspektorka Ramírez pokazuje panu Saxowi zdjęcia z miejsca zabójstwa Toma Wilsona.

Simon Sax: Proszę to zabrać, do cholery. Nie ma pani prawa.

Inspektor Freeman: Czy ma pan pistolet, panie Sax?

Simon Sax: Nie, ja...

Inspektorka Ramírez: Pański ojciec miał pistolet zarejestrowany na swoje nazwisko.

Inspektor Freeman: Warto by było, gdyby pozwolił pan nam go zobaczyć, panie Sax.

Simon Sax: Nie rozumiem, jak to może być...

Inspektorka Ramírez: Wie pan, jak długo umierał Tom? Cztery minuty, Sax. Cztery minuty. Leżąc w kałuży sików, czując, jak ucieka z niego powietrze i życie, patrząc na kontener na śmieci, wiedząc, że przyjaciel go zdradził.

Simon Sax: Wychodzę. Mam dość tego oskarżania i obrażania.

Inspektor Freeman: Proszę zostać, Simon. Niech pan współpracuje.

Simon Sax: Współpracowałem tyle, ile mogłem, i nie raz, ale dwa.

Inspektor Freeman: Wykonujemy tylko nasze obowiązki.

Simon Sax: Waszym obowiązkiem jest także włożyć do magnetofonu pieprzone baterie.

(Koniec transkrypcji)

2

RODZICE

Nie mogę uwierzyć, że Tom nie żyje.

Tak naprawdę nie mogę uwierzyć w nic, co teraz przeżywam.

Wszystko, co się wokół mnie dzieje, jest jak fikcja, jak kiepsko oświetlony film, z tych kręconych dla telewizji w pośpiechu i w technologii cyfrowej. Ze słabymi aktorami i fatalnymi dialogami oraz z tak przewidywalnym scenariuszem, jak jeden z tych obrazków dla dzieci, na których trzeba połączyć kropki, żeby powstała figura.

Wychodzę z sali przesłuchań z nadwrażliwymi zmysłami, jak zawsze, gdy się denerwuję i moja fobia społeczna przejmuje kontrolę nad podwzgórzem. Chcę biec, uciec stąd, wrócić w bezpieczne miejsce, lecz energia, która pozwoliła mi zostawić inspektorów na lodzie, nagle mi się kończy, jakby ktoś wyjął bezpiecznik. Dziesiątki nieistotnych szczegółów tłoczą mi się w głowie, domagając się natychmiastowej uwagi.

Opieram rękę o ścianę, próbując się uspokoić, starając się wszystko wchłonąć, uporządkować krajobraz, żeby dotrzeć do wyjścia.

Komisariat to surowe i tętniące życiem miejsce, w którym unosi się woń środków czyszczących i dezynfekujących, na próżno starających się

zamaskować milion innych nieprzyjemnych zapachów: kwaśnego potu policjantów, śmieciowego jedzenia na stołach i odurzającej słodczy perfum prostytutek przykutych do biurka. Automat z kawą, wielka drukarka i dzwoniące telefony rywalizują o to, które z nich wydaje najbardziej nieprzyjemny hałas, i wszystkie przegrywają z dochodzącym z ulicy rykiem młota pneumatycznego. Popołudnie jest ciepłe, a wpadające przez okna słońce ogrzewa linoleum i maluje wyraźne cienie na twarzach i przedmiotach, podkreślając opresyjny smutek otoczenia. Nie ma uśmiechów, żartów ani żadnego śladu człowieczeństwa, którego można by się chwycić, w którym można by zakotwiczyć ironiczny dystans służący mi na co dzień za ratunek. Rodzinne zdjęcia stojące na stołach inspektorów są zasłonięte teczkami pełnymi dokumentów. Moja wyobraźnia przypisuje im kategorię akt dotyczących straszliwych zbrodni. Mogą to być także mandaty, ale w moim obecnym stanie wszystko wydaje mi się groźne, niebezpieczne lub przynależące do równoległego uniwersum, w którym zdarza się to, o czym czyta się w gazetach.

Nie powinienem tutaj być, Tom nie powinien być martwy, nic z tego wszystkiego nie powinno się dziać.

Ale to nie pierwszy raz, prawda, Simon? Zdarzyło się już wcześniej. Zablockowałeś już podobne wspomnienia. Dzień, w którym zmarła mama.

Głos w mojej głowie próbuje przywołać obrazy z tego, co się wydarzyło, ale mu na to nie pozwalam. Nigdy nie myślę o dniu, w którym zmarła mama, nigdy nie myślę o Wypadku. O policji w salonie naszego domu, o płaczącym Arthurze, który nie rozumiał, co się dzieje, o krwi, która mimo bandaża kapłała mi z rany na czole, brudząc dywan.

Ale inspektorzy o tym wiedzą. Wiedzą, co się stało tamtego dnia. Na pewno przeczytali raport z Wypadku, raport, który trzymają w jakiejś szafie, w jednej z tych okropnych brązowych teczek zamykanych na zielone gumki. Raport policyjny, aseptyczny i surowy, na temat Caroline Sax, gospodyni domowej, doprowadzonej do samobójstwa z powodu złego traktowania przez męża pijaka, który znalazłszy jej ciało, spadł ze schodów i skręcił sobie kark, mimo że młodszy syn próbował do tego nie dopuścić. Raport, który może być interpretowany w innym świetle, pozwalając na wyciągnięcie nowych wniosków na podstawie tego, co spotkało Toma; na zrobienie ze mnie podejrzanego o zbrodnię, której nie popełniłem.

Inspektorzy Freeman i Ramírez wychodzą z sali przesłuchań. Widzą mnie, opartego o ścianę, i nic nie mówią. Tylko obserwują mnie przez kilka

sekund. Szczególnie Freeman. Ma mocną szczękę oraz twarde i inteligentne spojrzenie.

– Wszystko w porządku, Simon? – pyta Freeman, rozpinając marynarkę swojego ciemnoszarego trzyczęstowego garnituru jedną ręką, podczas gdy drugą poprawia okulary.

Wyrafinowany, sztucznie elegancki gest odpowiedni do jego postaci czarnoskórego homoseksualisty.

Nie mam nic przeciwko czarnoskórym homoseksualistom. Gdybym miał przyjaciół, to niektórzy z tych najlepszych byłiby czarnoskórymi homoseksualistami. Okazuje się jednak, że jedyny przyjaciel, którego mam, leży teraz w kostnicy, a jedyny czarnoskóry homoseksualista, którego znam, uważa, że to ja go zabiłem.

– Mam zadzwonić po taksówkę? – upiera się Freeman, gdy widzi, że nie odpowiadam.

– Nic mi nie jest. Jestem tylko bardzo zdenerwowany, to wszystko.

Jego koleżanka wykonuje pogardliwy gest i rusza korytarzem, kontynuując farsę.

Ramírez celowo była wrogo nastawiona podczas przesłuchania, zmuszając mnie do popełniania błędów, popychając mnie w ramiona Freemana, z jego uprzejmym głosem i gestykulacją. Ramírez, ze swoim golfem wpuszczonym w džinsy, swoją wygniecioną kurtką z Banana Republic i swoją wymuszoną surowością, typową dla kogoś, kto każdego dnia musi udowodniać, że dorównuje swoim kolegom. Ramírez, z tym swoim przedstawieniem, jakie zlecił jej Freeman, rzucająca oskarżeniami na oślep, bo a nuż coś spadnie z drzewa.

Nie dałem się nabrać. To on mnie podejrzewa, ona wykonała całą robotę, podczas gdy on nie spuszczał ze mnie oka. Widziałem zbyt wiele seriali kryminalnych, żeby nie wyczuł zasadzki. Chyba po raz pierwszy cieszę się, że nie mam własnego życia, że jestem żalonym frajerem, który jedyne, co robił w swoim życiu, to zmieniał ekran komputera na ekran telewizora. Przynajmniej to ostatnie na coś się przydało.

– Chce pan, byśmy zamówili taksówkę?

– Nic mi nie jest – powtarzam. Nagle wpada mi do głowy pewna myśl. – Proszę mi tylko powiedzieć jedno. Co, do diabła, Tom robił na Devon Avenue? On nigdy tam nie chodził. Kiedy wybierał się na drinka, to na Division Street. A w ciągu ostatnich miesięcy nawet i tam nie chodził, bo miał dziewczynę i wydawało się, że to coś poważnego.

Freeman się prostuje i znowu poprawia okulary, które co chwila ześlizgują się z jego wielkiego nosa.

– Nie jestem upoważniony do ujawniania szczegółów śledztwa, Simon. Ale jeśli przypomni pan sobie coś, co może nam pomóc, zamieniam się w słuch.

– Musiał być jakiś powód, dla którego się tam znalazł. Na pewno sprawdziliście już jego telefon i wiecie, że dostał jakąś wiadomość.

Inspektor ściąga usta i przesuwa ręką po ogolonej głowie. Ocenia możliwości, wahając się, czy powiedzenie mi czegoś bez narażania dobra śledztwa pozwoli mu dostać coś w zamian, czy zacisnąć na mojej szyi pętlę, która na razie jest zbyt luźna.

– Telefon Toma Wilsona nie został znaleziony.

– W takim razie to mogła być kradzież.

Freeman odchrząkuje.

– Potrafimy wykonywać naszą pracę, Simon. Proszę posłuchać, zaufam panu – mówi cichszym głosem, tonem pod tytułem „to poza protokołem” – wygląda pan na porządnego człowieka i nie sądzę, by miał pan z tym coś wspólnego.

Rzuca mi to kłamstwo, wielkie jak koło zapasowe land rovera, a ja uśmiecham się nieśmiało, udając, że je łykam.

– Przy zwłokach znaleźliśmy jego portfel, Simon. Otwarto go i część zawartości wyleciała na ziemię: były pieniądze i karty kredytowe.

– To nie ma sensu.

Inspektor na mnie patrzy, czekając, aż wypełnię ciszę.

– Chyba że...

Freeman nachyla się w moją stronę. W jego oczach widać ponaglenie.

– Tak?

– Nie, nic.

Przez moment sądziłem, że mam pewną myśl, ale nie jestem gotów się nią z nim podzielić. Natychmiast uświadamiam sobie, że właśnie popełniłem błąd i że jego podejrzenia się wyostrzyły. Wtedy się zastanawiam, ile podejrzewa, co przede mną ukrywa, a przede wszystkim, czy wie, że okłamuję go na temat nocy, której zabito Toma.

– Proszę do nas zadzwonić, jeśli coś pan sobie przypomni – mówi, podając mi wizytówkę i kończąc rozmowę.

Wreszcie mam odwagę przejść przez las biurków w kierunku wyjścia i natychmiast żałuję, że nie wyszedłem stąd wcześniej. Na drugim końcu

z sali wychodzą rodzice Toma, idą powoli niczym skazaniec w drodze do komory gazowej.

Thomas Wilson ojciec to żywy obraz syna, drobny, szczupły, zwykle uśmiechnięty i gadatliwy. Choć jego kwaciarnia radzi sobie bardzo dobrze i ma wielu pracowników, często można go zobaczyć za ladą, obsługującego klientów. Dziś nie da się rozpoznać tego uprzejmego i wesołego człowieka w mężczyźnie, który idzie korytarzem. Ma zapadnięte ramiona i mocno podkrążone oczy. W rękach trzyma marynarkę, by ukryć ich drżenie, a mnie jest go strasznie żal.

Jego żona ma na sobie płaszcz pomimo upału, a pod spodem spódnice i sweter, które ani trochę do siebie nie pasują, rzecz nie do pomyślenia u takiej eleganckiej i drobiazgowej kobiety jak ona. Idzie wyprostowana, mocno ściskając torebkę, usiłując zachować godność i ukryć to, że za chwilę może się załamać. Kiedy jednak widzi, że się do nich zbliżam, łzy płyną jej po twarzy niczym woda przelewająca się przez pękniętą tamę i zarzuca mi ramiona na szyję.

– Simon, Simon.

Powtarza moje imię jeszcze kilka razy, nie przestając mnie obejmować. Łzy moczą mi koszulę i rozdzierają duszę. Nie wiem, co robić, nie wiem, co jest właściwe w takiej chwili. Kładę jej rękę na ramieniu i poklepuję po plecach, podczas gdy wzrokiem szukam jej męża, licząc na jakąś reakcję, ale ojciec Toma mnie unika.

Coś się dzieje.

– Dobrze się czujesz, Simon? To wszystko musi być dla ciebie bardzo trudne – mówi pani Wilson, odsuwając się nieco i patrząc mi w oczy.

Właśnie straciła swoje jedyne dziecko, a jednak martwi się o mnie, o to, jak się czuję. Jej zachowanie mnie wzrusza, a jednocześnie wypełnia mnie wyrzutami sumienia. Czuję na plecach badawcze spojrzenie inspektora Freemana i niemal pragnę wrócić do sali przesłuchań i powiedzieć mu prawdę o tamtej nocy.

Niemal.

– Nie, nie czuję się dobrze, Martho. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

– Ja też. Tej nocy bardzo źle spałam. Miałam okropne przeczucie, Simon. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale byłam przekonana, że zdarzy się coś złego.

Słyszając to, pan Wilson kręci głową i nic nie mówi. To oczywiste, że już o tym rozmawiali, że ona ulega autosugestii i próbuje ukarać siebie za to, co się stało, przypisać sobie winę, jakiej nie ponosi. Widziałem to już wcześniej. Chociażby u mojej matki.

– Łączę się z wami w bólu – mówię jedynie, bo nie przychodzi mi do głowy nic więcej.

Ona wyjmując z kieszeni płaszcza pomietaną chusteczkę higieniczną i wyciera łzy. Jej niebieskie oczy, dawniej żywe, są jałowym polem obsianym solą.

– Musieliśmy zidentyfikować ciało. Właściwie zrobił to mój mąż, ja nie byłam w stanie... – Nie może dokończyć zdania, znowu zaczyna płakać.

Myślę o zdjęciach z miejsca zbrodni, które Ramírez rzuciła mi w twarz w sali przesłuchań. O otwartych oczach mojego przyjaciela, nieruchomych przed fleszem aparatu, i o ręce, która usiłuje zatamować krew wyciekającą ze śmiertelnej rany. Bez względu na to, jak bardzo koroner starał się przygotować ciało, nie chcę sobie nawet wyobrazić, przez co musiał przechodzić ojciec, widząc swojego syna leżącego na stalowym stole. Podobno teraz robią to poprzez telewizję przemysłową, żeby zachować dystans. Jak gdyby to było możliwe. Ech, to tylko film. To nie jest prawdziwe, to nie pański syn leży tam zastrzelony, tylko ktoś do niego podobny. Proszę potwierdzić skinieniem głowy i podpisać tutaj.

– Pogrzeb jest w piątek – informuje mnie pan Wilson.

Jego ton jest chłodny, zdystansowany. Zastanawiam się, czy Freeman i Ramírez z nim rozmawiali, czy pytali go o mnie. Jego żona chwyta mnie za ramię.

– Musisz powiedzieć kilka słów, Simon. Tom kochał cię jak brata, wiesz o tym. I my też bardzo cię kochamy.

Mamrocze coś niezrozumiałego i odchodzę bez pożegnania. Nie wytrzymam w tym miejscu ani minuty dłużej. Gdy przechodzę przez próg, zanim znajdę się na schodach, kusi mnie, żeby się odwrócić, spojrzeć za siebie i sprawdzić, czy inspektor Freeman wciąż stoi na korytarzu. Nie zrobię tego, nie będę patrzył, nie chcę wyglądać na bardziej winnego, niż się czuję.

Oczywiście patrzę.

Oczywiście on wciąż tam stoi, nie spuszczając ze mnie oka.

Nasze spojrzenia się spotykają i bezwiednie przełykam ślinę.

W wielkim pośpiechu schodzę po schodach.

Muszę jak najszybciej zobaczyć Irinę.

Muszę wiedzieć, co się stało w nocy.

Muszę wiedzieć, dlaczego zmusiła mnie, bym okłamał policję.

Czkałowe, Ukraina

Gospodarstwo u podnóża Karpat

Październik 1999

Dziewczynka zobaczyła mężczyznę w czarnej kurtce z podwiniętymi rękawami, mężczyznę, którego ręce były pokryte dziwnymi rysunkami, i przeczuwała, że coś się zdarzy, coś złego.

Później przez wiele długich lat i w niekończących się koszmarach przeczucie zamieni się w pewność. Krzyk, który uwiązał jej w gardle, gdy zobaczyła, jak nieznajomy wyciąga z czarnej kurtki nóż, zamieni się w ostrzeżenie zdolne uprzedzić Tate, żeby się odwrócił, żeby uruchomił piłę, żeby rozerwał tych mężczyzn na kawałki. Przerazenie, które sparaliżowało jej nogi, tak jak tamtej zimy, kiedy wpadła do zamrożonego strumienia, ponieważ źle wyliczyła długość skoku, stanie się w jej koszmarach gotowością, szybkością reakcji, niesamowitą odwagą. Takie są pułapki pamięci, taki jest ciężar grzechów, których nie popełniliśmy, ale za które pokutujemy.

W ostatniej chwili jej ojciec musiał coś przeczuwać, ponieważ instynktownie przekręcił głowę, lecz ten w kurtce był szybszy i otoczył mu szyję ramieniem, niczym stary przyjaciel, który niespodziewanie się z tobą wita, i przez moment dziewczynka sądziła, że to może taki żart, że nóż myśliwski miał tylko nastraszyć Tate, że wszystko skończy się na nerwowym śmiechu i uściskach dłoni. Ale ten w kurtce wbił nóż raz, dwa, trzy razy w bok jej ojca i ciemna plama zaczęła się rozprzestrzeniać po tkaninie.

Oksana zaczęła krzyczeć.

Tato upadł na kolana na trawę, pociągając za sobą tego w kurtce, który potknął się do przodu i przetoczył pod oknem, poza zasięgiem wzroku dziewczynki. Mimo że był ranny, Tato próbował się bronić i podniósł piłę.

Teraz mogła widzieć tego drugiego, tego, którego siostra nazwała Borysem. Był młodszy od tamtego, chudy i miał czarne, bardzo ciemne włosy, ale nie tak ciemne jak oczy, które dziewczynce przypominały dwie dziurki od klucza. Zrobił krok do przodu i szarpał się z jej ojcem, aż wyrwał mu urządzenie z rąk. Tato, coraz słabszy z powodu utraty krwi, uniósł głowę i jego wzrok napotkał spojrzenia córek. Próbował wstać, ale Borys kopnął go od tyłu i postawił mu nogę na plecach.

Nawet z bokiem zamienionym w krwawiącą poduszczykę do szpilek Tato był znacznie silniejszy od Borysa i udało mu się nieco podnieść.

– Nie! Tato! – zdołała powiedzieć Oksana.

Ktoś krzyknął coś po rosyjsku, Borys przytaknął i pociągnął linkę, którą włączało się piłę łańcuchową, ale nic się nie stało. Szło to opornie, zawsze szło opornie, należało bowiem nacisnąć regulator w taki specjalny sposób, który znał tylko Tato, i czasami potrzeba było kilku minut, żeby ją uruchomić, i dziewczynka błagała w myślach Dziewicę, żeby mężczyzna jej nie włączył, żeby linka się zerwała, żeby skończyło się paliwo.

„Proszę. Nie kupię sobie naszyjnika, przyniosę ci kwiaty do kapliczki. Proszę”.

Lecz jej modlitwy nie zostały wysłuchane albo może wysłuchał ich ktoś inny, do kogo nie były skierowane. Przy drugiej próbie silnik odpalił z rykiem i Borys skierował piłę na dół, w stronę mężczyzny leżącego na ziemi. Zawahał się przez chwilę, kto wie, czy z powodu strachu, czy chciał się upewnić, że nie utnie sobie nogi, potem zdmuchnął grzywkę, która wpadała mu w ciemne i puste oczy i opuścił ostrze na plecy szarpiącego się mężczyzny. W miarę jak opuszczał urządzenie, zabrał nogę, którą przyciskał Tatę, więc siła, z jaką mężczyzna się uniósł, próbując się wyswobodzić, połączyła się z siłą opadającej piły. Rozległ się hałas, najpierw chrzęszczący, a później gładki, który dziewczynka słyszała już wcześniej, tyle że podczas świniobicia w połowie listopada, i szyba zabarwiła się na czerwono.

Wtedy Oksana przestała krzyczeć.

Dziewczynka nie zwróciła na to uwagi; czuła jedynie, jak lód, który uwięził jej stopy, rozprzestrzenia się na całe jej ciało, a ona zaczyna się

trząść i nie może tego opanować. Dopiero jej siostra, której lęk o dziewczynkę był większy niż własny strach, sprawiła, że zareagowała, odsuwając się od okna.

– Chodź! Szybko!

Przecięły salon i dziewczynka potknęła się o obrus, pod którym niespełna dwie minuty wcześniej śmiały się i żartowały. Siostra złapała ją za rękę.

– Wyjdziemy z tyłu, biegnij!

Kiedy skręciły w stronę kuchni, zobaczyły, że tylne drzwi są zablokowane przez dwóch ludzi. Trzeci mężczyzna, ubrany w nieskazitelnie białą koszulkę i zniszczone adidas, trzymał Mamę w górze jedną ręką, podczas gdy inny wbijał jej nóż między łopatki. Mama była silna i tęga, mężczyzna zaś młody i chudy. Na jego mokrej od potu twarzy ze zmrużonymi oczami malował się olbrzymi wysiłek, na jaki się zebrał, żeby ją podnieść. Ale jednocześnie się uśmiechał.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Mamie na ucho mężczyzna w koszulce.

Ona usiłowała się uwolnić, wbijając paznokcie w szyję zabójcy, jednak teraz palce już nie naciskały. Obróciła głowę i posłała im ostatnie spojrzenie, powolne, apatyczne, gasnące mrugnięcie.

„Mięsień zginacz łokciowy nadgarstka zapewnia palcom siłę”, pomyślała dziewczynka z oczami pełnymi łez.

Wiedziała, że Mama nie żyje, ponieważ jej stopy zwisały bezwładnie i się nie ruszała. Przez głowę przeszła jej myśl, że Mama nie może już więcej cierpieć, nawet gdyby ten człowiek dalej ją ranił. Zrobiła krok w jej stronę, żeby ją przytulić, pocałować, pocieszyć.

Tym razem Oksana nie krzyknęła.

– Na górę – zarządziła, ciągnąc ją.

Wepchnęła siostrę na schody i kazała jej biec aż na koniec korytarza, do pokoju rodziców, ponieważ tylko tam można było zamknąć drzwi na zasuwkę, choć słaba to była ochrona przed trzema silnymi mężczyznami i piłą łańcuchową. Oksana musiała to natychmiast zrozumieć, ponieważ gdy tylko drzwi zamknęły się za jej plecami, przesunęła komodę (pełną białych, czystych ubrań, ale lekkich, bardzo lekkich), aż zablokowała drzwi, a potem do nich przywarła.

To jedynie trochę ich spowolni. Po cokolwiek przyszli (a Oksana, która po kryjomu słuchała historii, jakie opowiadali dorośli, gdy było późno

i sądzili, że dzieci już śpią, obawiała się tego), było na tyle cenne, żeby zabrać to w biały dzień i z odsłoniętymi twarzami.

Nie odejdą, dopóki ich nie zabiją albo nie zrobią czegoś jeszcze gorszego.

Potrzebowała broni.

Miała przyspieszony oddech, a puls dudnił jej w skroniach. Dziewczynka siedziała na środku pokoju, obejmując rękami kolana, milcząca, co Oksanę przestraszyło bardziej, niż gdyby głośno płakała.

„Pistolet taty”.

– Na szafie. Przynieś krzesło. Szybko!

Dziewczynka ani drgnęła, choć siostra krzyczała, groziła, błagała.

Po drugiej stronie drzwi rozległy się uderzenia. Najpierw kilka próbnych potrząśnięć klamką, później cisza, a następnie mocniejsze, stanowcze pchnięcia. Oksana podbiegła do szafy, łapiąc po drodze krzesło (wciąż leżała na nim piżama Taty, jak zawsze starannie złożona) i wskoczyła na nie.

Sprawdzała pod stosem koców ułożonych wysoko, stojąc na palcach na niestabilnym słomianym siedzisku, aż wreszcie jej palce zacisnęły się wokół czegoś metalowego, wepchniętego między szafę a ścianę.

Pociągnęła z taką desperacją, że kiedy udało jej się uwolnić to, co trzymała, impet odrzucił ją do tyłu razem z krzesłem i pudełkiem.

Zielone metalowe pudełko, wyszczerbione na jednym końcu, które zawierało wspomnienia z okresu, jaki Tato spędził w wojsku, medale, które otrzymał, i jego broń służbową.

Zielone metalowe pudełko, oznaczone czarnymi literami, zamknięte na grubą kłódkę Smoleńsk.

Wydając krzyk frustracji, Oksana chwyciła pudełko i cisnęła je o podłogę, kopiąc raz i drugi.

Na zewnątrz zamek ustąpił z chrzęstem. Jeden z paneli drzwiowych pękł, zrobiła się dziura i rozległo się przekleństwo po rosyjsku, kiedy ktoś wsadził w nią rękę i zdarł sobie kostki.

– Zawołaj nowego! Niech przyjdzie tu otworzyć tym złomem, który wziął, cholera! – nakazał głos po drugiej stronie drzwi. – A ty idź na dół i stań na rogu, żeby nie wylazły oknami.

Oksana podwoiła wysiłki w walce z pudełkiem, próbując dostać się do znajdującego się w nim ratunku, ale kiedy furia ustąpiła, efekt był taki, że

zdołała je tylko wgnieść po jednej stronie. Kłódka dalej była na swoim miejscu, śmiejąc się z niej.

– *Sestra*. Siostrzyczko – zawołała szeptem.

Dziewczynka przestała szlochać i do niej podeszła. Oksana ją przytuliła i wskazała okno, które wychodziło na północ, na dróżkę.

– Musisz tędy wyjść.

Ona spojrzała na okno, a potem wskazała drugie, znajdujące się na drugiej ścianie. To wychodzące na dach ganku, skąd łatwiej byłoby zeskoczyć.

– Tędy nie, malutka. Tędy nie.

Oni na pewno tam są.

– Jest bardzo wysoko – powiedziała dziewczynka.

Oksana ponownie wskazała północne okno.

– Ja wyjdę przez to okno. Kiedy ci powiem, ty wyjdiesz przez tamto, ale nie skacz. Trzymaj się parapetu. – Uniosła jej podbródek, aby się upewnić, że siostra rozumie. – Musisz wytrzymać za wszelką cenę, siostrzyczko. Trzymaj się bardzo mocno, tak jak na starym dębie. A kiedy powiem, puść się i biegnij najszybciej, jak możesz. Uciekaj i nie oglądaj się za siebie, *sestra*. Zrozumiałaś? Ja cię dogonię.

Dziewczynka przytaknęła i ruszyła w stronę okna. Oksana podeszła do drugiego i wystawiła głowę, a potem ramię. Powoli.

– Są tutaj! – krzyknął mężczyzna, którego wysłali na zewnątrz, facet w bluzie dresowej, biegnący w jej stronę, stracił z oczu drugie okno.

Ręką, którą wciąż miała w środku, Oksana dała siostrze znak, żeby wyszła. Na korytarzu rozległ się ryk piły łańcuchowej, obracając w drzazgi mizerną barierę. Widząc, jak głowa siostry znika w drugim oknie, Oksana zaczęła się prześlizgiwać na zewnątrz. Na dole facet w bluzie (która wcześniej była biała, a teraz zafarbowana na bordowo) zrobił w jej stronę groźny krok, trzymając w ręku nóż, którym zadźgał jej matkę.

– Nie skacz! Nie zrobimy ci krzywdy!

Oksana przytrzymała jego wzrok z obojętnym wyrazem twarzy, próbując nie patrzeć kątem oka w stronę drugiego okna. Kiedy meble się przewróciły i poczuła ciągnące ją do środka ręce napastników, nie stawiała oporu ani nie walczyła ze strachu, że zaatakują ją, zanim zdąży dać znać, zdecydowana kupić dla siostry każdą ceną chwilę.

– Mamy ją! Wchodź, Petro!

Ten w bluzie odkrzyknął coś, czego Oksana nie zrozumiała. Zgodził się? Czy jednak zostanie na zewnątrz, żeby mieć pewność? Nie miała jak się tego dowiedzieć. Kiedy ręce ją obróciły i znalazła się naprzeciwko Borysa i mężczyzny w skórzanej kurtce, Oksana musiała coś postanowić. Niedługo zapytają, gdzie jest dziewczynka.

– Proszę, proszę – powiedział Borys. Rzucił piłę na podłogę i podszedł do Oksany, pocierając sobie górną wargę i wydając nosem różne dźwięki. Dziewczyna zauważyła, że ma małe źrenice i zaczerwienione oczy. – Kogo my tu mamy. Mała *pizda malossolnaja*.

Mała słona cipka.

– Uważaj – warknął ten w czarnej kurtce. – Nie zepsuj jej, bo nie będzie nic warta.

– Spokojna głowa, Petro. Będę bardzo delikatny, a ona będzie grzeczna – odpowiedział Borys, przesuwając po jej ustach zakrwawionym palcem, tworząc makabryczną karminową plamę. – Prawda?

Oksana otworzyła usta i napełniła płuca.

Na zewnątrz, pod parapetem, dziewczynka wisiała cztery metry nad ziemią, trzymając się jedynie opuszkami palców. Od doliny wiał lodowaty wiatr, sprawiając, że drętwiały jej kończyny.

„Dziewięćset trzydzieści dziewięć. Dziewięćset trzydzieści osiem. Dziewięćset trzydzieści siedem”.

Krzyk siostry, nakazujący, by biegła, rozległ się z tyłu jej głowy, lecz nie wywołał żadnej reakcji. Wiedziała, że musi się puścić, wiedziała, że musi biec, ale mięśnie nie posłuchały polecenia.

„Dziewięćset trzydzieści sześć. Dziewięćset trzydzieści pięć. Kiedy dotrę do zera, dostanę prezent. Dziewięćset trzydzieści cztery”.

Wtedy usłyszała kolejny krzyk Oksany, a może to był wiatr, który był coraz głośniejszy, i dziewczynka wreszcie zaczęła się puszczać, zaczęła odrywać palce i w tym momencie zabójca Taty pojawił się w oknie z oczami błyszczącymi wściekłością i złapał ją za nadgarstek. Dziewczynka kopała, żeby się uwolnić, a zabójca usiłował chwycić ją drugą ręką, lecz palce miał mokre od śliskiego czerwonego płynu i nie zdołał jej złapać, jedynie zaburzyć jej równowagę, zrzucając ją w kierunku wystającej drewnianej deski.

Dziewczynka nie poczuła bólu, kiedy gwóźdź rozerwał jej skórę pod lewym okiem.

Spadła i oszołomiona przetoczyła się po ziemi, wiedząc, że miała coś zrobić, że o czymś zapomniała, i zaczęła uciekać w stronę lasu, zanim sobie przypomniała, co właściwie miała zrobić.

Biegła pod wiatr, który oddalił od niej krzyki, jakie podniosły się za jej plecami, biegła między drzewami, przez pełen nierówności pagórek, pod drzewem, które trzy lata wcześniej roztrzaskał piorun, biegła przez wszystkie sekretne miejsca, gdzie źli mężczyźni nie mogli jej znaleźć. A kiedy minęła zakręt dróżki prowadzącej do jej domu (to miejsce dało się dostrzec z gałęzi starego dębu), wyczerpana, z rękami opartymi na kolanach, w słabym świetle zapadającego zmierzchu zobaczyła stojących w połowie drogi dwóch policjantów.

Wydobyła z siebie westchnienie ulgi, smutne miauknięcie, i dała sobie chwilę na odzyskanie tchu, wciąż trzymając ręce na kolanach, zaczęła błagać policjantów, by wyjęli broń i poszli pomóc Oksanie.

Ten moment uratował jej życie.

Jeden z policjantów odsunął się na bok, drugi wyjął papierosa. Trzeci mężczyzna wyciągnął zapalniczkę, by mu go podpalić. W słabym, żółtawym blasku płomienia dziewczynka dostrzegła twarz trzeciego mężczyzny i jego nadgarstki oraz ręce, pokryte takimi samymi czarnymi, zawiłymi rysunkami jak u mężczyzny w kurtce.

Wszyscy trzej się roześmiali.

Świat dziewczynki był już rozerwany na strzępy, ale właśnie to ostatnie rozczarowanie, ten przeblysłk ostrej prawdy pod ciepłym pledem kłamstw, którymi rodzice chronią dzieci, właśnie to wszystko zmieniło.

Zanim ostrzegawcze głosy mężczyzn zmierzających ścieżką w dół zaalarmowały czekających, dziewczynka biegła już w głąb lasu, nie oglądając się za siebie.

3

SPACER

Wychodząc na ulicę, omijam grubego policjanta. Ryk młota pneumatycznego wybija się na pierwszy plan i nagle milknie, ustępując miejsca hałasowi ruchu ulicznego i chórowi gwizdów. Odwracam się i widzę grupę robotników w pomarańczowych kamizelkach wokół dziury w ziemi. Zatrzymali bałagan, jakiego narobili na chodniku, żeby gwizdać i wyc jak szympanse w rui na kobietę, która przechodzi przez ulicę z kawą w dłoni. Rudowłosa kobieta o tak jasnej cerze, że niemal lśni w popołudniowym słońcu, ubrana w krótki płaszcz, džinsy i czarne botki. Kobieta ani wyjątkowo ładna, ani o posągowej sylwetce, raczej o atletycznej budowie ciała, porusza się z taką pewnością siebie, że dwaj mijający ją mężczyźni w garniturach muszą się za nią obejrzeć. Jedna noga za drugą, jakby pod spodem znajdowała się jedynie cienka lina, a nie asfalt Lincoln Avenue. Łącząc jej kroki, można by narysować prostą linię.

To moja dziewczyna.

Trudno w to uwierzyć, prawda?

Moja dziewczyna.

Jak zawsze, gdy widzę, jak się zbliża, niemal spodziewam się, że mnie minie, że pójdzie dalej i poda kawę typowi w garniturze ze skórzaną teczką i telefonem przy uchu – typowi, który wygląda na prawnika. Sprawia wrażenie takiego, co sporo zarabia i często chodzi na siłownię. Gdyby tak się stało, ani trochę nie byłbym zaskoczony. Myślę, że część mnie nawet by się na nią nie obraziła, ta część mnie, która uważa, że taki byłby naturalny porządek rzeczy. Że taka kobieta jak ona nie może być z takim cierpiącym na fobię społeczną nerdem jak ja.

Druga część mnie zabiłaby, gdyby tak się stało. Irina podchodzi do mnie i się uśmiecha, przechylając nieco głowę, żeby dostać buziaka w policzek. Waham się chwilę, zanim ją pocałuję, ponieważ wciąż jestem bardzo zdenerwowany i na nią zły. Muszę wszystko wyjaśnić, dowiedzieć się, dlaczego zmusiła mnie, bym okłamał policję na temat nocy, której zginął Tom, ale i tak daję jej buziaka.

Ona przygląda mi się bacznie. Zauważa, że coś się dzieje.

– Było bardzo trudno? – pyta, podając mi kawę.

Nie mam ochoty, wołałbym coca-cole, ale Irina pomaga mi o siebie zadbać. Odkąd rzuciłem energetyki, schudłem kilka kilogramów i czuję się lepiej. Okazuje się, że każdy litr takiego napoju zawiera dwadzieścia siedem łyżek cukru, co oznaczało w sumie pięćdziesiąt cztery łyżki dziennego spożycia w moim poprzednim życiu.

Ta kawa z sacharyną jest lepsza, znacznie lepsza, bez porównania.

– Uważają, że zabiłem Toma – odpowiadam, próbując wypić łyk tej brei.

Na jej twarzy nie widać niezadowolenia, niedowierzania ani sprzeciwu. Nic, czego byś się spodziewał, kiedy mówisz swojej dziewczynie po wyjściu z komisariatu, że policjanci prowadzący sprawę zabójstwa twojego współnika i najlepszego przyjaciela uważają cię za głównego podejrzanego.

Ona bierze mnie pod ramię i ciągnie w górę ulicy.

– Przejdziemy się trochę, co?

Za każdym razem, gdy się odzywa, zaskakuje mnie jej znajomość angielskiego. Twierdzi, że to typowe dla Słowian, że bardzo szybko uczą się języków, ale w jej przypadku jest to naprawdę imponujące. Prawie nie ma akcentu, czasami, kiedy jest roztargniona albo wkurzona, przeciąga trochę er (co doprowadza mnie do szału, bo brzmi jak rosyjska szpiełka z filmów o Bondzie), zdarza jej się zjadać przyimki, a kiedy nie zna jakiegoś słowa, musi podać jego opisowe znaczenie. Zadaje takie pytania jak: „Jak się nazywa to urządzenie, które ma wielokrażek i służy do

podnoszenia ciężkich przedmiotów?” albo „Co oznacza wszechstronny?”. Ja jej wyjaśniam, ona zapisuje odpowiedzi w swoim małym notesie moleskine, który zawsze przy sobie nosi, a ja się cieszę, że mogłem jej pomóc. Niekiedy zadaje pytania tylko dla samego zadawania, ponieważ wie, że lubię na nie odpowiadać, nawet jeśli ona zna już odpowiedź. Zauważam to, ponieważ w takich sytuacjach nie zapisuje niczego w swoim notesie z czarną okładką.

Spacerujemy od Lincoln Avenue do pobliskiego parku, który Irina, jak mówi, widziała z radiowozu, kiedy rano jechaliśmy do komisariatu. Trzyma mnie pod ramię, więc muszę iść ze zgiętym łokciem, to dżentelmeńska i nieco staroświecka postawa. Lubię to. Irina jest wysoka, a dzięki obcasom z roztargnieniem kładzie głowę na moim ramieniu, gdy czekamy przed przejściem dla pieszych. Jej rude falowane włosy wciskają się między moją koszulę a szyję, łaskocząc mnie. Ma nieujarzmione włosy żyjące własnym życiem, które zawsze pachną jeżynami.

To też lubię.

Kiedy mamy już przeciąć Artesian Avenue, orientuję się, że Irina ogląda się za siebie, w stronę miejsca, z którego przyszliśmy. Jest to gest tak naturalny, że po prostu wydaje się, jakby sprawdzała, czy jadą samochody. Tyle że nie chodzi o to.

Sprawdza, czy ktoś nas śledzi.

Nie wiem, jak się zorientowałem, może przez delikatny ruch brwi albo nagłe napięcie ramion, kiedy ktoś za nami idzie, nawet jeśli później się okazuje, że to jedynie spocony kurier obciążony paczkami. Wiem tylko, że to nie są moje wymysły. Irina jest zaniepokojona i zdenerwowana, mimo że stara się sprawiać wrażenie spokojnej. Zastanawiam się, ile ma to wspólnego z Tomem, a ile z tym smutkiem w jej zielonych oczach.

Odkąd kilka tygodni temu przyjechała do Chicago, zawsze wyglądała na spokojną, opanowaną i szczęśliwą. Chce mnie zadowolić, ale chce także, byśmy się dobrze poznali, zanim zrobimy następny krok. W Dominikanie spędziliśmy bardzo mało czasu, to był ledwie pretekst, żeby przyznano jej wizę. Nie mogę powiedzieć, że zakochałem się w niej wtedy, gdy poznałem ją osobiście, ponieważ to byłoby kłamstwo. Tak naprawdę zakochałem się w niej, kiedy zaczęliśmy rozmawiać przez internet i opowiedziała mi swoją historię.

Jej rodzice i starsza siostra zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Irina była mała, a potem wychowywał ją wujek, surowy człowiek, który ciągle zmuszał ją do nauki. W szkole dostawała dobre oceny, ale zawsze była bardzo samotna i uważała, że nigdy nie pozna nikogo wartościowego, zawsze czuła się jak dziwadło.

SIMON pisze:

Brzmi znajomo.

IRINA pisze:

Kłamczuch. Taki przystojny i tak dobrze potrafiący się wyrażać chłopak jak ty musiał mieć mnóstwo dziewczyn.

SIMON pisze:



Każde zdanie, które do mnie pisała, było jak zagładanie do mojej własnej duszy. Z jakiegoś powodu komputer – i odległość, poczucie nierzeczywistości, jakie wywołuje pisanie zamiast otwierania ust – pomagały mi mówić jej rzeczy, których nikomu wcześniej nie opowiadałem. Po kilku dniach, odkąd zaczęliśmy czatować, czułem, jakbyśmy się znali od zawsze, tak jakby ona dokładnie wiedziała, co powiedzieć w każdym momencie. Wiem, że nie jest interesowną osobą, ponieważ nigdy nie poprosiła mnie o pieniądze ani nie chciała, byśmy się komunikowali przez kosztowny system przesyłania wiadomości na stronie, na której się poznaliśmy. Pierwszych dziesięć było darmowych, a potem pobierano opłatę za każdą wysłaną wiadomość – podatny grunt dla oszustw. Gdy tylko Irina zdała sobie sprawę, że jestem osobą godną zaufania, przysłała mi swoje zdjęcie, na którym trzymała kartkę ze swoim adresem mailowym, i tak się to wszystko zaczęło.

Po niekończących się godzinach rozmów, wiadomościach, zdjęciach i zwierzeniach w końcu wyznałem jej swoje uczucia.

SIMON pisze:

Chyba Cię Kocham.

Nie było odpowiedzi. Moje wyznanie miłości wisiało w cyberprzestrzeni niczym butelka wrzucona do morza. Myślałem, że ją wystraszyłem, że straciłem ją na zawsze.

Właśnie waliłem głową w stół w biurze i wymyślałem sobie od najgorszych, kiedy dostałem maila od Iriny. W załączniku był bilet otwarty na lot z O'Hare do Santo Domingo. Zatkalo mnie, zarówno ze względu na ten finansowy gest (jej prawie roczna pensja i to tylko na mój bilet), jak i jej odwagę oraz to, jak wiele to dla mnie znaczyło. Wreszcie miałem ją poznać.

Mieliśmy spędzić razem zaledwie kilka godzin, ale powiedziała mi, żebym wziął dużą walizkę z wieloma zestawami ubrań na zmianę, byśmy mogli sobie zrobić różne zdjęcia i w ten sposób móc ubiegać się o wizę, bym mógł zabrać ją do Stanów Zjednoczonych jako moją narzeczoną.

Nie było mnie tylko dwa dni. Tomowi powiedziałem, że lecę do Nowego Jorku w sprawie spadku po rodzicach. Trochę się zdziwił, ale nie skomentował tego.

Kiedy wróciłem z kartą pamięci pełną moich zdjęć z Iriną i poprosiłem go, żeby pomógł mi wystąpić dla niej o wizę K, zaczął wrzeszczeć w niebogłosość. Nigdy nie widziałem, żeby reagował w taki sposób, tak gwałtownie i przesadnie. Powiedział, że oszalałem, że ta harpia chce mnie tylko okantować i wykorzystać moją samotność.

– Czy ty jej się dobrze przyjrzałeś, Simon? – zapytał podniesionym głosem. – I czy widziałeś siebie? Dobry z ciebie chłopak i prawdopodobnie miałbyś szansę, gdybyś schudł z dziesięć kilogramów, ale ona jest znacznie, znacznie powyżej twojej ligi. Uwierz mi, ta ruska suka jest z tobą tylko dlatego, żeby dostać się do Stanów.

– To nieprawda. Nie znasz jej, nie...

– W dodatku byłeś takim kretynem, żeby powiedzieć jej o umowie z Infinity, i teraz wie, że za kilka tygodni...

– Nic jej o tym nie mówiłem, Tom – odparłem, kręcąc głową.

– To w jakiś sposób się dowiedziała, coś musiało ci się wymknąć. Tak, na pewno tak było – powiedział stanowczym tonem. – Dobra, już wszystko jasne.

– Co wszystko jasne?

– To oczywiste. Musisz z nią zerwać.

– Nie zamierzam tego zrobić, Tom.

– Rozumiem, że to dla ciebie krepujące, dragalu – powiedział swoim najlepszym głosem sprzedawcy z telezakupów. – Daj mi jej maila. Ja to

zrobię. Jestem ekspertem od zrywania z dziewczynami, wiesz o tym. Parę zdań i pach, na zawsze zniknie z twojego życia. Tak jest najlepiej.

Strasznie mnie to zabolalo, i nie chodziło tylko o głos z telezakupów.

– Nie jestem taki jak ty, Tom. Możliwe, że dla ciebie kobiety są rzeczami, których możesz używać i które możesz wyrzucić, kiedy zechcesz, ale ja nie jestem taki. Irina ma uczucia.

– Mogę jej też wysłać kwiaty.

Nie mogłem się powstrzymać, złość i niewypowiedziane obelgi wyszły ze mnie nagle, z powodu czystej fizyki. Nadmierna presja zwykle kończy się niechcianym wybuchem przemocy werbalnej.

– Dlaczego to robisz, Tom? Dlatego że nie trzymam się scenariusza? Dlatego że nie odgrywam swojej drugoplanowej roli mózgowca, którego musisz prowadzić za rękę? Dlatego że znalazłem kogoś w niezbyt konwencjonalny sposób? A może chodzi o to, że jest ładna, i to nie pozwoli ci już patrzeć na mnie z góry, podczas gdy gromadzisz kolejne stringi na podłodze w swojej sypialni?

Tom spojrzał na mnie z mocno zaczerwienioną twarzą, głęboko urażony. Uświadomiłem sobie, że uderzyłem za blisko środka tarczy, i od razu pożałowałem, ale było już za późno.

– Poddaję się – powiedział, podnosząc ręce. – Rób, co chcesz. Ale kiedy złamie ci serce, nie przychodź się tu wypłakiwać – dodał, wskazując swoje ramię.

Po tej rozmowie nasze relacje stały się dość napięte, nie pomagało też to, że czasu do testu polowego LISY było coraz mniej. Musiałem zwrócić się do innego prawnika, żeby zajął się sprawą wizy dla Iriny. Nie to mnie jednak martwi, tylko dzień, w którym zabrałem ją do nowego biura, żeby wszystkim ją przedstawić. Sądziłem, że kiedy Tom ją pozna, zmieni zdanie, ale nie wyszło z tego nic dobrego.

Naprawdę nic dobrego.

*Dwieście kilometrów na północ
od Magnitogorska, Rosja*

Listopad 2004

Dziewczynka była w drodze na koniec świata.

Niebo w kolorze brudnej plandeki wisiało tak nisko i było tak przytłaczające, jakby za chwilę miało runąć. Imponujący łańcuch Uralu, szarawa ściana, która nieprzerwanie ciągnęła się po horyzont, zdawała się podtrzymywać niskie chmury, zamykając krajobraz w monotonnej, nieskończonej klatce.

Kolumny dymu z huty stali w Magnitogorsku zgubiły się na horyzoncie wiele kilometrów temu. To był jedyny dowód na to, że wciąż jechali na północ. Koła się kręciły, silnik furgonetki wydawał monotonne charczenie, a zawieszenie wchłaniało trzęsienie na niewyafaltowanej drodze, lecz za tylną szybą furgonetki krajobraz wydawał się nieruchomy, jak gdyby oglądała zdjęcie.

Dziewczynka wiedziała, że góry ciągną się prawie do Arktyki, bo pamiętała mapę z podręcznika umieszczoną tuż nad zdjęciem lodowca. Nie wiedziała wielu rzeczy: nie znała daty rewolucji bolszewickiej, układu okresowego pierwiastków, nie umiała obliczyć pola prostokąta. Nie wiedziała, czym jest imiesłów, które miasto jest stolicą Belgii, nie znała nazw planet Układu Słonecznego.

Nie wiedziała tych rzeczy, ale znała inne.

Znała dobre miejsca, w których można było znaleźć resztki – wystarczyło tylko zajrzeć do kontenera stojącego za restauracją. Potrafiła ukraść aparat fotograficzny, który turysta powiesił na krześle w barze albo na tarasie – wystarczyło tylko przejść obok i delikatnie podnieść nogę, by

uwolnić pasek od ciężaru, a potem uciec z aparatem. Wiedziała – wystarczyło tylko spojrzeć – czy dany policjant jest z tych złych, z tych, co spróbują cię złapać i wrzucić do przeciążonego systemu, czy jednym z tych jeszcze gorszych, z tych, co wyjmą gumową pałkę i z całej siły walną cię dwa razy w brzuch. Pierwszy cios rozluźnia mięśnie i sprawia, że stajesz się bezbronna wobec drugiego uderzenia, które wywołuje wewnętrzny krwotok i zabija we śnie kilka dni później. Pozwala na pozbycie się dziecka z ulicy w tańszy i skuteczniejszy sposób (i z mniejszą ilością papierkowej roboty) niż umieszczenie go w sierocińcu.

Potrafiła przeżyć.

Ale to nie wystarczało.

Pierwsza noc była najgorsza ze wszystkich. Przemarznięta do szpiku kości siedziała w dziupli jednego z drzew, podczas gdy mężczyźni z latarkami szukali jej na drodze prowadzącej do wioski, wykrzykując jej imię, ona zaś obejmowała kolana, nie wiedząc, co robić, a rozcięcie gwoździem pod lewym okiem stało się pulsującym, nieznośnym bólem. Ze swojego miejsca w oddali mogła dostrzec blask płonącego gospodarstwa, który barwił niebo na widmowy, pomarańczowy kolor, dusząc gwiazdy dymem, spalając winy i grzechy.

Odważyła się wrócić dopiero następnej nocy, długo po tym, jak zniknęli strażacy, policjanci i mieszkańcy wioski, którzy przyszli obejrzyć straszliwy pożar, w którym we śnie zginęła cała rodzina. Obora, ze świniami i innymi zwierzętami, także spłonęła. Pośród jeszcze dymiącego popiołu dziewczyna znalazła zielone pudełko, które należało do jej ojca, z nadal mocno przymocowaną kłódką. Przytuliła tę pamiątkę, jedyne, co zostało z jej poprzedniego życia, wrzuciła je do osmalonego worka, który znalazła za ścianą domu, i ruszyła w drogę.

O zmierzchu trzeciego dnia dotarła do sklepiku przy placu Lenina, gdzie właścicielka właśnie opuszczała żaluzję, żeby zamknąć i przygotować się do snu. Staruszka od razu ją rozpoznała, ale nie odezwała się słowem. Nigdy z nikim nie rozmawiała. Jedyne położyła palec na ustach i zabrała ją do środka sklepiku, do miejsca, gdzie spała każdej nocy, na starych kocach. Stał tam mały piecyk, a w gazecie było zawiniętych trochę pieczonych

ziemniaków z masłem i *salo*. Głodna jak wilk dziewczynka pochłoneła ziemniaki, ale nie tknęła *salo*.

Staruszka przytulała ją, dopóki nie zasnęła.

Następnego poranka, kiedy znowu podniosła żaluzję, na drugim końcu placu zobaczyły policję. Kobieta spojrzała na dziewczynkę i pokręciła głową, a dziewczynka zrozumiała, że jeśli ktoś ją rozpozna, to będzie koniec. Policjanci nigdy nie pozwoliliby na to, by wyszło na jaw, co tak naprawdę wydarzyło się w gospodarstwie we wsi Czkałowe.

Przyjęła od staruszki garść hrywien, wiedząc, że to znacznie więcej, niż kobieta mogła jej oddać, zwłaszcza teraz, gdy zbliżała się zima i znikali ci nieliczni turyści, którzy zapuszczali się do Rachowa latem. Kiedy miała już wyjść, staruszka ją zatrzymała i zawiesiła jej na szyi dwurzędowy naszyjnik z niebieskimi okrągłymi kryształkami, ten sam, który tyle razy przymierała. I chociaż w tym momencie miała ochotę się rozpłakać, nie miała już łez.

Później zaczęła walczyć o przetrwanie.

Kradła ubrania ze sznurków i sklepów, uciekając jak najdalej od Rachowa i tutejszej skorumpowanej policji. Pojechała na Krym, gdzie, jak mówiła jej matka, mają dalekiego krewnego, którego jednak nie mogła znaleźć. Nauczyła się oszukiwać zagranicznych turystów, kraść ręczniki na plaży, zakradać się na targ rybny o świcie, prowadzić rosyjskich marynarzy z Floty Czarnomorskiej do prostytutek, które czekały na nich z rozłożonymi nogami.

Zielone pudełko zawsze miała przy sobie, a decyzja o jego otwarciu (kilka dni przed dziesiątymi urodzinami) była dotąd najtrudniejszą do podjęcia. Rozbiła kłódkę kamieniami i w środku znalazła listy swojego ojca do matki, pistolet, medale i zdjęcia. Jedno z nich (Mama trzyma na nim bardzo małą Oksanę, prawie niemowlę) o mało nie wydobyciło z niej łez, które – jak jej się wydawało – utraciła, ale nie dała rady płakać, mimo że wbiła sobie paznokcie w uda i zagryzała wewnętrzną stronę policzków, aż usta napełniły się krwią.

Ból po prostu nie chciał z niej wyjść.

Udała się do Kijowa, wielkiego miasta, gdzie jeśli trzymałeś się z dala od mundurów, mogłeś żyć lepiej niż w miastach na południu. Na wpół opuszczone przedmieścia za stacją Niezależności były siedliskiem włóczęgów, dzieci ulicy, prostytutek i wszelkiego rodzaju wyrzutków,

którzy gromadzili się przy beczkach z płonącym ogniem, by móc się ogrzać.

Dziewczynka szybko nauczyła się ważnej lekcji, a mianowicie, że biedny nie oznacza dobry i że szczodrość wśród złodziei i żebraków jest tak samo rzadka, jak wśród osób, które miały więcej szczęścia. Wielokrotnie próbowano ją okraść, wielokrotnie próbowano zrobić jej jeszcze gorsze rzeczy.

Nie zawsze mogła tego uniknąć.

Przed snem wrzucała swój skromny dobytek do śpiwora, który ukradła autostopowiczowi. W dzień trzymała go w szafce na dworcu, a potem szła w poszukiwaniu jedzenia. Po zmierzchu wracała w miejsce, które zaczęła uważać za swój dom, jedno z mieszkań na szóstym piętrze Budynku 3. Podobnie jak w przypadku reszty tych budowli wznoszonych w ramach radzieckiego projektu mieszkań z lat sześćdziesiątych, korupcja i brak materiałów uniemożliwiły ich ukończenie.

Budynek był właściwie goły, nie było okien, okładziny na betonowych ścianach ani bieżącej wody. To, co powinno być podłogą w salonie mieszkania, w którym spała dziewczynka, było zaledwie wielką dziurą, która otwierała się nad sześciopiętrową przepaścią.

Zajmowała to, co miało być łazienką, prostokąt o wymiarach dwa metry na metr, którego pola nie potrafiła obliczyć. Za każdym razem, gdy chciała tam wejść albo stamtąd wyjść, dziewczynka musiała iść po belce na otwartej przestrzeni (mokrej od deszczu wiosną, pokrytej śniegiem zimą) o szerokości dłoni, starając się nie myśleć o dwudziestometrowej przestrzeni dzielącej ją od ziemi.

Dotarcie na dół zajmowało dokładnie trzy sekundy. Dziewczynka nie знаła prawa powszechnego ciężenia, ale lubiła siadać na belce ze zwisającymi nogami i rzucać na dół ogryzek jabłka albo pestkę moreli

„Trzy.

Dwa.

Jeden”...

i liczyć wstecz, aż pestka trafiała w ruiny na dole, gubiąc się między gruzem i poskręcany żelastwem, gdzie mieszkały szczury. Czasami, kiedy dziewczynka przemieszczała się po belkach (jedna ręka wyciągnięta, druga przyciskająca do piersi śpiwór), zdarzało jej się poślizgnąć i balansowała nad przepaścią. Podczas tej krótkiej chwili, jaką zajmowało jej odzyskanie równowagi, pojawiała się pokusa (coraz częstsza, coraz bardziej

intensywna), żeby nie walczyć, żeby przelecieć przez nieistniejące salony, przez życia takie jak jej, które nie zostały wykute, nie zostały ukończone z powodu niegodziwości innych.

„Trzy.

Dwa.

Jeden”.

...

I koniec.

Z czasem ta pokusa stała się tak silna, tak nieodparta, że dziewczynka musiała obiecać samej sobie, że następne przejście będzie tym ostatnim. Że kiedy kolejny raz zrobi osiem powolnych i ostrożnych kroków na belce – to będzie ten ostatni.

Ale w nocy usłyszała o „Pajaku” i nagle wszystko znowu się zmieniło.

Gdy zapadała noc, wokół beczek na centralnym dziedzińcu zbierali się wszelkiego typu przegrani. Każdy był mile widziany, pod warunkiem że przynosił wódkę albo drewno – cena dostępu do paleniska. Dziewczynka przychodziła tam, kiedy śnieg robił się tak twardy, że nie przypominał śniegu, a chłód tak przenikliwy, że bolało oddychanie. Wnosiła swoją opłatę, wyciągała gołe ręce nad języki ognia i zamykała oczy, żeby nie widzieć pomarańczowego blasku, żeby nie przypominać sobie pożaru, choć same powieki nie wystarczały. Wtedy próbowała się skoncentrować na cudzych rozmowach, nieustannej i nudnej paplaninie o dziwkach i ich alfonsach, o napadach i drobnym handlu, o tym, kto komu był winien tyle a tyle gramów heroiny, i kto kogo potnie, jeśli nie odzyska swojego gówna. Dokonania i występki wyolbrzymiano do tego stopnia, że groźby śmierci wypowiedane przy beczce były tak bardzo pozbawione znaczenia, jak obietnice wiecznego życia, o których dziewczynka słyszała w katedrze Świętej Zofii, gdzie polowała na niepilnowane torebki.

Owe rozmowy były dla dziewczynki ledwie hałasem, dźwiękiem, którego mogła się uczepić, żeby nie słyszeć trzasku ognia. Aż pewnego dnia ktoś zaczął opowiadać o „Pajaku”.

Dziewczynka słuchała przez dłuższą chwilę, a kiedy rozmowa zeszała na inny temat, otworzyła oczy i zadała jedno pytanie.

– Gdzie jest Chicago?

Wokół ognia zapadła gęsta cisza i wszyscy spojrzeli na nią zdumieni, ponieważ po raz pierwszy usłyszeli jej głos.

– W Stanach Zjednoczonych – odpowiedziała prostytutka, która wspomniała o „Pajaku”.

Wtedy dziewczynka zrozumiała, że musi się udać na koniec świata.

Furgonetka zatrzymała się w tym miejscu, choć równie dobrze mogłaby się zatrzymać w jakimkolwiek innym. Przy jaśniejszej linii, która przecinała step prostopadle do głównej drogi, aż gubiła się gdzieś w stronę gór, dalej, niż sięgał wzrok. Kierowczynie wysiadła i otworzyła tylne drzwi. Wyciągnęła do dziewczynki rękę, by pomóc jej wysiąść, lecz ona zeskoczyła jednym susem, ignorując ją. Kobieta wymamrotała coś po rosyjsku, urażona, i wyjęła parę desek, żeby wysłała też druga pasażerka furgonetki, wielka stukilogramowa świnia. Zwierzę, oszołomione podróżą, potrzebowało dłuższej chwili, by zdecydować się na zejście, i w końcu zrobiło to chwiejnym krokiem.

Kobieta podeszła do dziewczynki, która czekała na rozdrożu. Wydawała się bardzo mała, stojąc tam sama, chuda jak szczapa, pocierając ręce o tułów, żeby się rozgrzać, ubrana jedynie w płaszcz przeciwdeszczowy.

O mało nie zaciągnęła jej z powrotem do furgonetki i nie zabrała na komisariat do Magnitogorska, ale wtedy musiałaby wyjaśnić, dlaczego przyjechała aż na tę opuszczoną drogę, a to ani trochę jej się nie podobało.

– Jesteś pewna?

Dziewczyna skinęła głową.

– Dziękuję za podwiezienie.

– W takim razie trzymaj – powiedziała kobieta, podając jej sznurek obwiązany wokół szyi świni. – Tak naprawdę wyświadczasz mi przysługę. Zaoszczędzasz mi dwóch godzin jazdy po tej kiepskiej drodze pełnej wybojów. Pieszko zejdzie ci tyle samo.

– Nie boisz się, że ucieknę ze świnia?

Kobieta parsknęła szorstkim, zaraźliwym śmiechem.

– A dokąd miałabyś iść? – rzuciła, wskazując dookoła, na bezmiar stepowej pustki. – Bardziej martwi mnie, że nie umiesz prowadzić tego zwierzęcia i że gdzieś cię zaciągnie.

Dziewczynka poprawiła sobie mały plecak i nie puszczając sznurka, zerwała gałąź z jednego z krzaków rosnących przy drodze. Usunęła małe, twarde liście, aż uzyskała giętki patyk, nieco dłuższy od swojej ręki.

Wypróbowała go na grzbiecie świni, która w odpowiedzi chrząknęła niecierpliwie i ruszyła.

– Poradzę sobie.

Kobieta się roześmiała, chociaż tym razem ze smutkiem. Odprowadziła dziewczynkę wzrokiem.

– To nie jest dobry człowiek! – krzyknęła za jej plecami.

– Taką mam nadzieję – odparła dziewczynka, nie odwracając się.

4

KAWA

Park to spokojne miejsce, pełne rodzin z dziećmi. Kilka maluchów puszcza latawiec w pobliżu okrągłego pawilonu. Jest tu także małe jezioro (albo duży staw, zależy, jak na to spojrzeć), wokół którego biega mnóstwo niewolników mody w szalenie drogich adidasach, a znudzone kobiety w średnim wieku spacerują ze swoimi psami.

Irina siada na ławce nieopodal jeziora i w zamyśleniu upija łyk kawy. Chce mi coś powiedzieć, ale nie ma odwagi. Od czasu do czasu zerka przez ramię, to silniejsze od niej. Ja nie mogę się doczekać, by zadać jej pytanie, które od wielu godzin nie daje mi spokoju, i wreszcie rzucam je ot tak.

– Irino, dlaczego poprosiłaś, żebym okłamał policję?

Odwraca się do mnie, zaalarmowana.

– Co im powiedziałaś, Simon?

– Nie zamierzam ci mówić, dopóki mi tego nie wyjaśnisz.

Ojciec Toma obudził mnie dziś rano z informacją, że jego syn został znaleziony w zaułku w pełnej barów okolicy w pobliżu Devon Avenue. Głos miał dziwnie spokojny, a kiedy skończył mówić, rozplakał się i rozłączył. Siedziałem na krawędzi łóżka z telefonem w dłoni, nie wiedząc,

czy to, co się właśnie stało, było prawdą, czy jednym z tych snów, które w pierwszej chwili po otwarciu oczu wydają się rzeczywiste. Od dziecka przytrafia mi się wiele takich (snów, w których mam nowy komputer i po przebudzeniu do niego biegnę, snów, w których mam dziewczynę i macam drugą stronę łóżka, żeby ją objąć, snów, w których tata i mama żyją i czekają na mnie w kuchni, przygotowując śniadanie), tak więc na wszelki wypadek sprawdziłem listę połączeń przychodzących.

To nie jest sen.

Włożyłem szlafrok i poszedłem do sypialni Iriny, która śpi w pokoju gościnnym (to pokój, który przedtem należał do moich rodziców) na końcu korytarza. Minęło trochę czasu, zanim otworzyła, dla niej to była jeszcze bardzo wczesna pora. Pięć nocy w tygodniu pracuje w Foley's, barze w dzielnicy Wrigleyville, i zwykle wraca do domu dobrze po północy.

Uchyliła drzwi z rozczochranymi włosami i zasną twarzą. Kiedy powiedziałem jej, co się stało, otworzyła szeroko oczy, wpuściła mnie do pokoju, posadziła na swoim łóżku, ujęła moje dłonie i oznajmiła:

– Simon, to bardzo ważne. Kiedy policja zapyta cię o tę noc, oto co musisz powiedzieć. Wróciłeś do domu zmęczony. Ja wyszłam do ciebie na korytarz, żeby się z tobą przywitać, naga. Zabrałam cię do sypialni i kochaliśmy się. Zrozumiałeś?

Przytaknąłem, niczego nie rozumiejąc.

– Powtórz to – nakazała.

– Nie... Nie zapamiętałem. Nie rozumiem, dlaczego...?

– Byłam naga, wyszłam do ciebie na korytarz, zabrałam cię do sypialni i kochaliśmy się. Powtórz.

– Byłaś naga, wyszłaś do mnie na korytarz, zabrałaś mnie do sypialni i kochaliśmy się.

– Potem zasnęliśmy i spaliśmy aż do teraz. Nie oglądaliśmy telewizji, nie rozmawialiśmy. Tylko to, co ci powiedziałam.

– Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Zrób tak, jak powiedziałam, wyjaśnię ci, gdy tylko będę mogła – wyszeptała mi na ucho i pocałowała mnie w szyję.

Długi, powolny pocałunek, niczym zaliczka umowy z mnóstwem zer.

Zanim mogłem naciskać dalej, zadzwonił telefon. Był to bardzo uprzejmy inspektor, który łagodnym głosem poinformował mnie o śmierci Toma i poprosił, byśmy przyjechali na komisariat przy Lincoln Avenue, bo muszą zadać nam kilka pytań, i niedługo podjedzie po nas radiowóz. Nie

miałem wtedy czasu, by domagać się od Iriny dalszych wyjaśnień, i dlatego musiałem to zrobić teraz.

– Muszę wiedzieć, co powiedziałeś policji – mówi.

– A ja muszę wiedzieć, dlaczego poprosiłaś, żebym kłamał.

– Musiałaś im to powiedzieć, żeby nasze wersje się zgadzały.

Nasze wersje. Dlaczego nagle mówi jak postać z *CSI*?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Irina kręci głową.

– Gdybyś im powiedział, że oglądaliśmy film, grali w karty albo słuchali muzyki, zapytaliby cię, jaki film, kto wygrał w karty i jakich piosenek słuchaliśmy.

– No tak. A nie mogą nas zapytać o to, jak się kochaliśmy. Całe szczęście, bo nie potrafilibyśmy na to odpowiedzieć.

Słyszając to, wierci się na ławce.

– To był cios poniżej pasa, Simon. Zupełnie do ciebie niepodobny.

Seks od początku był kłopotliwym tematem. Powiedziała mi, że dla niej byłoby to trudne, że ma za sobą traumatyczne doświadczenie i że otwarcie się na fizyczną intymność będzie ją trochę kosztować. Od początku kładła na to duży nacisk, więc wiedziałem, na czym stoję. Zapewniłem ją, że będę cierpliwy, że zachowam się jak przystało na dżentelmena i pozwolę, by wszystko wydarzyło się w sposób naturalny. Teraz nie mam prawa narzekać.

Nagle czuję się bardzo brudny.

– Masz rację, przepraszam – mówię, spuszczaając głowę.

Irina milczy przez kilka sekund, wystarczająco długo, żeby poczucie winy zrobiło swoje, po czym obiecująco kładzie rękę na moim udzie. Blisko kolana, ale przez materiał spodni i tak czuję ciepło jej dłoni i serce mi podskakuje.

– Muszę wiedzieć, co powiedziałeś policji, Simon – powtarza.

– To, o co prosiłaś.

Oddycha z ulgą. Ją przesłuchiwali w pierwszej kolejności, chociaż jej przesłuchanie było bardzo krótkie. Koniec końców to ja miałem motyw.

– Próbowali ci sugerować, że robiliśmy coś innego? Wypytywali o szczegóły?

– Zapytali, czy oglądaliśmy telewizję i jaką piżamę na sobie miałaś.

– Wiedziałam – mówi, zagryzając dolną wargę.

– Jak to wiedziałaś? Skąd wiesz tego typu rzeczy? A nie lepiej byłoby powiedzieć prawdę?

Patrzy na mnie. Myśli pływają za jej oczami, niczym ryby pod zielonym lodem: poza zasięgiem.

– Posłuchaj, Simon, nie mogę ryzykować, że odeślą mnie do Ukrainy. Mogą to zrobić w każdej chwili, mogą cofnąć mi wizę.

– Nie mogą cofnąć ci wizy, jeśli niczego nie zrobiłaś.

– Nie rozumiesz.

– No to mi wyjaśnij.

Chce coś powiedzieć, ale powstrzymuje ją czyjś płacz. To mały chłopiec, który biega między pawilonem a jeziorem kilka metrów od nas. Przystaje, rozgląda się na wszystkie strony i znowu płacze. Wygląda na to, że w pobliżu nie ma dorosłego, który by za niego odpowiadał.

Jako biały Amerykanin mam surowy zakaz społeczeństwa, żeby podejść i pomóc temu dziecku, ale Irinę nie obowiązują te ograniczenia. Odstawia kubek z kawą, wstaje i rusza do niego.

– Wszystko dobrze, malutki? – pyta, przyklękając, żeby jej głowa znalazła się na równi z głową dziecka.

– Zgubiłem moją mamę. Nigdzie jej nie widzę i nie widzę żadnego policjanta.

– Nie martw się. Ja nie jestem policjantką, ale mogę ci pomóc, tak? Znasz numer telefonu swojej mamy?

Chłopiec wyciąga rękę i pokazuje bransoletkę z wygrawerowanym numerem.

– Tutaj jest.

Irina dyktuje mi numer, a ja dzwonię do matki. Niespełna minutę później na ścieżce przy jeziorze pojawia się zrozpaczona kobieta.

– Dzięki Bogu, że nic ci nie jest, Tyler. Strasznie się martwiłam – mówi, przytulając go i biorąc na ręce.

– Był bardzo dzielny – podkreśla Irina.

– Dziękuję wam obojgu, że zadzwoniliście – mówi matka. Czuje się winna, że dwójka nieznajomych znalazła jej syna. – Zawsze ucieka, już nie wiem, co mam z nim robić. Przysięgam, że tylko na chwilę spojrzałam w drugą stronę, i...

– Dzieci są szybkie – zauważam, nie przywiązując do tego wagi.

– Lubie biegać – mówi Tyler, powstrzymując ziewnięcie.

Irina podchodzi do chłopca i mówi:

– Bieganie jest przydatne. Ale trzymaj się blisko mamy.

– Pozwólcie, że zaproszę was na kawę, za fatygę – mówi matka, sięgając do torebki.

– Wykluczone. To była przyjemność – odpowiada Irina.

Chłopiec żegna się, machając rączką i uśmiechając się, a Irina odwzajemnia gest i uśmiech. Kiedy dziecko i matka odchodzą, Irina gładzi skórę pod lewym okiem, dokładnie tam, gdzie ma bliznę.

Patrzę na nią ukradkiem i myślę, że serce mi zaraz eksploduje od tego, jak bardzo jestem w niej zakochany. Wiem, że jest coś, o czym mi nie mówi, ale na pewno jest na to dobre wytłumaczenie.

Musi być.

– To był bardzo długi dzień i oboje jesteśmy wyczerpani. Poza tym za kilka godzin zaczynam zmianę. Chodźmy do domu – prosi mnie Irina.

Wracamy na ulicę i podnoszę rękę, by zatrzymać taksówkę. Kiedy wsiadamy i podaję kierowcy adres, Irina odwraca się zaalarmowana i patrzy przez okno.

– Co się dzieje?

– Zostawiłam kawę na ławce.

Kładzie rękę na klamce, ale nie zdąża wysiąść. Kierowca, Hindus pasujący do ogłuszającej muzyki w pojeździe, już ruszył.

– W domu zrobię ci drugą kawę – mówię, przekrzykując sitar i bębny.

Ona wydaje niecierpliwe westchnienie.

– Nie o to chodzi. To... Nieważne.

Ale wyraz jej twarzy wskazuje na coś zupełnie innego, a fakt, że nie odrywa wzroku od szyby, dopóki nie skręcimy, też nie pomaga.

Zastanawiam się, dlaczego, do cholery, ten kubek kawy jest taki ważny.

5

REGAŁ

Kiedy przychodzimy do domu, moja stopa nie musi odsuwać żadnego OSTATNIEGO WEZWANIA, które wrzucono do szpary w drzwiach, tylko reklamę Joe's. Salon bardzo się zmienił. Teraz stoją w nim sofa, dwa stoliki kawowe i lampa. Wszystko z Ikei, kupione za osiemset dziewięćdziesiąt siedem dolarów z pół miliona od Infinity. Na czas trwania testu polowego przyznaliśmy sobie skromną pensję, która w moim przypadku prawie w całości poszła na raty hipoteki i kilka zaległych rachunków. Ale jeśli nie przejdziemy testu, banki zabiorą to wszystko. Chociaż, jak Tom zawsze mówi...

Mówił.

Po powrocie do domu doznałem ataku normalności, jak gdyby wydarzenia z ostatnich godzin nie miały miejsca. Ale nie, Tom już nic nie mówi i nigdy nie powie. Już nigdy więcej tu nie przyjedzie, nie będzie już grał w UNO na schodach przy wejściu, robiąc wszystko, byśmy nie zostali zdominowani przez Arthura, który jest prawdziwym rekinem. Już nigdy nie poklepie mnie po plecach ani nie nazwie dragalem.

Już nigdy więcej się nie pokłócimy.

Opadam na sofę i zaczynam płakać. Grube, gęste, bolesne łzy. Irina, która weszła za mną i właśnie zdejmowała płaszcz, podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

– Przykro mi z powodu Toma, Simon – mówi.

Wreszcie.

– W każdym innym momencie – odzywam się, nie przestając płakać – w innych okolicznościach mógłbym to jakoś zrozumieć. Ale teraz... Wszystko szło dobrze. Mieliliśmy tyle planów.

Irina głaszcze mnie po włosach i przesuwając dłoń po karku, starając się mnie uspokoić.

– Śmierć nie przychodzi wtedy, kiedy ci to pasuje, Simon. Śmierć przychodzi wtedy, kiedy przychodzi. W moim kraju jest... jak się nazywa takie mądre zdanie, które powtarzają babcie?

– Porzekadło.

– Właśnie. W moim kraju jest takie porzekadło, które mówi: „Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach”. Nie mogłeś przewidzieć tego, co miało spotkać Toma, tak samo jak trzy miesiące temu nie mogłeś wiedzieć, że dziś będę siedzieć na twojej sofie.

– Nawet nie miałem wtedy sofy. Siadaliśmy na tych okropnych drewnianych skrzynkach, które cuchnęły jabłkami.

– Prawda, że ładnie się prezentują przy wejściu?

Irina polakierowała i skleila wszystkie skrzynki po jabłkach, tworząc coś w rodzaju regału, który ona nazywa postindustrialnym. Byłem jednak w tej sprawie bardzo stanowczy i mebel długo tu nie postoji.

– Nie chodzi tylko o plany, jakie mieliśmy. Nie mogłem się z nim nawet pożegnać tak, jak na to zasługiwał.

Nie powiedziałem Irinie, że Tom otwarcie sprzeciwił się naszemu związkowi, chociaż po tym, co się stało, kiedy przedstawiłem mu ją w biurze, chyba nie było to konieczne.

– To nie twoja wina – mówi Irina. Nagle smutnieje. Wydaje się wręcz, jakby mówiła do samej siebie, a nie do mnie. – Nigdy nie wiesz, kto znajdzie się na twojej drodze i zapuka do twoich drzwi.

Akurat w tym momencie rozlega się dzwonek u drzwi i napędza nam niezłego stracha. Na szczęście to tylko Marcia, która przyniosła kilka teczek. Przytulam ją i zapraszam do środka.

– Jak się czujesz, Simon? Cześć, Irina.

Ona odwzajemnia powitanie Marcii.

– Jestem załamany. Wciąż nie mogę pojąć, co się stało. Usiądź.

Irina przeprasza, mówi, że musi się przebrać i iść do pracy.

– Przyniosłam kilka raportów z testów, jakie zrobiła dziś LISA – mówi Marcia, kiedy Irina jest już na schodach prowadzących na piętro.

Rzucam okiem na liczby (które są dość rozczarowujące) i oboje komentujemy kilka zmian, chociaż żadne z nas nie może się skupić na pracy.

– Płaskie powierzchnie nadal stwarzają mnóstwo problemów – stwierdza Marcia.

– Gdybyś widziała, ile się napociłem z pudełkiem zapalek, które wyjął Myers w dniu prezentacji. A Tom powiedział: „Jeśli nie chce pan w to wejść, znajdziemy kogoś innego”. Powiedział tak samemu Zachary’emu Myersowi!

– Serio?

– Jakby inwestorzy ustawiali się do nas w kolejce.

– Typowy Tom.

Oboje się śmiejemy; to niezręczny, zmęczony śmiech, który traci życie na długo, zanim ucichnie. Śmiech Marcii załamuje się wcześniej niż mój. Roni łączy i wyciera ją chusteczką, którą nosi w kieszeni kurtki. Sądząc po jej zaczerwienionych oczach, nie jest to pierwsza łza.

– Zastanawiam się, co się, do cholery, stało – mówi.

– Policja z tobą rozmawiała?

– Tak, w biurze zadawali różne pytania.

– Jak tam nastroje?

– Źle. Z szacunku dla Toma powinnam była dać wszystkim dzień wolny, ale potrzebujemy każdej minuty, żeby ulepszyć Lisę przed testem polowym. Pomyślałam, że Tom właśnie tego by chciał.

Otwieram usta, by jej powiedzieć, że Tom chciałby żyć do sto trzydziestego roku życia i odejść podczas imprezy z sześcioma modelkami z okładki „Sport Illustrated”, ale zamiast tego mówię:

– Tak, tego by chciał. Dzięki, Marcia.

Ona dyskretnie wydmuchuje nos.

– Przez cały dzień próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Byłam na komisariacie, żeby pomóc im w sprawie Toma.

– Musiałeś tam zeznawać?

– O to mnie poprosili.

– Przez cały dzień?

Wzruszam ramionami.

Marcia milczy, nagle zrobiła zamyśloną minę. Przypuszczam, że właśnie dodała dwa do dwóch i doszła do tego samego absurdalnego wniosku, co inspektorzy Freeman i Ramírez. Że sprzeczka między dwoma bliskimi przyjaciółmi dotycząca sprawy osobistej mogła eskalować i zamienić się w walkę o kontrolę nad firmą potencjalnie wartą miliony.

Niezadane pytanie zawisa między nami w powietrzu, zamieniając je w błoto. Nasze nogi muskają się na sofie i Marcia zabiera swoją niepostrzeżenie, możliwe, że to tylko odruch, a może zrobiła to celowo. To tylko parę milimetrów, ale czuję, że odsunęła się ode mnie o wiele kilometrów.

– Ja tego nie zrobiłem, Marcia – mówię. I natychmiast, w jednym z tych wielkich przejawów inteligencji emocjonalnej, które uczyniły mnie sławnym na całym świecie, uśmiecham się.

Efekt musi być straszny. Do tego wręcz stopnia, że kiedy Marcia usiłuje zrobić to samo, udaje jej się tylko wykrzywić usta w takim uśmiechu jak ktoś, kogo uśmiechania uczono na diagramach.

– Jasne, że nie. To nonsens. Uwielbiałeś Toma.

– Wczorajszej nocy byłem w domu z Iriną.

– Oczywiście.

Rozgląda się wokół, rozpaczliwie szukając nowego tematu do rozmowy. Wreszcie jej spojrzenie chwyta się brzytwy w postaci nowej dekoracji.

– Zdaje się, że ta dziewczyna wprowadziła nieco zmian.

– Tak, Irina ze wszystkim mi pomogła. To tylko Ikea, ale mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli sobie pozwolić na coś lepszego.

Nawet ja zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Marcia wstaje, nie zabierając nawet swoich teczek, i pospiesznie rusza do drzwi.

– Podoba mi się regał z drewnianych skrzynek, który postawiliście przy wejściu. Bardzo ładnie pachnie.

– Tak, Irina to zrobiła, to mój ulubiony mebel.

– No dobrze, Simon, będę się zbierać. Carla na mnie czeka.

– Jasne.

I natychmiast niezobowiązująco dodaje:

– Powiedziałam jej, że wpadnę do ciebie w drodze do domu.

Tylko brakuje, żeby dodała: „Na wypadek gdyby przyszło ci do głowy mnie zabić, tak jak Toma”.

Pospiesznie schodzi z portyku i wsiada do swojego samochodu tak prędko, że byłoby to komiczne, gdyby nie fakt, że rzekomym mordercą, przed którym ucieka, jestem ja.

Przychodzi Irina. Świeżo po prysznicu, delikatny makijaż, jasne dżinsy i czarna koszulka z logo Foley's na plecach. Na ramieniu ma swój nieodłączny podniszczony plecak, który zdaje się mieć za sobą tysiące kilometrów. Przystaje, by przejrzeć się w lustrze przy wejściu, napusza dłonią włosy, mówi coś po ukraińsku, co brzmi jak przekleństwo, i w końcu związuje je w koński ogon.

- Dasz sobie radę?
- Tak, nie przejmuj się.
- Nie mogę zostać. Nie chcę stracić pracy.
- Idź. Nic mi nie będzie.

Żegna się i wychodzi do swojego samochodu, białej toyoty prius, używanej, którą kupiła, żeby móc jeździć do pracy.

Niech odnotują to policjanci i ci, którzy uważają, że Irina kocha mnie z powodu moich pieniędzy. Jeśli nie uda mi się poprawić procentu trafień Lisy, prawdopodobnie cała nasza trójka, łącznie z Arthurem, będzie musiała mieszkać w tym samochodzie.

Wtedy uzmysławiam sobie, że od kilku dni nie widuję brata. Dobrze mi zrobi zobaczenie przyjaznej twarzy, tak dla odmiany, więc biorę klucze i idę spacerem do Ośrodka Caulfield. O tej porze powinien być już po kolacji.

Kiedy przychodzę, witam się z recepcjonistką. Mówią mi, że Arthur jest w swoim pokoju. Po drodze biorę kanapkę z automatu. Po wyjściu z windy widzę go przez otwarte drzwi, siedzi przy biurku zaabsorbowany.

Buduje model samolotu, F-14 Tomcat, identyczny z tym, który Tom Cruise pilotował w *Top Gun*, i to już chyba trzeci, który powiesi w tym zagraconym pokoju. Gdy tylko mnie zauważy, rozpromienia się i biegnie, by mnie uścisnąć. Cuchnie klejem montażowym, ale ten uścisk to najlepsze, co spotkało mnie przez cały dzień.

- Simon! Zagrasz ze mną w szachy?
- Jestem wyczerpany, Arthur.
- A w UNO?
- Dobrze, ale tylko jedna partyjka.

Ostatecznie są to trzy partyjki. Udaje mi się wygrać jedną z nich, ale wkładam w to ogromny wysiłek. Arthur trochę się nudzi, jest w tym zbyt dobry.

– Daj mi znać, jak przyjdzie Tom. W trójkę gra się fajniej. Obiecujesz?

Tom traktuje UNO tak poważnie, że potrafi spierać się z Arthurem do ostatniego ruchu. Kiedyś...

Traktował.

Muszę zagryźć sobie wewnętrzną stronę policzków. Nie chcę rozplakać się przy bracie. Nie zamierzam mu też mówić o tym, co się stało. A przynajmniej nie dziś. Arthur tak bardzo kocha Toma. Gdybym zobaczył, jak łamie się jego serce, moje złamałoby się jeszcze bardziej.

– Simon, obiecujesz?

Obiecuję mu.

Żegnam się z bratem i aż do ulicy udaje mi się trzymać w sobie złość. Pokonuję jedną przecznicę i w końcu wyładowuję wściekłość, kopiąc kontener na śmieci pokryty tłustymi plamami i badziewnym graffiti.

– Dlaczego?! Kurwa!

Gruby, łysy mężczyzna w eleganckim dresie spacerujący ze swoim mopsem przechodzi na drugą stronę ulicy i grozi, że wezwie policję.

W tym momencie dzwoni telefon. A kiedy patrzę na identyfikator dzwoniącego, wiem, że – choć trudno w to uwierzyć – ten dzień może być jeszcze gorszy.

6

GARAŻ

– Tak?

– Simon.

Ojciec Toma zachowuje długą, ciężką ciszę. W kontenerze na śmieci słyhać *kling kling* jakiejś butelki, która nie zdążyła się jeszcze ułożyć po moim ataku. W krzakach cykady zaczynają śpiewać swój wielki przebój *kri kri kri*. Niektóre zraszacze uruchomiły się już ze swoim *czak czak czak*, ale ojciec Toma czeka w milczeniu, a ja nie wiem, co robić.

– Niełatwo mi to powiedzieć – odzywa się w końcu.

Ból, jaki odczuwa, przenika przez telefon niczym toksyczne promieniowanie. Doświadczył najokrutniejszej straty, jakiej można doznać, czyli śmierci dziecka, odrzucenia ciągłości i nadziei. Nie ma sposobu na otrząśnięcie się z czegoś takiego, a ja nie mogę zaoferować mu pocieszenia, które nie istnieje. Egoistycznie chcę tylko, żeby się rozłączył i zostawił mnie w spokoju. Tak więc mówię to, co zwykle się mówi w takich sytuacjach.

– Thomas, jeśli jest coś, co mógłbym...

– Dla ciebie pan Wilson – przerywa mi.

A więc po sześciu latach i sześciu wigilijnych kolacjach u niego w domu (na czterech z nich powiedział mi, że należę do rodziny) wyskakuje z czymś takim.

– Rozmawialiśmy dziś z policją. – Mówi robotycznym głosem, robi długie pauzy między poszczególnymi słowami i jeszcze dłuższe między zdaniami. – Zadali mi bardzo dużo pytań.

– Rozumiem – mówię, nagle zaalarmowany.

– Wypytywali o ciebie, Simon. O twoje relacje z Tomem.

Jest gorzej, niż sądziłem. Muszę prowadzić tę rozmowę z wielką ostrożnością, zręcznie, spróbować się czegoś dowiedzieć.

– Aha.

Dobrze mówisz, Simon.

– Pytali mnie też o testament.

– Thomas. Panie Wilson, ja...

– Nic nie wiedziałem o tym testamencie.

– Przypuszczam, że Tom nie...

– Szczerze mówiąc, to bardzo zaskakujące.

– Panie Wilson.

– Zaskakujące, że to ty jesteś beneficjentem, a nie jego rodzina.

– Panie Wilson.

– Człowiek zaczyna sobie zadawać pytania.

– Panie Wilson, proszę mnie wysłuchać. Jeśli o mnie chodzi i niezależnie od tego, co jest napisane w umowie z Infinity, udział w firmie należy do pana i pańskiej żony. Ja jestem tylko zobowiązany do...

– Wszystko mi jedno, co się stanie z tymi pieniędzmi. Nie chcę tylko, żeby ktoś, kto skrzywdził Toma, zyskał na śmierci mojego syna.

– Panie Wilson, ja nie...

– Nie wiem, co wykaże śledztwo. Ja wyciągnę własne wnioski. Chcę tylko, żebyś wiedział, że jeśli się dowiem, że to byłeś ty, przyjdę do twojego domu i cię zabiję.

Rozłącza się.

– Panie Wilson – mówię jeszcze raz do zraszaczy, do cykad w krzakach, do kontenera i starca w dresie, który wraca ze spaceru, nie spuszczając ze mnie oka.

Staram się znaleźć określenie definiujące amalgamat uczuć, które sprawiły, że stoję jak wmurowany na środku chodnika. Jest gniew, jest złość, jest niepokój, jest smutek. Z powodu niesprawiedliwych podejrzeń,

z powodu śmierci Toma, z powodu finansowej przyszłości, z powodu nieobecności mojego przyjaciela. Wszystkie walczą o przejęcie kontroli, jak w tym filmie Pixara.

Na końcu jest jednak uczucie, które wygrywa i toruje sobie drogę, depreczując pozostałe i przyczyniając się do powstania w moim gardle potężnej guli.

Strach.

Ojciec Toma nie groził mi krzykiem, starając się mnie zastraszyć albo wydobyć ze mnie jakąś reakcję. Ograniczył się do poinformowania mnie (niczym prezenter pogody, który przekazuje, że jutro będzie gorąco), że jeśli on uzna, że to ja jestem winny, zabije mnie.

Jeszcze nigdy w życiu tak strasznie się nie bałem.

Oddychaj, Simon.

Nie zabiłeś Toma.

Nic nie może ci się stać.

Ale skłamałeś na policji.

Ale Irina też nie zabiła Toma.

Czy ktoś inny mógł zabić Toma?

Ktoś, kto miałby interes w tym, żebyś wyglądał na winnego?

O co zapytał Freeman? Czy mam pistolet?

Mój ojciec miał pistolet.

Muszę wrócić do domu i się upewnić, że pistolet leży na swoim miejscu.

Że nikt go nie wzięł.

Biegnij do domu, Simon.

Moje uprawianie sportu ogranicza się do ciężarów, które podnoszę co rano, żeby potem nie bolały mnie plecy od tylu godzin spędzanych przed komputerem. Nie są to prawdziwe hantle, tylko dwa dziesięciokilogramowe worki z piaskiem, do których taśmą izolacyjną przymocowałem prowizoryczne uchwyty. Ale moje stopy od czasów szkolnych nigdy nie odrywają się od ziemi w tym samym czasie. Dlatego docieram do domu z językiem na wierzchu i z koncertem perkusyjnym w klatce piersiowej.

Nie mam klucza od garażu, więc wchodzę przez kuchnię i po omacku włączam światło.

Zaglądam tu jak najrzadziej, do tego gąszczy zakurzonych kartonowych pudeł, do których schowałem wszystkie rzeczy rodziców. Nie ma tu nic więcej oprócz papierów i starych rupieci, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie przyszedłem tu nawet po to, by sprawdzić, czy mógłbym coś sprzedać w najgorszych miesiącach, kiedy Arthur i ja prawie nie mieliśmy co do garnka włożyć. Przypuszczam, że jest tu coś, co mógłbym wystawić na eBayu, ale nie lubię wchodzić do garażu. To był teren mojego ojca.

Nienawidziłem mojego ojca.

Gdziekolwiek spojrzę, wciąż go widzę. Kupiony w częściach w Home Depot stół warsztatowy, przy którym spędzał tyle czasu, ile tylko mógł, żeby nie musieć oglądać syna, którego nie uważał za swojego. Lodówka, rano zawsze zapełniona piwami i pusta wieczorem. Kosz na śmieci, do którego wyrzucał opróżnione puszkę i w którym zachodził ten sam proces, co w lodówce, tylko na odwrót. Ława, na której siadał, żeby pić, udając, że pracuje nad jakąś naprawą.

Zawsze odosobniony, zawsze w swoim świecie. Z pracy do garażu, z garażu do sypialni.

Dość.

Szukaj pistoletu.

Biorę jedno z pudeł i zabieram się do dzieła, powstrzymując kichnięcie, kiedy po otwarciu chmura kurzu bucha mi w twarz.

„Okolo czterdziestu siedmiu procent kurzu, jaki jest w domu, to ludzka skóra. W każdym pyłku żyją dziesiątki roztoczy. Malutkie pajęczaki, które żywią się tym, co za sobą zostawiamy. Jak złe wspomnienia. Karmią się resztkami, wydzielinami i nigdy nie znikają”.

Szukam dalej.

Nie znajduję pistoletu.

Znajduję za to zdjęcie ślubne. To, które zawsze stało na jego stoliku nocnym. On, dumny, pewny siebie, pełen oczekiwań mężczyzna w białej marynarce, w stylu *Wielkiego Gatsby'ego*, popularnego wówczas filmu. Ona, dziewczynka, która uśmiecha się nieśmiało pod welonem, wyruszając na przygodę, która ją przerasta.

Wiele razy widziałem, jak patrzyła na to zdjęcie, kiedy ojca nie było w domu. Płakała w duchu, jak zawsze, w jedyny akceptowalny dla niej sposób. Zastanawiała się, co poszło nie tak. Zerknęła kątem oka w miejsce, gdzie bawiłem się z Arthurem, częściowo po to, by się upewnić, że nie widzimy, jak płacze, a częściowo po to, by znaleźć odpowiedź.

Kolejne pudło. W środku są tylko stare księgi rachunkowe. Woluminy w szarej oprawie, pełne wpisów i notatek napisanych drobnym, zdecydowanym pismem, cienkim jak nogi pająka.

Mój ojciec był księgowym.

Dla niego rzeczywistość dzieliła się na dwie kolumny. Kolumnę dochodów i wydatków. Na środku litera T, która oddziela oba światy, oś, wokół której muszą się owijać, żeby zyskać równowagę.

Dochody i wydatki. Koszty i zyski. Ojcowie i dzieci.

Człowiek, który był moim ojcem, zainwestował w moją matkę i efekt nie był taki, jakiego się spodziewał. Coś nienaturalnego. Coś okropnego.

Czy właśnie to go zmieniło? Czy to uczyniło z niego potwora? Że jego pierworodny, syn, któremu zamierzał dać swoje imię, mój starszy brat, okazał się jednym z tysiąca, negatywnym cudem? Czy właśnie to sprawiło, że został alkoholikiem, okrutnym człowiekiem?

Z pracy do garażu. Z garażu do sypialni.

Przez te ściany nie przenikały żadne hałasy. Następnego ranka nie było krzyków ani zauważalnych znaków. Nie pamiętam, kiedy moja matka zaczęła zawsze nosić długi rękaw, nawet latem.

Moje palce natrafiają na pudło pełne albumów ze zdjęciami. Mógłbym je otworzyć, prześledzić wstecz twarze i sposoby ubierania, aż dotarłbym do źródła. Zacząć od końca, od czasów, kiedy jego spojrzenie było puste i smutne, i powoli przenosić się do okresu światła. Patrząc, jak zmarszczone brwi powoli się wygładzają, jak kolor wraca na twarz, jak zapadnięte oczy na powrót błyszczą.

Nie.

Odkładałam albumy na bok. Włożyłam ogromny wysiłek w zedytowanie i oczyszczenie moich wspomnień, zamienienie ich w coś akceptowalnego. Jak w programie do edycji wideo: wycinałem i montowałem sceny z mojego życia, aż uzyskałem mało wiarygodną i podkolorowaną rzeczywistość. Ale koszt tego jest bardzo wysoki. Każde cięcie zostawia ślad, szczelinę, przez którą prześlizguje się to, kim naprawdę jesteś, i zostawia pustą skorupę, groteskową imitację, która mówi twoim głosem i porusza twoim ciałem. Zostawiłem na boku wyparte wspomnienia, ale ich nie wyrzuciłem ani nie spaliłem. Zgromadziłem je w kącie, by na mnie czekały, tworząc dla siebie pole minowe, przez które teraz muszę przejść, aż dotrę do tego, czego szukam.

Odsuwam kolejne pudło. Jestem w najdalszym miejscu garażu, przyklejony do ściany, na czworakach na gołym betonie. Za mną są wyłącznie pudła; wokół i nade mną również, kołyszą się nad moją głową, grożąc, że runą. Moja biała koszulka jest mokra od potu i pełna plam. Od wyjścia dzieli mnie cztery, może pięć metrów. Od wyjścia dzieli mnie piętnaście lat. Od wyjścia dzieli mnie niekończąca się ścieżka.

Zaglądam do ostatniego pudła.

To jest właśnie to pudło.

Wiem to, zanim je otworzę, ponieważ jest nieco inne, może trochę mniejsze, ale przede wszystkim dlatego, że (teraz sobie przypominam) kiedy sprzątałem dom po Wypadku, zacząłem od jego stolika nocnego, a więc to pudło było pierwszym, jakie przyniosłem do garażu.

Podnoszę klapy i jest tu wszystko. Etui na jego okulary; jego pióro Waterman ze złotą skuwką; podniszczony egzemplarz *Financial Statements* Ittelsona; zegarek Omega ze skórzanym paskiem; drewniane pudełko ze starymi pocztówkami (przedstawiającymi głównie kryte mosty, jego ulubione); brązowa koperta ze zdjęciami pornograficznymi; sześć długopisów promocyjnych z jego nazwiskiem i numerem telefonu do jego biura; pół tubki maści na hemoroidy; dwa cukierki eukaliptusowe, z tych, którymi próbował zamaskować oddech pijaka; kalendarz kieszonkowy z 1983 roku; koc elektryczny na bóle pleców; ciśnieniomierz z gumową pompką.

Skórzana torba o szerokości dwudziestu centymetrów, zamykana na suwak. Ciężka. Niebezpieczna.

Ciągnę za suwak, który przesuwam się delikatnie z głośnym rozdzierającym dźwiękiem, w miarę jak metalowe zęby otwierają się, by wypuścić zawartość torby.

Kula prześlizguje się przez otwór i toczy się po podłodze, wydając metaliczny hałas przy upadku. Pozostałe zostają w środku, luzem, wokół pistoletu.

Nie znam się za bardzo na broni. Wiem, że to rewolwer kalibru .38 i że nie ma zabezpieczenia. Pachnie stałą i tłuszczem i wygląda na to, że przez cały ten czas nikt go nie dotykał.

Oddycham z ulgą. To nie jest broń, z której zabito Toma. Nikt nie mógłby się dostać do tego labiryntu pudeł, nie wiedząc, w którym się dokładnie znajduje. A nagromadzony kurz świadczy o tym, że nikt nie ruszał tych rupieci od lat.

Właściwie nikt tu nie wchodzi. Tylko Irina, która parkuje samochód w tej części garażu bliżej bramy. Ja wolę zostawiać swojego starego cherokee na ulicy. Odkąd ludzie zaczęli się stąd wnosić, miejsca do parkowania jest aż nadto, a poza tym auto ma tak zużyte amortyzatory, że często wybieram autobus.

Zaczynam zbierać pudła, które porzuciłem po całym garażu, żeby Irina po powrocie mogła bez problemu zaparkować. Nagle zaczyna mi się strasznie spieszyć, by skończyć to jak najprędzej, więc stawiam jedne pudła na innych, wielu z nich nawet ponownie nie zamykam. Na rękach mam tyle kurzu, że karton ślizga mi się między palcami. Dalej ustawiam pudła, miażdżąc klapy i wystającą zawartość. Chcę tylko skończyć i stąd wyjść, na powrót zostawić to wszystko w przeszłości, do której należy.

Kiedy podnoszę jedno z ostatnich pudeł, słyszę metaliczny brzęk. To na pewno ta kula, która wypadła mi wcześniej. Szukam jej na podłodze i widzę, że potoczyła się aż do ciemnej plamy oleju. Podnoszę ją i zamierzam schować do skórzanej torby, kiedy nagle kapryśny blask żarówki zwisającej z sufitu oświetla łuskę.

Olej z podłogi zostawił ślad na kuli. Nie jest jednak czarny i oleisty, tylko czerwonawy. Lepki.

To nie jest olej.

Włączam latarkę w telefonie i podchodzę do plamy wielkości i w kształcie jajka sadzonego. W mocnym świetle LED wydaje się czarna w porównaniu z szarawo-brązowym betonem. Macam palcem wskazującym jak przedszkolak na zajęciach plastycznych. I znajduję miejsce, które nie jest jeszcze całkiem suche. Pocierając palce w świetle latarki, nie mam już wątpliwości.

To krew. Ludzka krew. Od jak dawna może tu być?

Niezbyt długo, nawet w tak wilgotnym i zimnym miejscu jak garaż z oknem, które nie zamyka się do końca.

Krew, ale... czyja?

Jestem tak bardzo pogrążony w myślach, że nie słyszę samochodu na podjeździe, aż jest już za późno. Brama garażowa zaczyna się otwierać z trzaskiem i stukotem, w miarę jak silnik na suficie ciągnie łańcuchy.

Przerażenie zmusza mnie do zatarcia śladów tego, co robiłem. Odsuwam się od plamy, chwytam pudło i stawiam go na niej. Kiedy pod bramą widać połowę sylwetki auta w świetle reflektorów, uświadamiam sobie, że rewolwer wciąż leży na jednym z pudeł, a skórzana torba obok niego.

Jedną ręką wpycham torbę do pudła, podczas gdy drugą chowam pistolet za plecy, między pasek a slipki. Wyciągam koszulkę na wierzch, żeby nie było widać rękojeści.

Samochód wjeżdża z rykiem silnika, a ona hamuje metr wcześniej niż zwykle, żeby mnie nie potrącić. Zderzak zatrzymuje się dwa centymetry od moich kolan.

Widziała mnie?

Irina obserwuje mnie przez przednią szybę ze zmarszczonym czołem. Kiedy wysiada, jej wyraz twarzy nie ulega zmianie.

– Wcześniej wróciłaś, co? – mówię.

– Simon, jest trzecia nad ranem. Co ty tutaj robisz?

– Nie mogłem spać. Pomyślałem, że trochę tu posprzątam.

Wskazuje na moją brudną koszulkę i spocone włosy przyklejone do czoła.

– Wyglądasz okropnie. Idź do łóżka – mówi. – Zaparkuję porządnie i zamknę bramę.

Powoli wycofuję się do kuchni. Nie chcę odwrócić się do niej plecami. Nie chcę, by zobaczyła wybrzuszenie między spodniami a koszulką. Nie da się tego jednak zrobić w sposób naturalny. Próbuję się uśmiechnąć i macham ręką, jakbym życzył jej dobrej nocy. Irina nie przestaje na mnie patrzeć.

Wyraz jej oczu znowu jest nie do rozszyfrowania. Znowu ten zielony lód, pod którym wiją się cienie.

*Dwieście kilometrów na północ
od Magnitogorska, Rosja*

Listopad 2004

Siedząc w drzwiach domu, starzec obserwował absurdalną zjawę, która właśnie wyłoniła się zza zakrętu.

Może nazywanie domem tej starej, opuszczonej stacji telekomunikacyjnej jest nazbyt eufemistyczne, ale tam od trzynastu lat mieszkał starzec, porzucony i zapomniany, jak jeden z wielu odpadków po zimnej wojnie, które zamieciono pod dywan. Musiał już dawno przejść na emeryturę, ale nikt nie przysłał mu żadnego listu, a jeśli przysłał, to on o tym zapomniał. Musieli go jednak pamiętać, przynajmniej trochę, ponieważ wciąż, raz na jakiś czas, przysyłano zaopatrzenie.

Antena z jednej strony domu była uszkodzona jeszcze przed upadkiem muru berlińskiego, tak mu powiedział jego poprzednik. Nikt nigdy jej nie naprawił ani nie dano starcowi żadnych instrukcji, jak to zrobić, ani nie miał potrzebnych elementów. Pewnie stopił ją piorun, domyślał się starzec. W październiku i kwietniu burze były gwałtowne i częste.

Betonowy sześcian, który służył za dom, wyglądał jak zabawka rzucona ze złością (po jednej stronie zapadnięta bardziej niż po drugiej) przez dziecięcego i kapryśnego boga na sam środek jednolitego krajobrazu; zabawka, której proste linie zupełnie nie pasowały do dzikiego piękna gór i lasu, znajdujących się za plecami. Mogło się tam pomieścić kilku żołnierzy, ale starzec był sam i nie przeszkadzało mu to. Nie przyjmował też gości ani żadnych rozkazów, a drugiego człowieka nie widział od sześciu lat (ostatni raz, kiedy udał się do rodzinnego Magnitogorska), z wyjątkiem Fani Borysowny, grubej kierowczyni furgonetki, która

przywoziła mu zaopatrzenie przysyłane przez oddział w mieście, wykonywała nieoficjalne zlecenia i osobiście pomagała mu w innych, coraz rzadszych potrzebach. Jego życie składało się z prostych, zwyczajnych czynności, które wypełniały mu czas między jedną dawką narkotyku a drugą.

I jemu to wszystko nie przeszkadzało.

Gdy wyłoniła się zza zakrętu, dziewczynka zobaczyła starca siedzącego w drzwiach domu. Nawet z pewnej odległości zauważyła, że jest pijany albo naćpany. Kiedy podeszła do niego i ujrzała jego małe źrenice i powolne ruchy rąk i głowy, zrozumiała, że chodzi o to drugie.

– Kim jesteś? – zapytał starzec bardzo powoli.

– Gdzie trzymasz zwierzęta? – odpowiedziała dziewczynka.

Starzec usiłował wskazać w stronę tylnego wejścia, lecz zdołał jedynie wykonać spazmatyczny ruch ramieniem. Dziewczynka zobaczyła leżącą obok niego folię aluminiową, zapalniczkę i strzykawkę. Miała do czynienia z wieloma narkomanami i aż za dobrze wiedziała, jak wygląda ten proces, rozumiała więc, że już jakiś czas temu wstrzyknął sobie heroinę, a teraz haj mijał i mężczyzna zaczynał reagować.

– Może popada – powiedział starzec.

Dziewczynka go zignorowała i ruszyła na tyły domu. Tam znalazła szeroką na kilka metrów dobudówkę z drewna, pokrytą uralitem i uszczelnioną tworzywami sztucznymi – niewidzialną z drogi i całkowicie wbrew wojskowym przepisom. W środku znajdowała się prowizoryczna zagroda: kurnik z kwokami i kojec, w którym mogła zostawić świnie. Dała jej jedzenie i wodę. Gdy wróciła do przedniej części domu, przekonała się, że starzec jeszcze się nie ruszył.

Pokręciła się wokół, aż znalazła coś, co było jej potrzebne do zrealizowania planu, choć wiedziała, że przysporzy jej to sporo problemów.

Musiała dobrze wybrać moment, inaczej poniesie klęskę.

Nie przestając myśleć o swoim planie, weszła do domu w poszukiwaniu kuchni. Wzięła trochę mąki, którą znalazła w worku, usmażyła ją z olejem na kuchni kaflowej, a potem dodała suszoną wołowinę oraz kilka małych, niekształtnych kiełbasek, które znalazła wiszące na sznurku.

Jelito nie było dobrze zawiązane i wiedziała, że starzec zrobił je samodzielnie, choć nie miał w tym wprawy.

„Gdyby Tato zobaczył te kiełbasy, byłoby mu wstyd”, pomyślała dziewczynka.

Właśnie kończyła nakrywać do stołu, kiedy starzec chwiejnym krokiem wszedł do środka.

– Coś ty, do cholery, za jedna?

Dziewczynka wskazała talerz naprzeciwko niego. Starzec spojrzał na niego z rosnącym oburzeniem, ale musiał dojść do wniosku, że koniec końców nie ma nic innego do roboty.

Kolację jedli w milczeniu, małymi, powolnymi łykami, przyglądając się sobie nawzajem. Starzec ze zmarszczonymi brwiami, ona z rozczarowaniem. W ogóle nie przypominał mężczyzny ze zdjęcia. Teraz miał wysuszoną skórę, nos pełen żyłek niczym mapa drogowa, a łysa głowa była usiana strupami, takimi samymi, jakie pojawiają się na grzbietach osłów, kiedy są za bardzo obciążone.

– Dlaczego nie przyjechała Fania Borysowna? – zapytał starzec.

– Ja przyjechałam – odparła dziewczynka.

– A kim ty jesteś?

– Irina Badia.

Starzec przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Jego przytępiony narkotykami mózg miał trudności, żeby znaleźć w archiwum odpowiednią teczkę. Kiedy mu się to udało, wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

– Córka hodowcy świń. Myślałem, że jesteś starsza.

Dziewczynka powstrzymała wzdrygnięcie.

– Nie jestem nią. Jestem jej siostrą.

– Jak mnie znalazłaś?

– Pytając tu i tam.

– A jak tu trafiłaś spod Karpat?

– Pieszko.

Starzec prychnął z niedowierzaniem.

– To ponad dwa i pół tysiąca kilometrów.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i dalej przeżuwała wołowinę, zapatrzona w języki ognia w kuchni kafłowej, które próbowały się wydostać przez poczerńiałe fajerki. Nie było sensu z nim rozmawiać, biorąc pod uwagę to, co miało się stać, ale następne pytanie było nieuniknione.

– A co, do cholery, robisz tak daleko od swojego domu, Irina Badia?

– Mój ojciec umarł.

– A co ja mogę dla ciebie zrobić?

– Nic. W takim stanie mi się nie przydasz – stwierdziła po prostu.

Zaintrygowany tą odpowiedzią starzec przez dłuższą chwilę zadawał kolejne pytania. Ku jego irytacji dziewczynka nie dodała nic więcej. Skończyła posiłek, sprzątnęła ze stołu i zabrała się do zmywania.

Starzec zamierzał wydobyć z niej odpowiedzi biciem, ale mu się nie chciało.

– Nie wiem, czego się spodziewałaś, ale tutaj nie ma nic dla ciebie. Musisz odejść – powiedział, kiedy dziewczynka skończyła i starannie powiesiła ścierkę na gwoździu nad kuchnią. – To nie miejsce dla smarkuli.

Spodziewał się protestów albo błagań, ale ta dziwna dziewczynka tylko skinęła głową i zapytała grzecznie:

– Mogę zostać tylko na tę noc?

Starzec pomyślał o zapowiadanych tej nocy jedenastu stopniach poniżej zera, o wietrze ostrym jak nóż, przed którym płaszcz przeciwdeszczowy dziewczynki zapewniłby jej taką samą ochronę jak chusteczka.

– Odejdiesz jutro.

Dziewczynka położyła się na podłodze w pobliżu kuchni kaflowej, zamknęła oczy i czekała.

Minęło sporo czasu, kiedy w oddali usłyszała chrzęst folii aluminiowej, odgłos zapalanej zapalniczki i charakterystyczne stukanie opuszkami palców o skórę w poszukiwaniu coraz trudniejszych do znalezienia żył.

Zaczekała jeszcze trochę.

Bała się, że starzec nie położy się znowu ze względu na to, że ona tu jest, ale emocje z ostatnich godzin niewątpliwie musiały mieć na niego wpływ, a może nadszedł jego czas. Dziewczynka widziała mnóstwo heroinistów w opuszczonych budynkach za stacją Niezależności i niewielu było takich, którzy nie szprycowali się na dobranoc, mała wlewka przed snem.

Oceeniła, że ma niewiele czasu, jeśli chce wykorzystać moment, w którym narkotyk sprawi, że stanie się najbardziej bezbronny. Wstała i pobiegła do zagrody, gdzie zostawiła sznurek od świni, tuż przy drzwiach. Zwierzęta wystraszyły się, gdy weszła do środka. W głębi zobaczyła plastikowe wiadro, które również wzięła.

Wróciła do domu i ruszyła do starca, który leżał na pryczy w swoim pokoju. Zwleczenie go na podłogę było proste, ale od tego momentu zaczęły się problemy. Starzec machał trochę rękami, kiedy przełożyła mu

sznurek pod pachami, ale później się uspokoił. Przeciągnięcie go po podłodze było znacznie bardziej skomplikowane. Ważył o wiele więcej, niż wskazywał na to jego wąły wygląd, i dziewczynka potrzebowała ponad pół godziny, żeby zaciągnąć go do wyjścia i pokonać schodki. Na zamarznętej ziemi wszystko okazało się nieskończenie trudniejsze. Każde pociągnięcie było torturą, każdy centymetr – tryumfem.

Pomimo zimna ociekała potem, który zamarzał jej na plecach, sprawiając, że było jej coraz ciężej. Kiedy zdołała skrócić za budynkiem, naprzeciwko zagrody zobaczyła otwarte drzwi betonowej kazamaty. Kiedyś przechowywano w niej narzędzia, ale od dawna stała pusta, i tego właśnie potrzebowała – pustego pomieszczenia.

Minęły prawie trzy godziny i brakowało jej zaledwie kilku metrów, kiedy starzec zaczął machać rękami i nogami. Dziewczynka, której własne kończyny krzyczały z bólu z powodu wysiłku, odrętwiałe od lodowatego wiatru, pomyślała, że mężczyzna zaraz się podniesie i cały plan pójdzie na marne, ale wtedy znowu się uspokoił i wreszcie mogła wciągnąć go do kazamaty. Zniosła tam też wiadro i kilka koców.

Była zmęczona jak jeszcze nigdy w swoim życiu, ale jej praca jeszcze się nie skończyła. Drzwi kazamaty nie miały zamka, ale na szczęście otwierały się na zewnątrz. Poszła do zagrody i przyciągnęła do nich trzy ciężkie, dwudziestopięciokilogramowe worki ze zbożem, którym karmiło się kury, i ułożyła je przy drzwiach jeden na drugim. Następnie poszukała możliwie największych kamieni i położyła je na workach i przed nimi. Mogła liczyć jedynie na światło księżyca i ledwie miała siły. Kiedy zebrała wystarczająco kamieni, rozległy się krzyki starca. Kiedy desperacko zaczął napierać na drzwi, ona zdążyła już ułożyć kopiec z kamieni, które chwiały się przy każdym pchnięciu, ale na razie wytrzymały.

Świtało, kiedy wreszcie ukończyła swoje zadanie, i wtedy stos kamieni był tak duży, że niemal zrównał się z dachem kazamaty. Należało jeszcze rozwiązać kwestię opróżniania wiadra, do czego należało wykorzystać okienko w bocznej ścianie kazamaty, ale w tym celu musiałaby użyć prymitywnego systemu, by je opuścić, ponieważ wiadro się nie mieściło. Musiała poczekać. Starzec przez jakiś czas mógł żyć z własnym gównem.

Spała aż do zmierzchu, ignorując coraz bardziej rozpaczliwe krzyki starca. Kiedy się obudziła, wrzuciła mu przez okienko jedzenie i butelki wody, ale starzec wyrzucił na zewnątrz wszystko, co mu przyniosła,

krzyczał i groził, żądając, by go wypuściła, obrażał ją okropnie, słowami, jakich nie słyszała nawet w podziemiach Kijowa.

– Oszczędzaj siły. Przydadzą ci się, bo będzie bardzo bolało! – krzyknęła do niego przez okienko.

Obelgi się wzmogły, ale dziewczynka je ignorowała.

Popatrzyła na swoje dłonie, zakrwawione i pełne ran, i zastanowiła się, czy to całe cierpienie na coś się przyda. Przecież ten człowiek nie wyglądał nawet na cień samego siebie.

Wyjęła z kieszeni dwa papierowe prostokąty, które przywiodły ją na koniec świata. Jednym z nich był list jej ojca do matki, który znalazła w metalowym pudełku.

Najukochańsza Żeniu, nie wiem, dlaczego piszę do Ciebie ten list. Nie odważyłbym się przekazać go kwatermistrzowi, by wrzucił go do skrzynki, ponieważ nie wolno nam opowiadać o niczym, co tu robimy, a wiesz, że czytają całą naszą korespondencję. Oficjalnie w dalszym ciągu jest to misja humanitarna, chociaż 40 Armia stacjonuje tu od prawie sześciu lat, a bynajmniej nie odbudowaliśmy szkół ani szpitali. Niewiele można zrobić dla kogoś, kto nie pozwala sobie pomóc.

Myślę, że nawet gdyby pozwolono mi wysłać ten list, też bym tego nie zrobił. To, co się wydarzyło, było tak straszne i bolesne, że nie powinienem przenosić na Ciebie ciężaru tego, przez co przeszedłem, ale gdyby nie Lazar Kosogowski, już by mnie tu nie było, nie siedziałbym bezpiecznie w koszarach ani już nigdy nie mógłbym uścisnąć Ciebie i małej Oksany...

Dziewczynka podniosła wzrok znad listu. Światło było tak słabe, że nie dało się czytać. Nieważne. Resztę знаła na pamięć, przeczytała ten list niezliczoną ilość razy. Historię o tym, co się wydarzyło między jej ojcem a tym starcem w górach Kunaru. I za każdym razem, gdy sobie to przypominała, czuła dreszcz przerażenia.

Spojrzała na drugi papierowy prostokąt, zdjęcie, na którym jej uśmiechnięty ojciec pozował z mężczyzną o ostrych rysach i kwadratowej szczęce, wyzywająco patrzącym w aparat oczami koloru i twardości bazaltu. Porównała ten wizerunek z żalonym wrakiem, który zamknęła w kazamacie, i naszyła ją wątpliwości. To dla tego pokraki pokonała taką drogę? Czy wszystkie jej wysiłki poszły na marne?

Sen z powiek przez wiele nocy spędzało jej jednak przede wszystkim jedno pytanie.

„Czy zdołam wskrzesić Afgańczyka?”

Góry w prowincji Kunar, Afganistan

Lipiec 1985

Zanim został Afgańczykiem, zanim stał się najbardziej bezwzględnym żołnierzem 40 Armii, był tylko mężczyzną, któremu przeszkadzał upał.

A właściwie upał był najgorszy ze wszystkiego.

Sierżant sił specjalnych Lazar Kosogowski znosił muchy, strzały i biegunki, ponieważ chociaż złe, były okresowe i można się było przed nimi bronić.

Upał natomiast był wszechobecny i nie istniał sposób, by go zwalczyć. Dopiero za dwadzieścia lat Amerykanie będą harować w tych samych górach, każdego dnia wydając dziesiątki milionów dolarów, żeby ich żołnierze spali w namiotach z klimatyzacją zasilaną olbrzymimi generatorami.

Sowieci, bardziej praktyczni i mający niewiele rubli, dali każdemu ze swoich ludzi tekturowy wachlarz.

Ekstremalny upał nie był wcale obcy sierżantowi Kosogowskiemu. W dzieciństwie codziennie zanosił ojcu obiad do huty. Jego ojciec, mistrz odlewni, znajdował się zawsze w głębi fabryki, największej w Związku Radzieckim i drugiej na świecie. Mały Wania musiał przejść przez wielki most, który wznosił się nad stalowymi piecami, głośnym i przerażającym miejscem. Ogromne kadzie roztopionego metalu, napełniane i opróżniane kilka razy dziennie, sprawiały, że powietrze było tak gorące i niezdatne do oddychania, że zamieniało gardło w papier ścierny. Zmuszone do ciągłego obracania się, wylewając dziesiątki ton żółtego, niemal białego metalu do wielkich form, często się psuły. Rzadko kiedy nie było godziny bez awarii, dnia bez wypadku i tygodnia bez ofiar śmiertelnych. W ten sposób Związek

Radziecki przestał być krajem muzyków, biednych prostych chłopów, a stał się, w niespełna pół wieku, przemysłowym i zbrojeniowym hegemonem, wykorzystując krew swoich obywateli jako paliwo.

Kiedy wspinał się wąską ścieżką na szczyt Ar Karez, sierżant Kosogowski przypomniał sobie most nad kadziami ze stopioną stałą i pomyślał, że wciąż woli tamten upał. Tam musiał tylko nieść pudełko z obiadem, a nie kamizelkę kuloodporną, hełm, strzelbę i plecak ważący trzydzieści kilogramów.

Przystanął, żeby napić się z manierki. Resztkami wody przepłukał usta i wypluł. Płyn spadł na łądygę kwiatu. W kolorze ognia, jak przystało na piekło. *Papaver somniferum*. Mak. Nienawidził tej rośliny ze względu na to, co z niej pochodziło, ponieważ osłabiała jego ludzi, ale przede wszystkim dlatego, że należała do tego miejsca.

Podniósł nogę i zgniótł łądygę maku, ciesząc się z dźwięku, jaki wydał, łamiąc się i wypuszczając tę mleczną substancję, niczym biała krew. Miażdżył dalej, aż pojawiły się korzenie.

– Nie zatrzymywać się – powiedział do żołnierzy. – Zostało jeszcze dwadzieścia kilometrów.

Pokazał ręką do przodu, żeby zdusić protesty. Prowadził 9 oddział 22 Brygady Sił Specjalnych w ramach misji rozpoznawczej. Ściśle rzecz biorąc, to porucznik Pietrow dowodził tymi trzydziestoma mężczyznami, którzy maszerowali w kolumnie, ale człowiek nigdy nie mógł mieć pewności, czy dowódca wykona swoje zadanie. Tym bardziej gdy był to ktoś umieszczony na stanowisku po znajomości, mający legitymację partii, będący świeżo po akademii oficerów i komu powierzano rzekomo łatwe misje, żeby zapewnić bogaty przebieg służby.

Nie wiedział, kim była ta gruba ryba w Moskwie, która stała za Pietrowem, ale bardzo się myliła. W Afganistanie nie było łatwych misji i ten człowiek (by jakoś go nazwać) zwyczajnie sobie nie radził.

– Sierżancie Kosogowski – rzekł porucznik, który nadszedł od tyłu, zdyszany. – Może należałoby dać im odpocząć.

Sierżant zaczął z odpowiedzią, aż przejdzie ostatni z żołnierzy.

– Z całym szacunkiem, poruczniku, to nie jest dobry pomysł.

Porucznik wyjął swoją manierkę i upił długi łyk, po czym odpowiedział podwładnemu nonszalanckim tonem:

– Chyba nie będziemy znowu rozmawiać o dawaniu przykładu, prawda, sierżancie?

Sierżant próbował mu kiedyś wytłumaczyć, że ci mężczyźni nie wywodzą się z takiego środowiska jak Akademia Frunzego, że nie poświęcali czasu na studiowanie wojskowej historiografii ani starożytnej filozofii. Ci mężczyźni to wieśniacy, pijacy i w większości idioci, z których sam Kosogowski zrobił dobrze naoliwione maszyny, zamieniając ich życie w czyściec pełen bólu. Nie potrafił mu wyjaśnić więzi, jaka łączyła go z jego ludźmi, ponieważ było to coś, czego ten młodzian nie znał, nawet jeśli o tym czytał, a Kosogowski nie stał się jeszcze legendą.

– To są siły specjalne, poruczniku. Najtwardsi i najlepiej przygotowani żołnierze. Gdyby porucznik zatrzymywał się co osiem kilometrów, nie mieliby dla was szacunku – odparł sierżant zmęczonym tonem, bo nie miał ochoty dyskutować z tym głupcem z belkami. – Ale nie o to chodzi, poruczniku.

– A o co, sierżancie?

– Nie podoba mi się to miejsce.

Znajdowali się na środku górskiej przełęczy, która wiała się w górę przez kotlinę. Po ich prawej było urwisko, po lewej zaś ścieżka się rozwidlała i schodziła łagodniejszym zboczem aż do podgórza grzbietu, który mieli naprzeciwko.

– Sierżancie, mamy raporty wywiadowcze, z których wynika, że ten obszar jest całkowicie...

Suchy dźwięk przeszył powietrze, zostawiając szydercze echo odbijające się od gór. Obaj natychmiast padli na ziemię.

– Co pan mówił?

Jeden z żołnierzy schodził do nich pochylony szybkim krokiem.

– Badia, na ziemię – rozkazał sierżant.

Szeregowy Badia spojrzał na porucznika, który wydawał się zdezorientowany, poprawiał sobie hełm obiema rękami, rozglądając się dookoła, po czym zwrócił się do sierżanta Kosogowskiego.

– Strzelili do nas, sierżancie.

– Wiem, szeregowy. Ranni?

– Nie, sierżancie. Strzał dochodził z doliny – powiedział Badia, wskazując na dół.

Pół kilometra w linii prostej i jakieś sześć kilometrów pieszo znajdował się kiszlak, jedna ze skromnych osad zbudowanych z cegły suszonej, które służyły za schronienie pasterzom w górach Kunaru. Nierzadko ukrywali się

w nich powstańcy, choć zwykle nie zostawali zbyt długo w jednym miejscu, nieustannie nękani przez Sowieców.

– Nie rozumiem... powiedzieli, że ten obszar jest spacyfikowany... – wyjąkał porucznik.

– Co robimy, poruczniku? – zapytał żołnierz.

Porucznik Pietrow spojrzał na sierżanta, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Niezręczna cisza zdawała się trwać całą wieczność.

– Porucznik powiedział mi wcześniej, że poprosi o wsparcie z powietrza – odparł sierżant, podnosząc nieco ton, żeby tamten zareagował. – Prawda, poruczniku?

– Tak, oczywiście, sierżancie. Proszę przynieść radio.

Po dwudziestu minutach kotlina zappełniła się ogłuszającym i kojącym dźwiękiem helikopterów Mi-24, które dziewiąty oddział powitał radosnymi okrzykami. Helikoptery zbliżyły się ostrożnie, pomimo olbrzymiej przewagi, jaką zapewniała im ich siła ognia. Mudżahedini głęboko nienawidzili tych maszyn, które ochrzcili mianem *Shaitan-Arba*, rydwanem Szatana, i robili wszystko, co w ich mocy, żeby strącić je z nieba. Kilka miesięcy wcześniej zaczęli używać RPG-7, granatników przeznaczonych do niszczenia czołgów, które zmodyfikowali, żeby walczyć z helikopterami. Nie były skuteczne z odległości mniejszej niż osiemdziesiąt metrów, żołnierz wyrzucający taki granatnik zwykle ginął i trafiano raz na dziesięć wystrzałów, ale kiedy się udawało, oznaczało to zniszczenie maszyny i śmierć załogi.

Po locie rozpoznawczym, podczas którego w kiszłaku nie zauważono nikogo, helikoptery ustawiły się w pozycji do ataku i zmiotły swoimi karabinami maszynowymi znaczną część osady. Setki kul kalibru .23 zrobiły w kruchych ścianach z cegły suszonej dziury, w których zmieściłaby się ludzka ręka, wzbijając przy tym ogromną czerwoną chmurę pyłu, której rozproszenie zajęło wiele minut. Nie otrzymawszy odpowiedzi, Mi-24 poprosiły bazę o pozwolenie na powrót, które zostało im udzielone.

Po przeciwległej stronie kotliny dziewiąty oddział podziwiał olbrzymią niszczycielską moc Mi-24. Jeśli w kiszłaku ktoś był, czy to mężczyzna, kobieta, czy dziecko, teraz już nie żył.

– Idziemy dalej poruczniku? – zapytał sierżant.

Ale porucznik, świadomy tego, że zrobił z siebie durnia, i ośmielony ołowianą burzą, jaką helikoptery rozpętały nad osadą, miał zupełnie inny

pomysł.

– Zejdziemy tam i przeczeszemy osadę – zarządził z błyszczącymi oczami. – Jeśli ktoś przeżył, zabierzemy go do bazy na przesłuchanie.

Sierżant odetchnął głęboko, próbując uzbroić się w cierpliwość.

– Poruczniku, to jest misja rozpoznawcza, a nie konfrontacyjna. Nie mamy raportów wywiadowczych dotyczących osady i nie wiemy, gdzie wchodzimy.

Porucznik znowu posłał mu to nienawistne spojrzenie wyższości, ze zmrużonymi oczami i uniesionym podbródkiem.

– Wchodzimy na cmentarz, sierżancie Kosogowski – powiedział, podkreślając jego niższą rangę. – Dowodzę oddziałem sił specjalnych czy garstką listonoszy?

Sierżantowi nie pozostało nic innego, jak rozwalić głowę porucznikowi Pietrowowi i zaciągnąć go za uszy do bazy albo posłuchać jego rozkazu. Ponieważ wolał nie zostać rozstrzelany ani wylądować na Syberii, wybrał drugą opcję i wydał swoim ludziom rozkaz, by ruszali.

Mam tylko nadzieję, że to nie będzie nasz cmentarz, pomyślał, zbierając się do drogi.

Godzinę później dziewiąty oddział dotarł na obrzeża kiszłaku, gdzie panowała przerażająca cisza. Wielka chmura czerwonego pyłu osiadła już na kilkunastu chatkach rozsianych po stromym zboczu. Wysoki na trzy metry gliniany mur otaczający osadę przetrwał atak karabinów maszynowych w zaskakująco dobrym stanie, był zniszczony tylko w niektórych miejscach. Suszona cegła, miększa niż ceglane ściany, pozwalała przechodzić kulom tego kalibru bez naruszenia samej konstrukcji.

– Trzech czy czterech mężczyzn mających wystarczająco dużo materiałów mogłoby naprawić te dziury w ciągu paru dni – powiedział sierżant.

– Przecenia pan miejscowych – odparł Pietrow. – To tylko zgraja pasterzy i bandytów, którzy budują swoje domy z ziemi i kozich odchodów.

– Te domy stały tu już wiele wieków przed tym, jak powstała nasza ojczyzna, poruczniku – rzekł sierżant, nie dodając, że prawdopodobnie będą tu stać jeszcze wiele wieków po tym, jak ojczyzna zniknie.

– Właśnie – zgodził się porucznik z pogardą, biorąc słowa sierżanta za oznakę aprobaty. – Podczas gdy oni mieszkali w glinianych chatkach, my wysłaliśmy kosmonautę na orbitę. Idziemy dalej!

– Nie rozdzielać się – zakomenderował sierżant swoim ludziom, kiedy wkroczyli na teren osady. – Nie wiadomo, co tu znajdziemy.

Ale porucznik znowu miał inny pomysł.

– Utworzyć pary i sprawdzać dom po domu. Informować w przypadku znalezienia ciał, czy to cywilów, czy rebeliantów.

Sierżant czuł, jak serce mu przyspiesza, a furia zżera wnętrzości. Porucznik bezceremonialnie zdyskredytował go na oczach jego ludzi, bez krztyny szacunku. Nie istniała większa zniewaga niż to, co właśnie zrobił Pietrow. Żołnierze to wyczuli, byli zdeorientowani i wkurzeni. Napięcie było tak gęste i nieznośne jak ciepło emanujące ze ścian z cegły suszonej i kamienistej ziemi w kiszłaku.

– Słyszeliście porucznika – powiedział sierżant.

Rozpierzchli się po wiosce. Panowała upiorna cisza i wydawało się, że nawet palący wiatr, który smagał kotlinę w regularnych odstępach czasu, bał się zakłócać swoją obecnością spokój zakurzonych uliczek. Gdy tylko sierżant wszedł do paru domów, wiedział, że coś tu jest bardzo nie tak. Zbyt wiele nieobecności. Nieobecność ludzi czy zwierząt, sprzętów czy jakiegokolwiek śladu życia była zbyt idealna, niemal zamierzona. Zimny pot spłynął mu po plecach.

– Musimy się stąd zabierać – powiedział do szeregowego Badii, który krył go, stojąc w drzwiach chaty.

– To miejsce przyprawia mnie o ciarki, sierżancie.

– Ruszajmy do wyjścia. – Wskazał mu drugie drzwi i żołnierz ruszył w tamtą stronę.

Zanim Badia zdążył przejść, sierżant złapał go za kark i pociągnął do tyłu.

– Ale co...!

– Proszę spojrzeć, Badia.

Nigdy by tego nie zauważył, gdyby helikoptery nie zrobiły w ścianie dziury, przez którą wpadało popołudniowe słońce, tworząc wiązki światła, w której unosiły się tysiące drobinek. Tuż przy krawędzi oświetlonego okręgu znajdował się napięty sznurek, prawie niewidoczny w cieniu. Włączył latarkę i podążył za nim wzrokiem aż do stalowego pierścienia przymocowanego do na wpół zakopanego przedmiotu.

– Granat RGD-5. Jeden z naszych – powiedział, spluwając na bok, wyobraziwszy sobie, w jaki sposób rebelianci go zdobyli.

– Cholera, sierżancie. Gdyby mnie pan nie złapał...

„W tak małej chacie suszona cegła przekierowałaby eksplozję do środka, zwielnokrotniając falę uderzeniową. A jakby skończenie z rozsadzonymi bebechami i płucami zamienionymi w pulę było niewystarczające, trzysta pięćdziesiąt odłamków dokończyłoby dzieła”.

– To pułapka. Cała ta pieprzona wioska to...

Nie mógł dokończyć zdania. Potężna eksplozja zdusiła ostatnie słowo. Badia i on skulili się przy oknie.

– Wybuchła bomba! – dobiegł z zewnątrz głos jednego z żołnierzy. Zdawał się dochodzić z dość daleka.

– Wszyscy do wyjścia! – krzyknął porucznik z drugiego miejsca, bardziej na zachód.

Sierżant wyjrzał przez okno. Z miejsca, w którym stał, nie widział żadnego ze swoich ludzi, ale musiał ich powstrzymać.

– NIE! WSZYSCY STAĆ! NIECH NIKT SIĘ NIE RUSZA, DOPÓKI NIE POWIEM, DO CHOLERY! – wrzasnął, wydobywając z głębi płuc niski i szorstki głos.

– Co się dzieje, sierżancie? – zapytał szeptem Badia.

– Zastawili na nas piekielną pułapkę – odparł sierżant, drapiąc się po twarzy i próbując myśleć. – Cały ten pieprzony gliniany labirynt jest pełen bomb pułapek.

– Ale nie rozumiem... to miejsce zostało ostrzelane przez helikoptery.

– Tego właśnie chcieli. Żebyśmy byli zbyt pewni siebie. Dlatego strzelili do nas tylko raz, żebyśmy złapali przynętę. – Sierżant mógł się tylko uśmiechnąć w obliczu diabolicznego, sprytnego planu. – Potem schowali się w jakiejś dziurze. Przez tę długą godzinę, jaką zajęło nam przyjście, zaminowali to wszystko. A teraz...

Przerwały mu strzały.

– CO SIĘ STAŁO?

– Sierżancie, tu Małkow, ranili Siergieja! Jakiś typ wziął się znikąd i do niego strzelił!

– Dosyć tego! Żołnierze, mówi porucznik Pietrow! Wycofywać się spoko...

– NIE! SŁUCHAĆ MNIE! PIERWSZY, KTÓRY WYKONA ROZKAZ TEGO KRETYNA, BĘDZIE MIAŁ ZE MNĄ DO CZYNIENIA!

Badia patrzył na niego oczami jak spodki.

– Sierżancie! To niesubordynacja! – dobiegł ich piskliwy i płaczliwy głos porucznika.

– PIETROW, PRZYSIĘGAM, ŻE JAK SIĘ PAN NIE PRZYMKNIE, OSOBIŚCIE ROZWAŁĘ PANU ŁEB! NIKOŁAJEWICZ, WEZWIJ POSIŁKI PRZEZ RADIO...

– Tak jest, sierżancie!

– RESZTA ROZEJRZEĆ SIĘ DOOKOŁA, SZUKAĆ KABLI, POJEDYNCZYCH KAMIENI, SZNURKÓW. UPEWNIĆ SIĘ, ŻE NIE DOTYKACIE NICZEGO DZIWNEGO, I USTAWIĆ SIĘ W POZYCJI DO ATAKU! KRYĆ WINKLE I DACHY. PRZYJDĄ TU!

– Nie może być ich wielu, sierżancie – powiedział Badia. – Zobaczylibyśmy ich. A za pół godziny będziemy mieli dwa oddziały wsparcia.

– Za pół godziny będziemy martwi, Badia.

– Sierżancie?

– Nawet jeśli jest ich niewielu, oni wiedzą, gdzie są bomby, a my nie. Znają tę parszywą dziurę. Pewnie ukrywają się w jakimś dole albo na dachu i prawdopodobnie unikali nas, w miarę jak wchodziliśmy, otaczając nas i zastawiając pułapki na drodze powrotnej. To opadające zbocze, z ogrodzeniem i jedynym wyjściem. Lejek. Wystarczy, że mają dwóch strzelców na dachach w wyższej części wioski skierowanych w stronę wyjścia, i podziurawią nas kulami, jeśli spróbujemy się stąd wydostać. I mają pewnie z trzech albo czterech, którzy będą między nami, starając się popychać nas w stronę bomb albo strzelców.

Badia był twardym facetem, ale nie mógł opanować drżenia głosu wobec obrazu, jaki odmalował mu sierżant.

– To co robimy?

– Wytrzymać, ile...

Po raz trzeci w ciągu kilku minut sierżantowi Kosogowskiemu przerwał odgłos strzałów, tyle że teraz nie usłyszał suchego terkotu kałasznikowa mudzahedina, który atakował ich od strony drzwi, ponieważ kule, które przeszły mu lewe ramię i przedramię, były szybsze. Kiedy dobiegł go dźwięk, jego system nerwowy był zbyt zajęty próbą kontrolowania bólu.

Badia odpowiedział na strzały, ale w prostokacie światła przy wejściu nie było już nikogo.

– Wszystko w porządku, sierżancie?

Sierżant Kosogowski jeszcze nigdy nie został postrzelony. W czasie długich nocy spędzonych w kantynie, gdzie rozmawiał z weteranami, którzy mieli większego pecha, ci sięgali po wszelkiego typu porównania,

żeby opisać mu, co się wtedy czuje, począwszy od kopnięcia muła po silne poparzenie. Na własnej skórze się przekonał, że wszystkie były nietrafione.

„Obcęgi. Wiercą mi w ciele obcęgami”.

– Wszystko dobrze – skłamał. – Chodźmy.

– Trzeba zabandażować panu ramię.

– Obym zdążył się wykrwawić, Badia.

Nie mógł utrzymać strzelby lewą, niesprawną ręką. Zrzucił więc broń na plecy, a plecak zostawił na ziemi. Sprzęt do niczego im się nie przyda, jeśli nie zdołają stąd wyjść. Badia zrobił to samo i obaj skierowali się do drzwi chaty, schylając się pod oknem. Na zewnątrz krzyki i strzały były coraz częstsze. Rozległa się kolejna detonacja, która sprawiła, że zatrzęsły się ściany, a z sufitu opadły chmury pyłu.

– Rozniosą nas.

Sierzant poczuł, że wzrok mu się zamazuje i ma zawroty. Próbował znaleźć w głowie coś, co mu umykało, myśl, która nie mogła się pojawić. Gdy przyszli do wioski, widział...

– Mur... Na wschodzie mur jest powalony, helikoptery porządnie go ostrzelały. Wystarczająco, żeby pokonać go jednym skokiem. Wyjdziemy tamtędy.

Badia westchnął z niedowierzaniem.

– A jak tam dotrzemy?

Uliczka naprzeciwko nich wydawała się pusta, ale obaj wiedzieli, że to tylko złudzenie. Wróg prawdopodobnie kryje wyjście z dachu po przeciwnej stronie albo zza wyschniętego wodopoju, który znajdował się na północ od ich pozycji.

„Dwóch ludzi biegnących uliczką o szerokości półtora metra. Musieliby się bardzo starać, żeby nas nie trafić”.

Huk eksplozji stał się intensywniejszy, a potem zastąpiły go krzyki bólu.

Nie było już słyhać strzałów.

– Musimy się dostać na koniec uliczki. Na mój znak rzuć granat w tamtą stronę, ja rzucę drugi na wschód, potem walisz serię i biegniemy, ile sił w nogach. To czterdzieści metrów w dół i kolejne dwadzieścia do muru.

„Sześćdziesiąt metrów na oślep, mając wrogów na górze i z tyłu, sześćdziesiąt metrów, na których nie nadepnemy żadnej bomby pułapki ani nie rozwalą nam tyłków”, pomyślał.

– Gotów, szeregowy?

Badia przytaknął i obaj odbezpieczyli granaty. Po detonacjach Badia opróżnił magazynek, strzelając za sobą, a sierżant oddał wiele strzałów z pistoletu. Zgubiły się gdzieś między dymem i kurzem, które pojawiły się w wyniku eksplozji.

– Idziemy!

Pobiegli na dół, na oślep, wdychając zapach spalonej gliny, kordytu i krwi. Ktoś zaczął strzelać za ich plecami i sierżant poczuł, że kula musnęła mu nogę. Kiedy byli już o krok od celu, Badia krzyknął z bólu i przetoczył się po ziemi, pociągając za sobą sierżanta.

Za nimi pojawił się ruch i sierżant zareagował instynktownie, strzelając z ziemi do postaci, która się wyłoniła. Dwie kule zgubiły się w gdzieś w powietrzu, kolejne dwie trafiły w klatkę piersiową, a jedna w nogę mudzahedina, który biegł w ich stronę. Siła strzałów zatrzymała jego bieg i odrzuciła go na ścianę, martwego lub konającego. Sierżant starannie wycelował w jego głowę tylko po to, by mieć pewność.

– Badia! Idziemy!

Usłyszał nad sobą pospieszne kroki biegnącego mężczyzny, który przeskakiwał z dachu na dach. Zbliżali się.

Doczołgał się do Badii, który jęczał na ziemi, trzymając się za bok obiema rękami. Kula trafiła go w plecy, łamiąc żebra i przechodząc na wylot pod sercem. Obficie krwawił.

Z wielkim wysiłkiem sierżant zdołał się podnieść i przeciągnąć żołnierza do domu stojącego najbliższej zawałonej części muru. Dzieliło ich od niego zaledwie kilka metrów, ale sierżant nie mógł ryzykować wyjścia, tym bardziej z rannym kolegą, który ledwie mógł się ruszać. Jediną nadzieją było wytrzymać do nadejścia posiłków.

– Musisz uciskać tutaj – zwrócił się do żołnierza, zdejmując spoconą i brudną bandanę, którą nosił na szyi, i tamując nią ranę wylotową. – Żeby zatamować krwawienie.

Badia zawył z bólu, ale przycisnął bandanę.

Sierżant zostawił go opartego o ścianę, zdjął mu hełm, podszedł do wyjścia i rzucił go blisko muru. Wątpił, czy zwiedzie ich to na długo, ale w tej chwili potrzebowali jak najwięcej czasu. Spojrzał na zegarek.

„Jedenaście minut, odkąd kazałem Nikołajewiczowi wezwać pomoc. W najlepszym razie, nawet z helikopterami pełnymi paliwa i sprzętu, gotowymi do startu, zajmie im to dwadzieścia trzy minuty”.

Zostało co najmniej dwanaście minut do przybycia posiłków, a kiedy przybędą, zastaną labirynt pełen śmiertelnych pułapek, podczas gdy mudżahedini prawdopodobnie uciekną przeciwnym zboczem góry, jedną z tych wąskich i krętych ścieżek, którą znają tylko oni i kozy.

To była ich typowa taktyka: atakować w przeważającej sile, stosując najbardziej przerażające sztuczki, a potem zniknąć, zostawiając zaminowaną drogę dla tych, którzy przyjdą po nich. Sierżant brał raz udział w operacji ratunkowej. Mudżahedini wyeliminowali patrol rozpoznawczy w pozornie bezpiecznej okolicy w pobliżu Doliny Pandzszeru. Zabili dziesięciu ludzi i tylko jednego zostawili przy życiu. Rozebrali go, częściowo zdarli mu skórę z rąk, nóg, twarzy i tułowia, a potem porzucili w wąwozie tak pełnym pułapek, że stracili kolejnych trzech ludzi, zanim dotarli do ocalałego, który zmarł w helikopterze w połowie drogi do szpitala polowego.

Na zewnątrz rozległy się krzyki w paszto i stukot broni automatycznej. Sierżant nie musiał słuchać charakterystycznego tryumfalnego wycia rebeliantów, by wiedzieć, że świętują zwycięstwo. Ściana, o którą zostawił opartego Badię, była podziurawiona kulami helikopterów. Zajrzał przez jeden z otworów.

To, co zobaczył, odebrało mu dech.

Po drugiej stronie opuszczonej zagrody na środku placu znajdowała się studnia. Trzej mudżahedini strzelali w powietrze z broni schwytych Sowietów, pięciu żołnierzy klęczało z rękami na karku, tworząc półkole wokół krawędzi studni. Pojawili się dwaj kolejni mudżahedini, którzy ciągnęli jeszcze jednego żołnierza. Sierżant natychmiast rozpoznał Nikołajewicza, radiooperatora. Mudżahedini rzucili go na ziemię i gestem pokazali, żeby dołączył do pozostałych. Nikołajewicz popatrzył na swoich porywaczy, spojrzął na studnię i już wiedział, co go czeka. Szybkim ruchem wyjął pistolet i zanim mudżahedini mogliby go powstrzymać, umieścił go pod brodą i jednym strzałem rozwalil sobie głowę.

Obaj mudżahedini, którzy go przywlekli, zaczęli się śmiać. Inny wyciągnął kanister z benzyną i zaczął polewać klęczących więźniów. Jeden z nich próbował się podnieść, czując na ciele płyn, i od razu strzelono mu w klatkę piersiową, powalając na ziemię. Inny z tych, którzy zostali, człowiek twardy jak stal z fabryk w Magnitogorsku, którego sierżant widział kiedyś, jak jednym ciosem powala osła, teraz zaczął płakać i głośno przywoływać swoją matkę.

Jeden z oprawców wyjął zapalniczkę. Rozległ się metaliczny trzask, pojawił się blask i pięciu mężczyzn zamieniło się w żywe pochodnie. Jeden z nich wstał i usiłował wpaść do studni, lecz uniemożliwiły mu to strzały – zawisł na krawędzi z połową ciała nad pustką, pokryty pomarańczowymi płomieniami.

Sierżant poczuł, jak wściekłość i ból zżerają go od środka.

„Dwanaście minut. Te skurwysyny zlikwidowały cały oddział sił specjalnych w ciągu zaledwie dwunastu minut”.

To byli jego ludzie, zmuszał ich do wypluwania płuc podczas niekończących się marszów, upokarzał ich, aż zrobił z nich żołnierzy, których potrzebowała Armia Czerwona. Byli jego dziećmi, a teraz nie żyli.

Mudżahedini tańczyli wokół zwęglonych ciał, poruszając swoimi śmiesznymi bufiastymi spodniami, naśladując sławnego amerykańskiego piosenkarza, którego nazwiska sierżant nie mógł sobie przypomnieć. Ten, który znajdował się najbliżej, wyjął jednorazowy aparat Kodak i poprosił pozostałych, żeby stanęli bliżej, by zrobić im zdjęcie ze swoimi ofiarami. Nic dziwnego, że byli tacy zadowoleni. Przywódcy rebeliantów, jak Gulbuddin Hekmatjar czy Osama bin Laden płacili dwieście dolarów (z pieniędzy, które nieoficjalnie dostawali od CIA) za każdego martwego sowieckiego żołnierza i dwa tysiące za dowódcę. Słowo mudżahedin oznacza uczestnika dżihadu, bojownika, który walczy w imię swojej wiary. Ci wyciągnęli właśnie więcej pieniędzy, niżby zarobili przez całe swoje życie, sprzedając owcze skóry.

Sierżant przestał myśleć, przestał czuć rany na ramieniu i ręce, i zanim się zorientował, był już poza chatą, w połowie drogi do zagrody, z pistoletem w górze, podchodząc do wrogów z boku. Mudżahedini nie zauważyli go, dopóki nie padł pierwszy z tych, którzy ustawiali się do zdjęcia, z dwoma kulami w głowie. Niespełna pięć metrów od swojego celu sierżant nie mógł spudłować. Posłał po dwie kule każdemu z tych, którzy pozowali. Ostatni z nich próbował zdjąć sobie strzelbę z ramienia i do niego strzelić, ale kiedy był już w odpowiedniej pozycji, przewrócił się z roztrzaskaną czaszką.

Ten z aparatem stał jak sparalizowany, a kiedy sierżant się do niego odwrócił, nie wiedział, co robić. Wciąż trzymał w rękach kodaka, używając jedynie palca wskazującego i kciuka. Miał drżące usta i uciekający wzrok. Musiał mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, bo było mu jeszcze daleko do

pełnego zarostu. Sierżant podszedł do niego, nie przestając do niego mierzyć, i pociągnął za spust.

Klik.

Iglica uderzyła w pustą komorę i mudzahedin nagle przejął inicjatywę. Odwrócił się i pobiegł po swoją strzelbę, którą zostawił opartą o pobliską ścianę. Sierżant rzucił w niego pistoletem, który trafił go w plecy, lecz nie zdołał go powalić, więc musiał za nim ruszyć. Rzucił się na jego nogi i obaj zaczęli się przetaczać po zakurzonej ziemi. Młodzieniec go kopnął i miał już sięgnąć strzelby, kiedy sierżant wyjął z za pasa nóż i wbił mu go w plecy. Młodzian wił się z bólu, a sierżant dźgał go raz i drugi, aż przestał się ruszać.

– Wytrzymaj, Badia. Wytrzymaj, cholera. Słyszysz helikoptery? Musisz wrócić do swojego gospodarstwa i do swoich świń.

– Żona... córka...

– Tak, do nich też, skoro nie ma innego wyjścia. Wytrzymaj!

Badia się uśmiechnął, nie przestając uciskać boku, i sierżant wiedział, że mu się uda, że choć raz uda się komuś, kto na to zasługiwał.

Wyszedł z chaty, żeby dać znać nadlatującym helikopterom, kiedy nagle wyczuł ruch za swoimi plecami i odwrócił się zaalarmowany.

– Widziałem, co pan zrobił, sierżancie. Podziwiam pańską odwagę. Osobiście zgłoszę pana do medalu.

Stał tu porucznik Pietrow. Stracił karabin i hełm, ale poza tym był świeży jak balerina Teatru Bolszoi przed wyjściem na scenę. Przedstawiał żywy obraz ulgi.

„Przeżył. Dlaczego mnie to nie dziwi?”

– Szkoda tych ludzi, ale kto mógłby przewidzieć taką tragedię?

„I jeszcze się uśmiecha. Przez ciebie zginęło dwudziestu dziewięciu ludzi, a ty się uśmiechasz. Dwudziestu dziewięciu mężczyzn, którzy zasługiwali na życie. Teraz są martwi, a ty nadal oddychasz”.

Sierżant podszedł do niego, również się uśmiechnął, wyciągnął rękę, tak jakby chciał uścisnąć dłoń porucznika, lecz zamiast tego zabrał mu pistolet z za paska.

– Przysiągłem, że rozwalę panu łeb – powiedział, celując mu między oczy.

– Nie strzeli pan – rzekł porucznik. Nagle ogarnęło go przerażenie. – Mam wpływy w Moskwie. Zrobią mi autopsję. Rozstrzelają pana.

Sierżant skinął głową.

– Wiesz co, Pietrow, to jedyne inteligentne słowa, jakie usłyszałem z twoich ust.

Sierżant spokojnie schował pistolet i wyjął nóż bojowy z ząbkowanym ostrzem, jeszcze we krwi mudżahedina z aparatem fotograficznym.

Kiedy kilka minut później dotarła ekipa ratunkowa, tym, co najbardziej przeraziło kapitana stojącego na jej czele, nie były wcale poskręcane i zwęglone ciała żołnierzy ani nawet potworny widok porucznika Pietrowa, którego mudżahedini wypatroszyli i udusili jego własnymi jelitami.

Najbardziej przeraziły go oczy sierżanta. To puste spojrzenie kogoś, kto grał ze Śmiercią w szachy i nie wrócił ze wszystkimi pionkami.

Mówią, że sierżant Kosogowski umarł w tamtym kiszłaku w górach Kunaru, że tym, co ekipa ratunkowa przywiozła tamtej nocy do bazy, była tylko pusta skorupa, maszyna do zabijania, pozbawiona duszy i sumienia.

Od tamtej pory był znany pod pseudonimem Afgańczyk. Szeregowy Badia wrócił do swojego domu podczas następnej wymiany, odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy, ale Afgańczyk walczył aż do końca wojny, odmawiając opuszczenia pierwszej linii frontu, a jego legenda nie przestała rosnąć. Nie było takiego żołnierza w 40 Armii, który by go nie znał, ani dowódcy, który nie prosiłby go o udział w najtrudniejszych misjach. Żołnierze uważali, że przy nim jest mniej ofiar, u jego boku czuli się bezpiecznie, jakby był amuletem przynoszącym szczęście.

Prawda jest niestety znacznie prostsza. Afgańczyk niczego nie pozostawiał przypadkowi. Podczas ataku na Herat został odcięty od reszty razem z pięcioma ludźmi, a podejrzewali, że także z żołnierzami wroga w okolicy, gdzie aż roiło się o mudżahedinów. Szli wąską uliczką i w pewnym momencie Afgańczyk zauważył ruch za framugą okna. Bez wahania wyjął z torby na ramię granat, pociągnął za zawleczkę i wrzucił go do środka. Po wybuchu weszli do domu i zastali dantejską scenę. Były tam – co najmniej – staruszka, młoda kobieta i wiele dzieci między pierwszym a piątym rokiem życia. Eksplozja ich zmiażdżyła i przygniotła do ściany. Afgańczyk opróżnił magazynek swojego kałasznikowa, strzelając w stronę bezkształtnej masy ciał, wyszedł z domu i wrzucił drugi granat przez okno.

Kiedy przerażony dowódca zapytał go, dlaczego tak postąpił, Afgańczyk odparł:

– Nigdy nie można być do końca pewnym.

W dniu, w którym Sowieci wycofali się z Afganistanu, w ogromnym wstydzie za swoją armię i wśród potępienia ze strony społeczności międzynarodowej z powodu masakry, jakiej dopuszczano się tam przez dziesięć lat, Afgańczyk był jednym z ostatnich, który przekroczył most nad Amu-darią w drodze powrotnej do ojczyzny.

Wtedy próbował posklejać te nieliczne kawałki duszy, jakie mu zostały, szprycując się heroiną – tylko w ten sposób mógł uciec przed duchami setek zmarłych, które dźwigał na plecach i które prześladowały go, gdy tylko zamykał oczy.

W Afganistanie, kraju będącym największym producentem heroiny na świecie, można było ją dostać taniej i łatwiej niż cukier, i tysiące żołnierzy opuściło szeregi wojska, żeby dołączyć do innej armii, olbrzymiej armii uzależnionych, co sprawia, że Rosja jest największym konsumentem heroiny na świecie.

Po powrocie do domu, nie tocząc żadnej wojny i nie mogąc kontrolować swojego uzależnienia, Afgańczyk w szybkim czasie stał się – ze względu na brak dyscypliny i nieustanne sprzeczki – sporym problemem dla przełożonych. Afgańczyk był legendą, jednym z niewielu pozytywów wyniesionych z katastrofy, jaką okazała się wojna z mudżahedinami, tak więc uwzględniając jego wspaniałą przebieg służby, przez pewien czas próbowano go kryć. Kiedy jednak jednym ciosem złamał szczękę milicjantowi, który zamierzał go aresztować za kradzież w mesie oficerskiej, przełożonym wyczerpała się cierpliwość i wysłali go na koniec świata.

Mieszkał tu, odpokutowując za grzechy, przez trzynaście długich lat.
Aż odnalazła go dziewczynka.

7

DWA CIAŁA

Jestem tak wyczerpany, że nie potrafię jasno myśleć. Kiedy woda z prysznica spada mi na plecy, poddaję się temu doznaniu i wyłączam umysł na siedemnaście cudownych sekund, zanim zdarzenia z tego dnia znowu zaczną mnie bezlitośnie prześladować.

W ciągu ostatnich dwudziestu godzin straciłem mojego najlepszego przyjaciela; musiałem pocieszać jego matkę i obiecać jej, że zabiorę głos na pogrzebie, podczas gdy najbardziej na świecie boję się przemawiać publicznie; zostałem oskarżony o morderstwo i okłamałem policję; jedna z pracownic po tym, jak powiedziała mi, że projekt, od którego zależy moja przyszłość, nie poprawia się, uciekła z mojego domu przerażona, myśląc, że wyrządzą jej krzywdę; okłamałem brata; wyżyłem się na kontenerze na śmieci; ojciec mojego najlepszego przyjaciela groził mi śmiercią; wśród rzeczy mojego najdroższego ojca znalazłem broń palną; na podłodze w garażu odkryłem plamę krwi nieznanego pochodzenia, a moja dziewczyna widziała, że zachowuję się jak świr.

A, i właśnie schowałem pistolet smith & wesson kalibru .38 special bez bezpiecznika, naładowany sześcioma nabojami z wgłębieniem

wierzchołkowym, w szafce w łazience między obcinaczem do paznokci a kosmetyczką, słabo zamaskowany za rolką papieru toaletowego.

Całkiem nieźle jak na nerda cierpiącego na fobię społeczną.

Wychodzę spod prysznica, wycieram się pospiesznie i nagi kładę się do łóżka. Jestem zbyt zmęczony, by włożyć piżamę. Mój pokój jest najchłodniejszym pomieszczeniem w całym domu, pomimo regałów wypełnionych książkami, które zakrywają ściany. Na noc wyłączam ogrzewanie, żeby zaoszczędzić (dopóki nie podpiszemy definitywnej umowy z Infinity, o ile w ogóle to zrobimy, nie mogę mówić, że nasz interes kwitnie), tak więc mam lodowate ramiona i nie mogę zasnąć.

Skąd się wzięła ta plama krwi? Nie mogła być tam długo. Próbuję myśleć o możliwych wyjaśnieniach, ale wszystko prowadzi mnie do wniosku, że jedyną osobą, która mogła ją tam zostawić, jest Irina.

Nagle pewna myśl przychodzi mi do głowy. Wczorajszej nocy Irina nie była w Foley's. Policja na pewno już to sprawdziła, aby się upewnić, czy moje alibi jest wiarygodne. Może ona skłamała, żeby mnie chronić? A skoro tak, to gdzie była Irina przez tyle godzin?

Kim jest osoba, która w tej chwili śpi w moim domu, siedem metrów stąd?

Zdradza mnie z kimś?

Po raz pierwszy, odkąd zaprosiłem Irinę, by przeleciała pół świata i dzieliła ze mną życie, podejrzenia Toma co do niej zaczynają nabierać kształtu. Wyobraźnia pędzi na pomoc wątpliwościom i dręczy mnie scenami Iriny jadącej na spotkanie z kochankiem, jakimś swoim rodakiem, w samym środku nocy. Obejmuje go, całuje, kocha się z nim i oboje się ze mnie śmieją, z tego idioty, który ją tu sprowadził, żeby oni mogli być razem, z tego naiwniaka, który łyknął wszystkie kłamstwa, którymi go poczęstowała, żeby tylko jej nie tknął.

Rozmyślanie o swojej dziewczynie w samotności nocy po emocjonalnie wyczerpującym dniu to jak wrzucanie kawałków zakrwawionego mięsa do wody, w której roi się od piranii. Drobne gesty i malutkie detale, które na co dzień ignorujesz, teraz lądują pod mikroskopem i się wyolbrzymiają. Spojrzenie pełne irytacji staje się spojrzeniem pełnym pogardy, miły komentarz jest interpretowany jako manipulacja, dobre intencje stają się chłodną kalkulacją, komplement zamienia się w podlizywanie. To, co zwyczajne, staje się przeszkodą, niczym wystająca szuflada, której nie da się zasunąć.

Może powinienem z nią zerwać. Powiedzieć jej, że to się nie uda. Że nie jest tak, jak sobie wyobrażałem. Że potrzebuję być sam, żeby móc się skupić na pracy.

To nie twoja wina, tylko moja.

Jeszcze z nikim nie zerwałem. Kiedy nigdy wcześniej nie miałeś dziewczyny, myśl o zerwaniu z pierwszą osobą, która obdarzyła cię zrozumieniem i uczuciem, staje się przerażająca. I nie chcę też tego robić. Myśl, że do końca życia będę sam, przeraża mnie jeszcze bardziej.

Nagle słyszę skrzypienie, które doskonale znam. To dźwięk otwierania się drzwi pokoju gościnnego (moich rodziców). Niemal spodziewam się, że usłyszę ciężkie kroki ojca, wyrwijącego jęki z desek na podłodze, tak jak słyszałem je w noc Wypadku, lecz chód Iriny jest całkowicie inny: fantasmagoryczny, niemal niesłyszalny. Nie chcę, żeby tu przyszła, nie chcę jej widzieć ani z nią rozmawiać, ale nie mam też odwagi się ruszyć, wydać jakiegoś dźwięku, pokazać znaku życia. Klamka się obraca, a mnie kusi, żeby doskoczyć do drzwi i zamknąć je na zasuwkę, ale jestem jak sparaliżowany, nawet wstrzymuję oddech.

Drzwi się otwierają.

– Simon? Śpisz?

Mija kilka chwil, w trakcie których nie wiem, co robić, co powiedzieć, jak zareagować. Wreszcie tlen mi się kończy i potrzeba oddychania decyduje za mnie.

– Nie.

Podnoszę się nieco, mrugając. Pokój jest pogrążony w absolutnej ciemności, nigdy nie potrafiłem zasnąć, jeśli w pomieszczeniu był choćby najmniejszy przebłysk światła. Irina zostawiła na stoliku nocnym włączoną lampkę, która zarysowuje jej sylwetkę w drzwiach. Ma na sobie koszulkę, w której poszła do pracy, oraz czarne majtki, nic więcej. Obejmuje się ramionami, a prawą stopę trzyma na lewej.

– Zimno mi. Mogę spać z tobą?

Moja ręka podnosi róg kołdry, zanim mózg zdążył znaleźć wymówkę. Irina zamyka drzwi, podbiega do łóżka i wślizguje się pod kołdrę. To duże łóżko, szerokie na półtora metra, ale ktoś o mojej budowie ciała nie zostawia zbyt wiele wolnego miejsca. Ona zostaje na krawędzi materaca, odwrócona w moją stronę. Nie mogę jej widzieć, ale czuję jej oddech.

Nagle przypominam sobie, że nie mam na sobie ubrania, i umieram ze wstydu.

– Jestem nago.

Niemal się spodziewam, że ucieknie, ale ona szepcze:

– Nieważne. Poza tym jest ciemno.

W środku nocy, w ciszy i mroku, głos Iriny jest pełen innych odcieni. Brzmi bardziej chropowato, a jej akcent staje się twardszy.

– Wciąż jest mi bardzo zimno, Simon. Przytul mnie.

Odwraca się plecami i przysuwa do mnie. Przywiera tyłkiem do mojego brzucha, a lodowate stopy przykleja do moich łydek.

– Jesteś zimna jak lód.

Nie przesadzam. Podeszwy ma tak zimne, że odnoszę wrażenie, jakbym miał przyklejone do skóry dwie torebki lodu. Czuję, jak kradnie mi ciepło, przywłaszczając je sobie. To dziwnie przyjemne uczucie.

– Ty jesteś bardzo gorący. Przytul mnie mocniej.

Następuje moment zakłopotania, niezręczności, kiedy uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jak przytula się kobietę, która śpi obok w moim łóżku. Irina załatwia to sama: ciągnie moją lewą rękę i wkłada ją pod swoją poduszkę, a potem kieruje prawą, żebym położył ją na jej ciele i w ten sposób ją objął. Przywiera do mnie mocniej. Jej rozpuszczone włosy wydają się teraz znacznie gęstsze, zasłaniają mi twarz, utrudniając oddychanie, ale staram się nabierać powietrze przez usta, żeby jej nie przeszkadzać, teraz, gdy wydaje się, że znalazła odpowiednią pozycję.

Jej szukający snu oddech staje się coraz wolniejszy. Ja zaś, nawet gdyby filharmonicy bostońscy wykonywali w moim uchu *Cwał Walkirii*, nie byłbym bardziej obudzony. Za pomocą mojej nagiej skóry kreślę mapę Iriny tak wyraźnie, jak najnowszej generacji skaner 3D. Czuję chropowatość jej podeszew, szorstkich jak papier ścierny. Czuję twardość jej dłoni, przypominającą mi drewno. Wiele razy widziałem, jak nakłada krem nawilżający, starając się je zmiękczyć, lecz nigdy jej się to nie udaje. Mówi, że to od częstego uprawiania sportu w dzieciństwie i w latach nastoletnich, a jej ciało nie ma oczywiście ani grama zbędnego tłuszczu. Mięśnie jej ramion, które poruszają się pod moimi, są niczym stalowe liny, czekające na polecenie, by mogły się naprężyć. Jestem silnym człowiekiem ze względu na moją budowę ciała i ponieważ codziennie zmuszam się do krótkich ćwiczeń z workami piasku, które służą mi za prowizoryczne hantle. Jednak siła Iriny, jaką czuję, gdy ją obejmuję, jest zdumiewająca.

Nawet mięśnie jej pleców odznaczają się przez koszulkę, która zachowuje jeszcze ślady zapachów po nocy w barze. Alkohol, tytoń (dym

z drugiej ręki, bo ona nie pali), odrobina potu.

Przebłysk świadomości próbuje wydostać się na powierzchnię i przypomnieć mi, że się boję, że mam podejrzenie, że o czymś mi nie mówi, ale natychmiast znów tonie w oceanie libido.

Chciałbym, żeby zdjęła koszulkę, bym mógł wyraźnie poczuć jej prawdziwy zapach, zapach jej skóry. Jeśli jej włosy pachną jeżynami, to jej ciało tuż po prysznicu pachnie świeżo upieczonym chlebem.

Wtedy coś się dzieje. Nie mogę tego uniknąć i umieram ze wstydu.

Moja erekcja powoli torowała sobie drogę. Próbowałem ją powstrzymać, lecz okazało się to niemożliwe. Teraz jest całkiem twardy, napiera na delikatny materiał jej majtek. Niemożliwe, żeby tego nie czuła. Usiłuję się odsunąć, ale ona przesuwa się razem ze mną. Szukając mnie.

– Zostaw.

– Po-poczułaś to? – jąkam się.

– Jasne. Zostaw.

– Nie masz nic przeciwko?

Irina kręci tyłkiem na boki, jeszcze bardziej się o niego ocierając. Umieszczając go między swoimi pośladkami.

– Nie. Podoba mi się. Jest cieplutki.

Krew dudni mi w uszach. Moje usta i gardło są wyschnięte na wiór. Mój głos jest o oktawę wyższy niż normalnie.

– N-nie chcę, żebyś myślała, że jestem zboczony.

Ona się śmieje. To krótki, gardłowy śmiech.

– Simon, jestem twoją dziewczyną i położyłam się do twojego łóżka w majtkach. Gdybyś nie miał... jak się nazywa to, kiedy jesteś taki...?

– Wzwód.

– Właśnie. Gdybyś nie miał wzwodu, poczułabym się mocno urażona.

– Dziś po południu, w parku, byłem dla ciebie bardzo niemiły. Wiem, że potrzebujesz czasu, zanim...

– Powiedziałam ci, że zrobimy to, kiedy będę gotowa.

Zapada cisza, ale tym razem to nie jest cisza, jaka panuje między dwiema osobami, które próbują zasnąć, a przynajmniej jedna próbuje to zrobić, a druga tylko udaje. To inna, wyczekująca cisza.

Czeka, aż zrobię pierwszy krok.

Nie sędzę, żeby istniało wiele sposobów na zepsucie takiej sytuacji jak ta, ale z pewnością wybieram najgorszą opcję, ponieważ w tym momencie postanawiam zapytać:

– Kochasz mnie?

Żałuję tego, ledwo słowa wychodzą z moich ust, ale jest za późno. Irina odwraca się do mnie.

– Powiem ci, jeśli najpierw ty odpowiesz na moje pytanie. Czym jest miłość, Simon?

Jej angielski z każdą chwilą staje się coraz słabszy, a moja zdolność rozumowania też się nie polepsza. Skoro jest to pytanie, na które trudno odpowiedzieć w normalnych okolicznościach, to zrobienie tego, kiedy leżysz nago obok atrakcyjnej kobiety i kiedy wiesz, że twoja odpowiedź zależy od tego, co się dalej stanie, okazuje się niemożliwe.

Irina przesuwa dłonią po mojej klatce piersiowej i bawi się zarostem wokół jednej z brodawek. To nie pomaga.

– Nie wiem – mówię w końcu. – Nie wiem, czym jest. Nie wiem, jak powinienem się czuć albo co powinienem robić.

– A jednak pytasz mnie o to. Jesteś jak dziecko, Simon. Dzieci kochają właśnie w taki sposób. Egoistycznie. Kochają, ponieważ są kochane.

Mówiąc to, przysuwa się do mnie powoli, tak że teraz jej usta niemal dotykają moich.

– A nie jest tak? – pytam cienkim głosem.

– Kiedy dorastasz, zaczynasz rozumieć, że miłość to coś innego. Kochać to potrzebować siebie. Miłość to potrzeba.

Ostatnie sylaby narysowała ustami na moich wargach. Nie mogę się powstrzymać i ją całuję. Smakuje tym, czym pachnie – świeżo upieczonym chlebem. W jej ślinie są resztki piwa. Język ma delikatny i ostry, a kiedy spotyka się z moim językiem, o mało nie wybucham. Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

– Ja cię kocham, Simon.

Całuje mnie ponownie, ten pocałunek jest dłuższy, wygłodniały.

Chrzań się, Elizabeth Krapowski.

Chcę pieścić jej piersi, ale natykam się na materiał. Po omacku szukam brzegu jej koszulki i usiłuję ją zdjąć. Kiedy jestem w połowie drogi, moje kłykcie muskają jej zębra, a ona wydaje jęk bólu, który ginie w moich ustach.

Zrobiłem jej krzywdę? Jak?

Nie mam czasu, żeby to sprawdzić, bo odsuwa moje ręce i obciąga koszulkę.

– Nie. Dziś nie.

Znowu mnie całuje, a jej dłoń zaciska się wokół mojego penisa, masuje go, sprawiając, że robi się jeszcze twardszy. Chcę oddać jej przysługę, więc moje palce wciskają się w jej majtki. Jest wilgotna i gorąca. Ale tu zaczynają się problemy. Widziałem, jak się to robi w niezliczonych filmach, i drugie tyle razy fantazjowałem, jak by to było, ale kiedy próbuję rozchylić jej wargi i pieścić ją w środku, nie znajduję sposobu. Pewnie robię to bardzo nieporadnie, ponieważ stanowczo odsuwa moją rękę i przejmuje kontrolę.

– Zostaw to mnie, okej?

Całuje mnie w usta, po czym schodzi niżej, gładząc swoimi rudymi włosami moją klatkę piersiową, rozpalając mi skórę, która płonie niczym las w sierpniu. Bierze mój penis do ust, kreśląc wargami kółka i przesuując nimi w górę i w dół, porządnie go zwilżając. Kiedy jest już zadowolona z rezultatu, siada na mnie okrakiem, jedną ręką odsuwa majtki na bok, podczas gdy drugą ustawia go w odpowiedniej pozycji. Wkłada do środka czubek i wydaje ciche westchnienie rozkoszy. Próbuję przesunąć jej biodra do przodu, ale ona mi nie pozwala. Wprowadza go w siebie stopniowo, centymetr po centymetrze, aż ma całego w środku. Proces jest powolny, agonalny, a kiedy penis dociera do samego końca, czuję silne szarpnięcia i wiem, że zaraz dojdę.

Irina chwytą mnie za jądra i mocno ściska.

– Jeszcze nie. Zaczekaj na moją przyjemność.

Jej głos brzmi ostrzej, apodyktycznie. Teraz ma silny akcent, przeciąga „er” i nakazuje mi posłuszeństwo. Nachyla się nade mną i całuje mnie w usta. Bez języka, czule. Nie przestaje mnie ściskać, powstrzymując mój wybuch.

– Bądź szarmancki.

– Tak.

– Oddychaj głęboko.

– Tak.

Oddycham głęboko.

W myślach recytuję układ okresowy pierwiastków, kolumna po kolumnie; nazwiska wszystkich aktorek, które wcielały się w Kobietę-Kota w kinie i w telewizji; ciąg Fibonacciego. Kiedy jestem przy trzysta siedemdziesiąt siedem, szarpnięcia się uspokajają, Irina puszcza moje jądra i znowu mnie całuje, poruszając się na mnie rytmicznie.

A więc to takie uczucie.

Nagle znowu jestem panem swojego ciała i świętuję to, myśląc, że mam już kolejną rzecz, którą mogę dodać do długiej listy wydarzeń tego dnia: przekonałem się, czym jest prawdziwy seks. Nie jakieś krótkie, pospieszne ocieranie się o dziewczynę na tyle pijaną, żeby chciała się ze mną zadawać. Nie. Robienie tego naprawdę.

Akurat w tym momencie ktoś mocno wali do drzwi wejściowych. To głośne, władcze, bezwzględne uderzenia.

– Policja! Mamy nakaz przeszukania!

SZLAG.

8

KOŁDRA

Otwieram inspektorowi Freemanowi i inspektorze Ramírez (oraz pozostałym sześciu członkom ich sympatycznej ekipy) w samym szlafroku. I nie tylko pośpiech sprawił, że podchodzę do drzwi, zanim je wyważą, lecz także deklaracja intencji. Jako że nie pozwolili mi skończyć, niech przynajmniej będzie jasne, że coś przerwali. Irina, mądrzejsza ode mnie, idzie do swojego pokoju, żeby coś na siebie zarzucić, ponieważ musimy czekać na zewnątrz, podczas gdy grupa obcych ludzi o nieprzyjaznych twarzach wywraca do góry nogami naszą intymność.

– Powinien pan coś na siebie włożyć – mówi Freeman, kiedy widzi, że siadam na portyku w samym szlafroku.

– Mam się świetnie – odpowiadam, chociaż z ust wychodzi mi para.

Wiatr wieje od strony jeziora, przeszywając moje nagie łydki. Za chwilę zaczną świtać.

Irina prosi funkcjonariuszy o możliwość zabrania koca i w końcu wychodzi z kołdrą, którą mnie okrywa. Całe szczęście, że jest wcześniej i sąsiedzi jeszcze nie wstali, by obserwować, jak robię z siebie pośmiewisko.

– Można wiedzieć, czego, do cholery, szukacie? – pytam, otwarcie okazując zirytowanie.

– Rewolweru kalibru trzydzieści osiem, zarejestrowanego na nazwisko pańskiego ojca, jako możliwą broń, którą zabito Toma Wilsona – odpowiada Ramírez, machając nakazem podpisanym przez sędziego, po czym wraca do środka.

– Prosiłem, by pan współpracował, Simon – upomina mnie Freeman. – Musieliśmy niestety wszystko przyspieszyć.

– O piątej rano?

– Mamy swoje powody.

Nie dodaje nic więcej. Od czasu, gdy wyszliśmy z komisariatu, coś się stało, ale nie mam zielonego pojęcia, co to może być, a Freeman nie zamierza mi tego powiedzieć. Wygląda na zmęczonego. Pod oczami ma wielkie worki niczym puste hamaki. Swoją elegancki ubiór zamienił na niebieską kurtkę z dużymi żółtymi literami. Musi tu marznąć na kość i bardzo się z tego cieszyć.

Mógłbym im powiedzieć, gdzie jest pistolet, i zakończyć całą tę szopkę, koniec końców mój tyłek też jest na zewnątrz, ale uważam, że o wiele zabawniejsze jest patrzeć, jak kręcą się na próżno.

Nagle widzę typów z latarkami, którzy wchodzą do garażu, celując wiązkami światła na betonową podłogę, i już nie wydaje mi się, że kazanie im czekać to taki dobry pomysł.

– Ramírez – odzywa się głos ze środka. – Coś znalazłem.

Pewnie plamę krwi. Dużą i dość podejrzaną plamę, która może zrodzić pytania, na które nie chcę znać odpowiedzi. Wykręcam sobie palce pod kołdrą.

Ramírez wystawia głowę z garażu i patrzy w naszą stronę. Chyba zaraz zawoła swojego partnera.

Muszę ich stąd wyrzucić.

– Oszczędzę wam dalszego brudzenia moich dywanów, inspektorze Freeman. Pistolet jest w mojej łazience, w szafce nad umywalką.

Irina patrzy na mnie jakoś dziwnie, ale nic nie mówi.

Freeman przywołuje jednego z podwładnych, który po chwili wraca z bronią w plastikowej torbie.

– Przypuszczam, że na rękojeści są moje odciski.

– Na kolbie. To się nazywa kolba, panie Sax – mówi Freeman, biorąc torbę z gestem tryumfu.

Otwiera ją i wacha w środku. Miło, że zrobił to parę metrów ode mnie. Rozczarowanie na jego twarzy jest dla mnie niczym przedwczesny prezent bożonarodzeniowy.

– Jak pan widzi, broń nie była używana od dawna – mówię, trafiając w czuły punkt.

– Dlaczego trzyma pan broń w łazience, Simon? – pyta, patrząc na mnie podejrzliwie.

– W nocy z odpływu wychodzą wielkie karaluchy.

– Panie Sax...

O tej porze inspektor nie jest skory do żartów i zostawia swoją niecierpliwość na widoku, niczym goły drut. Postanawiam podjąć jego grę.

– Kiedy przesłuchiwałeś mnie wcześniej, czy raczej wczoraj, pomyślałem, że to nie jest dobry pomysł, żeby mieć w domu broń, ale nie wiedzieć, gdzie dokładnie. Dziś w nocy poszukałem jej wśród rupieci w garażu, żeby się jej pozbyć. Skoro już ją macie, sami moglibyście się tym zająć.

– Przeprowadzimy testy balistyczne, żeby potwierdzić, że to nie jest narzędzie zbrodni, za pańskim pozwoleniem – mówi Freeman, zamykając torbę.

– Oczywiście.

Ramírez wraca z garażu, obserwuje pistolet w torbie i ponurą minę swojego partnera. Kręci głową i szepcze mu coś na ucho.

Freeman w końcu się poddaje i woła pozostałych, żeby opuścili dom. Kiedy jego ludzie wychodzą, stawia nogę na schodach portyku i nachyla się do mnie.

– Moglibyśmy porozmawiać chwilę na osobności, Simon?

– Nie mam tajemnic przed moją narzeczoną – odpowiadam, ponieważ to zdanie tu pasuje, ale tak naprawdę coś mi podpowiada, że owszem, chcę porozmawiać z nim na osobności.

Irina mi to ułatwia.

– Nie przejmuj się, Simon. Strasznie chce mi się spać, idę do łóżka – mówi, ściskając moje ramię. Przez grubą kołdrę niczego nie czuję, ale i tak jest to pokrzepiające. Potem dodaje: – Wracaj szybko.

Freeman obserwuje ją, gdy wchodzi do środka. Ja też. Umieram z zazdrości.

– Słyszał ją pan, Freeman. Proszę się pospieszyć.

Kiedy drzwi się zamykają, Freeman siada obok mnie na ławce na portyku. Nie ma tu zbyt wiele miejsca dla umięśnionego czarnoskórego mężczyzny i wielkiego inżyniera informatyka owiniętego w kołdrę, tak więc bardziej się wciska, niż siada.

– Simon, nie uważam, że to był pan.

Usłyszenie czegoś takiego przyniosłoby mi ogromną ulgę, gdyby nie to, że cholernych stróżów prawa w naszym wspaniałym kraju podczas szkoleń nie tylko uczą, jak okłamywać kryminalistów, lecz także ich do tego zachęcają. Tak więc staram się traktować słowa Freemana z pewnym dystansem. Fakt, że jestem całą noc na nogach, bardzo pomaga.

– Bardzo dziękuję, inspektorze. Okazuje pan to w ciekawy w sposób.

Wzrusza ramionami, zaburzając delikatną równowagę na ławce i przyciskając mnie do boku.

– Wszystko wskazuje na pana. Ma pan bardzo dobry motyw – pokazuje jeden palec – i oczywiście miał pan sposobność. – Pokazuje drugi. – Pańskie alibi jest raczej słabe. I miał pan narzędzia, a przynajmniej tak sądziłem – dodaje, wskazując torbę z pistoletem w drugiej ręce.

Słońce zaczyna wschodzić i pomarańczowe światło muska dach mojego domu.

– No ale to nie byłem ja, Freeman. I teraz czeka pana kara, co? Nieudane nagranie, nadgodziny i cały ten syf.

– Nie uważam, że to był pan, Simon, mimo że ojciec ofiary, szanowany obywatel, ma inne zdanie.

Waham się, czy powiedzieć mu, że ten szanowany obywatel groził mi śmiercią, ale w końcu odpuszczam. Wtedy na pewno przytrzymałby mnie na dłużej, a sąsiedzi zaczęli już podchodzić do okien, biegać i wyprowadzać psy na spacer, żeby nie przegapić widowiska.

– Jednakże – ciągnie inspektor – nie mam najmniejszych wątpliwości, że coś pan wie. Odkąd wszedł pan do sali przesłuchań, stało się jasne, że nas pan okłamywał. Nie byłoby to bardziej oczywiste, gdyby spuścił pan spodnie i pokazał nam jakiś tatuaż.

Widzę, że dobre maniery czarnoskórego homoseksualisty zniknęły.

Coraz bardziej wkurzam się na Freemana, choć wiem, że to najgorsze, co mogę zrobić. Muszę zachować spokój i go zrozumieć. Użyć swoich umiejętności inżynierskich, rozłożyć go na czynniki pierwsze.

Dobrze po czterdziestce. Wcześniej codziennie na siłowni, teraz dwa razy w tygodniu. Część mięśni zamieniła się w tłuszcz. Rozczarowany.

Kwestionowany w pracy z powodu swojej orientacji i rasy. Inteligentny. Zdolny. Dla niego to nie jest sprawa osobista. Nie obchodzą go te wszystkie bzdury fikcyjnych gliniarzy, sprawiedliwość dla ofiary i całe to gadanie. Zbyt wiele widział, sparzył się i teraz trzyma się na dystans. Jest słabo opłacanym, nudnym, ostatnim na liście awansów funkcjonariuszem. Jedynie Ramírez – kobieta, Latynoska, z dziećmi – ma gorzej od niego, dlatego wykonuje dla niego brudną robotę. Ambicja jest czymś, co ledwie pamięta. Narzędzia, jakimi dysponuje, są prymitywne. Dla niego Tom, jego zabójca i ja nie istniejemy. Jesteśmy tylko kolejnym problemem do rozwiązania, zanim spadnie na niego następny trup, następny kłopot. Ktoś taki nie wykracza poza to, co niezbędne. Jeśli ta sprawa jest jak puzzle składające się z tysiąca elementów i przedstawiające wielbłąda dwugarbnego, a on ma osiemset, które nie pasują, to wciśnie je na siłę, nawet jeśli wyjdzie mu dromader.

Najlepszy sposób na to, żeby dał mi spokój, to stawianie maksymalnego oporu. Może dzięki temu poszuka sobie innego elementu, który mu się przyda.

– Dlaczego pan nie odjedzie i da mi pospać?

Freeman ignoruje moją sugestię, zdejmuje okulary i patrzy mi prosto w oczy.

– Nie wiem, w czym mnie pan okłamuje, ale wiem, że to bardzo ważne. Wiem, że w tej sprawie jest coś okropnie brudnego i że zabójstwo Toma Wilsona nie było napadem ani uliczną bójką. Jest zbyt wiele szczegółów, które nie pasują. I wiem znacznie więcej rzeczy, niż pan sądzi, niektóre z nich dotyczą pana osobiście. To jest pańska szansa, Simon – mówi, zniżając głos i kładąc mi rękę na ramieniu. – Okazja, żeby zrobić to co należy, a być może wyjść bez szwanku z tej burzy pełnej gówna, które ochlapie wszystko dookoła. Tak więc... co pan na to? Jest pan już gotów powiedzieć mi prawdę?

Cholera, dobry jest. Udało mu się mnie wzruszyć i w ogóle, włosy pod kołdrą stoją mi na sztorc. Jeśli kiedyś zrobią z tego film, mam nadzieję, że jego rolę zagra Jamie Foxx. Ani trochę nie jest podobny do Freemana, ale to musiałby być ktoś, kto potrafi rzucić tyle bzdur z absolutnym przekonaniem, jakby mówił z głębi serca.

Mnie nic nie kosztuje bycie całkiem szczerym.

– Proszę pozwolić mi iść spać, inspektorze.

Freeman nagle wstaje, rozdrażniony, z miną Leonarda DiCaprio podczas każdej nocy oscarowej. Jego gra nie otrzymała nagrody, na którą w swoim mniemaniu zasłużył. Schodzi z portyku, a kiedy jest już na ścieżce, odwraca się. Spodziewam się, że powie jakieś zdanie w rodzaju „Mam cię”, jedno z tych, które rzuca Columbo, kiedy wydaje się, że już wychodzi z domu mordercy, a w ostatnim momencie się odwraca i zrzuca bombę. Ale nie, to tylko rada od dobrego obywatela. Tak między przyjaciółmi.

– Proszę przekazać narzeczonej, żeby zaprowadziła samochód do warsztatu. Wycieka jej za dużo oleju.

9

PLAMA

Wracam do łóżka, ale Iriny tu nie ma. Poszła spać do swojego pokoju i wcale mnie to nie dziwi. Kontynuowanie czynności przerwanej przez policję nie byłoby teraz odpowiednie. Pomimo frustracji, jaką czuje pewien procent mojego ciała, reszta jest tak wyczerpana, że nie pozwala, bym oddał się masturbacji, tylko rzucam się na łóżko owinięty w kołdrę. Przez parę godzin trwam w nieświadomości, zanim telefon i problemy w biurze wyciągną mnie ze studni pełnej smoły, w której się zanurzyłem, i przywrócą mnie do bolesnej, sennej rzeczywistości.

Kiedy jestem gotowy do wyjścia, drzwi pokoju Iriny nadal są zamknięte. Idę więc na dół na palcach, z butami w ręku, żeby jej nie przeszkadzać. W salonie zakładam buty i właśnie mam wyjść do biura, kiedy przypominam sobie ostatnie zdanie Freemana.

„Proszę przekazać narzeczonej, żeby zaprowadziła samochód do warsztatu. Wycieka jej za dużo oleju”.

Olej w garażu.

Powoli idę do garażu i włączam światło, pociągając za sznurek żarówki. Pudło, które postawiłem, zasłaniając płamę krwi, nie znajduje się w tym

samym miejscu, tylko metr dalej.

A tam, gdzie była plama krwi wielkości jajka sadzonego, teraz jest plama oleju wielkości patelni ze strużką prowadzącą pod podwozie samochodu Iriny.

„Jestem pewien, że gliniarze przez całe życie marzą o powiedzeniu takiego zdania w stylu Columbo. Temu geniuszowi Freemanowi nieświadomie udało się to wczoraj”, myślę.

Każdy mógłby pomyśleć, że to była normalna plama, będąca efektem uszkodzonej skrzyni korbowej. Oczywiście każdy, kto nie zna podstawowych praw fizyki i nie wie, że ciecz nie płynie pod górę.

Garaż jest lekko nachylony w przeciwnym kierunku i o ile zeszłej nocy grawitacja przez chwilę nie szwankowała, jedyne wytłumaczenie jest takie, że ktoś wylał na krew trochę oleju, a później zrobił ślad prowadzący do samochodu Iriny, żeby nas oszukać, mnie i nasze kochane organy ścigania.

Ktoś.

Po drodze dzwonię do Arthura, by zapytać, jak się miewa, i spróbować się uspokoić, ale nawet on nie jest w stanie poprawić mi humoru.

Kiedy przychodzę do biura, Marcia czeka na mnie w moim gabinecie. RzUCA niezbyt szczerze przeprosiny za wczorajszą wieczór, a ja macham ręką, żeby zapomniała o sprawie. Wiertło firmy Black & Decker wwierca mi się w kość ciemieniową, trzy kapsułki ibuprofenu nie dały rady go uspokoić. Nie mam ochoty na konwencje społeczne.

Marcia próbuje podejść do codziennych spraw w sposób profesjonalny, chociaż jej podejrzania nadal są obecne, i to bardziej w tym, czego brakuje, niż w jej słowach. A brakuje kawy ze Starbucksa, z którą zawsze tu przychodzi, w połowie zjedzonej kanapki, którą zwykle kończy w moim gabinecie, i luźnej rozmowy, a także jej perfum, ponieważ usiadła pół metra dalej niż zazwyczaj.

Nie jestem dziś w stanie wnieść zbyt wiele do Lisy, więc tylko sugeruję pewne działania w celu ulepszenia jej procesów uczenia się, o których była już mowa na innych spotkaniach. Marcia szybko załapuje, że wszystko jest w jej rękach, i wychodzi z mojego gabinetu, nie bez pewnej ulgi, jaką jest usunięcie się z mojego podejrzanego promienia działania, ale wkurzona ze względu na to, co to oznacza. Do testu polowego zostały niespełna

dwadzieścia cztery godziny i wszystko wskazuje na to, że nie uzyskamy siedemdziesięcioprocentowego poziomu trafień wymaganego przez umowę z Infinity. W tej chwili w najlepszych symulacjach jesteśmy jedenaście punktów poniżej tego pułapu.

Jeśli nie stanie się cud, słynny „prawny kruczek” Toma pochłonie nas wszystkich.

W biurze panuje atmosfera przygnębienia, ale jedyne, co mogę zrobić, to zamknąć drzwi i pozwolić, żeby dalej atakowali mur z rozpaczliwym entuzjazmem, jaki zapewnia bliskość porażki. Nie mam żadnych pomysłów, a oprócz tego mój umysł jest teraz beczką prochu. Nie przestaję myśleć o wydarzeniach z minionej nocy. To jasne, że kiedy Irina wróciła z pracy, zauważyła moje zdenerwowanie i celowo zakryła plamę krwi olejem silnikowym.

Przez kilka minut gram tytułową rolę w spektaklu teatralnym *Simon udaje, że pracuje*, z mizernym uznaniem ze strony krytyków i publiczności. W końcu się poddaję, schodzę ze sceny i otwieram program, który pozwala mi zainstalować Linuxa na partycji mojego laptopa.

Potrzebuję odpowiedzi, potrzebuję pewności, a nie wiem, gdzie ich szukać. Muszę wiedzieć, co Irina robiła tamtej nocy, kiedy zginął Tom. Muszę wiedzieć, czy była z kimś innym. A jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy, to szpiegowanie jej. Wdarcie się do jej intymności.

Zawsze bawił mnie ten opatrzony telewizyjny obrazek, że haker musi stukać w klawiaturę jak szalony. To bzdury. Musimy jedynie wiedzieć, co robimy.

Istnieje wiele sposobów na rozwalenie strony internetowej i wydobycie wszystkich informacji. Bardziej cierpliwy haker albo taki, który chce zatrzeć swoje ślady, użyłby całej armii komputerów zombie, żeby przypuścić brutalny atak na hasła administratora, i na efekty trzeba by było czekać od paru godzin do sześciu miesięcy, w zależności od tego, jak dobre są systemy zabezpieczeń. Zwykle jest to parę godzin. W końcu zawsze znajdzie się jakiś idiota, który ustawia hasło 123456. Zawsze.

Ale ja nie mam dziś cierpliwości. W tej chwili konsekwencje guzik mnie obchodzą. Tak więc otwieram Tor, program, który łączy moją przeglądarkę przez kilka różnych adresów IP z darknetem. Nie jest to miejsce, które lubię odwiedzać, ani nie jest ono odpowiednie dla ludzi o słabych nerwach. Przestępcy wiedzą równie dobrze jak ci na Wall Street, że internet to przyszłość, dlatego założyli własny biznes. Internet kilka pięter pod

internetem, miejsce z własną wersją eBaya, gdzie zamiast sprzedawać czapki z Batmanem, oferują narkotyki, broń, zdjęcia z rodzaju tych, za które dostaje się kilka lat więzienia.

W ostatnim czasie w darknecie tak się zaroilo od policjantów rzucających przynęty, że złoczyńcy niedługo pogrzebią jeszcze głębiej w cyberprzestrzeni i założą nowy supermarket, ale mnie jest wszystko jedno. Nie zamierzam kupować kilograma kokainy, tylko potrzebny jest mi plik wykonywalny programu szpiegowskiego, takiego bardzo potężnego, bardzo nielegalnego i wystarczająco darmowego.

Znajduję taki, o którym słyszałem kilka miesięcy temu – BlackCuckoo. Świetnie, właśnie wypuścili wersję 3.1. Ten, kto za tym stoi, na pewno jest grubym trzydziestolatkiem, który pracuje w piwnicy w domu swoich rodziców. Przegryw.

Pobieram program i w innym oknie otwieram stronę *RussianWives.com*. Znalezienie adresu IP, czyli adresu, który identyfikuje jej serwer, jest dziecinnie proste. Wprowadzam go w BlackCuckoo i czekam, aż program wyśle prośbę do serwera. Jakby to była zwykła przeglądarka prosząca o dane jakiejś strony.

Każda strona zostawia w naszym komputerze ślad zwany *cookies*, małe elementy informacji, które strona wykorzystuje do tego, by nas zidentyfikować, i które my akceptujemy, żeby czytać. Dzięki tym ciasteczkom takie strony jak Amazon czy Infinity Shopping wiedzą, jakie strony odwiedzamy. Wiedzą, czy lubimy powieści kryminalne czy zupki chińskie. A kiedy po nich serfujemy, oferują nam kuszące zdjęcia chińskich zupek i powieści kryminalnych, które właśnie opuściły drukarnię. Te wszystkie dane trafiają do pliku, z którego później korzysta firma, żeby wysłać nam maile z kolejnymi powieściami i kolejnymi zupkami. Albo żeby sprzedać je producentom zupek za wiele milionów dolarów. W dzisiejszych czasach, kiedy rywalizacja o uwagę konsumenta odznacza się elegancją i dobrymi manierami rodem z filmu *Mad Max*, jedno nasze kliknięcie w reklamę jest warte między trzy a pięć dolarów.

To się nazywa Big Data. Im chciwsza firma, tym ciasteczko jest większe. Ale *cookie* jest słabym punktem dla strony, ponieważ serwer musi je pobrać z mojego komputera, a wtedy BlackCuckoo oddaje hołd kukułce, ptakowi, któremu zawdzięcza nazwę. Zamiast podrzucać jaja do gniazda innego ptaka, BlackCuckoo podrzuci moje własne *cookie* na serwer *RussianWives.com*.

Zaprogramowanie go zajmuje mi kilka minut. Jest prymitywne, mało eleganckie i prawdopodobnie zostawi ślad, który doprowadzi do mojego komputera, o ile administrator wykryje włamanie i będzie umiał wykonać swoją pracę. Ale zadziała.

Moje *cookie* użyje trochę magii. Poszuka na serwerze użytkownika strony, IRINA24, i zmieni maila do odzyskiwania hasła. Proste, ale bardzo niebezpieczne. Wystarczyłoby zlokalizować dostępy do tego maila, żeby znaleźć winnego, a nie zacieram swoich śladów zbyt dobrze.

Wczytuję go do BlackCuckoo, ale waham się przed wysłaniem. Jeśli mnie złapią, grożą mi jakieś trzy lata więzienia.

Chrzanić to, myślę. I wciskam przycisk.

Parę minut później mam hasło użytkownika Iriny. Jest w cyrylicy, ale dzięki tłumaczowi Infinity szybko się przekonuję, że to kobiece imię.

Oksana.

Zastanawiam się, co może oznaczać.

Mam pełną świadomość, że popełniam bardzo duży błąd. Że zbyt duża wiedza jest sprzeczna ze szczęściem. Ale wątpliwości dręczą mnie niczym wilk rozszarpujący mi bebechy. Muszę poczuć ulgę pewności, nawet jeśli oznacza to złe wieści.

Wchodzę na jej profil i idę prosto do folderu poczty. Jestem w szoku, widząc liczbę wiadomości, jakie dostała.

Tysiąc siedemset pięćdziesiąt dziewięć.

Tysiąc siedemset pięćdziesiąt sześć nie jest ode mnie.

Wymieniłem z Iriną bardzo mało maili za pośrednictwem strony, ponieważ one kosztują. Zaskakuje mnie tak duża liczba desperatów, biorąc pod uwagę, że profil Iriny jest dyskretny. Nawet nie ma tu jej zdjęć w bikini, jak u pozostałych. Wyobrażam sobie zalew wiadomości, jaki muszą dostawać inne profile, i czuję zawroty głowy na myśl o ogromnej samotności, ciężkiej i namacalnej ciemności, która więzi tyle ludzkich istnień. To tak, jakby przeżywać na nowo mój dramat w skali globalnej, i na kilka chwil muszę odwrócić pełen wstrętu i litości wzrok od ekranu.

Wiadomości, jakie Irina dostała od innych mężczyzn, napełniają mnie zazdrością i osłupieniem. Nie tracę czasu na ich czytanie, klikam tylko losowo na niektóre z nich i szybko przewijam dołączone zdjęcia. Spektrum jest ogromne.

Są sześćdziesięciolatekowie z laską, którzy uśmiechają się pożądliwie do kamery, uważając, by nie wypadła im sztuczna szczeka; chorobliwie otyli

faceci, którzy pokazują znak zwycięstwa, siedząc na skuterze; dyrektorzy w garniturach przy swoich kabrioletach; mięśniaki w kąpielówkach i z naoliwionym ciałem; czterdziestoletni profesorzy pozujący do zdjęcia nago, zakrywając przyrodzenie książką; panowie przebrani za katolickich księży z sutanną na wietrze w stylu Marilyn; żołnierze ze strzelbą służącą za całe ubranie; mężowie, którzy pokazują całą swoją rodzinę; raperzy eksponujący zwitki banknotów, złote łańcuchy i przezroczyste torebki z suszem, który, mógłbym przysiąc, nie jest oregano; studenci pozujący trójkami, ubrani tylko w wydziałowe kurtki; oraz pan w peruce, który dumnie pokazuje do kamery coś, co wygląda jak domowa musaka, być może w ramach rekompensaty za resztę oferty, której nędzę odsłania brak ubioru.

Penisy. Fiuty. Trzonki. Kity na każdym kroku. Wielu mężczyzn, którzy skontaktowali się z Iriną, przysłało jej zdjęcie przedstawiające ich mięsną rurkę lub to, co pochodzi z ich mięsnej rurki – na wyłączność. Sztywne, sflaczałe; duże i małe, grube jak puszki napoju i cienkie jak ołówki; białe, dorodne czarne i cienkie żółte; obrzezane albo z dodatkowym fałdem.

Zazdrość znika, litość i wstręt wyparowują i czują jedynie gorycz. Jeśli ci mężczyźni właśnie tak o sobie myślą, jeśli to ich definiuje, jeśli uważają, że w taki sposób mogą się komunikować z kobietą, to nic dziwnego, że są samotni. Jeśli to jest najlepsze, co mają do zaoferowania, to lepiej, żeby się nie rozmnażali. Jeśli to im się sprawdza, to lepiej, żebyśmy wyginęli.

Przechodzę do folderu wiadomości wysłanych, a to, co widzę, zaskakuje mnie jeszcze bardziej. Irina zaprogramowała automatyczną odpowiedź, która wydaje mi się boleśnie znajoma.

Cześć. Skąd jesteś?

Pamiętam emocje, jakie poczułem, kiedy dostałem tę wiadomość, jak analizowałem każde słowo, każdą literę, każdy znak interpunkcyjny, przepełniony pragnieniem i wyjątkowo nierozsądną nadzieją. Z tego, co widzę, nie byłem jedynym cymbałem, któremu dała szansę, by tak się zachowywać. Automatyczna odpowiedź została wysłana tysiąc siedemset pięćdziesiąt cztery razy, wiele z nich tego samego dnia, którego napisałem do niej pierwszą wiadomość.

Sprawdzam daty i godziny, a to, co odkrywam, wprawia mnie w jeszcze większe osłupienie. Wyłączyła opcję automatycznej odpowiedzi tuż po tym,

jak jej odpisałem.

Jestem z Chicago, urodzony i wychowany w Wietrznym Mieście.

Jej pierwszą prawdziwą wiadomością była odpowiedź właśnie na tę. Wątpię, żeby było to spowodowane moim oszłamiającym doborem słów albo zdjęciem, które jej wysłałem (bez penisa na wierzchu) – zrobione z bliska, uśmiecham się na nim jak dureń, którym jestem.

Nie wiem, co spodziewałem się tu znaleźć, ale oczywiście nie to. Irina chciała za wszelką cenę przyjechać do Chicago, ale dlaczego?

Spodziewałem się znaleźć odpowiedzi, a mam jeszcze więcej pytań niż wcześniej.

*Dwieście kilometrów na północ
od Magnitogorska, Rosja*

Styczeń 2005

Po trzech tygodniach dziewczynka uznała, że starzec jest już wolny od swojego uzależnienia.

Zaczekała jeszcze kolejne dwa tygodnie tylko po to, żeby mieć pewność.

Przez cały ten czas pełniła wartę przy ognisku, które rozpała między domem a kazamatą. Wokół ułożyła krąg z kamieni i podtrzymywała ogień dniem i nocą, owinięta w koce, ze wzrokiem zagubionym w ciemności. Nie pozwoliła, żeby starzec się wymknął: ani przez drzwi, ani popełniając samobójstwo.

Na kolanach trzymała pistolet swojego ojca, w razie gdyby przyszły wilki. Słyszała ich wycie w górach, ale nigdy się tu nie zbliżyły, a jeśli to zrobiły, to dziewczynka ich nie widziała. Prawie nie spała, ponieważ w czasie, kiedy akurat nie przygotowywała posiłku dla obojga albo nie przynosiła drewna do ogniska, dziewczynka mówiła.

Cichym, melodyjnym głosem, powolnym rytmem, mieli wszak mnóstwo czasu.

„Była sobie dziewczynka”

Miękkie samogłoski, mocne spółgłoski, fonemy z akcentem z dalekiego kraju.

„która bawiła się, zwisając”

Krótkie zdania, dużo ciszy, niekiedy długiej.

„z gałęzi starego dębu”

Tworzyły opowieść, którą bez przerwy opowiadała starcowi.

„aż pewnego dnia przyszli”

Aby ulżyć mu w bólu, złagodzić jego potrzebę, ukołysać go do snu.
„pewni źli mężczyźni”.

Starzec nie zawsze słuchał, bo czasami spał, czasami się wił, a potrzeba nie ustawała i nie ustanie nigdy. Dziewczynka o tym wiedziała, ale nie przestawała opowiadać, nawet wtedy, gdy krzyki starca zagłuszały jej słowa albo kiedy chrapanie dudniło w jego więzieniu. Nie przestała opowiadać, ponieważ snuła tę historię także dla samej siebie, po raz pierwszy usłyszała na głos o tym, co się wydarzyło, opowiedziała prawdę o pożarze w gospodarstwie Badiów, o tym, co spotkało jej rodziców i siostrę.

I chociaż nie udało się ulżyć w bólu, złagodzić potrzeby ani sen nie przyniósł odpoczynku, dziewczynka po raz pierwszy poczuła coś w rodzaju sensu, celu w tym ogromnym zadaniu. Kiedy opowieść się kończyła, dziewczynka zaczynała od początku. I w miarę jak dni stawały się tygodniami, zauważyła, że milczenie starca się zmienia, że w tym czekaniu jest coś innego. Bezradność z pierwszych dni stopniowo ustąpiła miejsca jakiejś innej ciszy, czemuś, czego początkowo nie potrafiła zidentyfikować. Zaczęła mieć na tym punkcie taką obsesję, że stawała na krześle i przyklejała ucho do krawędzi wąskiego okienka, żeby móc zrozumieć tę ciszę.

Aż coś sobie przypomniała.

Kiedyś w Kijowie dziewczynka zakradła się do zoo, żeby sprawdzić, czy jest to dobre miejsce na kradzież, i okazało się, że nie, ponieważ przepływ odwiedzających był zbyt szybki, zbyt nieprzewidywalny. Ale na własne oczy zobaczyła wtedy pewną scenę, która utkwiała jej w pamięci na zawsze: opiekun wchodzący na wybieg dla tygrysów bengalskich, żeby dać im jedzenie, podczas gdy one go obserwowały. Powstrzymywane napięcie zwierzęcia, które czeka przyczajone, aż opiekun się rozproszy, co właśnie teraz słyszała w ciszy ze strony starca. Zrozumiała, że chce ją zabić i że robi to, jeśli będzie miał taką możliwość.

I wtedy wiedziała, że nadszedł czas go wypuścić.

Usunięcie wszystkich kamieni zajęło jej wiele godzin, ponieważ stopniowo umacniała pospieszną pracę wykonaną pierwszego dnia i zdemontowanie tego wszystkiego okazało się trudniejsze, niż sądziła. Zamarznięty śnieg w wielu miejscach utworzył lodową skorupę i trudno było oderwać

kamienie. Użyła grubej gałęzi, by przesunąć te największe i oczyścić ścieżkę prowadzącą do wejścia do kazamaty. Kamieni było tak dużo, że musiała ułożyć je po przeciwnej stronie.

Zaczęło świtać, ale dopiero dobrze po południu odsunęła worki ze zbożem, zostawiając wolną drogę. Wpatrywała się w zniszczone drzwi pomalowane na wojskową zieleń i pełne zardzewiałych odprysków. Minęło dużo czasu, dziewczynka nie umiała powiedzieć ile, bo siedziała tam po turecku, czekając, ale bez wątplenia były to całe godziny.

Nagle drzwi zaczęły się poruszać i otworzyły się szeroko z jęklwym skrzypieniem.

Z ciemnego wnętrza wyłonił się cień. Starzec wyglądał okropnie. Jego włosy były tłustą, obrzydliwą płataniną, która opadała mu na ramiona, jego ubranie śmierdziało, skóra zaś była pokryta czarnawymi plamami. Wyszedł z kazamaty, kulejąc, ze zdrętwiałymi i bezużytecznymi po długim zamknięciu mięśniami, minął dziewczynkę i ruszył prosto do domu w poszukiwaniu tego, czego pragnął przez tyle czasu. Wrócił po chwili i stanął naprzeciwko niej. Dziewczynka wstała.

– Gdzie jest?

Ona pokazała gestem na ścieżkę.

– Zakopałam ją gdzieś tam.

Starzec zrobił krok w stronę miejsca wskazanego przez dziewczynkę, ale ona pokazała ręką na las u podnóża góry, pół dnia drogi stąd.

– A może tam.

Patrzyli na siebie długo przez głęboką przepaść, aż starzec powiedział wreszcie zmęczonym głosem:

– Powinienem cię zabić.

Ona wskazała w swoją lewą stronę, na kamień, gdzie leżał kawałek metalu, z którego popołudniowe słońce wydobywało słaby blask.

– Tam masz pistolet.

Starzec pokuśtykał w stronę broni, był tak chudy, że przypominał trzęsącą się miotłę obleczoną w mnóstwo szmat. Wziął pistolet kościstą dłonią o długich i żółtawych paznokciach. Odbezpieczył, sprawdził komorę, podszedł do dziewczynki i przyłożył jej lufę do czoła.

Skrzywiła się pod wpływem zimnego dotyku stali, lecz wyraz jej zielonych oczu nie uległ zmianie. Starzec mógł jedynie podziwiać upór tej smarkuli. Ile mogła mieć lat? Trzynaście? A mimo to zdołała trzymać go w zamknięciu przez...

– Ile czasu siedziałem tam w środku?

– Trzydzieści sześć dni.

Lufa pistoletu jeszcze mocniej docisnęła się do białego czoła.

– Wiesz, jak się cierpi na głodzie heroinowym? Masz pojęcie, jaka to udreka, gdy czujesz mrowienie pod skórą? Jak każda komórka twojego ciała krzyczy z bólu?

Ona wzruszyła ramionami.

– Jest wiele rodzajów bólu. Ten wyrządziłeś sobie sam. Zamierzasz strzelić?

Lufa pistoletu się odsunęła, zostawiając na bladej skórze czerwone kółko.

– Chciałbym – odparł starzec. – Ale od wielu lat nikt nie czyścił tego złomu. Najprawdopodobniej wybuchłby mi w rękę. Broń automatyczną trzeba czyścić co kilka dni.

Dziewczynka bez słowa wytarła ciekący nos. Znowu zaczął padać śnieg.

– Córka hodowcy świń. Powinienem być pozwolić, żeby twój ojciec zgnił w tamtej piekielnej dziurze – powiedział, spluwając na bok.

– Ale tego nie zrobiłeś. Uratowałeś mu życie, a on wrócił do domu i potem się urodziłam. A teraz on nie żyje, a ty masz za mnie odpowiadać.

Starzec parsknął śmiechem.

– Pieprzeni Kozacy. Wszyscy jesteście jednakowi. Powiedzmy, że cię nie zabiję. Kto mi zabroni pójść do miasta po herę i znowu się uzależnić?

– Jeśli tego właśnie chcesz, droga wolna.

Zapadła cisza.

– Spójrz na siebie – odezwała się znowu dziewczynka, celując w niego palcem. – Kiedyś byłeś dumnym żołnierzem. Byłeś Afgańczykiem. Co się z tobą stało?

Starzec popatrzył na nią oczami bez wyrazu.

– Skończyła mi się wojna.

– Przyniosłam ci więcej wojny – odparła dziewczynka, rozkładając ramiona.

Starzec ocenił ją niczym handlarz bydła. Chude kończyny, plecy lekko przygarbione, dźwigające na barkach niewidzialny ciężar, ciężar żyjący własnym życiem, który nigdy jej nie opuści. Duże ręce, niezgrabna sylwetka, sama skóra i kości. Niedożywiona, słaba.

Spuścił głowę, zamyślony.

To, o co prosiła go dziewczynka, było niemożliwe. To zajęłoby lata i prawdopodobnie ta krucha istota połamałaby się przed upływem miesiąca. Pomyślał o konsekwencjach, gdyby się zgodził, o moralnym brudzie, jaki wiązał się ze zrobieniem tego małej dziewczynce, przekształcić jej naturę, przemienić ją w to, w co chciała. Pomyślał o konsekwencjach, gdyby się nie zgodził, i nie potrafił ocenić, która z tych alternatyw jest gorsza.

Od dawna nie zastanawiał się nad kwestiami tego typu. Kwestiami moralnymi. Białymi i czarnymi. Zabił tylu mężczyzn, tyle kobiet i dzieci w ramach obowiązku, w ramach tego, co należało zrobić, że jego postrzeganie dobra zostało pokryte grubą warstwą smoły. Zdziwił się, że pod tą gęstą, lepką powierzchnią całego zła, które wyrządził, widać jeszcze niektóre części jego duszy. Nie to jednak skłoniło go do przyjęcia propozycji.

Skłonił go do tego fakt, że to było niemożliwe.

Kiedy znowu podniósł głowę, w jego spojrzeniu była ostra, zupełnie inna twardość.

Dziewczynka ją rozpoznała.

Afgańczyk wrócił.

10

TROCZĘ POWIETRZA

Nie znajdę odpowiedzi, siedząc przed komputerem.

Całe życie uparcie żyję wbrew tej zasadzie, więc ledwie się rozpoznaję, kiedy biorę marynarkę, wstaję i wychodzę z gabinetu. Marcia stoi na końcu boksów, głośno opieprzając nowych pracowników. Kiedy zauważa, że kieruję się do wyjścia, podjeżdża do mnie i zagraża mi drogę niczym Gandalf na krześle biurowym.

– Dokąd się, do cholery, wybierasz, Simon?

– Muszę się trochę przewietrzyć.

– Nie możesz wyjść. Mamy wiele nowych propozycji dotyczących pokrewnych obszarów i ulepszyliśmy też filtr Gaussa.

Marcia się myli. Wszyscy się mylą. Nadal szukają sposobu na błędy Lisy w aspektach optycznych, podczas gdy kluczem do wszystkiego jest logika mojego algorytmu. Wśród tych milionów linii kodu znajduje się błąd, a ja nie mam zielonego pojęcia, gdzie on jest, i obawiam się, że dałem z siebie już wszystko, co mogłem, że przydałem się tylko do rozpoczęcia tego projektu i że to umysły lepsze od mojego dokończą dzieło mojego życia. Że u kresu moich dni będę siedział w jakimś obskurnym barze, wsparty

łokciami o ladę, i aby wysepić drinka, będę opowiadać barmanowi, że to ja wymyśliłem tę aplikację, której wszyscy używają.

Nie sędę, żeby przekazanie tego Marcii i zespołowi, który moim zdaniem wykonuje resuscytację krążeniowo-oddechową na szkielecie, poprawiło ogólne morale, więc próbuję zyskać na czasie.

– Jesteście już gotowi?

Marcia krzywi się nieco. Wie, że ją przyłapałem.

– Zajmie nam to jeszcze ze dwie godziny.

– No to zobaczymy się niedługo.

– Nie chodzi tylko o to, Simon. Wszyscy są mocno zaniepokojeni tym, co spotkało Toma, i wynikami, jakie mamy. Widok kapitana statku na mostku dodaje im otuchy.

Widać, że przepelnia ją adrenalina, i wygląda na to, że teraz już zaczyna zapominać o tym, co zaszło między nami wczorajszego wieczoru. Niemal przypomina mi tę wcześniejszą Marcie, tę samą kobietę, która ukradła szampan ze sklepu pana Wanga w dniu, w którym domknęliśmy wstępną umowę z Infinity, milion lat temu.

– Muszę zebrać myśli, Marcia. Przejdę się, może coś wpadnie mi do głowy.

Marcia się nad tym zastanawia i w końcu się zgadza.

– Dwie godziny. A potem chcę cię tu widzieć w doskonałej formie. Serio, Simon, nie możemy tego schrzanić tak blisko mety. A bez ciebie nie możemy zrobić modyfikacji w programie, tylko ty masz kod dostępu.

Podnoszę prawą rękę, a lewą kładę na podręczniku do programowania w C++, który leży na biurku Marcii, biblii każdego programisty.

– Dwie godziny, przysięgam.

Marcia odjeżdża na bok. Kiedy przechodzę, celuje we mnie palcem.

– Dwie godziny.

Tak naprawdę nie wiem, dokąd idę. Ruszam w kierunku jeziora, które znajduje się jakieś dwadzieścia minut piechotą. Czytałem kiedyś, że szybki spacer wytwarza endorfiny i dotlenia krew, przyczyniając się do zwiększenia przepływu krwi, a tym samym aktywności mózgowej.

U mnie wywołuje głód.

Jako że na głodniaka nie potrafię myśleć, postanawiam zatrzymać się w połowie drogi nad jezioro i zjeść szawarmę przy jednym z ulicznych stoisk na Madison Street.

– Coś jeszcze, proszę pana?

– Coca-colę king size.

To moja zemsta na Irinie za te tysiąc siedemset pięćdziesiąt trzy wiadomości identyczne z tą do mnie, które wysłała do całej armii facetów z fiutami na wierzchu.

Po długich tygodniach bez cukru dwadzieścia siedem łyżek wchodzi do mojego mózgu z fajerwerkami i własną ścieżką dźwiękową. Nie wiem, czy to z powodu skoku poziomu glukozy, czy właśnie to tak naprawdę chciałem zrobić od początku, ale zatrzymuję taksówkę, która hamuje obok mnie ze zgrzytem.

– Dokąd, proszę pana?

– Devon Avenue.

– W którym miejscu?

– Pokażę.

Muszę skorzystać z telefonu, żeby znaleźć w gazetach przybliżony adres, a widok nagłówków dotyczących śmierci Toma jest dla mnie niespodziewanym ciosem, kubłem rzeczywistości, która wylewa mi się na głowę. Trup na Devon Avenue, młody prawnik, napad, który skończył się fatalnie, brak podejrzanych. Sześć akapitów pełnych frazesów, zdjęcie radiowozów tworzących barierę odgradzającą horror oraz sierżanta rozkładającego ramiona, żeby trzymać media w odpowiedniej odległości, akceptowalnej odległości. Minęły dwa dni bez żadnych nowych informacji i teraz jest to już stara wiadomość, zapakowana, skonsumowana, przetworzona i przeniesiona do jelita cienkiego archiwum.

Przeraża mnie, że istotne jest samo zdarzenie, a nie konsekwencje. Krótkotrwały akt przemocy skupia całą uwagę. W miarę możliwości analizuje się jego pochodzenie i relacjonuje to, co się wydarzyło, i podaje autora, czy to z imienia i nazwiska, czy to używając jednego z typowych rzeczowników. Napastnik, kieszonkowiec, sprawca. Wstęp, rozwinięcie, zakończenie. Proszę nie odchodzić od telewizorów, krótka przerwa na reklamy i wracamy z informacjami sportowymi.

Dziennikarze słowem nie wspominają w swoich artykułach o ponurej matematyce konsekwencji, o nicości, jaką tworzy taka przemoc, o zniszczonych światach. Nie ma nic. Puste miejsce, niczym krzesło, które w Wigilię nigdy nie zostanie zajęte, połowa łóżka, która już na zawsze pozostanie zimna, powietrze, które nigdy się nie poruszy, napędzane strunami głosowymi, by wydać z siebie śmiech, wypowiedzieć poradę, okazać zrozumienie.

Cholera, Tom, jak ja za tobą tęsknię.

Jego przyjaźń zawsze była klimatyzowaną klatką. Przy nim nigdy nie musiałem się starać, żeby mieć własne życie czy prawdziwe relacje, ponieważ poprzez niego byłem w stanie doświadczyć tych uczuć w sposób zastępczy, w odpowiedniej odległości, akceptowalnej odległości. Nie musiałem mówić o niczym naprawdę ważnym, ponieważ on miał wyrobione zdanie na absolutnie każdy temat, od korzyści płynących z buddyzmu po najlepszą markę papieru toaletowego.

Przy Tomie mogłem udawać, że czuję się dobrze, że wszystko jest w porządku, że żadne większe części mnie nie potrzebują pilnej naprawy. Zawsze miał czas, żeby pójść ze mną na piwo albo obejrzeć mecz w telewizji. Kiedy spotykał się z jakąś dziewczyną, zawsze mogłem schronić się przed komputerem i czekać na relację z przebiegu wydarzeń. Zwykle następnego dnia, czasami jeszcze tej samej nocy, a pewnego pamiętnego razu nawet podczas samego aktu – ze wszystkimi szczegółami, mnóstwem wykrzykników i dość rozmazany zdjęciem, na którym, jeśli mocno zmrużyło się oczy, dało się dostrzec stopę.

Myślę, że Tom dobrze znał mechanizmy łączącej nas relacji i przyjmował je z naturalnością wynikającą z przyzwyczajenia, tego powolnego i nieubłaganego walca, który rzeczy niewłaściwe zamienia w typowe. Mógłby wyciągnąć mnie z mojego kokonu, gdybym go o to poprosił, i nie mam żadnych wątpliwości, że by to zrobił, ponieważ Tom w gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem. Rzuciłby się pod ciężarówkę, żeby uratować mnie przed potrąceniem, nigdy jednak nie przejął inicjatywy, by uratować mnie przed samym sobą. Dość regularnie udzielał mi dobrych rad, lecz nigdy nie podjął żadnej prawdziwej próby. Giermkowie, podwładni i ogólnie postaci drugoplanowe pełnią zbyt ważną funkcję, żeby ich awansować, a jeśli tak nie jest, to zapytajcie Batmana, dlaczego nie wyśle Robina do szwajcarskiej szkoły z internatem, która ma dobrych psychologów.

Rzecz w tym, że pewnego dnia sam próbowałem awansować, a jemu się to nie spodobało.

Myślę, że to jest powód, dla którego tak gwałtownie zareagował na Irinę – niezależnie od tego, że Tom, kiedy chciał, potrafił być niezłym maczystą. Dlatego nie powinienem był oskarżać go, że chce utrzymać mnie w drugim szeregu i nie akceptuje jej z powodu zazdrości, ponieważ jego podejrzenie mogło być prawdziwe. A prawda jest zbyt ostrą bronią, aby wymachiwać nią, będąc wściekłym.

Bardzo za tobą tęsknię, Tom, mówię do własnego odbicia w szybie taksówki. Chciałbym, żebyś tu był, abym mógł cię przytulić i przeprosić. Teraz, gdy cię nie ma, kiedy klimatyzowana klatka się otworzyła, tu, na zewnątrz, jest mi bardzo zimno.

Taksówka się zatrzymuje, a ja kilkakrotnie sprawdzam zdjęcie w gazecie, zanim zapłacę i wysiadę. Pozbawiony policyjnych rekwizytów, ten róg Devon Avenue wydaje się nudny, niegroźny. Całodobowy sklep, kawiarnia, a między nimi wąska ślepa uliczka z betonową rampą w celu wypełnienia nierówności między jezdnią a chodnikiem.

Na pierwszy rzut oka w tym miejscu nie ma nic niebezpiecznego, żadnych znaków, które mieszkaniec potrafi doskonale rozpoznać i które każą mu przejść na drugą stronę ulicy. Nam, miastowym dzieciom, które dorastałyśmy tu pod koniec XX wieku, matki opowiadały osobliwą wersję *Czerwonego Kapturka*, w której należało unikać ciemnych uliczek, otwartych przestrzeni i furgonetek z przyciemnionymi szybami kierowanych przez nieznanomych, którzy proponowali cukierki.

Nie wiem, czego dziś nauczyłbym swoje dziecko. Prawdopodobnie posyłałbym je do szkoły z obrzytnem. Gdybym miał dziecko. O ile nie byłoby takie jak Arthur. Gdybym miał z kim je mieć. Gdyby ten ktoś chciał je mieć ze mną.

W mojej głowie znów pojawia się Irina. Myślę o poprzedniej nocy. O brutalnej, wygłodniałej, nieuniknionej potrzebie seksu, o skórze rozpalonej do czerwoności, o ciemności, która znała tylko dotyk, zapach i ciepło. Mam erekcję. Kilka metrów od miejsca, gdzie zginął Tom. To nie jest właściwe.

Próbuję się uspokoić. Irina mnie okłamała, wykorzystwała mnie w sposób, którego nie potrafię zrozumieć, i naraziła mnie na niebezpieczeństwo. Boję się jej. Fascynuje mnie. Rzeczy, które najbardziej nas przerażają, zwykle najbardziej nas fascynują. Powinienem ją rzucić. Zakochałem się w niej.

Nie mogę jej rzucić. Powinienem o niej zapomnieć. Potrzebuję pretekstu.
Potrzebuję pewności.

Robię krok w stronę uliczki.

11

ŚWIECZKA

Kawałek żółtej policyjnej taśmy zwisa ze ściany niczym serpentyna po imprezie.

To jedyna pozostałość po tragedii. Co do reszty, uliczka wydaje się czysta, panuje porządek. Są tu tylko kontener przy wejściu oraz drzwi, które chyba prowadzą do kawiarni. Na pobielonych ścianach nie ma nawet graffiti.

Próbuję wyobrazić sobie to miejsce nocą i perspektywa się zmienia. Na ścianie jest latarnia, ale zbita. Na ziemi widzę trochę szkła. Przesuwam je czubkiem buta. Szkło jest cienkie, niemal niezauważalne. Zdaje się, że nie leży tu zbyt długo.

Przy kontenerze jest trochę ciemniejszy fragment podłoża. Nieregularne zabarwienie rozproszony pociągnięciami szczotki. Duże. Plama zdecydowanie większa niż jajko sadzone. Plama, której nikt nie zakrył olejem silnikowym, tylko ktoś próbował zetrzeć wybielaczem i szczotką z grubego włosa. Jedynie w tym miejscu, gdzie podłoże styka się z białą ścianą, widać czerwone ślady. Reszta to tylko cień, który w miarę upływu czasu będzie się rozmywał, aż zniknie.

Cztery minuty leżąc w kałuży sików, czując, jak uciekają z niego powietrze i życie, patrząc na kontener na śmieci, wiedząc, że przyjaciel go zdradził.

Nie ma kałuży sików, przypuszczam, że co do tego inspektorka Ramírez mnie okłamała. Zastanawiam się, ile kłamstw trzeba wymieszać z prawdą, żeby podejrzany zareagował tak, jak się tego spodziewają. Ile wiąże się z tym kalkulacji, ile improwizacji. Czy będą się cieszyć z zastraszania, z tego subtelnego sposobu tortury uzasadnionej pensją, odznaką i wyobrażeniem sprawiedliwości.

Tutaj umarł Tom.

Sam, bez nikogo, kto trzymałby go za rękę. Nie mając czasu, by dokonać bilansu, by czegoś pożałować ani się pożegnać. Być może nie rozumiejąc, co się dzieje. Strzał w szyję. Krew zapewne bardzo szybko opuściła mózg, anulując zdolność rozumowania, zostawiając jedynie strach.

Cztery minuty.

Przez cztery minuty można doświadczyć mnóstwo strachu.

Tuż przy ścianie ktoś – przypuszczam, że jego rodzice – ustawił prowizoryczny ołtarzyk. Bukiet kwiatów. Ramka ze zdjęciem Toma z dnia ukończenia liceum. Uśmiechnięty, pewny siebie, pełen ostrożnego optymizmu przerażonego dziecka, które tak bardzo pragnie stać się dorosłym. Dobrze znam to zdjęcie, widziałem je w domu rodziców Toma, na półce kominka. Dobrze znam to spojrzenie, takie samo ma moja mama na fotografii ślubnej. Dwie ofiary połączone jednym życiem. Nagle ogarnia mnie podejrzenie, że może, w jakiś sposób, którego jeszcze nie mogę zrozumieć, druga ofiara jest konsekwencją pierwszej, i przesywa mnie dreszcz.

Między zdjęciem a bukietem kwiatów stoi biała świeczka. Skrzywiony knot pochłonął jedną czwartą wosku, zanim zgasł, niczym niespełniona obietnica. Nie mam ognia, a nie zamierzam jej tak zostawić.

Kiedy wchodzę do sklepu całodobowego, rozlega się melodyjne dzwonięcie. Metalowe rurki przyozdobione figurkami zwierząt powiadamiają sprzedawcę, starszego mężczyznę w kraciastym berecie i tak grubych okularach, że jego oczy sprawiają wrażenie, jakby obserwowały mnie ze środka łodzi podwodnej. Toruję sobie drogę między regałami zawalonymi chipsami i pieluchami i podchodzę do lady.

– Są zapalniczki?

Mężczyzna wskazuje na stojak z wszelkiego rodzaju jednorazowymi zapalniczkami gazowymi z rysunkami o szerokim przekroju: od liści marihuany po supermodelki w różnym stopniu nagości. Biorę jedną z tych ostatnich. Sądzę, że Tom doceni ten gest, gdziekolwiek teraz jest.

– Coś jeszcze?

Mężczyzna ma silny słowiański akcent. Jeden z tych, które nauczyłem się rozpoznawać.

– Nie, to wszystko.

– Dwa dolary – mówi, wymawiając poczwórne er.

Wyjmuję z portfela banknot dwudziestodolarowy (ostatni) i mu go podaję. Mężczyzna szuka reszty pod ladą, a kiedy liczy banknoty, mnie przychodzi coś do głowy.

– Reszty nie trzeba. Tak naprawdę potrzebuję zapalniczki, żeby zapalić świeczkę mojemu przyjacielowi tu, na zewnątrz.

Patrzy na mnie, wciąż z banknotami w wyciągniętej ręce, niczego nie rozumiejąc. Potrząsa delikatnie ręką, żebym je wziął, zdziwiony, że odmawiam wykonania końcowej części transakcji.

– Mój przyjaciel to ten mężczyzna, którego zabito w tej uliczce dwa dni temu.

Opuszcza rękę.

– Smutna sprawa.

– Tak. Zastanawiałem się, czy mógłbym prosić pana o przysługę. Chciałbym zapytać, czy ma pan świeczki i czy mógłbym kupić kilka dla pana, żeby, no wie pan, świeciły się tu przez kilka dni ku pamięci mojego przyjaciela.

Zdaje się, że trudno mu przetworzyć to, o co proszę. Zdejmuje czapkę, odsłaniając mnóstwo tłustych, posklejanych w strąki włosów. Pachnie trochę naftaliną, kremem do golenia i pikantnym gulaszem.

– Pan nie rodzina?

– Nie, nie. Przyjaciel. Kolega.

– Pan adwokat?

– Nie, nie, nie jestem adwokatem, jestem informatykiem, no wie pan, *stukustukustuku* – mówię, wykonując w powietrzu gest pisania na klawiaturze.

– Ach! Komputer. Związek Radziecki wynaleźć komputer.

Kusi mnie, by powiedzieć, że pewien Brytyjczyk przeprowadzał pierwsze testy komputerowe na angielskiej wsi trzech carów przed tym, jak

Lenin stał się sławny, ale wolę pozwolić odejść tej obrazie do Historii i nie ranić jego narodowej dumy. Koniec końców Historia nigdy nic dla mnie nie zrobiła, a ten człowiek może udzielić mi informacji.

– Był pan wtedy tutaj?

– Ja zawsze tutaj, zawsze.

– Widział pan, co się stało? Słyszał pan strzały?

– Nie. Ja nie tutaj.

Przełykam ślinę, próbując pogodzić jakoś te dwa sprzeczne stwierdzenia.

– Więc nie jest pan tu zawsze?

– Ja zawsze dzień – mówi, poruszając ręką z lewej do prawej, jak pokazuje się bardzo małemu dziecku albo wyjątkowo głupiemu dorosłemu.

– Mój siostrzeniec zawsze noc.

– Rozumiem. A nie ma tu pańskiego siostrzeńca?

Staruszek mruga, co za grubymi szklami jego okularów wygląda tak, jakby opuszczono dwie żaluzje.

– Pan zaczeka, ja zobaczę, czy świeczki, *da*?

Wychodzi zza lady i znika na zapleczu. Czekając, przeglądam gazety. Zdaje się, że mężczyzna z kimś tam rozmawia. Wyostrzam słuch, licząc, że coś wyłapię, ale mówi po rosyjsku. Zapewne przez telefon, bo nikogo więcej tam nie słyszę. Może dzwoni do siostrzeńca i on mógłby mi powiedzieć, co się stało dwie noce temu. A może biedak nie jest w stanie znaleźć świeczek. Nagle je zauważam, białe, grube, identyczne z tą stojącą w uliczce. Na najniższej półce regału leży opakowanie dwunastu sztuk z rozerwanym plastikiem.

Brakuje jednej.

Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, kto ją kupił. Wyobrażam sobie, jak wiele go kosztowało wejście do sklepu, usłyszenie wesołego i niestosownego dzwonięcia rurek, wyjęcie pieniędzy z kieszeni, zaczekanie na resztę. Codzienne czynności, które nabierały ciężkiego, niemal religijnego wymiaru. Zdruzgotany bólem, był w stanie wykrzesać niezbędną siłę, żeby zapewnić synowi trochę godności, nawet gestem równie drobnym, co pełnym wielkości.

Nie mogę nie podziwiać ojca Toma.

– Halo, już znalazłem świeczki! – krzyczę w stronę zaplecza.

Sprzedawca wraca za ladę, utykając, ciągnąc nieco lewą stopę. Uśmiecha się jakoś dziwnie i ponownie wyciąga do mnie banknoty, znowu nimi

machając, niczym rybak, który potrząsa przynętą w wodzie, licząc, że ryby ją złapią.

– Nie znajduję świeczek.

– Proszę spojrzeć, są tutaj – mówię, przynosząc opakowanie na ladę.

Znowu mruga, tym razem szybciej. Jego oczy za okrągłymi okularami nie przypominają mi już żaluzji, lecz sygnały świetlne statku. Jestem pewien, że widziałem je w jakimś filmie. Komunikowały się czymś w rodzaju alfabetu Morse'a.

– Dobrze. Ja zobaczę cenę.

– Przecież cena jest tutaj – mówię, wskazując etykietę. – Dwa dziesięćdziesiąt pięć za sztukę.

– Nie, nie ta cena. Niższa cena. Pan zaczeka, *da?*

Staruszek ponownie grzebie pod ladą i wyjmuje notes na spirali, pełen notatek zrobionych niebieskim długopisem. Ceny, przychody i rozchody. Wygniecione kartki, schludne, precyzyjne pismo. Nie rozumiem słów, ale liczby są absurdalnie podobne do tych, jakie pisał mój ojciec: daszki piątek podniesione jak czapki, siódemki przebite strzałą bez grota, jedynki w butach, a ósemki z większym brzuchem niż głową.

– Jest pan księgowym?

Na chwilę podnosi wzrok znad kolumn pełnych liczb, po których przesuwa małym paznokciem, długim i ostrym, któremu pozwolił urosnąć bardziej niż pozostałym, żeby oddzielać czasopisma od kartonów i celofan od opakowań.

– Tam, w ojczyźnie – mówi, wskazując w punkt usytuowany tysiące kilometrów stąd.

Zastanawiam się, czy w tym bezsensownym wszechświecie jedyną normą jest to, że wszystko jest ze sobą połączone, czy miriady niewidzialnych nici splatają wszystko, co istnieje. Przez krótki moment za zasłoną dostrzegam mężczyznę, nie staruszkę z niebios, lecz boga, który wykonuje mój zawód. Boga, który programuje paczki, tak jak robimy to my, projektanci oprogramowania, do których następnie dodaje niezbędne tekstury graficzne, żeby oszukać wzrok i ukryć kod źródłowy. Gdyby Michał Anioł dziś namalował freski w kaplicy Sykstyńskiej, nie ukazałby go wyciągającego palec, by dać życie Adamowi, lecz siedzącego za klawiaturą.

Potem ten moment mija, zasłona opada i świat na powrót jest wąskim, ciasnym sklepem, w którym pachnie stęchlizną. Na zapleczu dzwoni

telefon, dwa dzwonki, a potem cisza. Akurat wtedy sprzedawca dwukrotnie stuka paznokciem w notes i zamyka go, jakby chciał schwytać muchę między jego strony.

– Świecek, dwa dolary.

Proszę o pięć i po kilku minutach językowej szamotaniny udaje mi się wytłumaczyć, że ich nie zabiorę, że chcę, aby przez parę dni zapalał je na ołtarzyku na zewnątrz, w miarę jak będą się wypalać. Wreszcie rozumie i próbuje wydać mi resztę.

– Nie, proszę to zatrzymać. Za fatygę.

Urażony kręci głową i wymachuje mi banknotami pod nosem.

– Nie fatyga. Zmarli zasługują na szacunek, *da?*

Wychodzę ze sklepu z ośmioma dolarami i zapalniczką, mając świadomość, że już od pół godziny czekają na mnie w biurze. Mam wiele nieodebranych połączeń i wiadomości od Marcii, ale nie odejdę stąd, nie zapaliwszy świeczki. Ruszam do uliczki, przyklękam na jedno kolano naprzeciwko zdjęcia Toma. Przeszawiam nieco ramkę, poprawiam kwiaty, których płatki zaczynają już brązowieć na brzegach. Próbuję zapalić świeczkę zapalniczką. Próbuję ponownie, układając ją pod kątem czterdziestu pięciu stopni, żeby tym razem się nie poparzyć.

– Pański przyjaciel?

Głos tak mnie zaskakuje, że się wzdrzgam (ta pustka w żołądku, która się pojawia, kiedy winda jedzie zbyt szybko, kiedy siedzisz w kolejce górskiej lub w samochodzie, który pokonuje wzniesienie i którego koła na moment odrywają się od asfaltu), wypuszczam świeczkę i znowu opalam sobie palce. Klęcząc na ziemi, w tym samym miejscu, gdzie dwie noce wcześniej zginął mój przyjaciel, czuję się narażony, bezbronny. Serce zaczyna mi przyspieszać.

Za mną, przy wejściu w uliczkę, stoi jakiś mężczyzna. Ma na sobie obcisłe spodnie, białą koszulę, czarną marynarkę i zamszowe buty. Poprawia nieco okulary bez ramek i się uśmiecha. Musi być mniej więcej w moim wieku, myślę w ten niedokładny sposób, w jaki my, trzydziestolatkowie, przypisujemy nasz przedział wiekowy każdemu, kto jest siedem lat starszy lub siedem lat młodszy. Łagodne rysy, czarne włosy idealnie ostrzyżone. Nauczyciel, przechodzi mi przez głowę, albo architekt.

Mój umysł i moje ciało idą w dwóch różnych kierunkach, niczym droga, która gwałtownie się rozwidla. Umysł wrzuca go do kategorii Niegroźny, ciało zaś instynktownie odczuwa niechęć.

Nie bądź głupi, mówię sobie i znowu walczę ze świeczką. Metalowe kółko zapalniczki jest gorące, kciuk mi drętwieje, ale w końcu udaje mi się zapalić. Słaby płomień tańczy w rytmie wiatru.

– Mój najlepszy przyjaciel.

Mężczyzna podchodzi do mnie i kuca przy prowizorycznym ołtarzyku. Przez chwilę trwamy w milczeniu. Czuję się dziwnie.

– Słyszałem, co się stało – mówi z akcentem, który bardzo przypomina mi akcent Iriny. Myślę o kamuflażu, o cętkach lamparta i geometrycznym wzorze łuskowatej skóry pytona skalnego. – Przykro mi z powodu pańskiej straty.

– Mieszka pan tutaj?

– Mniej więcej. Jestem kimś w rodzaju lokalnego przedsiębiorcy.

W sposobie, w jaki wypowiada dwa ostatnie słowa, jest ukryta ironia, która przypomina mi piosenkę Alanis Morissette. Najpierw się uśmiechasz, później dociera do ciebie prawdziwe znaczenie tekstu i uśmiech zamienia się w grymas.

Podnoszę się i on robi to samo, zapinając marynarkę.

– Przepraszam, ale jest już późno i trochę się spieszę, panie...

– Och, racja. Jestem źle wychowany – stwierdza, przyjaźnie wyciągając do mnie rękę z obgryzionymi do krwi paznokciami. – Borys. Borys Mogliewicz.

Rachów, Ukraina

Wtedy

Być może tym, co zainfekowało jego duszę, były opowieści.

Dziadek zaczął mu je opowiadać w blasku paleniska, kiedy Borys ledwie umiał chodzić. Chybcząc się, przychodził do niego na kolana. Patrzył w górę, z odległości, z jakiej ludzie patrzą na tytanów, tak wysoko, że jego podbródek i gardło tworzyły kąt prosty, tak jakby szyją musiał podnieść ogromny ciężar. Dziadek siedział tam, opowiadając mu historie o królach, księżniczkach i złodziejach.

W dzieciństwie Borysowi nie brakowało opieki, jego rodzicom nie można niczego zarzucić. Zło, które kultywował, miało swoje źródło wewnątrz, a nie w wygodnej wymówce. To prawda, że istniała pewna obojętność ze strony jego ojca, który zazdrościł tych wszystkich godzin, jakie chłopiec spędzał z teściem. Ojca Borysa nieraz kusiło, żeby wyrwać dziecko z kolan dziadka i się z nim bawić, zatopić palce w miękkim ciele między obojczykiem a brzuszkiem i rozśmieszać go, aż będzie błagał, by przestać – jak jego ojciec robił z nim.

Z powodu dumy lub lenistwa nigdy się jednak na to nie zdecydował.

– Nie obgryzaj paznokci – ganił syna i czytał dalej.

Mały Borys nie miał wielkiego szacunku dla ojca (listonosza), uważał go za nieciekawego człowieka, który machał gazetą w salonie, jak gdyby wraz z każdym potrząśnięciem zmuszał ją do powiedzenia prawdy. Kochał swoją matkę (kucharkę), bez wątplenia. Ale to dziadka ubóstwiał, dziadka i historie, które mu opowiadał.

Człowiek jest zwierzęciem, które kształtuje swoją tożsamość dzięki legendom. Dzieci potrzebują ich jeszcze bardziej niż dorośli, ponieważ

każde dziecko chce być twarde, chce być sławne, chce być silne.

Legendy, które Borys poznał w dzieciństwie, opowiadały o worach w zakonie, złodziejach w prawie, złodziejach mających kodeks honorowy. Społeczność jednostek wyjętych spod prawa, które w czasach okrutnych imperatorów tworzyły prawdziwą sprawiedliwość, ignorując władzę i będąc za to prześladowane. Złodzieje byli niesłusznie zamykani przez okrutnych imperatorów w gułagu, więzieniu na końcu świata, gdzie osadzeni przyozdabiali swoje ciała tatuażami, które opowiadały o ich dokonaniach i cierpieniach.

Jeśli w pobliżu nie było matki, która mogłaby go ofuknąć, dziadek zdejmował koszulę i pokazywał klatkę piersiową, ramiona, plecy, a chłopiec przesuwiał palcami po historiach zamkniętych pod skórą. Wielu z tych rysunków (ukrzyżowana świnia płonąca na stosie, naga kobieta robiąca fellatio satyrowi, inna naga kobieta ścięta mieczem) nie rozumiał, a dziadek nie chciał ich wyjaśnić. Inne zaś trochę rozumiał, te, które wiązały się z symbolami władzy i wyrażały idee, w które wierzył wor, honorowy złodziej (portret Lenina z aureolą świętości zrobioną z cierni, Chrystus błogosławiący dwoma palcami, sierp i młot). Jeden fascynował go szczególnie. Przedstawiał pajaka na środku pajęczyny. Dziadek miał go na klatce piersiowej, był pokryty białymi, poskręcanymi włosami, nieco nad lewą brodawką.

– Mój ulubiony – mawiał. – Na sercu.

Czasy worów w zakonie przeszły do historii, podobnie jak imperatorzy, rewolucja i mur berliński. Kiedy Borys miał dziesięć lat, widział, jak ten ostatni upada, z głośnością w telewizorze ustawioną na minimum i w pokoju pogrążonym w ciemności. Dziadek trzymał go za rękę i cicho płakał. Blask telewizora odbijał się w jego łzach, niczym w małych owalnych kamieniach szlachetnych.

Borys urodził się w jednym kraju, a dorastał w innym. Szybko zdał sobie sprawę, że mieszka w trzeciorzędym miasteczku w kraju drugiego świata, co oferowało mu ograniczone możliwości. Spacerowanie po rynku albo upijanie się za tartakiem, jak robiły nastolatki z Rachowa, uważał za zajęcia równie atrakcyjne, co walenie się patelnią w głowę. Nie lubił książek, a przynajmniej tych, z których nie mógł uzyskać bezpośredniej i konkretnej wiedzy, praktycznej i natychmiastowej umiejętności, a te potrafił przeczytać w parę godzin, a nawet wyrecytować z pamięci całe fragmenty.

Pozostanie w miasteczku i pracowanie jako listonosz, jak jego ojciec, wydawało mu się niemożliwe. Wyjazd do Kijowa, by spróbować szczęścia, był jakąś opcją, ale czasy były ciężkie, a z okna swojego domu wychodzącego na przystanek autobusowy linii dojeżdżającej do stolicy Borys widział zarówno młodych ludzi, którzy odjeżdżali z błyszczącymi oczami, jak i przegranych, którzy wracali z zapadniętymi policzkami i spuszczonej ramionami. Arytmetyka była bezlitosna.

Po południu w swoje szesnaste urodziny Borys poszedł do dziadka poradzić się, co powinien zrobić. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Zastał staruszką w salonie z podbródkiem przyciśniętym do klatki piersiowej i ogromną plamą moczu na spodniach. Zafascynowany młodzian dotknął skóry na jego szyi i zdziwiło go to, co poczuł – ciało było zimne jak marmur, a także sztywne. Przez chwilę siedział z dziadkiem, po czym zawiadomił matkę, zastanawiając się nad przejściem między oboma stanami, życiem i śmiercią. Zdumiał się, gdy pojął, że prawie nie widział między nimi różnicy.

– Jaki to ma sens? – wyszeptał do pustego salonu.

Wtedy świat z głośnym trzaskiem podzielił się na dwie części. Było to wszystko, co zdarzyło się, zanim Borys zrozumiał, że śmierć jest równie nieodwracalna, co nieistotna; i to wszystko, co miało nadejść później, to, co mógł zrobić z tą wiedzą, z potężną władzą, jaką mu ona dawała.

Dziadek zostawił wnukowi skromne oszczędności. Dzięki spadkowi Borys przez lata zajmował się chodzeniem na wszelkie możliwe skróty do własnej śmierci. Pił, zażywał narkotyki, jeździł szybkimi samochodami po wąskich drogach, ale nie zdołał spotkać Kostuchy.

Spotkał natomiast Wanię i Petra.

Wania (dwa lata starszy od Borysa, twarz aniołka i włosy tak jasne, że wyglądały na białe) był wypadkiem, który za chwilę miał się wydarzyć. Jedynym, co nie pozwalało, by do niego doszło, był jego kuzyn Petro, szmugler narkotyków Sołncewskiej Bratwy w Kijowie. Petro nawalił podczas transakcji, która się nie udała, z policjantem w cywilu (młody, szczerzy i idiota) leżącym pod stołem bilardowym, z trzema strzałami w plecy i dwoma kilogramami towaru rozsypanymi na suknie. Petro nie ponosił za to winy (policjant wszedł do niewłaściwego miejsca w nieodpowiednim momencie), tak więc zamiast nakarmić nim świnię, szefowie wysłali go na wieś, żeby się dotlenił przez kilka miesięcy, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

Petro wyjechał na przedmieścia Rachowa, do domu swojego młodszego kuzyna Wani, który właśnie wyszedł z więzienia za dekapitację za pomocą łopaty wszystkich zwierząt w gospodarstwie sąsiada (trzech krów, piętnastu kur i border collie) z powodu kłótni dotyczącej ogrodzenia oddzielającego obie działki. Kiedy przyjechała policja, do oddzielenia od tułowia zostały mu już tylko te głowy, za które dostałby dożywocie, a nie czternaście miesięcy odsiadki.

Borys usłyszał tę historię, siedząc przy barze, kiedy Petro i Wania byli tak pijani, że ledwie mogli dotrzeć do toalety i poprosili o pomoc barmana. Borys odprawił barmana gestem i sam pomógł tamtym dostać się do sedesu, jednemu po drugim. Następnego wieczoru zaprosili go do swojego stolika. Dwie noce później urządzili imprezę w domu Wani, gdzie Borys przekonał się, że łopata, którą zdekapitował zwierzęta sąsiada, miała dość tępą krawędź, co niewątpliwie świadczyło o jego determinacji.

– To wszystko jest do dupy – powiedział Wania następnego ranka. Koka się skończyła, dom śmierdział spoconymi skarpetami i pełnymi popielniczkami, zostało tylko pół litra wódki i wszyscy trzej byli splukani.

– Moglibyśmy wyjechać do Ameryki – zasugerował Petro.

– Albo kurwa na Księżyc – rzucił Borys, leżąc na podłodze. Wciąż trzymał resztki papierosa i miał pożółkłe palce. Oddech cuchnął mu wymiocinami.

– Mówię poważnie. Znam pewnego typu z Odessy. Mógłby przemycić nas na statek.

– Nie zamierzam nigdzie jechać, żeby zmywać gary – oświadczył Wania, którego kuchnia potwierdzała, że nie robi tego także we własnym domu.

– Zapomnij o garach. Możemy być worami. *Mafija*.

Borys podniósł się tak szybko, że ze stołu spadły dwie puste butelki i z brzękiem potoczyły się po podłodze. W jego głowie zaświeciło się więcej światła niż na ostatnim torcie urodzinowym jego dziadka.

– Powtórz to.

Nie było to takie proste, wyjaśnił Petro. Należałoby zapłacić za bilet, który był absurdalnie drogi. Kontrola celna, fałszywe wizy i mnóstwo wyciągniętych rąk w zamian za patrzenie na drugą stronę portu. Zwykle bilety są przysyłane z drugiej strony oceanu, przez jakiegoś krewnego albo przyjaciela, który już w tym biznesie siedzi. To sprawiło, że ceny wzrosły.

– To równie dobrze mogłeś nic nie mówić – zachnął się Wania.

– Jest inny sposób. Można zapłacić ciałem.

– Nie zamierzam dawać dupy.

– Nie, durniu. Trzeba poszukać młodej cipki, jeszcze nie rozdzwiczanej. Delikatnej. Takie są w cenie. Zarabiają dużo kasy na filmach i tak dalej. Ale musi być naprawdę wyjątkowa.

Z jakiegoś powodu Wania spojrzał na Borysa, a nie na kuzyna. W ciągu paru dni zdążyli się zorientować, że ten dzieciak ma większy łeb niż oni dwaj razem wzięci. Borys zastanawiał się przez chwilę.

– Zadzwoń do swojego kumpla.

Z Odessy przyjechał typ (ogolona głowa, duży brzuch, drogie perfumy) wielkim mercedesem w kolorze butelkowej zieleni. Przywiózł pieniądze i umowy. Takich rzeczy nie można było robić bezmyślnie. Należało się upewnić, że policja nie będzie się czepiać i że nie zostaną żadne ślady. Najpierw jednak chciał zobaczyć towar.

– Pokażcie mi ją.

Zabrali go do wsi Czkałowe, czterdzieści kilometrów za Rachowem, w stronę gór. Rynek, kościół, sześciuset mieszkańców i szkoła. Zaparkowali obok niej, przy skrzyżowaniu.

Siedzący na fotelu pasażera Borys nie przestawał obgryzać paznokci – kłami płytkę, siekaczami skórki po bokach. Nie wiedział, czy dziewczyna tu będzie. Wiele razy widział ją na rynku i był pod wrażeniem niesamowitej urody tej rudowłosej, która wszędzie chodziła ze swoją siostrą. Raz jechał za nią samochodem aż do gospodarstwa, gdzie mieszkała, i próbował ją nakłonić, żeby wsiadła, ale ona już wiedziała, kim on jest, i przeszła obok z wysoko podniesioną głową. Borys przeklinał famę, jaką zyskał w okolicy zamieszkałej przez świętoszkowatych ciekawskich.

Teraz miał szansę się odegrać, ale wszystko zależało od tego, czy dziewczyna się pojawi. Dobrze wiedział, że siedzący obok niego typ nie będzie zbyt szczęśliwy, jeśli się okaże, że tylko tracił czas.

Drzwi szkoły się otworzyły i ze środka wylała się chaotyczna fala teczek, plecaków, piłek i śmiechów, tak krótkotrwała, że przed starym budynkiem z czerwonymi dachówkami w ciągu dwóch minut zrobiło się pusto. Typ z Odessy poruszył się niespokojnie i skórzany fotel zatrzeszczał pod jego grubym tyłkiem, oznajmiając problemy. To bardziej niż jakakolwiek konkretna groźba przyspieszyło Borysowi tętno, który zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił dużego błędu.

Nagle podwójny czerwony płomień rozbłysnął w popołudniowym słońcu. Borys nie musiał nawet nic mówić. Wszyscy od razu wiedzieli, że

to jest ich cel.

– Tę małą zabijamy, nie? – odezwał się Petro.

Typ z Odessy dokonał szybkich obliczeń. Wywiezienie dwóch dziewczynek z Ukrainy nie było łatwe. Najdrożej zawsze wychodziło dostanie się do Stanów Zjednoczonych. Port w Nowym Jorku znajdował się w rękach Włochów i Irlandczyków, którzy kontrolowali związki zawodowe dokerów. To byłoby około dziesięciu tysięcy dolarów na głowę plus opłata dla inspektorów celnych. W sumie prawie trzydzieści tysięcy dolarów, a do tego koszt wysłania tych trzech idiotów. Mógłby wsadzić ich do tego samego kontenera, żeby zaoszczędzić na wydatkach, ale bał się, że w drodze uszkodzą towar. Zadbana dziwka zapewniała około czterystu dolarów za noc w Nowym Jorku albo w Chicago, a więc potrzeba było co najmniej trzech miesięcy, żeby zapracowała na zwrot kosztów, nawet gdyby kazali jej pracować tyle, że nie potrafiłaby rozróżnić własnych nóg od nóg łóżka. Zwykle po ośmiu czy dziewięciu miesiącach podcinały sobie żyły albo były tak wyniszczone heroiną, że klienci nimi wzgardzali i należało odsprzedać je po okazyjnej cenie do jednego z tych trzeciorzędnych burdeli prowadzonych przez Albańczyków, gdzie klienci byli znacznie mniej wybredni. Na koniec cyklu życia produktu eksporter zwykle podwajał swoją inwestycję.

Z takim pierwszorzędym towarem jak ten będę mógł potroić zyski, pomyślał. Będziemy robić filmiki, zdjęcia. Coś kreatywnego. Ale zawsze lepiej było mieć depozyt zabezpieczający.

– Weźcie też małą.

Czasami wysyłał małe kontenery, wielkości dziewięciu stóp, do Arabii Saudyjskiej. Tam był kwitnący rynek dla tego typu towaru.

Trzy dni później podjechali do gospodarstwa.

Typ z Odessy zmarszczył brwi, kiedy trzech idioci pojawili się na drodze dojazdowej tylko ze starszą z sióstr. Ręce miała związane za plecami, a usta zakneblowane chustką. Do tego zagubione spojrzenie.

– A smarkula?

Wania zdjął białą bluzę całą we krwi i czyścił nią nóż. Zamierzał właśnie odpowiedzieć, ale ubiegł go Borys.

– Skreśliła sobie kark na schodach.

Typ z Odessy spochmurniał. Ostatecznie ta operacja wcale nie będzie tak zyskowna, jak sądził. Jego żona chciała odnowić kuchnię, żeby móc robić dzieciom śniadanie na nowym blacie. Niechętnie wręczył policjantom łapówkę.

Kiedy oddalili się od gospodarstwa, ogień płonął już ponad drzewami.

Jeszcze tej samej nocy ruszyli w stronę portu. Dziewczyna była w bagażniku, a trzech idioci siedzieli ściśnięci na tylnym siedzeniu. W połowie drogi typ z Odessy wpadł na pewien pomysł, który mógł pomóc zmaksymalizować zyski i pozwolić na zakup egipskiego marmuru, o którym zamarzyła jego żona. Zjechał na pobocze i się zatrzymał. W zasięgu wzroku nie było innych samochodów.

– Można się odlać – powiedział.

Petro wysiadł pospiesznie, bo już od dłuższej chwili narzekał, że pęcherz mu zaraz pęknie. Typ z Odessy odwrócił się do pozostałych dwóch.

– Na statku nie ma miejsca dla waszej trójki – oznajmił, pokazując pistolet.

Borys popatrzył na Wanię przez chwilę, która wydawała się trwać całą wieczność. Nie miał przy sobie żadnej broni. Wania miał swój nóż w tylnej części dżinsów. Nie byli rodziną w przeciwieństwie do Petra i jego. W ciągu kilku sekund mogli podciąć mu gardło. Obaj kilka godzin wcześniej popełnili swoje pierwsze morderstwo. W swoich ciałach wciąż mieli truciznę, jaka powstała wskutek tamtego czynu.

– Tapicerka jest nowa – ostrzegł typ z Odessy.

Wania nie odrywał wzroku od Borysa, a ten, zamiast błagać, rozmawiać czy argumentować, tylko się uśmiechał. Zrozumiał Wanię bardzo dobrze. Wania wiedział, że potrzebuje kogoś, kto będzie go prowadził, kto będzie trzymał go na smyczy, żeby nie zniszczył samego siebie.

„Wybieraj”, powiedział do Wani Borys swoim uśmiechem. „I wybierz dobrze. Ze mną zajdziesz dalej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałeś”.

Wania też się uśmiechnął.

– Ty przytrzymaj go za ręce – powiedział do Borysa, wskazując na zewnątrz, w stronę ciemności.

Pierwsze, czego nauczył się Borys po przybyciu do Ameryki, to że mylił się przez całe życie. Ale w tym celu musiał poznać Evseia Agrona.

Agron był liderem *Organizatsiji* w Chicago. I jeśli kiedykolwiek istniało coś na wzór romantycznej idei worów w zakonie, o których opowiadał mu dziadek, to Agron był jej przeciwieństwem. Na początku lat siedemdziesiątych Związek Radziecki znalazł się pod ogromną międzynarodową presją, by pozwolić wyjechać wszystkim Żydom, którzy chcieli opuścić ten kraj. Na Kremlu zamieniono ów problem w szansę i postanowiono przybić czerwony stempel ze słowem ZHID (żyd) w paszportach dziesiątek tysięcy przestępców, których wysłano do Stanów Zjednoczonych z biletem w jedną stronę. Sowieckie więzienia opustoszały, a rosyjska mafia osiadła w krainie możliwości.

Agron, drobny złodziejaszek urodzony w Stalingradzie, był jednym z tych *zhidów*. Nie mogąc znaleźć swojego miejsca w Brighton Beach, nowojorskiej „małej Odessie”, osiadł w Chicago, gdzie Włosi, zbyt skupieni na Las Vegas, tracili grunt. Kiedy chcieli zareagować, było już za późno. Agron stworzył małą armię bandytów i zabijaków, którzy swoją niższą liczebność rekompensowali brutalnością. Włosi postanowili dać im spokój, ponieważ uprawiali inne sporty. Agron skoncentrował się na lichwie i kradzieży luksusowych samochodów oraz sprzętu budowlanego, które później wysyłał do Odessy, żeby sprzedawać je w Europie. Statki zabierały auta i przywoziły kobiety. Koniec historii.

Jednak tym, co naprawdę wypełniało życie (i kieszenie) Evseia Agrona, były wymuszenia, których – w przeciwieństwie do złodziei z kodeksem honorowym, za których prawowitego spadkobiercę uważała siebie *Mafija* – dokonywał na własnych rodakach, rosyjskich imigrantach w Chicago. Nie było tu romantycznych Robin Hoodów, którzy broniliby ludzi przed niesprawiedliwymi prawami swoich rządzących. Zamiast tego mieli Agrona, prawie dwumetrowego ogra, który lubił spacerować po Devon Avenue i Ukrainian Village, obnosząc się z Olgą: elektrycznym poganiaczem bydła, który w rękach człowieka jego postury był o wiele bardziej niebezpieczny niż pistolet.

Borys i Wania zaczęli pracować dla Agrona, ściągając należności z wymuszeń – podatek od chodnika, jak nazywał go Agron. Każdy sklepikarz mający swój lokal na jego ulicach był zmuszony do uiszczania kwoty, której wysokość osobiście ustalał sam Agron. Kiedy rzucił okiem na nowych, od razu wiedział, że to idealna para na to stanowisko.

Powierzchnowy urok Borysa, wrodzona brutalność Wania. Swoją pierwszą wizytę złożyli w salonie samochodowym, którego właściciel zalegał z płatnościami. Wania przerzucił go przez szybę witryny. Lekarze musieli założyć mu na twarzy dwadzieścia sześć szwów.

Za jeden dzień pracy Borys i Wania otrzymali po trzydzieści dolarów.

– Oby tak dalej, nowi. Ja się wami zaopiekuję – powiedział Agron z okrutnym grymasem jeszcze tego samego wieczoru. – Teraz jesteście moimi worami.

Obaj przykleknęli, nadzy od pasa w górę, a *don* ukłął ich w klatkę piersiową igłą do tatuazu. Pierwsze ukłucie skóry, aby pokazać, że ich ciało nie jest już wyłącznie ich, lecz należy do całości większej niż oni sami. Profesjonalny tatuażysta zajął się wykonaniem reszty rysunku. Wania poprosił o krwawiące serce otoczone cierniami. Borys chciał pająka w środku sieci.

– Jesteś pewien? – zapytał tatuażysta, patrząc na niego znad grubych okularów. – Nie wyglądasz na ćpuna.

Każdy tatuaż ma swoje znaczenie, wyjaśnił mu tatuażysta. Pająk w środku sieci to rysunek, jaki wybierał narkoman, który żałował swojego nałogu.

Borys odpowiedział, że jest pewien, i zrobił sobie tatuaż jak najbardziej podobny do tego, jaki miał dziadek.

Przeszłość staje się terażniejszością.

Wania jest w euforii.

Borys nie podziela jego entuzjazmu.

Jeśli jest coś, co młody umie robić, to liczyć. Trzydzieści dolarów dziówki do końca życia to grosze. W tym kraju wszystko jest piekielnie drogie. Paliwo, samochody, kobiety. Nie może nawet bzyknąć tej rudej, którą sprowadzili z Ukrainy, bo pół godziny z nią kosztuje sto dolarów. Ironia sytuacji zżera go z bezwzględną przyjemnością. Borys czuje, jak płoną mu jądra na myśl o rudych włosach małej wieśniaczki, ale nie może zbyt wiele z tym zrobić poza czekaniem. Słuchaniem i uczeniem się.

Będą jeszcze inne.

Po upływie roku w charakterze poborców podatkowych dla *Mafiji* Wania prowadzi się tak samo jak na początku. Wszystko, co zarabia, przepuszcza

na wódkę i kokę, co przynajmniej wychodzi mu po kosztach. Współdziela mieszkanie z trzema innymi nowicjuszami, zwykłymi szeregowymi tak jak oni. Lokum cuchnie beknięciami, papierosami, męskością, dietą bogatą w mięso.

Borys nie jest wcale w lepszej sytuacji niż Wania, tyle że on nie wydaje pieniędzy na nałogi. Przestał pić i brać narkotyki. Woli inwestować w książki, w edukację. Chodzi na zajęcia z ekonomii, z księgowości. Kupuje i czyta wielkich rosyjskich klasyków, a potem odkrywa Balzaca, Goethego, Shakespeare'a. Jest niczym gąbka, tak samo zawzięcie wbija sobie wiedzę do głowy, jak jego koledzy niszczą sobie przegrody nosowe kolumbijskim proszkiem. Kiedy przebywa z pozostałymi worami, niekiedy czuje się zagubiony, samotny, ponieważ rozmowy z nimi przypominają słuchanie płyty CD z pięcioma piosenkami nagranych przez jakiegoś troglodytę w pierwszej klasie liceum: seks, żarcie, narkotyki, pierdzenie i samochody. Wśród mafiosów zyskuje sławę erudyty, nazywają go „Profesor Pająk”.

Parę lat później skarbnik Agrona znika, jak gdyby zapadł się pod ziemię, i *don* wzywa do siebie Wanię i Borysa.

– Ponoć dobrze sobie radzisz z liczeniem. Zaproponuję ci nową pracę. Ale najpierw powiedz mi, czy twój przyjaciel i ty zastrzeliliście mojego skarbnika i wrzuciliście go do jakiegoś dołu.

– Nie, Evsei. Nigdy bym tego nie zrobił – mówi Borys, który wybrałby pewniejszą metodę, czyli pociąłby go na kawałki w zbiorniku ze stali nierdzewnej, a potem wrzuciłby w workach na śmieci z obciążnikami do jeziora Michigan.

– W porządku. Ale jeśli zauważę brak choćby jednego centa, rozplątam cię na pół – mówi Agron, celując w niego palcem. Pieniądze wciąż są na swoim miejscu, a jeśli to nowicjusz zabił swojego poprzednika, to pokazuje, że jest zmotywowany. Nie widzi nic złego w tym, by dać tę posadę nowemu, skoro tak bardzo jej chce.

Agron nie ma pojęcia, jak wielki błąd właśnie popełnił. W odróżnieniu od innych przywódców *Organizatsiji* jest szefem, który buduje swoją władzę na strachu, a nie na lojalności. Borys wie, że nie jest w stanie (jeszcze) wywoływać strachu. Ale rozumie, że lojalność zaczyna się od wyświadczenia przysług, a jego nowa praca mu na to pozwala.

– Jesteś winien szefowi cztery tysiące dolarów – mówi do właściciela burdelu w Stone Park, działającego pod przykrywką klubu ze striptizem.

Dziewczyny tańczą na barze niczym blade różowe duchy, a muzyka wnerwia Borysa, który teraz słucha tylko jazzu i muzyki klasycznej. Coltrane i Bach to jego nowi bogowie.

– Potrzebuję jeszcze dwóch tygodni, Borys. Ogrzewanie wychodzi strasznie drogo, a dziwki narzekają, jak przykręcam kaloryfery. Koniec końców przez cały dzień chodzą z gołymi dupami, do cholery.

„Tak jak ty z tą swoją nową kochanką, tą polską nauczycielką, która uczy twoje dzieci i którą obsypujesz klejnotami”, myśli Borys, ale tego nie mówi, ponieważ przyzwyczajają się do chowywać tajemnic, które traktuje jako swego rodzaju dźwignie, gotowe do popchnięcia w odpowiednim momencie.

– Ja dałbym ci te dwa tygodnie, ale Agron mi na to nie pozwala, Siergiej.

– Tydzień, Borys – błaga tamten. – Tylko tydzień, żebyśmy stanął na nogi. W ten poniedziałek organizuję wybory Miss Mokrego Podkoszulka, *da?*

Poniedziałkowe wieczory są w burdelach najbardziej pracowite, ponieważ głowy rodzin muszą odreagować stres nagromadzony przez weekend. „Nie ma sensu organizować eventu, skoro wiadomo, że lokal i tak będzie pękał w szwach”, myśli Borys.

– Ogłoś to w poniedziałek, zaoferuj drinka gratis i przenieś imprezę na czwartek, lepiej na tym wyjdiesz.

– Ale dasz mi tydzień?

– Zgoda. Tylko ani słowa Agronowi, bo utnie mi jaja. Nadstawiam dla ciebie karku, Siergiej.

Borys wychodzi z burdelu z przysługą w kieszeni. Będzie musiał pokryć deficyt z własnej kieszeni, ale powoli, stopniowo, w miarę swoich możliwości, zyskuje coś znacznie cenniejszego.

Lojalność.

Podczas każdej transakcji Borys wyraźnie podkreśla swoją dobrą wolę wobec rozmówcy i przekazuje subtelne wiadomości, że „gdyby to od niego zależało”, sprawy załatwiano by inaczej. Podatki od nielegalnych biznesów byłyby niższe. Skończyłyby się wymuszenia. Wszystkim żyłoby się lepiej.

Dwa lata później wszyscy (z wyjątkiem Agrona, który wie tylko tyle, że zyski wzrosły o dziesięć procent) przyjmują za pewnik, że Borys będzie nowym szefem, a Wania jego prawą ręką. Właściwie błagają go o to spojrzeniem, nie mając odwagi nic powiedzieć. Za bardzo obawiają się Agrona, którego bliskość śmierci uczyniła jeszcze okrutniejszym.

Borys wybiera moment i miejsce i pewnej nocy jadą do mieszkania kochanki Agrona w River Forest. Ochroniarz szefa stoi przy wejściu do budynku i gdy tylko zauważa Wanię w miejscu, w którym nie powinno go być, wie, co się święci. Wyciąga MAC-10 z tłumikiem i celuje w Ukraińca, ten jednak w samą porę rzuca się między dwa samochody, a seria strzałów przelatuje i gubi się w żywopłocie.

Nie ma drugiej serii. Zza pleców ochroniarza wyłania się Borys, przytrzymuje go ręką i podrzyna mu gardło nożem myśliwskim. Strzelec pada na ziemię. Krew tryska jak z fontanny i plami płytki przy wejściu.

„Ciekawe”, myśli Borys. „Wygląda jak obraz Pollocka”.

Mężczyzna rzuca się w czerwonej kałuży jeszcze przez kilka sekund, po czym nieruchomieje. Krew zaczyna płynąć fugą między płytkami, zamieniając Pollocka w Mondriana.

Nie daliby rady zrobić tego sami, gdyby *don* miał dwóch ochroniarzy, jak nakazuje tradycja, i zdrowy rozsądek, ale Agron ma zbytnią wiarę we własne siły i reżim terroru, który sprawuje żelazną ręką od Devon Avenue po Stone Park.

Wania bierze MAC-10, swoją dwudziestkę dwójkę chowa za pasek i przeciąga zwłoki ochroniarza do windy, zostawiając szkarłatny ślad. We trójkę wjeżdżają na szóste piętro, a muzyka tła dręczy ich *Dziewczyną z Ipanemy*. Borys nie przestaje patrzeć na zegarek. Czas jest kluczowy, możliwe, że nawet teraz, w środku nocy, któryś z sąsiadów pojawi się na dole, zobaczy krew i zadzwoni na policję. Muszą jak najszybciej wykonać swoje makabryczne zadanie, bo nie dostaną drugiej szansy.

Dotarłszy do drzwi mieszkania, Borys opiera kolano na ziemi i sposobi się do ich otwarcia. Wania wierci się, niespokojny. Gdyby to od niego zależało, wyważyliby te drzwi, ale Borys wie, że wtedy w okamgnieniu mieliby na karku psy. Amerykanie są bardzo wrażliwi na punkcie drzwi wyważanych w środku nocy, a oni nie mają nikogo, kto osłaniałby ich przy wyjściu.

– Nikomu nie możemy ufać – powiedział wcześniej Wani. – To misja samobójcza, wszystko albo nic. Zwycięstwo albo śmierć.

Dziesiątki razy ćwiczył na takich samych drzwiach i na takim samym zamku (Schlösser z sześcioma bolcami najnowszej generacji, zainstalowany bezpośrednio z fabryki i zainstalowany w łazience jego mieszkania kilka miesięcy temu) i nauczył się używać wytrychu i łomu. Ale jedna sprawa to ćwiczenie zręczności wykonywane w piżamie w zaciszu

swojego domu, a druga, zupełnie inna, to wyłamanie niemieckiego zamku najnowszej generacji, kiedy po drugiej stronie jest bezlitosny dwumetrowy morderca, a za plecami ta ostra i głucha nieokreśloność zwana policją.

Kiedy pcha górne bolce, aż cylinder się dopasuje (ledwie metaliczny szept na linii cięcia), Borys myśli o Agronie uzbrojonym w uzi, czekającym po drugiej stronie, aż drzwi obrócą się na zawiasach, a on opróżni w ich stronę cały magazynek. Może wręcz poczuć, jak jego klatkę piersiową trafiają pociski grzybujące, jak gazy znajdujące się w główce pocisku rozszerzają ją, torują sobie drogę przez klatkę piersiową, zamieniają na miazgę tkanki miękkie, po czym spłaszczają się w kontakcie z kręgosłupem; może poczuć, jak ostatni pocisk wchodzi przez oczodół i rozsadza gałkę oczną niczym winogrono w kuchence mikrofalowej, a potem robi z jego mózgu marmoladę.

Klik.

Sprężyna ustąpiła, dolne bolce się zrównały i zamek obrócił się z delikatnym kliknięciem.

Borys ma usta wyschnięte na wiór, spocone czoło i uzmysławia sobie, że jest śmiertelnie przestraszony. Nawet Wania, psychopatyczny i krwiożerczy skurwiol, któremu codziennie przed lunchem trzeba przypominać piąte przykazanie, jest wystraszony i boi się, że to on będzie musiał popchnąć drzwi.

Nie żeby się obawiał, że Agron ich zabije. Obawia się, że złapie ich żywych. Brutalny *don* przeżył wcześniej tylko jedną próbę zabójstwa, zrobił to pewien Czeczen, którego długi doprowadziły do wyboru między samobójstwem bezpośrednim a pośrednim. Wybrał drogę pośrednią i Agron kazał przywiązać go do krzesła, nożem zerwać mu skórę z twarzy i przez wiele dni polewać żywe mięso kwasem, aż infekcja uwolniła go od cierpienia. Później kazał powiesić w swoim gabinecie twarz Czeczena (wysuszoną, zamarynowaną i rozciągniętą niczym pergamin) na miedzianej tablicy, na której umieszczono napis *Wy predupreżdeny. Jesteście ostrzeżeni.*

Borys bierze trzy krótkie wdechy i otwiera drzwi. Meble w mieszkaniu są nowe i nawet w ciemności wydają się bardziej eleganckie, niż sobie wyobrażał. Domyśla się, że to mieszkanie kochanki Agrona, którą odwiedza od wielu miesięcy.

Zdejmują buty, żeby robić jak najmniej hałasu na parkiecie, ale mimo to Borys ma świadomość każdego dotyku, każdego kroku, każdego uderzenia

serca i każdego oddechu. Kiedy wreszcie docierają do głównej sypialni, Agron chyba coś słyszy, a może tylko wstaje, żeby się odlać, ale to przyspiesza sprawę. Wania wpada do pokoju i pociąga za spust MAC-10, ale nic się nie dzieje, słychać jedynie metaliczny dźwięk zabezpieczonej broni. Agron wstaje, kompletnie nagi, z ogromnym fiutem majtającym na środku zarośli tak wielkich jak bukiet kwiatów, i usiłuje sięgnąć pistolet, który leży na komodzie, lecz Borys jest szybszy i strzela ze swojej broni przez poduszeczkę, którą wziął z salonu. Wbrew temu, co widać na filmach, strzały są dość głośne i dość bezcelowe, ponieważ kule wbijają się w ścianę, nawet nie muskając Agrona, który wreszcie chwyta swój pistolet i celuje w Borysa. Wania jednak zdołał odciągnąć zamek MAC-10 i strzela do Agrona w nogi, w jaja, w klatkę piersiową, w twarz. Opróżnia cały magazynek, a strzały dzięki tłumikowi brzmią tak, jakby duży dzieciak strzelał ziarnami ciecierzycy z gigantycznej dmuchawki, tyle że to nie jest ciecierzycyca i teraz Agron leży martwy na podłodze z wyrazem twarzy, który zaskakuje Borysa.

Wygląda, jakby mu ulżyło, myśli. Wydaje się niemal zadowolony.

Ale to jeszcze nie koniec roboty. Kątem oka zauważyli nagie łydki i krągły tyłek wymykające się z łóżka w kierunku garderoby, więc obaj wpadają do niej z bronią w rękę, ale tu nie ma nikogo. Przemierzając pomieszczenie, znajdują kolejny pokój i Borys nie może uwierzyć własnym oczom. To w pełni wyposażona pracownia garncarska z kołem, ustawionymi w rzędzie farbami, delikatnymi, ozdobionymi ręcznie wazonami. W głębi, w kącie pośród cieni, widać skuloną postać. Wania znajduje włącznik światła i obaj doznają szoku, przekonawszy się, że kochanka, choć wydepilowana od pasa w dół, to w rzeczywistości kochanek.

Chłopak płacze, siedząc w kucki i usiłując zakryć swoją nagość. Jest drobny, ma delikatne rysy, które emanują łagodnym ciepłem, nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– To wszystko twoje? – pyta Borys, wskazując wazon i koło.

– Nie – odpowiada chłopak, kręcąc głową. Grube łyzy spływają mu po policzkach. – Jego. To było jego mieszkanie.

Borys kiwa głową i nagle rozumie ulgę, jaką dostrzegł na twarzy człowieka, którego właśnie zamordował. Czuje dla niego cień współczucia, ostatnie uderzenia ogonem ryby, która już długo znajduje się poza wodą. Tyle lat godzenia dzikiej brutalności ze swoimi podstawowymi potrzebami

musiały rozerwać duszę starego mafiosa. Rozumie też, dlaczego nie miał więcej ochroniarzy. Prędzej czy później ludzie zaczęliby gadać, a gdyby to wyszło na jaw, Evsei Agron zostałby zlikwidowany już dawno temu. W obrębie *Mafiji* nie ma miejsca dla homoseksualistów, a tym bardziej dla szefa, który lubi to robić ze szczeniakiem, który mógłby być jego wnukiem. Odruchowo tłumi to empatyczne uczucie, które natychmiast rozpoznaje jako słabość.

Pokazuje Wani gestem w stronę przerażonego młodziana i bandzior wyciąga nóż. Będzie szybko i w zasadzie bezboleśnie.

Po skończeniu pracy Wania spogląda na zegarek i nie kryje zdumienia, widząc, że upłynęło zaledwie sześć minut, odkąd weszli do mieszkania, i dziewiętnaście od chwili, gdy zabili ochroniarza. Wie, że kusi los, ale nie może stąd wyjść, nie zabrawszy trofeum, dowodu, że to oni ostemplowali paszport Agrona.

„Nie jesteś mężczyzną, dopóki nie zabijesz człowieka, który był mężczyzną”.

Szukają wszędzie, ale nie znajdują tego, czego potrzebują. Wreszcie Borys zagląda do szafy na kurtki przy wejściu i woła Wanię.

Wania widzi, co jest w środku, patrzy na Borysa i się uśmiecha. Identyczne uśmiechy wymienili całą wieczność temu, na ciemnej drodze prowadzącej do Odessy, kiedy Wania był zmuszony wybierać między nim a swoim kuzynem.

„Dobrze wybrałem”, mówi uśmiech Wani.

Kolejne dni są kluczowe. Policja nie stanowi problemu, ponieważ śledztwo w sprawie okrutnego mafiosa prowadzi się przez mniej więcej dwie minuty. Problemem jest niepewność.

Borys przeczytał historię cesarstwa rzymskiego. Wie, że jest taki okres, kiedy stare wciąż do końca nie umiera, a nowe nie może w pełni narzucić swoich praw. Jeden po drugim odwiedza wszystkich członków *Organizatsiji* i proponuje im starą dychotomię: złoto albo ołów. Mogą zaakceptować go jako nowego szefa z obniżką swoich prowizji i obietnicą znaczącego wzrostu zysków albo mogą zostać potraktowani tak samo jak Agron. Nosi przy sobie trofeum, które zabrali z jego mieszkania, żeby postawić sprawę jasno.

Prawie wszyscy wybierają złoto. Nieliczni, ci, którzy nie mogą znieść widoku takiego dzieciucha za sterami statku, wolą ołów. Wania, stojący teraz na czele dwudziestu żołnierzy Agrona, składa im wizytę. Odwiedzają również kilku z tych, którzy wybrali złoto, a którzy zdaniem Borysa za bardzo reprezentują starą szkołę.

W odróżnieniu od Włochów, Chińczyków czy Japończyków rosyjska mafia funkcjonuje jak dziesiątki niezależnych komórek. Nie ma wielkich szefów, którzy muszą wyrazić zgodę. To wory mają zaakceptować nowego szefa, a ci z dużym przekonaniem ogłaszają nim (gdy tylko sprzeciw zostaje stłumiony) Borysa Mogliewicza. Teraz nazywają go „Pajakiem”, przydomkiem, który się przyjmuje. Wieść, łącznie z tą o obaleniu Evseia Agrona, niesprawiedliwego szefa, a w dodatku brudnego pedała, rozchodzi się po *Organizatsiji*.

W ciągu kilku dni nawet dziwki, włóczędzy i alfonsi w Kijowie komentują tę informację wokół beczek z ogniem za stacją Niezależności.

W niespełna dziesięć lat Borys Mogliewicz wywraca do góry nogami strukturę chicagowskiej *Mafiji* i zamienia ją w coś kompletnie innego: firmę na miarę XXI wieku. Borys wie, że ekonomia to zawiązany worek i że jeśli okradasz biednych, to stajesz się tylko trochę mniej biedny. Kończą się wymuszenia wobec sklepikarzy, a podatek od chodnika staje się symboliczny. Dolar dziennie. Żeby przypominać wszystkim, komu są winni lojalność, ponieważ ten dolar dziennie może się zamienić w dolara na minutę.

Borys nie pozwala już na przybywanie z ojczyzny nowych żołnierzy ani krwawych przestępców. Zamiast nich ściąga teraz typów, którzy rozumieją nowe rynki. Ekspertów od transportu morskiego i międzynarodowej logistyki, informatyków, maklerów giełdowych. Dywersyfikuje działalność, by uwzględnić oszustwa hipoteczne, kradzież danych z kart kredytowych i przekręty ubezpieczeniowe. Na bardzo niski procent pożycza pieniądze przedsiębiorcom, żeby otworzyli (z nim jako większościowym udziałowcem) warsztaty samochodowe w różnych miejscach wzdłuż Devon Avenue i w Melrose Park, dzięki czemu udaje mu się przekierować znaczną część legalnych napraw z Chicago, żeby zamaskować oszustwa związane

z ubezpieczeniem samochodów. Nie muszą już kraść z lufą przystawioną do głowy, teraz mogą robić to wszystko z za klawiatury.

Brudne pieniądze zaczynają stanowić problem. Legalne biznesy mogą wyprać pewną część, chociaż IRS, amerykański fiskus, zabiera bardzo dużą dolę. Borys jest sprytny, wymyśla system, w którym pieniądze przepływają nieustannie. Na początku sporo traci, jednak w końcu udaje mu się stworzyć międzynarodowy korytarz, w którym pieniądze wychodzą z Chicago, zamieniają się w diamenty w Sierra Leone, następnie diamenty zamieniają się w heroinę w Tajlandii, a heroina jest sprzedawana w Moskwie. Przedtem z każdego dolara brudnych pieniędzy przy odrobinie szczęścia udawało się wyprać dwadzieścia centów. Dzięki systemowi Borysa dolar, który wychodzi z Chicago, trafia do Moskwy podwojony. A końcowa magiczna sztuczka pojawia się wtedy, gdy kontener wysłany z Chicago przypląwa do portu w Amsterdamie lub Hamburgu z kilkoma gruchotami nadającymi się na złomowisko. Firma widmo z siedzibą w Liechtensteinie kupuje je w cenie luksusowych samochodów i płaci przelewem na rachunek bankowy w Chicago. Odliczając poniesione koszty i amerykańskie podatki, z każdego brudnego i nielegalnego dolara do kasy *Mafiji* trafia osiemdziesiąt centów bielutkich jak śnieg, suma dotąd niespotykana.

– To amerykański sen – mówi Borys do swojego odbicia w ogromnym lustrze w łazience. Poprzetykane siwizną skronie i cienkie zmarszczki mimiczne podkreślają jego atrakcyjność.

Przekazuje hojne darowizny na rzecz stowarzyszeń walczących z rakiem, jadłodajni dla ubogich, finansuje ligi baseballowe na biednych terenach. Nie robi tego tylko na pokaz czy dla odliczenia od podatku. Są takie noce, kiedy jego chłodne rozumowanie ustępuje miejsca przygnębiającemu kąsaniu. Noce, kiedy trupy kumulują się w jego atroficznym sumieniu niczym puszki napoju, które wypadają z automatu, a filantropia zapewnia mu pewien spokój, moralny odpowiednik masturbacji.

Nie mieszka już w dzielonym mieszkaniu w robotniczej dzielnicy. Teraz śpi w willi w Highland Park, która kosztowała pięć milionów dolarów, z wewnętrznym klimatyzowanym basenem i prywatną ścieżką nad jezioro, ale prawie całe dni spędza na objeżdżaniu swoich posiadłości, od Devon Avenue po Stone Park.

„Pająk” utkał swoją sieć i zaczyna prosperować, do chwili aż dzieje się to z ciężarówką pełną forsy i wszystko się sypie.

12

WOŁOWINA

– Simon Sax, miło mi pana poznać, panie Mogliewicz. Przepraszam, ale naprawdę się spieszę – mówię, ściskając mu dłoń.

– Mógłbym coś powiedzieć na temat pańskiego przyjaciela.

Zacząłem się już oddalać, ale te słowa sprawiają, że zatrzymuję się raptownie, niczym mim przy niewidzialnej ścianie. Odwracam się do niego, mocno zaintrygowany. Ten człowiek wydaje się sympatyczny i zachowuje się tak, jakby był sympatyczny, ale jest w nim coś takiego, co mi się nie podoba. Mój telefon wibruje. Chcę odebrać, ale wiem, że jeśli porozmawiam z Marcją, zmusi mnie do powrotu, więc go wyłączam.

– Słucham pana.

– Proszę za mną. Mam tu niedaleko bar, zjedźmy coś najpierw.

Widzę, że nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić, więc ruszam za nim. Idziemy Devon Avenue w kierunku zachodnim, a Borys opowiada mi historię okolicznych sklepikarzy, o tym, jak ulica dostosowywała się do olbrzymiej liczby rosyjskich imigrantów, którzy napływali tu po trosze od początku minionego wieku i masowo począwszy od lat siedemdziesiątych.

– Słowo Devon brzmi podobnie do rosyjskiego słowa *divan*, co znaczy kanapa. Aleja Kanapy. Jesteśmy narodem o wielkim poczuciu humoru – mówi Borys bardzo poważnym tonem.

Bar znajduje się siedem przecznic dalej i okazuje się przytulnym miejscem zwanym Carpathian, które o tej porze jest częściowo puste. Kilkanaście dębowych stolików, czerwone wytarte sofy i żółtawe światło, które nadaje lokalowi marzycielskiej, nostalgicznej atmosfery. Ściany zdobią sceny polowań, a kontuar z ciemniejszego drewna, za którym stoi łysy, uśmiechnięty kelner, łączy się z kuchnią, skąd wydobywają się przyjemne zapachy. Słyszę, jak burczy mi w brzuchu, co nie umyka uwadze Borysa. Wydaje krótkie polecenie po rosyjsku i prowadzi mnie do okrągłego stolika na sześć osób stojącego na końcu restauracji. W tym miejscu wystrój jest inny. Na ceglanej ścianie wisi gruby metalowy pręt zakończony szpikulcem, z baterią i kilkoma kablami. Wygląda groźnie.

– Co to?

Borys spogląda na przedmiot i wzrusza ramionami.

– Coś, co należało do poprzedniego właściciela. Kryje się za tym cała historia, zapewniam pana.

Nie wydaje się jednak skłonny mi jej opowiedzieć, a ja nie mam okazji zapytać, ponieważ w tym momencie łąduje przede mną talerz mięsa polanego czerwonym sosem i okazuje się, że to najsmaczniejsza potrawa, jaką jadłem w swoim życiu.

– Strogonow z wołowiny. Najlepszy dar mojego kraju dla ludzkości.

– Myślałem, że jest nim *Wojna i pokój* – mówię między kolejnymi kęsami.

On nie je niczego. Przyniesiono mu tylko szklanek wody z dwiema kostkami lodu i z serwetką pod spodem.

– Intensywna, ale nudna. Czytał pan?

– Widziałem film.

– Więc niech pan sobie daruje. Rosyjscy powieściopisarze mają poważny problem: są Rosjanami. Tołstoj, Dostojewski, Bułhakow. Wielcy pisarze z obciążonymi barkami, próbujący unieść cały ciężar świata. *Niet*. W miarę jak człowiek przemieszcza się na zachód, znajduje w literaturze równowagę między tym, co smaczne, a tym, co strawne.

– Aż dochodzi do Hollywood, prawda?

Borys parska śmiechem i ze srebrnej papierošnicy wyjmuje papierosa, którego zapala zapalniczką Dunhill. Arthurowi by się spodobała, jest

identyczna jak ta, którą miał James Bond w *Doktorze No.* Pod zapaloną końcówką niczym za sprawą czarów pojawia się popielniczka, nie ma jej, a za chwilę jest. Wygląda na to, że prawo zakazujące palenia w miejscach publicznych tutaj nie obowiązuje. W każdym razie Borys jest tak miły, że dopóki nie skończę posiłku, wydmuchuje dym w drugą stronę.

– Hollywood to antyteza tego, co rosyjskie. Sama rozrywka, żadnej treści. Bardziej na zachód nie ma już niczego. Jeśli lubi pan słabo wysmażone steki, proszę czytać Tołstoja. Jeśli za bardzo wysmażone, proszę oglądać *Transformersów*.

– A pan?

– Ja lubię średnio wysmażone. Dokładnie pośrodku. Dickens. Shakespeare.

– Nie miałem przyjemności. Tak naprawdę nie czytam dużo.

– Powinien pan, mój przyjacielu. Simon, prawda? Mogę mówić do pana Simon? Nie ma na świecie większej przyjemności niż usiąść z butelką wina i *Samotnią* albo recytować jeden z monologów Barda.

Pochyliła się, gasi papierosa i zaczyna recytować:

– Jakie masz dla mnie najwymyślniejsze męczarnie, tyranie? Jakie koła? jakie pale? jakie stosy? jakie pręgierze? roztopiony ołów? olej wrzący?

Jego głos nie nadaje się do aktorstwa, jest zbyt płaski, chociaż słowa wypowiada bardzo spokojnie, jakby delektował się cukierkiem. Teraz rozumiem, dlaczego mówi po angielsku lepiej ode mnie. To oczywiste, że dziesiątki razy ćwiczył przed lustrem, ale mimo to zaczynam go lubić. Dla kogoś, kogo prawie nikt nigdy nie lubił, widok innego człowieka, który tak bardzo stara się przypodobać, jest rozczulający.

– Zbyt posępne.

– Przeciwnie. Paulina to wspaniała kobieta, która stawia czoło bezlitosnemu królowi, nawet jeśli oznacza to jej koniec. Przewidywanie śmierci przygotowuje nas na moment, w którym ona nadejdzie.

Nie mogę nie pomyśleć o Tomie i moja twarz chmurnieje.

– Och, przepraszam, że przywołałem myśl o pańskim przyjacielu, Simon. Byliście sobie bardzo bliscy, prawda?

– Bardzo. To było zupełnie niespodziewane.

– Tak działa ten świat. Daje, rozpieszcza, opiekuje się. Dziesięciolecia spokoju i nagle... zero negocjacji! – mówi, uderzając palcami o brzeg stołu.

– Jestem prawie pewien, że wziął pan to z jakiejś powieści.

Jego twarz ma dziwny wyraz, uśmiech mu nieco drży, ale zachowuje opanowanie, niczym prezenter telewizyjny, któremu mówią w słuchawce, że jego żona dowiedziała się o romansie ze stażystką. Zapala drugiego papierosa i patrzy na mnie przez dym, który unosi się między nami. Wisząca nisko nad stołem lampa sprawia, że dym staje się gęstszy, niemal namacalny. Niecierpliwie się coraz bardziej.

– Miał mi pan coś powiedzieć na temat tego, co spotkało Toma.

– Policja nie ma pojęcia, kto to zrobił.

To nie jest pytanie, tylko stwierdzenie, a ja się zastanawiam, skąd to wie.

– Ja w sumie też nie. Ale mogę rzucić nieco światła na to, co się stało, coś, co może panu pomóc.

Bębni palcami w stół i przytakuje, prowadząc rozmowę z samym sobą, ostrożnie dobierając słowa, zanim będzie mówił dalej.

– Od pewnego czasu moje interesy mają pewne... poważne problemy. Ktoś prześladowa mnie i moje interesy.

– Ma pan na myśli bar? – pytam, rozglądając się dookoła.

– Nie, zajmuję się także eksportem luksusowych samochodów. W ubiegłych tygodniach doszło do trzech różnych ataków. Ostatni zdarzył się cztery dni temu, straciłem wyjątkowo cenny ładunek. Po tym zdarzeniu wzmocniłem bezpieczeństwo i w noc zabójstwa pańskiego przyjaciela jeden z moich pracowników zlokalizował kogoś, kto niedaleko stąd zachowywał się podejrzanie, a mianowicie obserwował warsztat samochodowy, który znajduje się po drugiej stronie ulicy. Pracownik śledził go z pewnej odległości i widział, jak wchodzi w ślepią uliczkę. Zadzwonił do mnie, by zapytać, co robić. Intruz był pieszo, więc pracownik sądził, że będzie pod kontrolą. Kiedy czekał, aż odbiorę, usłyszał strzał. Mój pracownik schował się za samochodem i następnie, co zobaczył, to przyjazd policji.

Ze zdumieniem słucham tego wszystkiego, o czym opowiada mi Borys. Jeśli to prawda, to w takim razie podejrzenia, jakie ma wobec mnie Freeman, szybko się rozwieją i przestanie on tracić czas.

– Powiedział pan o tym policji? To znaczy o atakach i o intruzie, którego śledził pański pracownik?

Wyraz twarzy Borysa nagle twardnieje.

– Może to kwestia mojej kultury, może głupoty, ale nie jestem zwolennikiem proszenia innych o rozwiązywanie moich problemów.

– Nie chodzi o pański problem, Borys. Zginął człowiek.

– Wiem, przykro mi. Nie mamy dowodów na to, że oba zdarzenia są ze sobą powiązane, choć mogłyby. Może to był tylko złodziej albo ćpun, nikt ważny. Może przez to, że go śledził, mój człowiek go spłoszył i dlatego skręcił w uliczkę.

– A co robił Tom w ślepej uliczce o drugiej w nocy w okolicy, której nie znał? To nie ma sensu.

– Nigdy nie mówił panu o Devon Avenue?

– Nie, i nie mam pojęcia, co mógłby tu robić o tej porze. Jego samochód był w domu, więc kto go tu przywiózł?

– Wiem tylko tyle, ile panu powiedziałem. Kiedy padł strzał, mój człowiek się przestraszył i ukrył. Cokolwiek pański przyjaciel robił w tej uliczce, w chwili gdy natknął się na intruza, ten musiał uznać go za zagrożenie i dlatego do niego strzelił. A może próbował go tylko okraść.

– Policja mówi, że portfel był na miejscu, łącznie z kartami.

Borys przechyla głowę, zamyślony.

– To mi wygląda na nieszczęśliwy przypadek. Jednak...

– Co?

– Może pan coś wie, może coś pan słyszał. Jeśli pański przyjaciel i morderca byli w jakiś sposób powiązani, pan byłby tu kluczowy.

– Ja nic nie wiem. I niech pan nie myśli, że sam się nad tym nie zastanawiałem.

– Proszę tylko, żeby pan tego nie wykluczał, niech pan o tym pomyśli. Niesamowite, ile mamy informacji, a nie jesteśmy tego świadomi. Może wpadnie to panu do głowy w najmniej spodziewanym momencie.

– Tak, przydałoby się, żebym powiedział o tym policji. Oni uważają, że to byłem ja.

Borys parska suchym, szorstkim śmiechem. Brzmi jak piła, która nagle sobie przypomniała, że ma piłować.

– Pan? Błagam...

Nie chodzi o śmiech ani nawet o protekcyjnalne spojrzenie. Chodzi o to, co właśnie powiedział. Nie dodaje „pan nie byłby w stanie zabić nawet muchy” albo „ma pan twarz niewiniątka”. Nie, zostawia to w zawieszaniu, jak gdyby zwykła sugestia, że byłbym w stanie – w najbardziej praktycznym znaczeniu tego określenia – popełnić akt przemocy jest dla niego nie do pomyślenia. To absurd, ale czuję się urażony, tak jakby wątpił w tę część mnie, którą powinienem mieć, a której mi brakuje.

– Przypuszczam, że mam to potraktować jako komplement – mówię i czuję, że robię się czerwony.

– Proszę się nie obrażać. W każdym razie powtarzam, nie myślę o policji.

– Nie rozumiem.

– W najlepszym wypadku morderca pójdzie do więzienia. W najgorszym wywinie się dzięki jakiemuś mykowi. Proponuję, żeby pański przyjaciel doczekał się innego rodzaju sprawiedliwości. Ja chcę tylko znaleźć osoby, które próbują mnie zniszczyć.

Potrzebuję chwili, by zrozumieć prawdziwe znaczenie tego, o czym mówi. Wiele razy słyszałem podobne zdania, ale nigdy w prawdziwym życiu. To jedna z tych sytuacji, co do których masz pewność, że nigdy nie przytrafią się tobie. Jak na przykład to, że twój najlepszy przyjaciel zostaje zabity w ciemnej uliczce.

Nagle widzę Borysa Mogliewicza w innym świetle. Nie wiem, jakie prowadzi interesy, ani nie chcę wiedzieć o nim nic więcej. Wołowina przewraca mi się w żołądku i chcę tylko jak najszybciej stąd wyjść.

– Nie sądzę, żebym mógł panu pomóc – mówię, wstając. – Przykro mi.

Borys się nie podnosi i nic nie wskazuje na to, że zamierza odprowadzić mnie do drzwi, zdaje się, że nawet nie rejestruje tego, że wychodzę. Patrzy przed siebie, jakbym już zniknął. Teraz, gdy się przekonał, że do niczego mu się nie przydam, zupełnie przestałem go interesować.

Powoli kieruję się do wyjścia, jakby wszystko było normalnie. Jestem tylko zwykłym klientem wychodzącym ze zwykłego miejsca. Muszę stłumić chęć gwizdania, przez które miałbym wypaść na beztroskiego.

Ledwie wystawiam za drzwi połowę ciała, gdy przede mną wyrasta mężczyzna ubrany w czarną koszulkę i czarne dżinsy. Wyciąga rękę i przytrzymuje drzwi restauracji, przyciskając je do mojej klatki piersiowej na tyle, by uniemożliwić mi wyjście. Ma dłuższe, zaczesane do tyłu włosy i gęstą, hipsterską brodę. Uśmiecha się do mnie z absolutną beztroską, jak gdyby wcale mnie nie blokował i wszystko było w jak najlepszym porządku.

– Jeśli coś pan sobie przypomni, proszę zadzwonić pod ten numer – mówi z silnym rosyjskim akcentem, bez porównania ze staranną dykcją pana Mogliewicza. Pokazuje karteczkę i wsadza mi ją do kieszeni marynarki. – Wszystko będzie dobrze.

Jego uśmiech staje się szerszy, lecz nie ma w nim ciepła ani człowieczeństwa. Wygląda jak rana na cienkich ustach, które odsłaniają

idealnie białe, zrobione zęby. Z tych, co kosztują fortunę. Siekacz obok lewego kła jest z platyny albo jakiegoś rodzaju białego złota. Nie mogę przestać się na niego gapić. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo przypomina Sharlto Copleya. Nie mogę nie myśleć o tym, że w tak gęstej brodzie znajduje się ponad dwieście tysięcy pałeczek *E. coli*, trzy razy więcej niż w sedesie. Wszystko, byle tylko nie myśleć o tym, że koleś o wyglądzie zbira i z rękami pokrytymi tatuażami przytrzymuje mnie w drzwiach restauracji.

– Wszystko będzie dobrze – powtarza.

Jeśli chciał mnie uspokoić, bez wątpienia wykonał wspaniałą pracę.

Otwiera drzwi i wykonuje gest, jakby uprzejmie pokazywał, że mogę wyjść. Dwóch dżentelmenów ustępujących sobie miejsca na ulicy. Pełna kultura.

Mijam prawie sześć przecznic, zanim znajduję wolną taksówkę.

Dwanaście przecznic, zanim uspokajam się na tyle, żeby serce przestało mi walić jak młot pneumatyczny i waliło już tylko jak perkusja.

Dwadzieścia przecznic, zanim uświadamiam sobie, że już wiem, jak sprawdzić, co spotkało Toma.

13

CHMURA

Głos Freemana rozbrzmiewa mi w głowie:

„Telefon Toma Wilsona nie został znaleziony”.

Odkąd się o tym dowiedziałem, nie daje mi to spokoju, niczym działanie matematyczne, które musisz rozwiązać, nie mając wszystkich liczb. Zabrali mu telefon, który nie był wart nawet stu dolarów, a nie wzięli pieniędzy z portfela? Jaki w tym sens?

Podszedłem do tej sprawy w niewłaściwy sposób. Wyszedłem z założenia, że Tom padł ofiarą napaści, jednego z tych przypadkowych spotkań, do jakich od czasu do czasu doprowadza wszechświat. Że to, co się stało, nie miało nic wspólnego z nim i oczywiście ze mną.

Ale dopiero kiedy usłyszałem tego stukniętego Ruska, zrozumiałem coś, na co nie wpadłem wcześniej.

Niesamowite, ile mamy informacji, a nie jesteśmy tego świadomi.

Telefon Toma nie zniknął ze względu na swoją rzeczywistą wartość, tylko to, co było w środku. Policja już pewnie uzyskała dostęp do jego maili i rozmów telefonicznych, przypuszczam, że w takich wypadkach to standardowe postępowanie. Ale szukają w niewłaściwym miejscu.

Kiedy wracam do biura, jest już wczesne popołudnie. Marcia widzi mnie na korytarzu i wstaje z wściekłością wymalowaną na twarzy niczym graffiti o żywych kolorach.

– Można wiedzieć, gdzie byłeś? Wiesz, ile godzin straciliśmy? Masz świadomość, co tu będzie jutro po południu? – pyta, niemal krzycząc. Nigdy jej takiej nie widziałem.

– Marcia, coś się wydarzyło. Ja...

Podchodzi bliżej i dźga mnie palcem w klatkę piersiową.

– Nie wiem, czy pamiętasz, o co toczy się gra, Simon. O co walczymy. Jeśli nie masz do tego szacunku, to przynajmniej weź pod uwagę pracę tych ludzi, którzy wylażą ze skóry całymi miesiącami! Miesiącami! Moglibyśmy działać znacznie szybciej bez twoich zasad bezpieczeństwa, których wszyscy przestrzegamy, bo to twój projekt, twoje dziecko. A teraz wsadzasz swoje dziecko do walizki i wrzucasz je do przeklętego jeziora Michigan, Simon.

– Marcia, wysłuchaj mnie, ja...

Stara się powstrzymać gniew i patrzy na mnie, zaciskając usta. Usiłuję coś powiedzieć, wyjaśnić jej, lecz słowa nie chcą wyjść z mojego gardła.

– Co? Czego mam wysłuchać? Postanowiłeś się poddać? O to chodzi? Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, nie jesteś sobą od tygodni, odkąd... – Milknie.

Nie chcę, żeby to powiedziała, nie chcę, żeby o tym wspominała, ponieważ ja też to wiem, ponieważ ból, jaki wywołuje prawda, jest tak ostry, że przez całe życie staramy się go unikać.

Jeśli istnieje jakiś produkt, który wygrywa z seksem jako najlepiej sprzedający się w historii, to jest nim pełen zestaw substytutów, nieskończona różnorodność środków łagodzących prawdę, które kupujemy we wszystkich postaciach. Wiedzą to politycy, księża, uzdrowiciele, właściciele kasyn i reklamodawcy. My, ludzie, chcemy żyć w kłamstwie, schronić się w jego ciepłych ścianach zbudowanych na piasku i jesteśmy w stanie zabić, byle tylko nie pozbawiono nas tej ochrony. Płacimy za nadzieję na uzyskanie wolności, życie wieczne, lekarstwo na raka, trzy wiśnie w automacie do gier oraz idealne mięśnie brzucha (bez wysiłku, tylko pięć minut dziennie!). Kiedy padają ulewne deszcze, spływają rwące potoki i wieją wiatry, które niszczą kłamstwo, wtedy... szukamy sobie innego.

– Przepraszam, Marcia – mówię, biorąc jedną z karteczek samoprzylepnych w kształcie zielonego jabłuszka, które leżą na jej biurku, i gryzmołę kombinację składającą się z osiemnastu znaków. Podaję jej. – Trzymaj.

Patrzy na to, jakbym pokazywał jej grzechotnika.

– Co to jest?

– Hasło superadmina do środowiska operacyjnego Lisy. Dzięki niemu będziesz mogła uzyskać dostęp do kodu źródłowego i wprowadzić ulepszenia, jakie chcecie. Korzystaj z niego ostrożnie, okej?

– Dajesz mi je ot tak, po prostu?

Biorę głęboki wdech.

– Mając na uwadze, na jakim jesteśmy etapie, jutro LISA stanie się własnością Infinity. Jeśli któryś z pracowników jest kretem Zachary’ego Myersa i postanowi nas zasabotować albo przywłaszczyć sobie kod, jedynie przyspieszy o kilka godzin to, co nieuniknione. Warto spróbować.

Marcia bierze karteczkę i się odwraca. Obserwuje nas całe biuro, zainteresowane tym, co się między nami dzieje, nie zadając sobie najmniejszego trudu, by udawać. Widzę twarze pełne zdumienia, złości, rozczarowania, zmęczenia. Na paru z nich ślady nadziei, niezbyt dużej i absolutnie nieuzasadnionej. Są niczym lekarze, którzy przez godzinę wykonują resuscytację krążeniowo-oddechową u topielca, jakby nie byli na zajęciach w dniu, kiedy wyjaśniano, że mózg nie może przeżyć bez tlenu dłużej niż cztery minuty. Kolejna z tych bolesnych prawd, które wolimy ignorować tylko po to, by wmawiać samym sobie, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe.

– Na co się gapicie? – rzuca Marcia. – Wszyscy do sali konferencyjnej. Już!

Wstają, jakby siedziska krzeseł wypchano sprężynami, a nie pianką poliuretanową.

– Powodzenia. Będę u siebie.

– Chodź z nami, Simon. W końcu jesteś ojcem.

Kręcę głową.

– Zrobicie to lepiej beze mnie.

– W porządku – mówi, a ulga w jej głosie jest tak widoczna jak piłka tenisowa na talerzu z makaronem.

Teraz rozumiem, że powiedziała to tylko z poczucia obowiązku, że tak naprawdę uważa, że lepiej im będzie beze mnie. Wolałbym o tym nie

wiedzieć, nawet jeśli to prawda.

Rusza do sali konferencyjnej.

Wreszcie.

Wszyscy gromadzą się wokół ekranu projekcyjnego, otwierają moją małą i oglądają jej bebechy, choć myślałem, że nigdy nie będą na nie patrzeć inne oczy niż moje. To tak, jakby ubrać swoją piętnastoletnią córkę w skórzane bikini i postawić ją na stole w barze dla motocyklistów. Nie jest to wcale przyjemne, ale potrzebne do tego, co muszę zrobić.

Korzystam z okazji, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, i idę do szafy serwerowej stojącej w klimatyzowanym pomieszczeniu. Ma powierzchnię dwudziestu metrów kwadratowych i musi być stale zamknięte, aby uniknąć gwałtownych zmian wilgotności czy zewnętrznego zanieczyszczenia. Sporą część pieniędzy od Zachary'ego Myersa wydaliśmy na chłodzenie tych metalowych półek i utrzymanie temperatury osiemnastu stopni. System wentylacji wyciąga gorące powietrze, aby nie dopuścić do przegrzania potężnych komputerów, które pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, by udoskonalić bazę danych Lisy.

Dwadzieścia dziewięć z tych trzydziestu serwerów jest naszych. Ostatni służy do przekierowywania ruchu z pozostałych dwudziestu dziewięciu i łączenia ich z bazą danych Infinity, niczym lejek, który kieruje prośby o informacje i generuje bezpośrednie połączenie z żądanym plikiem. To zamknięte urządzenie i nie wolno nam go dotykać (sześć stron w umowie mówi, na wszelkie możliwe sposoby, „nie tykajcie tego cholernego szmelcu”), ale właśnie zamierzam ominąć ten zakaz.

Tak jak podejrzewałem, skrzynka serwera została zmodyfikowana przez techników Infinity, żebyśmy nie mogli się do niej dostać. Porty USB w tylnej części zostały usunięte i zastąpione aluminiowymi płytkami. Te z przodu, które są częścią płyty głównej, zostały uszczelnione silikonem.

Na szczęście nie użyli kleju, bo wtedy nikt nie dałby rady tego wyciągnąć.

Podchodzę do szuflady z narzędziami i za pomocą cienkiego śrubokręta usuwam znaczną część materiału. Później to już tylko kwestia podłączenia pendrive'a i ponownego uruchomienia urządzenia. W końcu udaje mi się dostać do BIOS-u (oprogramowanie, dzięki któremu komputer działa i ładuje system operacyjny). Muszę otworzyć port, żeby uzyskać zdalny dostęp z mojego komputera. Przez jakieś piętnaście minut walczę z oprogramowaniem, ale wreszcie mi się udaje.

Po powrocie do mojego gabinetu łączę się z serwerem Infinity, który teraz jest wytrychem do całego systemu plików firmy. Człowiek nie potrafi się bronić przed samym sobą, jak powiedział kiedyś pewien mędrzec.

Wejście do systemu Infinity to jedno, a zdobycie tego, czego potrzebuję, to coś kompletnie innego. Prawie godzinę zajmuje mi uzyskanie dostępu do konta Toma w Infinity. W jego mailach nie znajduję nic przydatnego, tak samo na zdjęciach trzymany w chmurze, niektórych z nich wolałbym nie widzieć.

Nie rozumiem... co takiego Tom miał w swoim telefonie, że ktoś nie chciał, aby to zobaczono? Tom miał telefon skonfigurowany do automatycznego tworzenia kopii zapasowych wszystkich plików, wiem, bo sam mnie prosił, żebym to zrobił, tak więc...

Chyba że to było coś zbyt dużego. Chyba że przesyłanie nie zostało ukończony, w takim wypadku plik nie jest jeszcze dostępny dla użytkownika.

Muszę zlokalizować na serwerach folder, w którym znajdują się wszystkie jego pliki, co zajmuje mi kolejne pół godziny serfowania po złożonym systemie plików. Kiedy wreszcie na niego trafiam, znajduję to, czego szukałem: folder plików tymczasowych, w którym jest tylko jeden jedyny plik.

Opatrzony datą sprzed trzech dni o pierwszej trzydzieści jeden w nocy.

To przybliżona godzina śmierci Toma.

Nazwa pliku to długi ciąg cyfr i liter, nawet bez rozszerzenia. Pospiesznie kopiuję go na swój komputer, ale nie ma sposobu, by go otworzyć, ponieważ jeśli przesyłanie nie zostało ukończony, nie został zarejestrowany rodzaj pliku, który określa rozszerzenie. Ze względu na rozmiar podejrzewam, że to wideo, chociaż wiele prób dodania najpopularniejszych rozszerzeń na nic się nie zdaje. Wreszcie na jednym z internetowych forów znajduję rozwiązanie. Muszę zmodyfikować zawartość pliku i dodać do kodu mały nagłówek. Po długim majstrowaniu wideo da się odtworzyć.

Jest nagrane nocą z jadącej taksówki, u góry ekranu wyraźnie widać taksometr, kiedy przechył pojazdu zmienia kąt kamery. Na początku jest duże powiększenie, a jakość fatalna, ale w odległości około pięćdziesięciu metrów można dostrzec drugą taksówkę jadącą tym samym pasem. Taksówka dwukrotnie zmienia kierunek, a pojazd, którym jedzie Tom, po minucie skręca w tym samym miejscu.

Cholera, Tom kogoś śledził.

Nie rozpoznaję ulic, a obraz jest zbyt ciemny, żeby cokolwiek zobaczyć. Mijają długie minuty z tych dwudziestu, jakie trwa nagranie, a ja się zastanawiam, ile jeszcze wytrzyma plik, zanim się przerwie. Dźwięk pojawia się i znika, są duże fragmenty ciszy i takie, w których słychać tylko hałas silnika i coś, co, jak mi się wydaje, jest tupaniem nogą w podłogę samochodu.

Taksówka z przodu się zatrzymuje i nagle obraz na nagraniu staje się czarny. Ogarnia mnie frustracja, aż słyszę głos Toma nakazującego taksówkarzowi, żeby się zatrzymał. Przez kolejne trzy czy cztery minuty obraz jest zaciemniony, a ja obgryzam paznokcie ze zniecierpliwienia. Głośność komputera ustawiłem na maksa, w razie gdyby pojawił się jakiś dźwięk albo głos, który mógłbym rozpoznać, więc kiedy obraz wraca, głośniki wybuchają, raniąc moje bębunki. To tylko trzask, pewnie dlatego, że telefon w coś uderzył.

Dalej przez kolejne trzy minuty widać stopy Toma, który stoi na ulicy, czekając, z telefonem skierowanym w dół. Nie ma tu dźwięku, ale nagrywanie nie zostało przerwane.

O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi, Tom? Dlaczego byłeś...?

Nie mogę oderwać wzroku od ekranu, na wypadek gdyby coś się wydarzyło. Wreszcie coś się dzieje. Obraz przechodzi ze stóp Toma na panoramę ulicy. Jakaś postać idzie szybkim krokiem chodnikiem po drugiej stronie i Tom rusza w jej stronę, nie przestając nagrywać.

Pauzuję obraz tylko po to, by się upewnić, ale od razu rozpoznaję to miejsce. Kieruje się w stronę ślepej uliczki, gdzie wszystko się stanie. Muszę się powstrzymać, żeby nie zachowywać się jak Arthur, który krzyczy do bohaterów filmu, żeby nie wchodzili po schodach. Kiedy Tom skręca za rogiem, przystaje. Postać, którą śledził, trzyma coś w ręce, co rzuca w stronę latarni, ale zanim światło zgaśnie i znów zrobi się ciemno, rozpoznaję ją. Nawet gdy jest w czarnym ubraniu i stoi tyłem, rozpoznaję te czerwone włosy.

Obraz znowu staje się czarny, ale tym razem słychać fragmenty rozmowy. Do końca nagrania zostało ledwie dwadzieścia sekund.

Irina: Co ty tu robisz, Tom?

Tom: Ty mi to powiedz. Dokąd chodzisz nocami, co? [...] pracować [...] powiedzieć Simonowi, że kiedy [...] swoim kochankiem?

Irina: Popełniłeś błąd.

Następuje długa cisza.

Potem rozlega się strzał.

I koniec.

Kurwa.

Nagle wszystko nabiera sensu. Uświadamiam sobie, że moja irracjonalna obrona Iriny przypominała zachowanie jednego z tych starych samotnych japońskich żołnierzy, którzy walczyli przez całe dziesięciolecia, nie będąc świadomymi (nie chcąc nimi być, ukryci w swoim lesie), że wojna już dawno się skończyła, że zostali pokonani i że jako jedyni o tym nie wiedzą.

Ale mnie wkurza, że muszę przyznać ci rację, Tom.

Tyle że sytuacja wygląda znacznie gorzej, niż przewidywał.

I co ja mam teraz, do cholery, zrobić?

*Dwieście kilometrów na północ
od Magnitogorska, Rosja*

Kwiecień 2005

– Ból to najpotężniejsze paliwo.

Stary często to powtarzał. Kiedy to robił, dziewczynka go nienawidziła. Nienawidziła zdań, którymi chciał wzmocnić jej wolę albo zahartować jej ducha. Nie potrzebowała takich rzeczy.

Przebiegła ostatnie metry pod górę, czując, że płuca zastąpiły jej dwa worki kwasu. Nie było tu drogi, cała ta okolica była dzika, a jednak zauważyła, że odciski jej butów zaczęły wytyczać ścieżkę w leśnej ściółce. Jak jej nogi instynktownie rozpoznawały najlepsze miejsca na odbicie się, powtórzenie po powtórzeniu. Ile razy wspięła się do podstawy lodowca? Sto? Więcej? Może powinna zacząć je liczyć. Liczyć wstecz od tysiąca, aż puści się gałęzi.

„Jeśli wytrzymasz do zera, dam ci prezent”.

Za drzewami zaczynały się skały i tam należało poruszać się wolniej, bo zaokrąglone krawędzie były niczym otwarte i podstępne paszcze, głodne jej kostek. Bieg zamieniła więc na wolniejszy i dłuższy krok, a w przednią część ud wbijały jej się setki mikroskopijnych igieł. W oddali dostrzegła już starego. Lodowiec był niebieskawym owalem otoczonym solidnymi kamiennymi ścianami, które lód przez całe tysiąclecia poddawał erozji, tworząc naturalny amfiteatr. Ciśnienie i czas mogły osiągnąć wszystko. Na środku tej ogromnej przestrzeni odwrócony plecami stary wbijał coś w lód.

– Trzydzieści dwie minuty – powiedział, kiedy dziewczynka znalazła się przy nim.

W jego głosie nie było cienia wyrzutu. Ona i tak wiedziała, że była bardzo powolna. Wiedziała, że kara nadejdzie później, choć nie wiedziała, co nią będzie. Kolejny bieg, siekiera, a może kamienie. Wszystko byłoby lepsze niż strumień. To, że nie mówił jej, jaka będzie kara, i pozwalał, by sama ją sobie wyobraziła, było równie okrutne, co skuteczne.

– Załóż bandaż – nakazał stary, nie przestając walić młotkiem.

Owinęła dłonie szmatami, ściskając tak mocno, że niemal odcięła dopływ krwi. Sama nauczyła się to robić. Z początku stary zawsze pozwalał jej się mylić, żeby o popełnionych błędach przekonała się na własnej skórze.

Kiedy zacznie, bandaż nieco się poluzuje, a gdyby owinęła je luźno, następnego dnia pęcherze byłyby nie do zniesienia, zwłaszcza że stary kazałby jej kontynuować. Krew zaschnięta na szmatach była tego najlepszym dowodem.

Stary zaklął, bo uderzył się młotkiem w palec. Rzucił narzędzie na ziemię i z powierzchni lodowca dobył się złowieszczy trzask. Wiosną warstwa lodu stawała się cieńsza i dziewczynka poczuła pod sobą wibracje wywołane uderzeniem.

To był jeden z tych złych dni, dziewczynka to wyczuwała. Jeden z tych dni, kiedy stary rozpaczliwie chciał wstrzyknąć sobie narkotyk. Zrobiło jej się go żal i pragnęła mu pomóc, ale nie wiedziała jak.

Wreszcie stary się odsunął i pozwolił jej zobaczyć, co zrobił.

Był to nowy drewniany słupek, z grubsza ociosany z dużej gałęzi, wysokiej jak człowiek. Sęki zostały usunięte siekierą i było na nim pełno drzazg. Podobnie jak na pierwszym słupku, stary namalował na różnych wysokościach czerwone cyfry. Wskazał je palcem.

– Dwa, raz, raz. Trzy, pięć. Zaczynaj.

Dziewczynka zaczęła uderzać tak, jak ją nauczył, podstawą pięści, jakby to był młotek.

– Nigdy kostkami. Kostkami walą tylko przegrywy. Może uderzają mocniej, ale walną tylko parę razy, zanim ręka im spuchnie i będzie do niczego – pouczył ją na początku.

Uderzała dalej, bez przerwy powtarzając sekwencję, zmuszając ciało do jej zapamiętania, zrobienia z niej czegoś automatycznego, co nie będzie wymagało interwencji jej mózgu.

– Które miasto jest stolicą Belgii?

– Bruksela – wydyszała, nie przestając walić, próbując znaleźć własne tempo.

– Kiedy rozpoczęła się chwalebna rewolucja bolszewicka?

– W tysiąc dziewięćset siedemnastym. Nie pamiętam dnia.

Stary zdzielił ją mocno po plecach grubą gałęzią, wrywając z niej krzyk bólu.

– Dwudziestego siódmego lutego. Nie zwalniam tempa. Jak się oblicza pole trójkąta?

– Podstawa razy wysokość.

Gałąź ponownie przecięła powietrze w kierunku jej pleców. Dziewczynka uskokczyła w samą porę.

– Podzielone przez dwa! – krzyknęła, zanim gałąź znów znalazłaby się w górze.

Stary się uśmiechnął.

– A teraz strumień.

W ramach protestu dziewczyna wydała z siebie tylko pomruk strachu.

Październik 2005

Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć...Powietrza!Dziewczynka wystawiła głowę z wody, usiłując ponownie zaczerpnąć powietrza, słodkiego powietrza do płuc. Ciało miała posiniaczone, usta – spuchnięte i sine.

Spływająca z gór woda tworzyła strumień, który rozszerzał się, w miarę jak kierował się w stronę stepu. W połowie góry strumień opadał na skały i tworzył małe rozlewisko zimnej, tak lodowatej wody, że zanurzenie w niej rąk powodowało przeszywający ból.

– Zabrakło ci dwóch sekund – powiedział stary.

Była zanurzona w wodzie, kompletnie naga, ubranie leżało zwinięte w kłębek przy brzegu. Polecenia były jasne. Musiała wytrzymać pełną minutę z głową pod powierzchnią, licząc w myślach bez pomyłki, zdana na łaskę intymnych dźwięków własnego ciała, ignorując potworne cierpienie, jaki chłód zadawał jej skórze, tłumiąc pierwotny i nieunikniony instynkt ucieczki, dotarcia do obietnicy powietrza, które znajdowało się kilka centymetrów od jej oczu.

– Nie, proszę – błagała.

Stary nie odpowiedział, tylko odwrócił wzrok i czekał, aż ona pogodzi się z tym, co nieuniknione.

Dziewczynka zanurzyła się ponownie.

Kwiecień 2006

Niedźwiedź był ogromny. Kiedy przeszedł między powalonym drzewem a formacją skalną, ocierając się o nie barkami, dziewczynka obliczyła, że musi mierzyć prawie metr od ziemi do grzbietu. Spędziwszy całą zimę w stanie hibernacji, był wygłodniały i agresywny.

Przeszedł pod gałęzią, na której się ukryła, przyczajona, i przystanął na moment przy drzewie. Podniósł pysk, wdychając zapach intruza, zapach, który nie pasował do tego lasu, do jego królestwa.

Warknął groźnie i podniósł łapę. Jednym machnięciem wyrwał kawałek kory wielkości głowy dziewczynki. Piżmowy, stary fetor uniósł się aż do gałęzi.

Ona nie zareagowała. Tej nocy niedźwiedź nie był jej celem, zresztą niewiele mogłaby zrobić, broniąc się prymitywnym łukiem własnej roboty, w który była uzbrojona.

Ona polowała na jelenia, który znajdował się po drugiej stronie skał i który znieruchomiał, wyczuwszy obecność niedźwiedzia. Właśnie obwąchiwał krzew między skałami, gdy zjawiono się to gigantyczne zwierzę. Stanął nieruchomo, z napiętą szyją i lekko przechylnym porożem. Nie miał innej drogi ucieczki niż przejść pod drzewem, na którym siedziała dziewczynka, dlatego jeszcze nie rzucił się do ucieczki.

Niedźwiedź w końcu znudził się dziwnym zapachem, jaki wydzielalo drzewo, i oddalił się między krzaki, przy każdym stawianym kroku łamiąc po kilka gałęzi.

Jeleń jeszcze przez minutę był zajęty krzewem, machając długimi rękami, jak gdyby chciał dać jasno do zrozumienia, że odejdzie wtedy, kiedy zechce, a potem jednym susem zeskoczył ze skał. Znalazł się po lewej stronie od drzewa, na którym siedziała dziewczynka, i zanurkował głową między liście, szukając tych najsmaczniejszych.

Dziewczynka założyła strzałę na cięciwę i napięła łuk, celując w miejsce, które pokazał jej stary, dwadzieścia centymetrów poniżej nasady szyi, gdzie

znajdowało się serce. Strzała została zrobiona z prostej gałęzi, grot zaś z odłupka kamienia, który osobiście ostrzyła przez wiele dni, aż był w stanie przeciąć kawałek papieru.

Palce nie wypuszczają strzały, to dłoń się otwiera, uwalniając ją, przypominała sobie.

Pocisk wyleciał ku celowi z głębokim westchnięciem. W ostatniej chwili zwierzę musiało coś wyczuć, ponieważ przesunęło się nieco. Końcówka zatopiła się w zadzie i jelen uciekł w głąb lasu z wbitym strzałą.

Stary wyłonił się spośród krzaków, na prawo od miejsca, którędy uciekł jelen. Dziewczynka zamrugła z niedowierzaniem. Nawet go nie zauważyła.

– Wygląda na to, że jedno z nas zje na kolację kartofle... a drugie pójdzie do strumienia.

Wrzesień 2007

Do miasta przybyła pieszo. Wracając z końca świata, spała w rowach przy opustoszałej drodze. Cztery dni zajęło jej dotarcie do olbrzymiej fabryki, jaką był Magnitogorsk, ze swoim pół milionem mieszkańców, z powietrzem niezdatnym do oddychania, błotnistymi ulicami i przygraniczną atmosferą.

Potrzebowała kolejnych pięciu dni, żeby ukraść to, co stary umieścił na liście. Instrukcje techniczne, wszelkiego typu narzędzia, ubrania w różnych rozmiarach. Wszystko chowała w workach, które ukryła za kontenerem na przedmieściach. Paradoksalnie najtrudniej było jej zdobyć wytrzymałe buty robocze w tym mieście pełnym sklepów ze sprzętem przemysłowym. Ostatecznie kupiła je za pieniądze, które buchnęła z kilku portfeli.

Kiedy wyszła ze sklepu obuwniczego, stary czekał na zewnątrz, siedząc za kierownicą furgonetki, którą ukradł na drugim końcu miasta.

– Buty też miałaś ukraść – wyrzucił jej, kiedy dziewczynka wsiadała do pojazdu.

Nie spodziewała się, że ruszy za nią, a tym bardziej że przyłapie ją na tym uchybieniu.

– Te w moim rozmiarze nie były wystawione, a magazyn jest zawsze w zasięgu wzroku ekspedientki.

– Powinnaś była wejść w nocy.

– Mają alarm.

Stary zagryzł dolną wargę, zamyślony.

– Nad tym też musimy popracować.

Wyjęła coś spod kurtki i usiłowała wsadzić do jednego z worków tak, żeby stary tego nie zobaczył. On udawał, że patrzy w lusterko wsteczne, zerkając na to, co dziewczynka chowa. Były to czerwone buty do tańca, pasujące do jej włosów.

Stary nic nie powiedział, ale widząc ten promyk nadziei, ten przebłysk kokieterii i człowieczeństwa, w duszy poczuł ukłucie radości. Coś, co uważał za martwe, poruszyło się znowu w sposób niemal bolesny, godny podziwu.

Przeszłość staje się teraźniejszością.

Styczeń 2008

W pomieszczeniu panuje ciężki zapach, woń choroby i stęchlizny. Stary przewraca się na pryczy. Oddycha ciężko, z płuc wrywa mu się zachrypnięty kaszel, niczym z zatkanej rury wydechowej. To czwarty dzień gorączki i dziewczynka nie bardzo wie, co robić. Nie może zostawić go samego na wiele dni, żeby pójść po antybiotyki. Stary majaczy, czasami krzyczy w stronę kąta, jakby znajdowała się tam jakaś przyczajona postać. Ona gotuje dla niego *borszcz* i stara się, żeby jadł, karmiąc go łyżką. Kawaleczki warzyw spadają na brodę starego, który mimo wszystko przelyka trochę zupy.

Piąta noc jest najgorsza ze wszystkich. Stary jest bardzo słaby, z powodu gorączki dostaje drgawek. Dziewczynka napełnia wiadro śniegiem i co kilka minut robi mu zimne kompresy na czole. Nie odstępuje od niego przez całą noc, trzyma go za rękę i czuje panikę, wszak stary stoi u progu śmierci, a ona ma świadomość, że jest jedyną osobą, która ją zna, jedyną osobą, która – jeśli ona zniknie – będzie ją pamiętała. W tym zapomnianym i niegościnnym zakątku ten brudny, nieprzystępny mężczyzna, którego torturowała przez wiele dni, ten morderca bez kompasu, który przez cztery lata zadawał jej wszelki możliwy ból fizyczny, żeby przekształcić ją w to, w co chciała, stał się dla niej osobą najbliższą ojcu, jakiego pamięta.

Po raz pierwszy od tamtej nocy w gospodarstwie dziewczynka płacze. Łzy spadają na rękę starego i dziewczynka ją puszcza, próbując wcisnąć je z powrotem do oczu. Uczucia są surowe, żywe, niepowstrzymane. Odrzuca tę oznakę – jej zdaniem – słabości i okłamuje samą siebie, wmawia sobie, że on jej nie obchodzi, że jest tylko kolejnym instrumentem w ramach nakreślonego planu.

Rankiem gorączka ustępuje. Stary otwiera oczy i zmysły starego żołnierza podpowiadają mu, że nastąpiła zmiana, że świat jest teraz inny. Niekoniecznie lepszy ani gorszy. Po prostu inny.

Podnosi się nieco, żeby podziękować dziewczynce za uratowanie mu życia.

Dziewczynka nie może go słyszeć. Zasnęła, wyczerpana, w nogach pryczy. Jej głowa spoczywa na materacu. Jej ręka znowu chwyciła dłoń starego, nieświadomie, kiedy ten spał.

Czerwiec 2008

– Naciskaj. Mocniej. Teraz naciskaj drugą ręką.

Lufa pistoletu zaczyna się trząść w rękach dziewczynki.

– Teraz rozluźnij trochę nacisk. Tylko trochę, tak żeby ustało drżenie. Musisz czuć broń w dłoni, tak jakby twoja ręka i broń były jednym kawałkiem granitu. Czujesz to?

– Tak.

– To naciskaj spust.

Strzał wyrywa z gór jęśliwe echo.

Luty 2010

– Schył się. Teraz łokieć. Sześć, sześć, trzy, raz.

Rzuca się na ziemię i atakuje słupek, kolejny raz powtarzając sekwencję.

– Po twojej lewej, ma nóż. Zbyt wolno. Cholera, musisz dostać w gębę, bo inaczej nigdy się nie nauczysz.

Ona dyszy, zniechęcona.

– Nie mogę szybciej.

On wymierza jej policzek, to środek, który zachowuje na czas, kiedy dopada ją zwątpienie. Skoro nie jest gotowa się poddać, nie może się też rozluźnić.

– Możesz. Musisz.

Lipiec 2010

Raz w miesiącu zaczęli jeździć do miasta.

Podobnie jak w miasteczkach na Dzikim Zachodzie, znaczna część górników w Magnitogorsku wydaje pensję na dziwki i alkohol zaraz po jej otrzymaniu. Wiele przedsiębiorstw i fabryk wypłaca swoim pracownikom tygodniówki albo nawet dniówki, żeby uniknąć nieobecności i kaca. Mimo to w mieście jest największa w Rosji liczba prostytutek oraz największe spożycie alkoholu w przeliczeniu na jednego mieszkańca, a w kraju, w którym czterdziestoprocentowy alkohol nazywa się *wodka* (zdrobnienie od wody), mówi to bardzo wiele.

Ona przechadza się w nocy po najgorszych ulicach, szukając najmniej oświetlonych miejsc, w bardzo kusej sukience, wyraźnie prosząc się o kłopoty.

Pierwszy mężczyzna, który się do niej przystawia, to potężny górnik, pijany, nogi jakby prostowane na beczcze. Ona próbuje walnąć go w brzuch, ale w ostatniej chwili realia sytuacji, nieubłagana matematyka konfrontacji powstrzymują jej pięść. Zły ruch. Uderzenie tej masy tłuszczu to jak walnięcie w ścianę. Górnik otacza ją wielkimi ramionami i ścisza bezlitośnie. Jest silny jak prasa hydrauliczna. Ona czuje, że brakuje jej powietrza i że opuszczają ją siły. Usiłuje zaczerpnąć tlenu, ale płuca udaje jej się napełnić jedynie kwaśnym oddechem i intensywnym zapachem potu górnika. Wzrok jej się zamazuje. Zaczyna mdleć.

Nagle górnik ją puszcza i pada na ziemię jak długi, z ręką noża wystającą z pleców i stróżką krwi wypływającą z ust.

– Musiałeś go zabić? – skarży się, oddychając z trudem, w kierunku postaci, która wyłoniła się z cienia.

To zasłona dymna, odwrócenie uwagi. Powie wszystko, byle tylko stary nie zauważył, że zawahała się podczas swojej pierwszej walki, że możliwość wyrządzenia krzywdy sprawiła, że osłabła.

– Powinienem być pozwolić, żeby cię zgwałcił i wyrzucił na wysypisko. Mówiłem ci tysiąc razy. Ile powinna trwać walka?

– Pięć sekund – odpowiada zawstydzona. Nie wiedziała, że stary ją śledził, ale jest mu wdzięczna.

– Nie jesteś najsilniejsza, nigdy taka nie będziesz. Jeśli twój przeciwnik wytrzyma początkowy atak, to będzie piekło. Celuj w słabe punkty, bezlitośnie, i powal go, zanim się w ogóle zorientuje, że trwa walka.

Maj 2011

Stary czeka, siedząc za kierownicą, przed komisariatem. Ona wychodzi stamtąd z ponurą miną. Nie chce czuć się jak potępiona. Wie, że popełniła błąd.

– Jesteś mi winna dziesięć tysięcy rubli kaucji.

Ironiczny ton starego obraża ją bardziej niż reprimenda, jakiej się spodziewała.

– To nie była moja wina. Policjanci stali dwie przecznice dalej i usłyszeli hałas.

Próbuje go prowokować, szukać wymówek. Po raz pierwszy czuje potrzeby, których nie może zrozumieć, dla których nie ma nazwy i których nie jest w stanie wyjaśnić. W odpowiedzi słyszy tylko silnik furgonetki, który uruchamia się z rykiem.

– Jednemu z nich złamałaś rękę. Jak do tego doszło?

– Chciał mnie złapać za szyję. Zrobiłam chwyt odwrotny, żeby zgnać mu nadgarstek, i uderzyłam w przegub.

Stary patrzy w drugą stronę, żeby ona nie widziała jego uśmiechu.

– Teraz zgarnęli cię za zakłócanie porządku publicznego – mówi, nagle poważniejąc. – Kiedy zaczniesz naprawdę, będziesz musiała zachować szczególną ostrożność.

Grudzień 2012

Trzej mężczyźni leżą nieprzytomni na brudnym, zdeptanym śniegu w zaułku. Jeden z nich umiał walczyć. Pozostali dwaj mieli białą broń, ale nie zdążyli jej wyjąć.

Ona jako jedyna została na nogach.

Walka trwała osiem sekund.

Marzec 2013

Śniegi zaczynają topnieć i droga do lodowca, ścieżka, którą wytyczyła w lesie, jest prawie czysta. Stary obserwuje, jak rąbie drewno siekierą. Drewnutnia jest pełna i o tej porze roku nie potrzeba aż tyle. To, co się nie zmieści, zostanie na zewnątrz i zgnije, wydzielając silny zapach starego drewna.

Ona nie ustaje.

Kładzie kloc na pniu, podnosi siekierę nad prawe ramię i opuszcza ją pewnym, precyzyjnym uderzeniem, zatapiając w drewnie połowę ostrza. Następnie podnosi siekierę z wbitym w nią kłocem i kreśli trzonkiem jeszcze szerszy łuk, dociskając ramionami i nadgarstkami w decydującym momencie.

Spędza tak całe godziny, w ciszy, w te dni, kiedy zżera ją niecierpliwość, kiedy czuje, że nie robi postępów wystarczająco szybko. Stary zwykle zostawia ją w spokoju. Czasami do niej mówi, wiedząc, jak bardzo ją to wkurza, aby za bardzo się w sobie nie zamknęła. Dziś jest jeden z tych razów.

- Wiesz, że wcale nie musisz tego robić?
- Potrzeba drewna – odpowiada, znowu opuszczając siekierę.
- Nie chodzi mi o to. Mam na myśli wszystko.
- Wszystko. Właśnie to mi odebrali.

Ostrze trafia na sęk i pień tańczy, wrywając jej trzonek ze spoconych dłoni. Od lat nie robią jej się pęcherze. Opiera nogę o pień i wyciąga siekierę. Przesuwa palcem po ostrzu. Nie podoba jej się to, co znajduje.

– Jest tępa.

Podchodzi do ostrzałki. Z przeciętej na pół butelki wylewa trochę wody na szorstką powierzchnię. Siada na ziemi po turecku, plecami do starego, i zaczyna pocierać metal.

- Nie możesz przywrócić życia zmarłym.
- Ale mogę zapewnić im pocieszenie.
- To, co chcesz zrobić, nie jest dla nich, tylko dla ciebie. Przynajmniej się nie oszukuj.

Nie umie się bronić przed takimi kwestiami. Spadają na jej decyzję niczym precyzyjne bomby, które rozwalają pewność.

– Przez cały ten czas... ani razu nie próbowałeś nakłonić mnie do zmiany zdania. Dlaczego teraz?

– Sytuacja się zmieniła.

Zgrzyt metalu o ostrzałkę ustaje. Ona nie podnosi głowy ani się nie odwraca, ale stary widzi, jak drżą jej ramiona.

– Gdyby to spotkało ciebie, co byś zrobił?

Stary nie odpowiada.

Drżenie się uspokaja.

Ponownie słychać zgrzyt metalu.

Czerwiec 2013

– Jedenaście minut – mówi stary, kiedy ona po raz ostatni biegnie pod górę.

Zaczyna uderzać słupki. Teraz jest ich dwanaście, różnej wysokości i różnych kształtów. Stary obserwuje ją na siedząco, bo sama wspinaczka na lodowiec jest wystarczającym obciążeniem dla jego zmęczonych nóg. Teraz już prawie z nią tu nie przychodzi. Nie ma takiej potrzeby.

W zeszłym miesiącu skończył osiemdziesiąt lat. Ona upolowała dwa zające i upiekła je na świeżym powietrzu, by to uczcić. Stary musiał palcami oddzielać mięso od kości. Już prawie nie ma zębów, a jego ręce są pokryte fioletowymi żyłami.

– Ile razy tu weszłaś? – pyta stary.

„Ponad trzy tysiące. Zasługuję na trzy prezenty. Ale jedynych trzech prezentów, jakie bym chciała, nie mogę mieć”, myśli ona.

Celnym kopnięciem łamie na pół jeden ze słupków.

– Wystarczająco dużo.

Lipiec 2013

Ostatniego dnia obserwuje ją, jak wrzuca swoje nieliczne rzeczy do plecaka. Oprócz ubrań, które musieli dla niej kupować w miarę jak rosła, nie ma nic więcej. A przynajmniej nic, co by chciała albo mogła zabrać.

Stary się zastanawia, czy na dnie plecaka są czerwone buty do tańca pasujące do jej włosów. Chciałby ją w nich zobaczyć. Nigdy mu ich nie pokazała.

Czuje dumę, gdy na nią patrzy, gdy widzi, co potrafi, ale czuje także strach.

„Niezupełnie strach”, myśli. „To coś innego”.

To takie elektryczne brzęczenie, ten niepokój w żołądku, jaki czujesz, kiedy trzymasz odbezpieczony granat ręczny. Tuż przed rzuceniem, zanim upłyną cztery sekundy i nastąpi uruchomienie zapalnika. Z zawleczką jest to tylko kawałek żelastwa wielkości jabłka. Gdy ją wyciągasz i słyszysz głośny trzask, tylko twoje palce przyciskające dźwignię nie pozwalają, by zamienił się w śmierć.

– Nie jesteś już dziewczynką.

Ona zaciska rzemienie plecaka, zarzuca go na plecy i się uśmiecha. To dziwny, niepewny uśmiech. Jest gotowa, lecz tak samo jak on, boi się tego, co ją czeka.

– Więc kim teraz jestem, Afgańczyku?

Stary się waha. Powiedziałaby wiele rzeczy, ale czuje, że w jej sercu nie ma miejsca na wszystkie. Zmusza się do wybrania jednej.

– Jesteś moim dziełem sztuki, Irina.

Ona wydaje się zadowolona. Ale też zdziwiona. Zarzuca mu ręce na szyję i całuje go w szorstkie i pomarszczone czoło.

– Dziękuję.

Stary kręci głową.

– To ja powinienem podziękować tobie.

Odchodzi, a on odprowadza ją wzrokiem.

„Było warto”, myśli. „Ostatecznie i na przekór wszystkiemu była nadzieja”.

Kiedy znika za zakrętem, stary zaczyna płakać.

Ona wytrzymuje trochę dłużej.

14

PARTYJKA

Jest już noc, kiedy wracam do domu.

Ostatnie miejsce na świecie, w którym chcę być.

W biurze nikt nie zauważył, jak wychodziłem, wciąż byli pochłonięci algorytmem Lisy. Poważnie rozważałem, czyby do nich nie dołączyć i zostać całą noc w pracy, ale nie byłem w stanie siedzieć w otoczeniu większej liczby osób. To, co czuję, mieszanka strachu, wstydu, obrzydzenia, złości i smutku, jest niczym silna obecność uczepona mojego ramienia, jak puma, która wskoczyła mi na plecy i zaczęła pożerać co smakowitsze kawałki z mojej klatki piersiowej. Nie sądzę, bym wytrzymał pięć minut rozmowy z Marcją albo z Janet, nie zwymiotowawszy na nie. Dzięki, fobio społeczna, za to, że nie pozwalasz mi szukać schronienia w stadzie.

Pomyślałem, żeby spędzić noc w jakimś hotelu, ale złość stopniowo brała górę nad tchórzostwem. Ta kobieta sprawiła swoimi słowami, że się w niej zakochałem, zrobiła sobie miejsce w moim sercu, powiedziała, że mnie kocha. A to wszystko było kłamstwem.

Postanowiłem wrócić do domu i stawić Irinie czoło, powiedzieć jej, że wiem, co się stało tamtej nocy, że wiem, dlaczego ukradła telefon Toma, i że okazałem się od niej sprytniejszy. Wyobrażałem sobie to, jadąc, pełen słusznego oburzenia. Chciałem, żeby wszystko mi wyjaśniła, chciałem wiedzieć, co takiego, do cholery, robiła w czasie pracy, kiedy rzekomo powinna być w Foley's, co, do diabła, miała wspólnego z tym całym Borysem Mogliewiczem. Chciałem zobaczyć jej minę, kiedy uświadomi sobie, że jej życie jest w moich rękach, że wystarczy tylko przekazać wideo policji, by ona trafiła do więzienia. Chciałem zobaczyć, jak płacze, błaga, upokarza się. Chciałem, żeby na jej twarzy malowało się niedowierzanie, a później panika w obliczu tego, co nieuniknione.

Cała odwaga i determinacja znikają niczym ślad rakiety na niebie, wszystkie postanowienia zostają przepędzone, gdy tylko drzwi samochodu się zamykają, a ja stoję czterdzieści kroków od domu. W miarę jak pokonuję każdy z nich, fantazjując o zupełnie innej możliwości, czyli odwróceniu się plecami do tego, co wiem, ignorowaniu tego, co odkryłem, i dalszym życiu z Iriną. Strach ma wiele twarzy, a zagrożenie, jakie ona stwarza, zajmuje trzecie miejsce na podium. Srebrny medal zdobywa obowiązek, by coś zrobić. Rozmowa z nią wydaje mi się niemożliwa. Skoro zdarzają się takie dni, kiedy trudno mi wejść do kawiarni i zamówić cappuccino z podwójnym cynamonem, to wejście do domu i powiedzenie osobie, z którą mieszkam, że wiem, że jest morderczynią, że wiem, że to wszystko, co przeżyliśmy razem, jest kłamstwem, jest dla mnie nie do przyjęcia. W tym momencie nienawidzę samego siebie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, nie tylko z powodu mojego oporu, lecz także z powodu pierwszego miejsca na liście moich obaw, złotego medalu, numeru jeden wśród największych przebojów, które nie dają mi w nocy spać: strachu, że umrę samotnie, nie zaznawszy prawdziwej miłości, bez przekonania, że życie było coś warte, ponieważ miałem obok siebie kogoś, dla kogo byłem najważniejszy. I bez względu na to, jak strasznie i irracjonalnie może to brzmieć, niebezpieczeństwo życia z osobą odpowiedzialną za śmierć mojego najlepszego przyjaciela nagle wydaje mi się bardziej znośne niż alternatywa.

Kroki do wejścia się kończą i drzwi stanowią teraz jedyną barierę między tym, co powinienem zrobić, a tym, co wolałbym zrobić, żeby tego uniknąć. Muszę tylko włożyć klucz do zamka, przekręcić i wejść do środka. Później

gravitacja zrobi swoje i ciężar informacji, jaki dźwigam, spadnie we właściwym kierunku.

To proste.

Jednak z jakiegoś powodu moje ciało wykonuje dwa kroki w przeciwną stronę i już rozważa inne możliwe rozwiązania, jak ucieczka albo pójście prosto na policję, co powinienem był zrobić od razu. Tylko że tak naprawdę żadnej z tych opcji nie chcę. Nie chcę nawet prawdy. Ja tylko jej potrzebuję.

A jednak moje ciało stawia kolejne dwa kroki w tył. Zostało już tylko trzydzieści sześć kroków do samochodu i okazują się one znacznie łatwiejsze do postawienia niż te cztery, które mam przed sobą.

Wtedy słyszę krzyk Arthura i wszystko bierze w łeb.

Otwieram drzwi i idę prosto do salonu. Irina i on grają w UNO i Arthur piszczy podekscytowany. Na mój widok wstaje i biegnie mnie uścisnąć.

– Simon! Simon!

– Cześć, Arthur. O co tyle hałasu?

– Przegrywam o dwieście. Prawda, że ekstra?

Irina wstaje i podchodzi, by dać mi buziaka. Przechylam głowę, żeby pocałowała mnie w policzek, jak zawsze, ale ona chwytą mnie za podbródek i całuje w usta. Ciepło jej warg utrzymuje się przez chwilę, a ja tłumię chęć przetarcia ust dłonią.

– Późno wróciłeś.

– Dziś było szaleństwo.

– Wyobrażam sobie. Jutro wielki dzień, prawda?

Powiedziałem jej tylko tyle, że mamy ważny test oprogramowania z klientem, ale i tak pamięta. Uśmiecha się do mnie z przerażającą czułością, a ja myślę, że serce mi się zaraz rozerwie.

– Tak, właśnie. Przepraszam, że musiałaś sama jeść kolację – udaje mi się wycedzić, przy czym pilnuję, by nie załamał mi się głos.

Ona śmieje się naturalnie. Jak gdyby nie miała na głowie ani jednego zmartwienia.

– Nie przejmuj się, Simon. Nie narzekałam na brak rozrywki – mówi, wskazując Arthura. – Przyszedł w samą porę, żeby zetrzeć ser do spaghetti. W kuchni jeszcze trochę zostało. Nałożyć ci?

– Nie jestem zbyt głodny, prawdę mówiąc.

– Zagraj z nami, Simon! – mówi Arthur, który znowu tasuje karty.

– Tak, prosimy – dodaje Irina z udawanym cierpieniem. – Ten facet to twardy orzech do zgryzienia.

Podchodzi do mnie od tyłu i kładzie mi rękę na karku, wywołując na plecach dreszcz po części strachu, po części pożądania seksualnego. Tego wieczoru wygląda wspaniale. Świeżo po prysznicu, z tym delikatnym makijażem, który nakłada, kiedy idzie do baru („wystarczająco, żeby dobrze wyglądać, ale nie na tyle, by pomyśleli, że jestem zdziwą”), i z tymi wprawnymi, precyzyjnymi gestami, które są jej znakiem rozpoznawczym. Jestem boleśnie świadomy jej obecności za moimi plecami i zamykam oczy, a ona w pewnym momencie pociąga za kołnierzyk marynarki. Teraz rozumiem, że chce tylko ją ze mnie zdjąć, aby było mi wygodnie, ale mimo to moje ciało jest spięte jak rabin w Watykanie.

– Coś się dzieje, Simon?

– Nie, wszystko w porządku – odpowiadam, podając jej marynarkę. – Jestem zmęczony.

Staje naprzeciwko i patrzy na mnie jakoś dziwnie tymi smutnymi, tak nieprzeniknionymi zielonymi oczami, a ja czuję, że kłamstwo rozpada się jak domek z kart, więc podchodzę do stołu i siadam obok Arthura, który już rozdaje karty.

– Nie mam dużo czasu – mówi Irina, która wreszcie siada razem z nami.

– Nie możesz wyjść – protestuje Arthur. – Ona naprawdę umie grać, Simon.

– Cóż, to się dopiero okaże – rzucam i czuję ulgę, że przez chwilę mogę się skupić na grze. Jeśli przeciągnę partyjkę dostatecznie długo, Irina będzie musiała iść do pracy i nie będę musiał z nią zostawać.

I to właśnie robię. Pół godziny później obu nam urządza niezły łomot, wygrywając z pięciuset punktami, daleko przed Arthurem i jakieś cztery lata świetlne przede mną.

– Poddaję się. Nie mam pojęcia, jak ty to robisz. Po raz pierwszy widzę, że ktoś wygrywa z nim w taki sposób – zwracam się do Iriny.

Ona przez całą partyjkę nie spuszczała ze mnie wzroku, a ja nie udawałem zbyt dobrze. Strasznie trudno jest mi na nią patrzeć, wiedząc to, co teraz wiem. Potrzebuję tylko trochę czasu na podjęcie decyzji, a ona niezbyt mi pomaga. Bez ustanku zerkam na zegar ścienny, nie mogąc się doczekać, kiedy nadejdzie godzina jej wyjścia, i przeklinam, że czas płynie tak wolno. Jedyne wyjście to wstać i popchnąć wskazówki palcami.

– Ona umie grać! – Arthur się śmieje. – Mówiłem ci, Simon.

– Zdradźcie mi tę sztuczkę.

– To proste. Ona nie gra kartami, które ma, tylko tymi, których nie ma – wyjaśnia mi Arthur, kręcąc głową, jakby nie mógł uwierzyć, że musi mi cokolwiek tłumaczyć.

– A więc po prostu liczysz karty. Może powinniśmy pojechać do Las Vegas i to przetestować – mówię, siląc się na uśmiech i po raz nie wiadomo który spoglądając na zegarek.

– To by było nielegalne, Simon. Nie mogę popełnić przestępstwa, bo cofnięto by mi wizę – stwierdza Irina.

Jedynie odpowiada żartem na mój żart, ale mimo to czuję, że błędę. Ta moja przekłeta gęba i zdradliwy przepływ krwi.

– Dobrze się czujesz, Simon? – pyta ona. – Wyglądasz, jakbyś był chory. Może powinnam zadzwonić do pracy i powiedzieć, że nie mogę dziś przyjść.

– Nie! – odpowiadam, a ona odchyła się nieco, zaskoczona. – Nie, nie chcę, żebyś straciła pracę. Nic mi nie jest, naprawdę. Jestem tylko wyczerpany.

Wydaje się szczerze zmartwiona, a ja jestem zmuszony uznać, że to jedynie fasada, że jest tylko kłamczuchą i kimś jeszcze gorszym.

– W porządku, jeśli jesteś pewien... – Wstaje, bierze plecak i podchodzi, by szepnąć mi na ucho: – Jeśli potem będziesz czuł się lepiej, moglibyśmy dokończyć to, co przerwano nam wczorajszej nocy, prawda?

Delikatnie ściska mnie za ramię, trzymając mięsień między palcem wskazującym a kciukiem, a mnie natychmiast robi się sucho w ustach. Przętykam ślinę, ponieważ mimo odrzucenia, jakie w moim umyśle wywołuje zwykła insynuacja, że mógłbym znowu się z nią kochać, moje ciało reaguje z łapczywością człowieka umierającego z pragnienia, któremu pokazują ostatnią butelkę wody na pustyni.

Ale woda jest zatruta.

I w tym momencie Arthur znowu wywraca wszystko do góry nogami. Bo wstaje i przytula Irinę, ona odwzajemnia uścisk, a ja nie mogę uwierzyć, że cokolwiek w tej czułości, jaką okazuje, w sposobie, w jaki zamyka oczy i się uśmiecha, kiedy Arthur poklepuje ją po plecach (tak samo, jak poklepuje się psa, żeby go nagrodzić, albo małe dziecko, żeby je pocieszyć po upadku ze zjeżdżalni) może być udawane. Arthur jest bardzo powściągliwy w okazywaniu uczuć, a uścisk połączony z poklepywaniem rezerwuje tylko dla osób, które bardzo kocha. Jak dotąd widziałem tylko dwóch adresatów takiego uścisku. Jeden to ja sam, a drugi Tom.

Teraz znowu są to dwie osoby.

Irina się żegna i rusza do garażu. Ucisk, jaki czułem w piersi, nieco ustępuje, ale problem wciąż jest ten sam, co przed chwilą. Nie chcę jej więcej widzieć, chcę, żeby wyniosła się z mojego życia, ale chcę to zrobić bezboleśnie, tak żebym to nie ja trzymał nóż. Jestem tchórzem, a najbardziej uwiera mnie to, że jest to ten rodzaj tchórzostwa, którego zawsze najbardziej nie cierpiałem u mężczyzny. Rodzaj bojaźliwego niedbalstwa, który popycha facetów do zdrady, do wracania w środku nocy pijanym, do wszystkiego, byle tylko zmusić partnerkę, by ich rzuciła – żeby oni nie musieli tego robić, żeby mogli włączyć sobie płytę Cata Stevensa i myśleć, że wszystkie kobiety to bezduszne suki.

Teraz, gdy jestem zmuszony zrobić coś w sprawie Iriny, postanawiam obrać ścieżkę godną największej pogardy. Taką, która zaoszczędzi mi mnóstwa problemów i pytań, która zaoszczędzi mi wstydu i publicznego upokorzenia, kiedy musiałbym przyznać przed ławą przysięgłych, że sprowadziłem tę kobietę, ponieważ jestem dziwakiem, zepchniętym na margines przegrywem, takim idiotą, który zawsze będzie sam. Gdyby ta historia wyszła na jaw, stałbym się pośmiewiskiem całego kraju, a w mało prawdopodobnym razie, gdyby Marcia i reszta zdołali uratować do jutra projekt, firma będzie naznaczona na zawsze. LISA już zawsze będzie „apką tego kolesia, który sprowadził sobie Rosjankę, która zabiła jego najlepszego przyjaciela, rozumiesz”.

Istnieje jednak sposób, żeby tego wszystkiego uniknąć: myśleć, że robię to dla Arthura, żeby nie cierpiał, kiedy się dowie, kim naprawdę jest Irina, zamaskować nieco moją egoistyczną decyzję, a przynajmniej na tyle długo, żebym zdążył odszukać w kieszeni marynarki karteczkę i wybrać numer telefonu.

Jeden sygnał.

Rozłącz się, myślę.

Drugi sygnał.

To najlepsze wyjście.

Trzeci sygnał.

Chcę rozmawiać tylko z nią. Zapytać ją, kto atakuje interesy tego typu. Ona musi coś wiedzieć.

Czwarty sygnał.

Ta, jasne.

Piąty sygnał urywa się w połowie.

– Borys Mogliewicz.

– Mówi Simon Sax.

– Słucham, Simon.

Suchy, szybki głos. Ale nawet po zaledwie dwóch słowach wyczuwam ogromny niepokój w jego tonie. Waham się przez parę sekund.

Czy naprawdę właśnie to chcę zrobić?

I wtedy widzę ją przez okno, wyjeżdża z garażu, cofając z tą samą wystudiowaną precyzją, z tym samym dokładnym wyliczeniem, z jakimi robi wszystko inne, a w mojej głowie rozbrzmiewa jej głos, gdy mówi do Toma: „Popełniłeś błąd”.

– Simon? Jest pan tam?

– Niech pan weźmie coś do pisania, Borys. Podam panu nazwisko i adres.

15

NIEOBECNOŚĆ

Nie śpię przez całą noc.

Irina nie wraca do domu.

16

WIZYTA

Widzę ich na długo przed tym, jak zadzwonią do drzwi.

Blask wschodzącego słońca sprawił, że indygo przeszło w pomarańcz, a zarys domu zaczyna być już wyraźnie widoczny. Nie licząc sporadycznych wizyt w toalecie (i w kuchni, żeby brać jedną puszkę coca-coli za drugą), nie odchodziłem od okna, z którego widać nasz trawnik i podjazd do garażu. Nie pamiętam zbyt wiele z tego, o czym myślałem przez cały ten czas. Chyba przede wszystkim wielokrotnie czytałem skład napoju, próbując go zapamiętać. Zawsze zapominam o kwasie fosforowym.

Nie żałuję tego, co zrobiłem. Może gdyby wczoraj wieczorem sprawy ułożyły się inaczej, nie wykonałbym tego telefonu. Ale na pewno nie żałuję. Należało rozwiązać ten problem i ja to zrobiłem. Ze względu na odpowiedzialność wobec siebie i moich pracowników.

Nie wiem, dlaczego stałem, czekając, aż coś się wydarzy. Niepewność to okrężna ścieżka pełna niewiadomych bez dna, w które można wpaść. Chyba błędnie założyłem, że moje działanie przyniesie widoczny rezultat, zauważalny na pierwszy rzut oka. Może by zadzwoniła, a może wróciłaby, żeby się spakować i pospieszyć się wynieść.

Jasne.

Kiedy mija jej pora powrotu do domu, a jej wciąż nie ma, wiem, że coś się stało, i czuję olbrzymią ulgę, która służy jedynie za upokarzające przypomnienie, że Irina budzi we mnie strach. Po części pewnie dlatego, że jest morderczynią, ale nie tylko. Przeraża mnie jej natura. Kiedy przez tyle lat żyłeś w przeświadczeniu, że nigdy nikogo nie spotkasz, a okazuje się, że nagle ktoś się pojawia, to strach, że będziesz sam, staje się jeszcze większy. Dając drugiej osobie możliwość przywrócenia ci tej samotności, z którą żyłeś niczym ze znienawidzoną towarzyszką zabaw, przestajesz być panem swojego wygodnego smutku.

Dlatego spędziłem całą noc, pragnąc, żeby wróciła, i modląc się, żeby tego nie zrobiła.

Ciemnobrazowy samochód parkuje na podjeździe i wysiadają z niego Freeman i Ramírez. To żadne zaskoczenie. Domyślałem się, że coś takiego się wydarzy.

Kiedy pojawia się trzecia osoba, unoszę brew. To mężczyzna w mocno wygniecionym niebieskim garniturze i czerwonym krawacie, wygląda tak, jakby nie spał przez wiele dni. Worki pod oczami są widoczne nawet z tej odległości. W miarę jak Freeman i on się zbliżają (Ramírez zostaje przy samochodzie), dostrzegam głębokie zmarszczki na wysuszonej skórze, przerzedzone jasne włosy. Wiatr rozwiewa mu poły marynarki, przygniatając koszulę do kościstej klatki piersiowej i odsłaniając kaburę pistoletu.

Otwieram, zanim dotkną dzwonka. Jest dopiero siódma i nie chcę, żeby obudzili Arthura.

– Czekał pan na nas, panie Sax? – odzywa się Freeman, siląc się na kiepski dowcip.

– Wygląda na to, że wchodzi panu w nawyk przyjeżdżanie do mnie o niestosownych porach, inspektorze. Kim jest pański przyjaciel?

– To agent Boyd z FBI.

Boyd nie podaje ręki ani nie pokazuje odznaki. Patrzy ponad moim ramieniem, zaglądając do środka.

– Zapraszam do kuchni, zrobię kawy. I proszę nie mówić zbyt głośno.

Freeman patrzy na mnie zdziwiony, zaskoczony życzliwością. Nietrudno jest mi zachowywać się wobec niego jak człowiek, teraz, gdy wiem, że nie może mnie oskarżyć o śmierć Toma. Tylko wykonuje swoją pracę i nie stanowi już zagrożenia.

W milczeniu siadają na taboretach, podczas gdy ja nastawiam kawiarkę. Niewiele jest rutyn, które tak bardzo zbliżałyby do siebie mężczyzn, nawet tak różnych jak my trzej, jak wzajemna zgoda na ciszę przed pierwszą kawą dnia.

– Proszę – mówię, stawiając filiżankę przed każdym z nich.

– A pan? – pyta Freeman.

Jeśli wypiję jeszcze jedną kroplę kofeiny, mogę włożyć czerwono-niebieski kostium i zacząć chodzić po suficie, ale nie muszę im mówić, że tej nocy wypłem jednaście puszek coca-coli zawierających łącznie dziewięćdziesiąt dziewięć łyżek cukru. Mogłyby się pojawić niewygodne pytania, a tym bardziej biorąc pod uwagę to, co z pewnością przyszli mi zakomunikować.

– Nie mam ochoty. Czemu zawdzięczam pańską dzisiejszą wizytę?

Freeman kaszle i spogląda na agenta FBI, jakby prosił go o pomoc, ten jednak wydaje się bardziej zainteresowany kafelkami w mojej kuchni niż wyciągnięciem pomocnej dłoni.

– Szukamy pańskiej narzeczonej. Iriny Skorbaciuk.

– Teraz już wymówił pan poprawnie, inspektorze – zauważam, dolewając mu kawy.

– Jest na górze?

– Nie. Tam jest tylko mój brat Arthur. Jeśli chcą panowie pójść na górę i sprawdzić, będą musieli zaczekać, aż wstanie.

– To ważne, panie Sax.

– Dziś nie przyniósł pan nakazu przeszukania, prawda?

Okulary Freemana zjeżdżające mu z nosa to całe potwierdzenie, jakiego potrzebuję.

– Proszę posłuchać...

– Bez nakazu będą musieli panowie uwierzyć mi na słowo. Z tego, co wiem, nie wróciła do domu. W garażu nie ma jej samochodu. Mogła wrócić i znów gdzieś pojechać – kłamię.

– I nie zdziwiło to pana?

– Parę razy zostawała na noc w barze, kiedy kończyła pracę zbyt zmęczona, żeby siadać za kółkiem. Na tyłach lokalu jest pokój.

– Byliśmy już w Foley's, panie Sax. Dzwoniliśmy też na jej telefon – mówi, widząc, że sięgam po swój. – Jest wyłączony i nie ma sposobu, by go zlokalizować. Wygląda na to, że pańska narzeczonea zniknęła bez śladu.

I... oto nadchodzi.

Widziałem kiedyś w programie telewizyjnym, że zaskoczenie to emocja, którą najtrudniej udawać. Kłamcy strasznie przesadzają, okazują ją zbyt długo, podczas gdy fizyczny efekt czegoś, co nas zaskakuje, trwa niespełna sekundę. Szeroko otwarte oczy, odskok do tyłu, potrząśnięcie ramionami. To wszystko mimowolne manewry naszego gadziego mózgu, najstarszej części tego organu, tej samej, która zna tylko dwie strategie: ucieczka albo atak, jeden albo zero, program binarnej odpowiedzi, dzięki której my, kręgowce, od pięciuset milionów lat jesteśmy królami imprezy.

Nie muszę niczego udawać, ponieważ nagle do mnie dociera, że ta sekwencja zdarzeń absolutnie nie jest tym, co sobie wyobrażałem.

– Ale... nie rozumiem. Czy Irinie coś się stało?

Freeman patrzy na mnie uważnie.

– Niech pan nam to powie, Simon.

Myślałem (miałem nadzieję, obawiałem się, liczyłem na to), że przyjechali przekazać mi złą nowinę, a tak naprawdę szukają Iriny. Przez chwilę sądziłem, że to wszystko jest kolejną gierką Freemana, jak tamta na komisariacie dwa dni temu, ale to jest coś kompletnie innego. Może ustalili, że to ona zabiła Toma, i chcą ją zatrzymać. A jeśli się dowiedzą, że o tym wiem, mógłbym wpaść w poważne kłopoty tylko za utrudnianie śledztwa albo coś takiego.

Cholera, co mnie podkusiło, żeby wchodzić na tę stronę i szukać sobie dziewczyny.

– Ja nie wiem, czy coś jej się stało – odpowiadam, pozwalając, żeby złość przejęła dowodzenie po krótkim panowaniu zaskoczenia. – Wczoraj wieczorem odjechała o tej samej godzinie, co zawsze. Nie, nie była zdenerwowana, zła ani nie była w żadnym innym szczególnym nastroju, Freeman – mówię, pokazując na niego, a inspektor zamyka usta, które zaczęły już formułować pytanie. – Razem z moim bratem graliśmy w UNO, a potem pojechała do pracy, jak co dzień. A teraz, powiedzcie mi, panowie, o co w tym wszystkim chodzi? I dlaczego, do diaska, w moim domu siedzi koleś z FBI?

Inspektor znowu spogląda na agenta, który siedzi, jakby czekał na autobus, podpierając brodę jedną ręką, a drugą bębniąc o blat opuszkami palców. Delikatnie, niemal bezgłośnie. Mały palec, serdeczny, środkowy, wskazujący, kciuk, kciuk, kciuk. Ta sekwencja doprowadza mnie do szału.

– Proszę nie patrzeć na niego, Freeman. Tylko na mnie. A pan niech przestanie hałasować, bardzo proszę.

Agent Boyd zatrzymuje się w połowie sekwencji, gdy się do niego zwracam, i podnosi rękę, jakby chciał przeprosić.

– Musimy wiedzieć, gdzie jest Irina, Simonie. To bardzo ważne.

– A ja chcę, żeby mi pan powiedział, co się dzieje, bo pan...

– Proszę chwilę zaczekać...

– Niech mi pan nie mówi, co mam robić we własnym domu. Wczoraj przyszliście tu nad ranem, szukając czegoś, żeby powiązać mnie ze śmiercią Toma, a teraz się okazuje, że przyszliście szukać jej?

– Simon, wiem, że nie lubi pan policji, ale proszę mnie wysłuchać.

Prycham sarkastycznie.

– Zawsze bardzo śmieszyło mnie to zdanie. Co to, do cholery, znaczy? Nikt nie lubi policji.

– Tylko ktoś, kto nie lubi policji, by tak pomyślał – odparowuje Freeman, jakby to wszystko tłumaczyło.

Rozdrażniony, łapię pierwsze, co mam pod ręką, czyli czerwoną ścierkę Önskedröm (dwa dziewięćdziesiąt dziewięć za sztukę) i zaczynam ją miętosić.

– Inspektorze, proszę. Niech mi pan powie, co się dzieje.

Freeman milczy, a po sposobie, w jaki marszczy brwi, domyślam się, że dociera do niego, iż znalazł się w potrzasku. Tym razem nie spogląda na agenta FBI, tylko zaczyna mówić.

– Irina powiedziała nam, że w nocy, kiedy zginął Tom, była w pracy. Jej dwie koleżanki to potwierdziły.

Słucham?

– Mieliśmy wątpliwości, więc postanowiliśmy sprawdzić jej odciski palców. Tylko po to, żeby mieć więcej informacji.

– Skąd wzięliście jej odciski?

– Z kubka po kawie, który zostawiła w parku – odpowiada Freeman. Pozwala sobie na delikatny uśmiech, podpisując się pod tym pomysłem.

To dlatego Irina ciągle oglądała się za siebie, kiedy wyszliśmy z komisariatu, i dlatego tak bardzo się przejmowała, kiedy wsiedliśmy do taksówki, a ona przypomniawszy sobie, że zostawiła kubek. Wstyd w obliczu własnej głupoty przepływa mi przez klatkę piersiową niczym strumień gorącego i żrącego kwasu.

Jak mogłem być tak ślepy?

– Dobrze się pan czuje, Simon? – pyta Freeman.

Można się spodziewać, że się z tego cieszę, koniec końców zarówno Ramírez, jak i on pozwolili sobie wątpić w intencje Iriny (i w moją głupotę), kiedy mnie przesłuchiwali. Jeżeli kiedykolwiek w historii wpadek było jakieś „a nie mówiłem?” unoszące się w powietrzu, to właśnie w tym przypadku. A jednak inspektor wydaje się wycofany. Znowu czuję, że czegoś mi nie mówi.

– Baza danych Interpolu znalazła pasujące odciski palców, ale dopiero wczorajszego popołudnia uzyskaliśmy dostęp do dokumentów. Tymczasem dowiedzieliśmy się czegoś, czego się nie spodziewaliśmy. Pańska narzeczona nie jest pracowniczką Foley’s, Simon.

– Słucham?! – pytam podniesionym głosem. – To niemożliwe, sam byłem tam parę razy! Widziałam ją za barem wiele...

Freeman podnosi ręce w koncyliacyjnym geście.

– Nie wyraziłem się jasno. Nie jest szeregową pracowniczką, Simon. Jest właścicielką lokalu. Kelnerki, które potwierdziły jej alibi, są jej pracowniczkami, obie pochodzenia ukraińskiego. I wystarczyło je trochę przycisnąć, by przyznały, że tamtej nocy Irina wyszła dwie godziny wcześniej.

– Nie rozumiem. Dokąd pojechała? Jak to możliwe, że o niczym mi nie powiedziała?

Doskonale wiem, dokąd pojechała. Pod pewien adres na Devon Avenue. Pytanie brzmi, po co tam pojechała.

– Tego nie wiemy, Simon. Foley’s jest własnością firmy-przykrywki z siedzibą w Delaware, która z kolei należy do ukraińskiej firmy z siedzibą w Kijowie, której jedyną akcjonariuszką jest nieżyjąca kobieta.

– Nieżyjąca. Ale jak to możliwe?

– Nie rozumie pan, Simon. Irina Skorbaciuk nie istnieje. Agent Boyd wszystko panu wyjaśni.

Boyd się wierci i prycha z irytacją, niezadowolony, że w końcu musi wziąć udział w rozmowie. Wyjmuje grubą teczkę i kładzie ją na stole powolnym i ciężkim ruchem, jak gdyby znajdujące się w środku dokumenty zostały wydrukowane w ołowiu. Mówi uprzejmym, ale zmęczonym głosem, takim, jaki miałby młody ksiądz albo człowiek, który właśnie przeszedł grypę.

– Jej prawdziwe nazwisko to Irina Badia, urodzona w Ukrainie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Jej rodzice i starsza siostra zginęli w pożarze gospodarstwa, w którym się urodziła. Miejscowa policja

powiedziała, że to był wypadek, ale Wydział do Spraw Przeszeczności Zorganizowanej sklasyfikował to jako potrójne zabójstwo i podejrzewają handel żywym towarem.

Wypadek drogowy. Powiedziała mi, że jej rodzina zginęła wskutek zderzenia z innym samochodem.

– Uznano by to za zwykły pożar, gdyby jeden ze śledczych z Wydziału do Spraw Przeszeczności Zorganizowanej nie potraktował tej sprawy osobiście. Zdaje się, że znał ojca, byli kolegami z wojska czy coś takiego. Wczoraj rozmawiałem z tym człowiekiem, ale nie mówi dobrze po angielsku, a ja od wielu dni jestem strasznie zmęczony. Pan wybaczy.

Wyjmuje z kieszeni opakowanie cukierków o smaku mocnej mięty i wkłada dwa do ust. Odchrząkuje, ale mimo to nie udaje mu się oczyścić gardła.

– Przepraszam, ale kiedy długo mówię, zasycha mi w gardle. Niezbyt dobrze zrozumiałem jego motyw, ale to nie ma znaczenia. Dziewczynka zniknęła na wiele lat. Uznano ją za zmarłą, ale jej odciski palców pozostały w systemie, żeby można było sprawdzić jej tożsamość w przypadku znalezienia ciała, a także jako świadka tego, co się stało w gospodarstwie jej rodziców.

Tamta blizna. Blizna pod jej lewym okiem. Cienka linia sięgająca do połowy policzka. Długa i stara, ale absolutnie nieprzyćmiewająca jej urody. Nigdy jej o nią nie pytałem, ponieważ jakoś wyczuwałem, że nie chce o tym mówić.

– Przepraszam, miałby pan może szklanę wody, panie Sax?

Podaję mu szklanę kranówki, starając się, by nie trzęsły mi się ręce.

– Rosja i byłe sowieckie republiki udostępniają sobie bazy danych odcisków palców w ramach zaskakująco skutecznego systemu. Właśnie w ten sposób w Wydziale do Spraw Przeszeczności Zorganizowanej uruchomił się alarm, gdy Irina Badia pojawiła się w Rosji. Zatrzymana za zakłócanie porządku publicznego w maju dwa tysiące jedenastego. W raporcie nie ma nic więcej. Nikt nic z tym nie zrobił, ostatecznie była tylko ewentualnym świadkiem, ale jej kartoteka zmieniła status na AKTYWNY w bardzo ważnej sprawie.

– Czy mam kontynuować, agencie Boyd? – wtrąca Freeman, widząc, że tamtemu coraz trudniej jest mówić.

– Nie. Wy zrobiliście już wystarczająco dużo.

Freeman odwraca głowę, wyraźnie zdenerwowany.

A więc o to chodzi. FBI obwinia policję, że Irina wyparowała, ale... dlaczego?

– Proszę posłuchać, panie Sax. Moi koledzy i ja od ponad czterech lat staramy się ująć niezwykle groźnego, a zarazem bardzo inteligentnego człowieka. Tak sprytnego, że działa pod naszym nosem, a my nie możemy nic zrobić, ponieważ nie mamy ani jednego dowodu, który powiązałby go z jego przestępstwami. Przez cały ten czas tylko ścigaliśmy cienie. Ale kiedy obecny tu inspektor Freeman natrafił na odciski palców pani Badii, znaleźliśmy sposób, żeby z nim skończyć. Osoba, której szukamy, jest jednym z pięciu szefów *Mafiji*, rosyjskiej *Mafiji* w Stanach Zjednoczonych. Nazwisko tego człowieka jest powiązane z nazwiskiem pańskiej narzeczonej, panie Sax. Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć...

Freeman mu przerywa.

– Wybrała pana, ponieważ mieszka pan w Chicago, Simon.

Cześć. Skąd jesteś?

– Wykorzystała pana, panie Sax – mówi Boyd.

Co pan powie, agencie.

– Ale nie chodziło o pieniądze czy zezwolenie na pobyt, a przynajmniej nie bezpośrednio – wyjaśnia Freeman. – Myliliśmy się co do tego.

– Uważamy, że Irina Badia przyjechała do Chicago, żeby zemścić się na człowieku, który szesnaście lat temu zabił jej rodzinę.

Wiem, czyje nazwisko poda, i lodowaty sztylet wbija mi się w brzuch.

– Nazywa się Borys Mogliewicz i podejrzewamy, że on lub jego wspólnicy odpowiadają też za śmierć Toma Wilsona...

Bo teraz jest za późno.

– ...więc to bardzo ważne, żebyśmy ją znaleźli i zapewnili jej bezpieczeństwo, zanim on znajdzie ją.

Co ja narobiłem?

Co ja, do cholery, narobiłem?

Devon Avenue, Chicago

Trzy dni wcześniej

Trzeci raz musiała zmienić strategię, co wywołało u niej tępy, pałący dyskomfort.

Taksówka zostawiła ją sześć przecznic od celu. Zapłaciła taksówkarzowi ekstra, żeby patrzył na jezdnię, kiedy ona przebierała się na tylnym siedzeniu, chociaż parę razy rzucił okiem w lusterko wsteczne. Nie żeby mógł wiele zobaczyć, ale sprawił, że Irina poczuła się brudna, obmacywana.

Bluzka będąca połączeniem poliestru i elastanu idealnie przylegała do jej ciała, tak samo jak spodnie z wytrzymałej bawełny. W myślach podziękowała za to чудо, jakim jest internet, który pozwolił jej kupić kilka kompletów ubrań bojowych i odebrać je w Foley's bez potrzeby chodzenia do sklepu. Z rękawicami było znacznie trudniej, musiała zamówić kilka różnych, zanim znalazła takie, które dopasowały się do jej dłoni, dużych jak na jej wzrost.

Przygotowanie zajęło jej tylko pięć minut, zdążyła tuż przed tym, jak znaleźli się pod adresem, który podała taksówkarzowi, przy prywatnym domu na osiedlu klasy średniej, w odległości paru minut od celu.

– Czy mam zaczekać, aż otworzy pani drzwi?

Irina uśmiechnęła się w myślach. Ten amerykański zwyczaj wydawał jej się szarmancki i niepotrzebny. Gdyby jakiś rabuś albo gwałcieciel zaatakował ją tej nocy, zostałby niemiło zaskoczony.

– Proszę się nie przejmować. Pobiegam trochę, żeby łatwiej zasnąć.

Strój jest czarny, dyskretny, a gdyby nie buty, wyglądałaby jak jedna z wielu kobiet, które idą pobiegać. Na szczęście żaden mężczyzna nie zwraca uwagi na stopy, o czym sama wielokrotnie się przekonała.

– Jak pani chce, ale proszę uważać... Och, wow, bardzo dziękuję!

Taksówkarz otworzył szeroko oczy, widząc pięćdziesięciodolarowy banknot napiwku, po czym ruszył w kierunku lotniska, zanim ona zdążyłaby zmienić zdanie.

Na szczęście dla Iriny pieniądze nie stanowiły już problemu. W przeciwieństwie do Borysa Mogliwicza.

Kiedy wróciła do Kijowa, dziewięć lat po usłyszeniu rozmowy, która zaprowadziła ją na koniec świata, nie miała w kieszeni ani jednej kopiejki. Całą drogę powrotną przejechała autostopem (sześciu z trzynastu kierowców, do których samochodu wsiadła, próbowało się do niej dobierać, czego rezultatem były dwie rozwalone szczęki, jedno wstrząśnienie mózgu i trzy złamane ręki), a kiedy nad ranem dotarła na przedmieścia, na stację

Nezależności, przekonała się, że wszystko wygląda tu identycznie. Zmieniły się twarze, ale bieda, rozpacz i cierpienie tutejszych upiornych mieszkańców były tak samo gorzkie i bezsporne.

Tym razem nie stroniła od nocnych rozmów przy ogniu, ale jedynie słuchała, nie biorąc w nich czynnego udziału. W ten sposób poznała nazwiska i miejsca wymiany, tak jak zaplanowała z Afgańczykiem.

Kiedy pierwszy raz wkroczyła do operacji sprzedaży heroiny, zdołała przejąć tylko kilka tysięcy rubli, ale po pewnym czasie zdobyła informację o sporej dostawie i walizce, która zawierała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby sfinansować jej plan w Stanach Zjednoczonych.

Było pięć trupów i mało wyrzutów sumienia.

Oprócz funduszy zdobyła jeszcze dwa inne narzędzia. Tym najważniejszym był plan dotarcia do Chicago. Musiało minąć wiele miesięcy, zanim na tej stronie dla zdesperowanych Amerykanów pojawił się mężczyzna, który spełnił niezbędne wymagania. Aspekty praktyczne były znacznie łatwiejsze, niż sądziła. Simon Sax był jak otwarta księga i manipulowanie jego uczuciami i skłonienie, by się w niej zakochał, nie wiązało się z żadnymi komplikacjami.

Oprócz rzecz jasna tego, że w końcu wkradł się do jej serca.

Mocno walczyła z tym uczuciem, które było niczym innym, jak szczeliną, przez którą mogła się przedostać porażka. Simon był skomplikowany, mózg w duszy dziecka, o tak ogromnej potrzebie miłości, że wydawała się niemożliwa do zaspokojenia. Chociaż powtarzała samej sobie, że okazywane mu uczucie jest udawane, że rozmowy, jakie prowadzą, nie są prawdziwe, to wiedziała, że tylko się oszukuje.

Nie chciała, żeby cierpiał, dlatego była zmuszona zmodyfikować swoje pierwotne plany. W Kijowie, kiedy nękała kurierów *Organizatsiji*, zrozumiała, że najsłabszym punktem każdej struktury są pieniądze. To było drugie z narzędzi, jakie przywiozła z Ukrainy: sposób zemsty na Borysie Mogliewiczu. Zabicie go było zbyt proste. Chciała, żeby najpierw doświadczył strachu, nękania, bliskości śmierci. Chciała, żeby patrzył, jak rozlatuje się całe imperium, jakie zbudował na krwi jej siostry Oksany. Oksany, której śmierć z przedawkowania została stwierdzona w szpitalu Chicago Memorial jedenaście miesięcy po jej porwaniu. Oksany, której śmierć zasłużyła zaledwie na dwanaście wersów w „Tribune” i osiem w „Herald”, gdzie napisano o znalezieniu zwłok prostytutki w kontenerze przy North Broadway. Oksany, której imię było znane, ponieważ wiedząc,

że umrze w samotności, zadała sobie trud, by wytatuować je na przedramieniu, żeby przynajmniej nie skończyć w bezimiennym grobie. W artykule wspomniano o niej pobieżnie, co było powszechne w przypadku uzależnionych od heroiny prostytutek z krajów Europy Wschodniej. Tyle że pozostałe zwykle dodawały pod swoim imieniem nazwisko i adres rodziny, a pod imieniem Oksany nie było nikogo.

Sama. W śmieciach. Bez żadnej nadziei. Nigdy się nie dowiedziawszy, że jej poświęcenie przyczyniło się do tego, że Irina przeżyła, że stała się silna.

Nie istniała wystarczająco surowa kara dla Borysa Mogliewicza. Obserwowała go tygodniami, zbierając informacje na temat jego organizacji, sondując, gdzie może wyrządzić mu krzywdę. Robiła niewielkie postępy, aż znalazła brata jednej z ofiar odwetu Borysa w trakcie jego dochodzenia do władzy. Był to skromny właściciel sklepu żelaznego, ale wiedział wiele rzeczy i z przyjemnością jej o nich powiedział, gdy tylko Irina go do tego zmusiła.

– Magazyn na północy Stone Park. Jutro w nocy – wyszeptał, podając jej adres.

W ten sposób Irina dowiedziała się o ciężarówce, która raz na trzy miesiące przewozi brudne pieniądze *Mafiji* w kierunku Nowego Jorku, co jest pierwszym etapem ich podróży, mającym na celu ich wypranie. Irina czekała przy pierwszym semaforze na pustym o tej porze terenie przemysłowym i wślizgnęła się pod ciężarówkę z obcęgami.

Pojazdowi towarzyszył tylko jeden samochód z dwoma uzbrojonymi mężczyznami w charakterze ochrony – Borys był taki pewny, że nikt nie ośmieli się ukraść jego pieniędzy. Na jego nieszczęście Irina nie chciała go okraść.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, ciężarówka nie mogła ruszyć. Zapłon działał, ale silnik się dławił, jakby paliwo nie docierało do cylindrów. Kiedy kierowca wyskoczył z kabiny, zbiry Mogliewicza także wysiadły z samochodu.

– Co jest, kurwa?

– Silnik nie chce zapalić.

Zbiry spojrzały na siebie zdziwione. Nie płacono im za to, żeby myśleli, tylko żeby siedzieli w samochodzie przez dwanaście godzin. Jeden z nich wyjął telefon, by zadzwonić do szefa, ale nie zdążył wybrać numeru. Nie pozwolił mu na to charakterystyczny dotyk zimnej stali na karku.

– Rzuć telefon na ziemię – powiedział po rosyjsku kobiecy głos.

Zbir posłuchał, przestraszony. Jego kolega zobaczył wylaniającą się z cienia kobietę ubraną na czarno, która celowała do nich z pistoletu automatycznego.

– Nie wiesz, co robisz.

– Kłąć się na ziemię – odpowiedziała.

Kierowca posłuchał jako pierwszy, następnie polecenie wykonał ten, któremu Irina przystawiła lufę do karku. Ale ten drugi nie był tak skłonny do współpracy i w myślach rozważał swoje opcje. Przez jego wyobraźnię przemknął wizerunek samego siebie, jak wyciąga broń, którą nosił w kieszeni kurtki, zanim ona zdąży wystrzelić. To była kobieta, a więc słaba i bezbronna. Zawaha się, zanim pociągnie za spust, albo chybi. On wyciągnie broń i...

Huk przerwał jego rozmyślania, uprzedzając ból. Potrzebował sekundy, by zrozumieć, że do niego strzeliła i że leży na ziemi i trzyma się za rozwalone kolano, usiłując zatamować strumień krwi.

– Nie strzelaj. Nie strzelaj, kurwa – powiedział kierowca.

– Więc rób, co powiem.

Z plecaka wyjęła garść plastikowych zacisków i rzuciła je przed kierowcę – mnóstwo cienkich czarnych węzów.

– Załóż je każdemu na wysokości nadgarstków i mocno ściśnij.

Kierowca posłuchał.

– Teraz ty.

Kiedy mieli związane ręce, Irina stanęła za nimi, związując im nogi. Jeden zacisk na każdą kostkę i kolejny, aby połączyć obie nogi. Ten, który został postrzelony w kolano, nie przestawał płakać z bólu, podczas gdy ona kazała mu trzymać nogę prosto.

To wystarczy na kilka minut.

Nie zadała sobie trudu, by zabrać im broń. To byłoby jeszcze bardziej upokarzające.

– Klucze do kontenera – zwróciła się do kierowcy.

– Nie mam. Nie możemy wiedzieć, co jest w środku, a tym bardziej nie możemy tego dotykać – odpowiedział mężczyzna.

W porządku. Ona była przygotowana. W plecaku miała wiele przydatnych przedmiotów. Potrzebowała tylko sześciu. Jeden – nożyce dźwigniowe do przecięcia grubej kłódki, na którą zamknięto drzwi. Dwa – latarka do oświetlenia dwóch palet owiniętych czarnym plastikiem w środku kontenera. Trzy – nóż do przecięcia plastiku, by odsłonić

zawartość: paczki pełne wygniecionych banknotów po dziesięć, dwadzieścia i pięćdziesiąt dolarów. Zmarszczyła nos, poczuwszy smród, jaki wydzielają te wszystkie banknoty razem. Dosłownie śmierdziały ostrym zapachem wymacanego papieru, niespełnionych marzeń, narkotyków, pospiesznego i niezadowolającego seksu.

Wzięła sobie kilka plików, a resztę rozrzuciła po podłodze. Z plecaka wyjęła ostatnie, czego potrzebowała. Torbę na śmieci, którą wypełniła tabletkami do rozpalania ognia, zmiażdżonymi tak, że zamieniły się w drobny biały proszek, który rozsypała na banknotach. Dwulitrowa plastikowa butelka pełna płynu do zapalniczek, którą przecięła nożem od szyjki do podstawy, aby szybciej zamoczyć cały papier. Oraz zapalniczkę, którą rzuciła na środek tego prowizorycznego ogniska.

Natychmiast pojawiły się pomarańczowe płomienie, wygłodniałe, bezlitosne. Irina dała sobie chwilę, by je poobserwować, tak samo jak patrzyła na ogień, który trawił jej dom szesnaście lat wcześniej. Pogładziła sobie bliznę pod lewym okiem, zaskoczona niewielkim pocieszeniem, jakie jej to przyniosło.

Chciała już odejść, ale gdy patrzyła na ogień, coś się w niej poruszyło, i wróciła do mężczyzn związanych na ziemi. Wiedziała, co się z nimi stanie, jeśli ich tu zostawi, i oni z pewnością również to wiedzieli. Zastanawiała się, czy mają dzieci albo rodzinę, osoby, które zauważą ich nieobecność, ludzi, dla których miłość, radość i szczęście kręci się wokół nich. Małe dzieci, które będą dorastać karmione urazą w swoich sercach, dzieci, dla których już nic nie będzie takie samo, dzieci, dla których świat już na zawsze będzie zrujnowany. Już nigdy nie będzie dla nich wystarczająco dużo słońca, śmiechu, ciepła. One będą odczuwać to na własnej skórze, płacąc kawałkami swojej duszy, swojego ciała, każdego dnia przez resztę swojego nędznego życia.

Dzieci, które dorosną i będą jej szukać.

„Ich rodzice mogli wybrać inną drogę”, usłyszała w głowie głos Afgańczyka. „Księgowych zabijają rządziem”.

„Nie toczę wojny z tymi ludźmi”.

„Oni najwyraźniej mieli to gdzieś, kiedy dwie minuty temu zamierzali władować ci kulkę w łeb”.

Argument był niepodważalny. Wraz z nim wyparowała pokusa, by ich uwolnić.

Irina została tam jeszcze chwilę, patrząc, jak ogień trawi resztę pieniędzy. Wnętrze ciężarówki zamieniło się w piekło o wartości wielu milionów dolarów. Kiedy w oddali dało się słyszeć syreny, rozplynęła się w nocy.

Dwa dni później zrobiła to ponownie. Tym razem ciężarówce towarzyszyły dwa samochody. Na światłach wślizgnęła się pod przyczepę i umieściła tam prowizoryczny ładunek wybuchowy, który zrobiła, wykorzystując minutnik kuchenny, sześć magnesów neodymowych i proch z trzynastu pudełek domowych petard. Nic spektakularnego ani niebezpiecznego, chyba że umieszczenie się pod zbiornikiem paliwa, w którym wcześniej wywierciło się parę dziur.

Eksplodację było słychać w odległości dwudziestu przecznic. Pieniądze spaliły się tylko częściowo, a pozostałości trafiły do magazynu dowodów policji przy Greenfield Lane.

Borys był coraz bardziej zdenerwowany.

Irina chciała kontynuować tę strategię aż do gorzkiego końca, utopić finansowo interesy Mogliewicza, wyrządzając mu wszelkie możliwe szkody przed zadaniem decydującego ciosu, ale teraz już nie uważała, że to dobry pomysł. Ona była sama, a ich było wielu.

Wiedziała, że jest coraz bliżej popełnienia błędu. Afgańczyk przez dziewięć lat przygotowywał ją do jednej jedynej walki, jedynej bitwy, z której musiała wyjść zwycięsko, a nie do długiej i wyniszczającej wojny z mnóstwem ofiar po obu stronach. A ona po swojej stronie nie mogła sobie pozwolić na żadną ofiarę.

„Może gdyby Simon był inny. Może gdyby był złym człowiekiem”.

„Ale nie jest”.

Dlatego postanowiła, że wszystko skończy się tej nocy. Simon myślał, że ona jest w pracy, jak zawsze, choć tak naprawdę wyszła z Foley's wcześniej i wsiadła do taksówki jadącej w kierunku północnym, gotowa pozbawić życia Borysa Mogliewicza. Wreszcie zyskałaby trochę spokoju, dla siebie i pamięci bliskich, a potem by zniknęła, zanim jeszcze bardziej skrzywdziłaby Simona.

Kiedy znalazła się w pobliżu restauracji, zatrzymała się na dłuższą chwilę, by zebrać się na odwagę. Borys jak zawsze będzie siedział przy stoliku w głębi, może rozmawiając z jednym ze swoich wspólników,

a może sam przed ekranem laptopa. Nie chciała używać broni palnej, ponieważ nie miałyby szans z badawczym spojrzeniem zbirów przy wejściu.

„I ponieważ poszłoby zbyt szybko. Zbyt niezadowolająco”.

Dlatego miała za paskiem tylko nóż – wystarczy ukośny ruch, którym przetnie jednocześnie tchawicę i tętnicę, a potem rzuci się do ucieczki. Plecak ze swoim cywilnym ubraniem zostawiła pomiędzy dwoma samochodami, licząc na to, że kiedy wyjdzie, wciąż będą tam stać.

„O ile wyjdę”.

Odetchnęła głęboko raz, dwa, trzy razy i weszła do Carpathian, którego rozmieszczenie знаła na pamięć. Kelner za barem. Stolik blisko wejścia, zajęty przez dwóch zbirów, którzy bez wątpienia będą stanowić problem w chwili wyjścia, pozostałe stoliki puste, z wyjątkiem tamtego w głębi, gdzie, tak jak się spodziewała, siedział on razem z czterema innymi osobami. Trzy siedziały tyłem do drzwi, czwarta szeptała coś na ucho Borysowi, który przytaknął zaniepokojony i podniósł głowę, kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają. Jego ciemne, puste oczy napotkały jej spojrzenie.

Nastąpiła krótka chwila wahania, poszukiwania, pauza, podczas której świat zatrzymał się między dwoma uderzeniami serca, nabierając rozpędu w obliczu tego wszystkiego, co ma się wydarzyć.

I wtedy oczy Borysa nieco się zmrużyły. Rozpoznał ją.

Irina przez krótki moment czuła głupią satysfakcję (była oczywiście bardzo podobna do swojej siostry) wymieszaną z frustracją, że nie wzięła tego pod uwagę, ponieważ teraz on został uprzedzony i mimo że stała w odległości zaledwie sześciu metrów, to było tak, jakby znajdowała się na drugim końcu świata, z powrotem za stacją Niezależności, bezbronna i bezsilna. On coś krzyknął i sięgnął do marynarki, a Irina nie mogła zrobić nic, ponieważ zbiry za nią wstały już ze swoich miejsc. Pierwszy próbował ją złapać, ale Irina zrobiła unik i pociągnęła drugiego za nadgarstek, żeby runął na podłogę u jej stóp, gdzie mogła wykręcić mu rękę z suchym trzaskiem. Minęły zaledwie dwie sekundy, a za jej plecami była już co najmniej jedna broń gotowa do strzału. Nie doszło do żadnej walki, a droga ucieczki była odcięta przez ciało drugiego zbira, który zamiast wyjąć pistolet, wziął nóż do krojenia mięsa, który leżał na stoliku, i rzucił się na nią.

Irina musiała wybierać między wydostaniem się z trajektorii broni Borysa (i także kilku innych, ale jeszcze o tym nie wiedziała) a ominięciem

noża. Nie miała wyjścia. Rzuciła się na zbira, który blokował drzwi, wybierając ząbkowane ostrze noża, które wgryzło się w jej ciało na wysokości żeber, a to pozwoliło jej umieścić zbira między sobą a pierwszą kulą. Pocisk trafił w plecy typa, który patrzył na Irinę z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

Zanim padł na ziemię, ona zdołała otworzyć drzwi i uciec.

Minęło pięć sekund.

Biegła w górę Devon Avenue, trasę, którą miała zaplanowaną na wypadek, gdyby sytuacja nie potoczyła się po jej myśli. Kilka przecznic dalej, po drugiej stronie jezdni, była ślepa uliczka, gdzie w dogodnym miejscu stał kontener na śmieci. Mogła wejść z niego na dach sklepu i całkiem zmylić ścigających ją mężczyzn. Obliczyła, że ma jakieś trzy sekundy, zanim ruszą za nią w pogoń, i kolejne sześć sekund, zanim zlokalizują kierunek, w którym pobiegła.

Wzięła plecak, przechodząc schyloną między dwoma samochodami, kiedy tamci wychodzili z restauracji. Z zewnętrznej kieszeni wyjęła grubą i ciężką nakrętkę i trzymała ją w dłoni, nie przestając biec. Dzięki temu zyska jeszcze kilka sekund. Skręcając w ślepa uliczkę, rzuciła nakrętkę w latarnię, rozbijając żarówkę. Uliczka pogrążyła się w ciemności.

Właśnie wtedy jak spod ziemi wyrósł on.

Po raz pierwszy tej nocy Irina poczuła strach i nie wiedziała, co robić.

– Co... co ty tu robisz, Tom?

– Ty mi to powiedz. Dokąd chodzisz nocami, co? O tej porze powinnaś chyba pracować. Zamierzasz powiedzieć Simonowi, że kiedy on myśli, że jesteś w barze, ty spotykasz się ze swoim kochankiem?

Słowa ledwie do niej docierały, były niczym więcej, jak głośną manifestacją wrogości, jaką on zawsze do niej czuł. Miała tylko świadomość upływającego czasu, tego, jak znika niewielki margines, jakim dysponowała do czasu, aż jej prześladowcy wpadną do tej uliczki. Próbowwała myśleć. Pogodzić obie części – prawdziwą i sekretną – swojego życia w ciągu paru sekund, lecz nie mogła.

– Popeliłeś błąd – odparła, lecz wiedziała, że błąd tak naprawdę popełniła sama.

W tym momencie w uliczce pojawiło się dwóch zbirów Mogliewicza. Irina wyciągnęła rękę w stronę Toma (w tej chwili zdała sobie sprawę, że on nagrywa wszystko telefonem, ponieważ Tom zadrżał i aparat upadł na ziemię) i próbowała złapać go za ramię, lecz zdołała jedynie zaczepić

o rękaw koszuli. Zamiast go odepchnąć, zmusiła go, by się odwrócił, stając twarzą w twarz ze zbirem, który już pociągał za spust pistoletu. Rozbłysk towarzyszący strzałowi na krótką chwilę zamroził cienie całej czwórki na ścianie.

Kiedy rozbłysk zniknął, tylko trzy osoby trzymały się na nogach.

Strzał rozwiął wątpliwości Iriny, która pozwoliła, by jej ciało przejęło kontrolę. Nie była świadoma, że przeskakuje nad ciałem Toma ani że opiera się na jego udzie, żeby dać pierwszego kopniaka – chociaż później, kiedy będzie powtarzać sobie w myślach to, co się stało, zrozumie, że nie było innego sposobu, by to zrobić. Żadnego innego sposobu, by pokonać trzy metry dzielące ją od mężczyzny z pistoletem i z wystarczająco dużym impetem kopnąć w nadgarstek czubkiem buta oraz przekierować drugi strzał, zanim zdoła wycelować. Przekierowanie kuli, sprawienie, żeby zgubiła się gdzieś w ciemności, drogo ją kosztowało. Drugi zbir złapał ją od tyłu, otaczając ramionami, i Irina nie mogła uwolnić się na czas, jej jedyną nadzieją było to, że typ z pistoletem podejdzie do niej, udawała więc, że walczy, szarpiąc ramionami w obie strony, sugerując, że nie ma siły, żeby uwolnić się z uścisku, którego nie chciała porzucić, ponieważ wtedy byłaby zdana na łaskę zbira z pistoletem, który doszedł już do siebie. Tak jak się spodziewała, ten zbliżył się, żeby ją zaatakować, sądząc, że jest unieszkodliwiona i całkiem od niego zależna. Akurat w chwili, gdy podnosił pistolet, żeby uderzyć ją kolbą w głowę, Irina wybiła się stopami, przyciągając kolana do tułowia i wykorzystując klatkę piersiową i uścisk trzymającego ją mężczyzny jako punkt podparcia, co pozwoliło jej skupić całą energię w nogach i wyrzucić je niczym tłok prosto w brzuch napastnika. Rozległ się tępy, stłumiony dźwięk, jak gdyby coś ciężkiego uderzyło w poduszkę, i napastnik zgiął się w pół. Siła uderzenia odrzuciła trzymającego ją mężczyznę, który walnął o ścianę, nie wypuszczając jej. Wstrząs wywołał drgania w ciele Iriny, a jej zęby gwałtownie zaszczękały. W ustach poczuła krew (ugryzła się w wewnętrzną część policzka) i miała mglistą świadomość, że rana na boku zrobiła się głębsza pod wpływem brutalnego chwytu drugiego mężczyzny, ale ten rozluźnił nieco uścisk, co Irina wykorzystowała, żeby dwukrotnie kopnąć go w prawy piszczel krawędzią obcasa (wzmocnionego po wewnętrznej stronie stałą), po czym z całej siły stanęła nim na czubku jego buta.

Trzask (co najmniej dwóch złamanych palców, przy odrobinie szczęścia trzech) został zduszony przez wycie mężczyzny, a ono z kolei zostało

gwałtownie uciszone uderzeniem łokcia w gardło. Irina, wreszcie uwolniona, zdołała zadać jeden z tych ciosów, które kończą każdą walkę.

Zbir, z zapadniętym jabłkiem Adama, padł na kolana. Tylko pilnie przeprowadzona tracheotomia uchroniłaby go przed śmiercią, inaczej umrze w ciągu kilku minut. Irina nie zamierzała tu jednak zostawać i oglądać rezultatu. Zrobiła krok do tyłu, niczym piłkarz, który szykuje się do wykonania rzutu wolnego, i dwa do przodu, aż sięgnęła kości policzkowej i brody typa z pistoletem, który na czworakach walczył o każdy oddech.

„Teraz przez chwilę będzie zajęty”, pomyślała Irina.

Walka trwała łącznie dziewięć sekund.

Kolejność priorytetów Iriny uległa zmianie. Ucieczka i osłona znowu znalazły się na pierwszym miejscu. Najpierw (o tym też nie zapomni, gdy za kilka godzin będzie dokonywać bilansu) zabrała telefon Toma i włożyła go do kieszeni spodni, potem nachyliła się nad nim i przekonała, że nie ma już dla niego ratunku. Kula przeszła tętnicę i życie Toma rozlewało się po ślepej uliczce w rosnącej kałuży. W jego gasnących oczach były jednak resztki życia, był strach, gdy pogrążał się w śmierci, była świadomość tego, co się dzieje. Był chłód w decyzji Iriny, by wskoczyć na kontener i wspiąć się na dach sklepu całodobowego, kilka chwil przed tym, jak pojawiła się reszta zbirów.

Wyrzuty sumienia przyjdą na imprezę później. Spóźnione, lecz nieuniknione.

Minęły trzy dni. Trzy dni, w czasie których nie mogła kontynuować swojej zemsty, mając świadomość, że policja jest zbyt blisko. Trzy dni, w trakcie których kłamstwa stały się tak pokrętne, a manipulacja Simonem tak bezlitosna, że czuła obrzydzenie do samej siebie.

Kiedy ludzie Mogliewicza zjawili się w Foley's (na czele z Wanią, akurat on, Wania, który wziął ją z zaskoczenia, kiedy miała właśnie wejść do restauracji, Wania, który wycelował w nią, nie dając jej czasu na reakcję, Wania, który związał jej ręce taśmą klejącą i brutalnie uderzył ją w skroń), a ona przewróciła się na ziemię, w ostatniej chwili przed utratą przytomności poczuła dziwną ulgę.

SPOTKANIE

Jest po jedenastej, kiedy sfrustrowani przedstawiciele prawa i porządku wychodzą z mojego domu, nie uzyskując ode mnie nic prócz wymijających odpowiedzi i zostawiając za sobą zawołowane groźby zatrzymania za utrudnianie śledztwa. Zgodnie z zasadą wymiany energii w układzie zamkniętym i jedno, i drugie są absolutnie bezużyteczne i zostawiają wszystko tak, jak było na początku.

Z wyjątkiem mojego sumienia.

Dużo mnie kosztowało niepowiedzenie im prawdy: że wykonałem telefon, który z pewnością będzie oznaczał śmierć osoby, którą kocham? – nie ma innego wyjścia, jak postawienie po tym czasowniku znaku zapytania, ponieważ w ciągu paru dni wydarzyło się tak wiele, że w tej chwili już nie wiem, co jest prawdą, a co nią nie jest.

„Kochać to potrzebować siebie. Miłość to potrzeba”, powiedziała mi.

Nie mogę powiedzieć policji, co się stało, myślę sobie, ponieważ to tylko by wszystko zniszczyło. Nie zdążyliby.

Tak więc, bez względu na to, jak bardzo czuję się winny z powodu zdrady, jakiej się dopuściłem, bez względu na wyrzuty sumienia, które

gryzą mi bebecchy swoimi małymi, ostrymi trójkątnymi ząbkami, będę siedział cicho, nie robiąc nic, ponieważ nie ma nic, nic pożytecznego, co mogę zrobić. Jestem o tym przekonany.

Spoglądam na zegarek. Do testu połowego Lisy zostały trzy godziny.

Tylko trzy godziny.

Powoli przechodzę z kuchni do salonu, mając wrażenie, jakby moje ciało i mój umysł były od siebie lekko oderwane. Czuję, że w każdej chwili mogę postawić krok w bok i zobaczyć przed sobą tego obcego, tego drugiego Simona Saxa, który siedzi nieruchomo na sofie, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, starając się unikać wspomnienia jej skóry, jej zapachu i jej pocałunków. Czuję się śmiesznie, mały i podły, wiele kroków za moim typowym autowizerunkiem niezdarne, odrażającego idioty.

„Siedź spokojnie. Siedź spokojnie, a wszystko, co wydarzy się wokół, nie będzie miało na ciebie żadnego wpływu”, mówi część mojego mózgu. „Później będziesz to musiał tylko ignorować, jakby wcale się nie wydarzyło”.

Druga część, która zmarnowała połowę życia na seriale telewizyjne i komiksy, przywołuje to, co powiedział pewien mędrzec (Kennedy albo Magneto, już nie pamiętam), a mianowicie: „Dla tryumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”.

Jak wielką bzdurą okazują się pompatyczne cytaty w prawdziwych chwilach. Jakie są nieodpowiednie i jakie puste.

18

GODZINA

Mija kolejna godzina.
Wciąż nic nie robię.
Wtedy przychodzi wiadomość.

19

WIADOMOŚĆ

Nie znam tego numeru. Są tylko trzy słowa.

POWINIENEŚ TO ZOBACZYĆ.

Niżej jest link. Otwieram go.

Przeglądarka przenosi mnie do czegoś w rodzaju rosyjskiego kłona YouTube'a, którego nie znam. Menu i wszystkie teksty są w cyrylicy, ale nie muszę się zastanawiać, jak, do diaska, mam je otworzyć, ponieważ wideo zaczyna się odtwarzać automatycznie.

Obraz ma dużą rozdzielczość, a pomieszczenie (puste, ściany pomalowane na kremowe kolory) jest bardzo dobrze oświetlone. Dzięki temu mogę doskonale widzieć każde rozcięcie i każdego sińca na twarzy Iriny. Część twarzy ma obrzmiałą i zdeformowaną, jedno oko jest tak spuchnięte od krwi nagromadzonej w powiekach, że ledwie może je otworzyć. Ten, kto trzyma kamerę, telefon czy cokolwiek to jest, obchodzi ją dookoła, żeby nie umknął mi żaden szczegół. Ręce przywiązali jej do

oparcia krzesła, koszulka jest porwana, cała w strzępach i pokryta krwią. Ramiona, plecy i ręce są pełne małych zakrwawionych kółek, czarniawych na środku oraz czerwonych i rozproszonych na brzegach. Zastanawiam się, czym jej to zrobili, i w tym momencie na ekranie pojawia się czyjaś ręka, by rozwiać moje wątpliwości: gasi papierosa – kolejnego – na bladej i delikatnej skórze u podstawy szyi. Ona wydaje jęk, powstrzymywany albo zmęczony jęk, nie wiem. Muzyka w tle nie pozwala mi tego rozróżnić.

*I'm just a holy fool, oh baby it's so cruel
But I'm still in love with Judas, baby*

Rozpoznaję piosenkę. Lady Gaga, *Judas*.

Ktoś ma naprawdę chore poczucie humoru.

Kamera kończy obrót wokół Iriny i znowu pokazuje jej twarz, chociaż ona ucieka od obiektywu. Ręka tego, który ją nagrywa, łapie Irinę za podbródek i zmusza ją do patrzenia. Jej rude włosy są przyklejone do spoconego czoła i ta sama ręka odgarnia jej kosmyki z twarzy z powolną delikatnością, która powoduje, że wzdrzgam się z przerażenia.

– Wyłączyć to gówno – mówi metaliczny, nieprzyjemny głos. – Nie chcemy, żeby Simon przegapił jakikolwiek szczegół, prawda?

Słyszałem już ten silny akcent. Kiedy odwraca kamerę, obraz zmienia się na pionowy z czarnymi paskami po bokach. Teraz już wiem, że nagrywali to wszystko telefonem z przednim i tylnym aparatem. I wiem też, że typ – ten z hipsterską brodą i platynowym zębem, ten, który przyblokował mnie w drzwiach restauracji Mogliewicza, ten, który przypomina Sharlto Copleya – jest reżyserem tego filmu.

– Simon, chcę ci podziękować, że do nas zadzwoniłeś i ułatwiłeś to rodzinne spotkanie. Twoja narzeczona też jest ci wdzięczna, *da?*

Zmienia na tylny aparat i przysuwa telefon do Iriny, która strzela w obiektyw krwawą śliną, ale nie trafia.

– No co ty, nie można tak traktować swojego narzeczonego – mówi głosem, który w zamierzeniu ma brzmieć łagodnie i spokojnie, ale sączy się z niego coś brudnego i niebezpiecznego. – Widzisz, Simon, rozmawiamy z nią przez całą noc i opowiedziała nam sporo rzeczy. Trochę ją to kosztowało, ale nalegaliśmy, ha, ha, ha.

Jego śmiech przypomina nieprzyjemny trzask, niczym lód łamiący się pod butem.

– Opowiedziała nam, że jesteście szczęśliwi i że niedługo się pobierzecie. Mój... współnik uważa, że to nie może się stać, no wiesz, ze względu na złe zachowanie twojej dziewczyny. Okazuje się, że poznaliśmy się już dawno temu i ona miała swoje powody. Nie możesz winić jej, *da?* Mój współnik oczywiście uważa inaczej. *Diela iz muchi* słona, on robi z muchy słonia, *da?*

Irina spuszcza nieco głowę i patrzy prosto do kamery jedynym otwartym okiem, a w tym spojrzeniu jest mnóstwo sprzeczności.

– Ale ja jestem łaskawy, mam wspaniałomyślną rosyjską duszę. Nie mam problemu ze sprzeciwieniem się mojemu współnikowi, jeśli on się nie dowie... i żeby ona odeszła daleko od tej sytuacji, jak wy tu mówicie, *da?* Ale mnie potrzebna jest rekompensata. To dług.

Na moment obraz staje się czarny i słychać metaliczne uderzenie. Kiedy się odsuwa, widzę, że ustawił telefon na stole czy czymś takim, tak że teraz pokazuje całą Irinę, która siedzi lekko przechylona.

– Irina powiedziała, że ty jutro nadziany, że ty jutro masz dużo pieniędzy, to dobrze.

A więc umowa z Infinity nie była tak sekretna, jak sądziłem, chociaż informacja Iriny nie jest w pełni zaktualizowana. Mamy takie same szanse na to, że LISA zadziała i zdobędziemy tę kasę, jak ja na to, że będę następnym człowiekiem chodzącym po Księżycu. Przynajmniej w jednym miałem rację, Irina nie kochała mnie za moje pieniądze, tylko za moje położenie geograficzne. Nadal czuję się jak jeden z dwóch milionów siedmiuset dziewięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Chicago.

– Ty jutro przyniesiesz mi wszystkie pieniądze w miejsce, które ci wskażemy, *da?* Jak nie, ja się wkurzę i pożegnám ze wspaniałomyślną rosyjską duszą. Patrz, Simon.

Pojawia się z boku i pokazuje do kamery nóż. Nic specjalnego, zwykły nóż stołowy z ząbkowanym ostrzem, nieróżniący się zbyt od tych, które mam w szufladzie w kuchni. Podchodzi do Iriny i łapie ją za lewe ucho. Ostrze noża znajduje się między płatkiem ucha a czaszką.

Wtedy zaczyna odcinać.

Nie, cholera.

Irina trzęsie się z bólu, lecz nie ma odwagi się ruszyć, podczas gdy nóż makabrycznie podąża w górę. Ona nie może się odsunąć, tak samo jak ja

nie mogę oderwać wzroku od ekranu. Nie krzyczy, choć chce to zrobić. Jej usta ściągnięte w grymasie agonii odsłaniają zaciśnięte zęby.

Kiedy tamten kończy, głowa Iriny opada, aż podbródek dotyka klatki piersiowej. Chyba straciła przytomność.

Ja też jestem tego bliski. Telefon trzęsie mi się w dłoni.

– Ty robisz to, o co proszę, a ja nie słucham mojego współnika, *da?* – mówi z uśmiechem mężczyzna z hipsterską brodą, podchodząc do kamery.

Jedyne, co teraz widać, to jego twarz, zrelaksowaną, spokojną, a jego głos łagodnieje. Bardziej przerażające od jego brutalności okazuje się to, jak wchodzi w tę rolę oprawcy i z niej wychodzi – jak gdyby zmieniał koszulkę.

Podnosi ucho Iriny, które trzyma między kciukiem a palcem wskazującym, i pokazuje mi je, ociekające krwią, niczym ofiarę.

– Dziesięć milionów, jutro. Jak nie, będę kontynuował.

Otwiera usta i widzę, jak błyszczy ten jego platynowy ząb.

Boże. O cholera.

Chrzęst, gdy jednym kęsem wyrywa połowę ucha, sprawia, że fala kwaśnych, ciężkich wymiocin podchodzi mi do gardła. Udaje mi się je powstrzymać, aż słyszę, jak przeżuwa. Moje dłonie nie mogą już dłużej utrzymać telefonu, który spada na podłogę w salonie.

– Do jutra, Simon – słyszę jego głos, stłumiony między falą wstępu i obrzydzenia, która zalewa moje zmysły i przewraca wszystko w środku. – Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Wtedy nie mogę już dłużej wytrzymać.

20

DOWÓD

Nie wiem, jak długo leżę na podłodze, zanim zdołam się pozbierać. Dwie minuty? Pięć? Wiem tylko, że w jakiś sposób udaje mi się wziąć prysznic, ubrać się i przyjechać do biura, choć tego nie pamiętam. Wygląda na to, że mój mózg zaciął się na obrazie Rosjanina krzywdzącego Irinę, co wcześniej przytrafiło mi się tylko raz: kiedy zdarzył się Wypadek, kiedy policjanci zabrali Arthura i mnie z domu i w jakiś sposób kilka godzin później znalazłem się na komisariacie. Nie byłem w stanie niczego sobie przypomnieć, jedynie tę ostatnią chwilę przed tym, jak mój ojciec wypadł przez balustradę schodów, kiedy wyciągnął do mnie rękę, po czym stracił równowagę i runął w pustkę.

Podobnie czuję się teraz, idąc korytarzem biura, które dziś jest pełne aktywności. Pracownicy zużywają ostatnie strzępy maniackiej energii, która utrzymywała ich na nogach przez całą noc. Niektóre twarze zwracają się w moją stronę, ale większość mnie unika. Nie muszą mi mówić, że nie mają dobrych wieści. Ani tego, że wielu z nich obwinia mnie za nieuchronną porażkę. Kolejny wspaniały rozdział dodany do mojego życiorysu: liczba

porządnych ludzi, których zawiodłem z powodu swojego egoizmu i głupoty.

Marcia siedzi przy swoim biurku, a kiedy podchodzę, ani nie wstaje, ani się do mnie nie odwraca.

– Są już w środku – mówi i wskazuje salę konferencyjną, nie odrywając wzroku od ekranu. – Przyszedł Myers we własnej osobie z dwoma sługusami do zbierania szczątków.

Wygląda okropnie, ma wielkie worki pod oczami, a włosy związała w nieco krzywy kucyk. Na jej komputerze włączył się wygaszacz ekranu, a ja się zastanawiam, od jak dawna tak patrzy niewidzącym wzrokiem, zagubiona w swoich myślach.

– Jakie są ostatnie liczby?

Odwraca się i rzuca mi spojrzenie zdolne kruszyć kamienie.

– A więc nagle cię to interesuje.

Jasne, że mnie interesuje. Jak mam jej wyjaśnić, że to, co się stało, moja niezdolność do dalszego skupienia się na projekcie, mój mutyzm – że to wszystko miało związek z Iriną. Musiałem poznać prawdę, a teraz, gdy ją znam (teraz, gdy zwała się na mnie tona prawdy, z wywrotką i w ogóle), zależy mi tylko na tym, żeby LISA działała, żeby była tym cudem, jakim miała być od początku.

W przeciwnym razie Irina umrze.

– Podaj mi procent, Marcia.

Ona bierze głęboki wdech i wypluwa liczbę, jak gdyby miała w ustach coś trującego.

– Sześćdziesiąt pięć.

A więc na coś się przydało. Zmiany, jakie wprowadzili wczoraj, zwiększyły efektywność algorytmu o dwa punkty procentowe, co oznacza niesamowite osiągnięcie, ale wciąż jesteśmy bardzo daleko od siedemdziesięciu czterech procent, jakich wymaga od nas umowa z Infinity.

– Może zmienią zdanie – mówię, wiedząc, jak malutka jest brzytwa, której próbuję się chwycić. – Może jeśli porozmawiam z Myersem, da nam jeszcze trochę czasu...

Marcia wybucha śmiechem i nie ma w nim ani krztyny radości.

– Simon, powiedz mi, że nie jesteś aż tak głupi. Myers od początku chciał, żeby to się skończyło klęską. Twój pomysł będzie dla nich oznaczał mnóstwo pieniędzy, ale jeśli dostaną technologię, będzie oznaczał znacznie więcej. Jak myślisz, co Myers zrobi z LISĄ? Wiesz, jakie są wojskowe

możliwości twojego wynalazku? – pyta, oblepiając dwa ostatnie słowa taką ilością sarkazmu, że można by nim udusić krowę.

– Nie mogą jej użyć do niczego, co...

– Mogą jej użyć do wszystkiego, do czego tylko zechcą za – spogląda na zegarek – dokładnie siedemnaście minut. Gdy tylko wykonamy test i zobaczą, że to porażka, LISA będzie należeć do nich.

A inżynierowie Infinity wsadzą swoje łapska w mój kod, będą robić, co tylko zechcą, z moją małą całąmi latami, bo ich nie ogranicza czas ani budżet, aż zrobią z niej inne rzeczy, by sprzedać je wojskowym. Rzeczy, których ani ja, ani nikt nie chcemy widzieć w użyciu, rzeczy, które wykorzystają jej ogromny potencjał, żeby zrobić z tego świata o wiele gorsze miejsce.

Kolejny raz myślę, że Tom będzie wiedział, co robić, i kolejny raz muszę sobie przypomnieć, że jednak nie.

Cholera jasna, Tom. Ty i twoja główniana umowa. Gdybyś nie był martwy, w tej chwili rozwalilibym ci głowę.

– To nie może się tak skończyć. Nie po całej tej pracy, jaką wykonaliśmy.

Marcia zamyka nagle klapę laptopa i podkreśla ten gest rozdrażnionym prychnięciem.

– Dla ciebie skończyło się już dawno temu, no nie? Raczej nie możesz narzekać – mówi, odłączając laptopa od sieci i od kabli. – A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę do sali konferencyjnej, żeby z tym wszystkim skończyć.

– Nie rozumiesz, Marcia.

– Nie, oczywiście, że nie.

Wstaje.

– Pokładałam w tym projekcie wielkie nadzieje. Ale ja nie będę narzekać. Człowiek może grać tylko takimi kartami, jakie dostaje.

W tym momencie w moim mózgu coś klika, jak gdyby ostatni element układanki nagle wskoczył na swoje miejsce.

– Co powiedziałaś?

Widziałem to tysiące razy w telewizji. W tym momencie serialu *Dr House*, kiedy główny bohater rozmawia ze swoim przyjacielem Wilsonem, a ten mówi coś kompletnie niezwiązanego z tym, co akurat martwi dobrego doktora, a co okazuje się dziwnym kosmicznym objawieniem. Muzyka narasta albo milknie i mamy zbliżenie na Hugh Lauriego, który otwiera szeroko oczy i prosi Wilsona, żeby powtórzył to, co właśnie powiedział.

– Że człowiek może grać tylko takimi... Co się z tobą, do cholery, dzieje, Simon?

Teraz powinienem uścisnąć Marcie, powiedzieć jej coś, co podkreśli ten moment i uświadomi ją, że znowu to zrobiłem, coś w stylu: „Marcia, jesteś geniuszką”.

– Marcia, jesteś geniuszką!

Ona patrzy na mnie tak, jakbym palił crack.

– Pochrzaniło cię?

Chciałbym mieć teraz laskę, żeby z nią pokuśtykać. Ale nie mam ani laski, ani czasu. Więc łapię ją za ramiona i zmuszam, by skupiła na mnie całą swoją uwagę.

– Posłuchaj, Marcia. Właśnie wpadłem na pewien pomysł. Poprawię algorytm Lisy.

– Nie możesz teraz niczego zmieniać. Na serwerze mamy załadowaną wersję beta, a Myers czeka – odpowiada ona. – Za późno na kompilowanie nowego pliku wykonywalnego.

Do pokazu został ledwie kwadrans. Potrzebowałbym co najmniej dwudziestu minut, żeby otworzyć środowisko programistyczne, skompilować i załadować nowy program. A do tego trzeba dodać czas na wprowadzenie zmian.

– Marcia, proszę cię, musisz ich chwilę zagadać. Wymyśl, co chcesz, ale zatrzymaj ich kilka minut.

– Nie – odpowiada, kręcąc głową. – Już wcześniej najadłam się dość wstydu, kiedy przyszli, a CEO i założyciela start-upu nie było, żeby przywitać swojego jedyne go inwestora. Nie będę więcej świecić za ciebie oczami. Ja nie jestem Tomem, Simon.

Boli o wiele bardziej, niż sobie wyobrażałem. Wiem, że Marcia jest na mnie wściekła, i żałuję tego, jak się zachowałem, ale teraz nie mogę stawić czoła tym uczuciom.

– Marcia, proszę. Musisz mi zaufać. To był okropny tydzień, ale jest szansa, że wszystko skończy się dobrze. Musisz mi pomóc.

Marcia odwraca wzrok i w końcu wzrusza ramionami. W sumie nie ma wiele do stracenia.

– W porządku. Ale tym razem mnie nie zawieź, Simon.

Biegnę do swojego komputera, otwieram ostatnią wersję Lisy, czyli 1.93, i poświęcam parę cennych minut na znalezienie pakietu, którego potrzebuję. Wczoraj Marcia i reszta zmienili organizację moich folderów,

przypuszczam, że dlatego, że skończyły im się pomysły i postanowili zrobić przemeblowanie.

Właśnie wpadłem na jeden z tych pozornie prostych pomysłów, do których przygotowują cię całe lata pracy, jak słynne i apokryficzne jabłko Newtona czy wanna Archimedesesa. W moim przypadku jest to coś mniej spektakularnego, a mianowicie partyjka UNO, w którą wczorajszego wieczoru grałem z Iriną i Arthurem. Kiedy mój brat powiedział, że ona wygrywa, ponieważ nie gra swoimi kartami, tylko tymi, których nie ma. Teraz, kiedy Marcia wspomniała o grze kartami, które człowiek dostaje, zrozumiałem, co od samego początku robiłem źle.

Prawdziwym kluczem do wszystkiego jest szybkość. Mając dość czasu i wystarczająco dużo mocy obliczeniowej, LISA byłaby w stanie zrobić cokolwiek, ale nie mamy ani jednego, ani drugiego.

Nie ma tego LISA i nie mam tego ja. Podnoszę głowę i widzę, jak Zachary Myers wychodzi z sali konferencyjnej i dyskutuje z Marcją, wskazując na zegarek. Marcia wskazuje na mnie. Nie wiem, co mówią. Muszę się skupić na tym, co robię.

Dwa miliardy operacji na sekundę, taki jest limit, jaki ustawiliśmy Lisie, standardowy na przenośnym urządzeniu. Obciążenie przetwarzania będzie zlokalizowane na urządzeniu, a nie na jednym z potężnych komputerów Infinity. I tu właśnie następuje zmiana sposobu myślenia.

LISA musi nie tylko grać tymi kartami, które ma, lecz równolegle tymi, których nie ma. Muszę ją też zaprogramować w ten sposób, żeby odrzucała to, czego NIE widzi, ponieważ istnieje znacznie mniej szans, że to tam jest.

Moje palce fruwiąją po klawiaturze.

Zaledwie sto linii kodu. To wszystko. Jeśli zadziała, to będzie genialne. Jeśli nie zadziała, Irina zginie z rąk tej bandy zwyroli.

Ostatecznie jednak muszę stukać w klawiaturę jak szalony, bez żadnej pomyłki, żeby uratować sytuację.

Kiedy wchodzę do sali konferencyjnej, mimowolnie przypominam sobie, jak się to wszystko zaczęło, całą wieczność temu. Tamtym razem to my z Tomem czekaliśmy w sali wyposażonej w meble droższe niż oba nasze domy razem wzięte. A teraz to multimilioner i wizjoner Zachary Myers

czeka, siedząc na krześle za trzydzieści cztery dolary, które z pewnością jest tańsze niż jego bokserki.

– Dzień dobry, panie Myers. – Ani ja nie zadaję sobie trudu, by uścisnąć mu dłoń, ani on, by udawać, że cieszy się na mój widok. – Przepraszam za spóźnienie. Poprawki na ostatnią chwilę.

Dałbym wszystko, by móc cofnąć się w czasie i odwrócić to, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach. Teraz jednak jest pewna fundamentalna różnica. Po wejściu do sali z pamięcią USB w dłoni nie czuję mdłości ani się nie jąkam. Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie nie jest już geniuszem, na którym chciałem za wszelką cenę zrobić wrażenie, tylko przeszkodą do celu, do którego dążę, a właściwie to do kilku celów. I zamierzam zjeść go żywcem.

– Wkładasz USB na odwrót, Simon – zwraca uwagę Marcia, wyrywając mi pendrive'a z dłoni.

– Takich rzeczy nigdy nie da się włożyć za pierwszym razem, prawda?

Uśmiecham się głupkowato, aby dać jasno do zrozumienia, kto jest prawdziwym samcem alfa w tej sali.

Podczas gdy Marcia łąduje najnowszą wersję Lisy na laptopa podłączonego do projektora, ja siadam i zakładam ręce na piersi oraz nogę na nogę, żeby nie było widać, jak bardzo jestem zdenerwowany. Dzięki temu na pewno nikt tego nie zauważy.

– Zmieniłeś nazwę – szepcze Marcia, wskazując ekran, gdzie jeszcze kilka minut temu znajdowała się LISA 1.93.

Teraz jest SIMON 2.0.

Myers unosi brew, a potem obrzuca mnie sarkastycznym uśmiechem.

– Nie miałem pana za próżnego człowieka, panie Sax.

– SIMON brzmi lepiej – bronię się, aby nie przyznać, że nazwanie algorytmu zdrobnieniem imienia mojej licealnej dręczycielki Elizabeth Krapowski wydaje mi się teraz dziecinne i śmieszne. – SIMON brzmi bardziej komercyjnie. No wie pan, SIMON mówi... że możesz kupić ten sweter w Banana Republic. SIMON mówi... że nie ma zielonego pojęcia, co to jest. Ludzie będą się bardziej identyfikować z tym imieniem. A apce damy głos Jamesa Earla Jonesa.

Sarkastyczny uśmiech zamienia się w sarkastyczny śmiech, który w przypadku Myersa jest serią szybkich wydechów, jak gdyby próbował zgasić nosem mnóstwo świeczek stojących na stole.

– Jest pan bardzo zabawny, panie Sax. Naprawdę wciąż pan uważa, że pański projekt dotrze do fazy komercyjnej? Obaj wiemy, jakie są najlepsze rezultaty osiągnięte przez oprogramowanie.

Nie, nie zapomniałem, że wszystkie liczby przechodzą przez serwery Infinity i że Myers już dobrze wie, że jeszcze wiele nam brakuje do sławnych siedemdziesięciu czterech procent, jakich od nas zażądali.

– Mamy nową wersję. Myślę, że będzie pan zaskoczony.

Myers znowu się śmieje. Ja też się śmieję. Nie wykonałem żadnej próby. Według kompilatora nie ma błędów we wprowadzonym przeze mnie kodzie, ale równie dobrze SIMON może się zamienić w cegłę. Nie ma to większego znaczenia. Jeśli nie osiągniemy wymaganego poziomu, to będzie wszystko jedno, czy zabraknie nam jednej dziesiątej czy więcej. Osiągnę jedynie tyle, że Marcia i pracownicy znienawidzą mnie jeszcze bardziej i stanę się pośmiewiskiem całej branży, ponieważ fiasko tego kalibru jest jednym z tych, które zawsze wpływają i o których nikt nigdy nie zapomina.

Mam to gdzieś. Jeśli tak się stanie, Irina umrze.

– Wykonujemy tę finałową próbę tylko dlatego, że tak stanowi umowa – mówi Myers, gwałtownie przerywając mój śmiech. – Przyszedłem tu wyłącznie z szacunku, więc zacznijmy już, bym mógł potwierdzić godzinę zgonu, i wszyscy będziemy mogli dalej żyć własnym życiem.

Marcia skończyła już przygotowania i wciska przycisk uruchamiający program testowy, który opracowali inżynierowie Infinity. Jest tu tysiąc różnych zdjęć, każde z jednym obiektem. Oprogramowanie wyznaczyło SIMONOWI trzy sekundy na jeden przedmiot, ale nie musimy czekać pięćdziesięciu minut, ponieważ program jest tak przygotowany, żeby wykonywać dziesięć próśb jednocześnie. Mimo to pięć minut mija bardzo powoli, a żadna z osób w sali nie odrywa wzroku od paska postępu, który pomału, mozolnie przesuwa się do końca.

Wyskakujące okienko informuje nas o wstępnych wynikach.

NIEZAWODNOŚĆ: 68,2%

Kątem oka dostrzegam, że nasi pracownicy zebrali się przed szybą, która oddziela salę konferencyjną od reszty biura.

NIEZAWODNOŚĆ: 69,12%

Może się zastanawiają, czy kiedy ten niebieski pasek dotrze do mety, ich marzenia wyparują. Ja się obawiam, że kiedy dotrze do końca, to będzie zapowiedź śmierci Iriny.

NIEZAWODNOŚĆ: 71,12%

Musisz tylko pójść kawałek dalej. Jeszcze jeden krok.
Życie i śmierć to tylko liczby na ekranie.

NIEZAWODNOŚĆ: 72,54%

W ostatniej, stresującej sekundzie pasek postępu się zatrzymuje, kiedy do całkowitego zapełnienia brakuje już tylko dwóch pikseli, i wszyscy wstrzymujemy oddech, z różnych powodów.

Dalej, dalej, dalej.

Wreszcie oprogramowanie kończy analizę i pojawia się raport.

TEST UKOŃCZONY

NIEZAWODNOŚĆ: 75,8%

Zamykam oczy, pozwalając, by napięcie ze mnie zeszło i zostało zastąpione ulgą. Na zewnątrz, w biurze, następuje pełna niedowierzania chwila ciszy, a następnie wszyscy zaczynają wiwatować i bić brawo.

Zastygła w bezruchu Marcia patrzy na mnie tak, jakby sam Elvis właśnie wysiadł z latającego spodka. Wizjoner i multimilioner Zachary Myers nie wydaje się już taki pewny siebie i pospiesznie wymienia zdania ze swoimi sługusami. Obaj kręcą głowami, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Jeden z nich wykonuje telefon, drugi sprawdza liczby na swoim komputerze.

Wreszcie Myers się poddaje i odwraca się do mnie. Nie jest człowiekiem, który lubi przegrywać, i to widać. Stara się to zamaskować, ale ma już mało atutów, którymi może grać. Ostatnim jest bez wątpienia udawanie, jak niewiele znaczyła dla niego ta umowa.

Wyjmuje telefon i stuka przez kilka chwil, a potem wykonuje gest – widoczny i teatralny – wciśnięcia przycisku.

– I... gotowe. Właśnie przelałem na wasze konto dziesięć milionów dolarów w zamian za dziesięć procent akcji firmy. Przypuszczam, że teraz,

gdy jesteśmy współnikami, będzie pan tak uprzejmy i powie mi, jak, do cholery, pan to zrobił.

– To źle pan przypuszcza, panie Myers. Ale i tak bardzo dziękuję.

– Niech pan nie dziękuje. Szczerze mówiąc, przyszedłem osobiście, żeby zobaczyć, jak pańskiemu współnikowi rzednie mina. A właśnie, gdzie on jest?

Atmosfera w pomieszczeniu gęstnieje.

On nie wie.

Nikt mu nie powiedział, co spotkało Toma.

Marcia wierci się na krześle, jakby było wyłożone cierniami, zakłopotani asystenci Myersa wymieniają spojrzenia, aż jeden z nich się odwraca i przekazuje mu na ucho wiadomość, która momentalnie zmienia jego wyraz twarzy.

Jest mi go żal. Człowiek, który zdobył absolutnie wszystko i którego jedyne satysfakcje są tak małostkowe jak ta, którą zamierzał osiągnąć, a która ostatecznie obróciła się przeciwko niemu. Jednakże to, co robi teraz, wprawia mnie w zdumienie.

Zachary Myers – człowiek, który, jak głosi legenda, nigdy nie podaje dłoni – wstaje i wyciąga do mnie rękę.

– Wyrazy współczucia, panie Sax. I szczerze się cieszę, że się to wam udało. Jest pan geniuszem. Powiedziałbym ten wyświechtany frazes, że przypomina pan mnie z czasów, gdy byłem w pańskim wieku, ale wątpię, czy w tym momencie jest to korzystne porównanie.

Marcia mnie obejmuje (szybki uścisk) i gratuluje mi ze łzami w oczach.

Ja się uśmiecham. Odwzajemniam uścisk. I myślę tylko o tym, jak bardzo mnie znienawidzi, kiedy się dowie, że jutro rano, ledwie otworzą bank, opróżnią firmowe konto i rozwalą wszystko, co osiągnęliśmy.

21

DZIESIĘĆ MILIONÓW

Chociaż strasznie mnie to martwiło, to kradzież firmowych pieniędzy i popełnienie defraudacji, za co mogę trafić do więzienia, są absurdalnie proste.

Gdy tylko Myers wychodzi z biura, zamykam się w gabinecie i dzwonię do banku, żeby sprawdzić przelew i uprzedzić, że następnego dnia pobierzemy całą sumę w gotówce.

– Taką kwotę w gotówce będziemy mieli dopiero za dwa dni, panie Sax – informuje mnie zdumiony pracownik.

No jasne, idioto. No jasne. Nikt nie ma takich pieniędzy. Pieniądze już dawno nie istnieją, są tylko liczbami na ekranie.

Co, do diaska, zrobiłby Tom?

Odpowiedź jest łatwa.

Byłby Tomem.

– Widział pan kwotę przelewu? – pytam w swojej najlepszej imitacji Toma. – Będzie takich więcej. Znacznie więcej. Chyba że nie będę mógł zaspokoić swoich potrzeb i będę zmuszony zmienić bank. W takim

wypadku proszę się nie przejmować brakiem mojej gotówki na jutro. Wystarczy, że da mi pan formularz zamknięcia konta.

Żegna się niezbyt pocieszającymi obietnicami na następny dzień.

Kiedy przychodzę do banku, krótko przed zamknięciem, jestem padnięty. Po prysznicu, w koszuli i marynarce, ale ledwo żywy.

Poprzedniej nocy (odrzućwszy niezbyt nachalną propozycję Marcii i reszty, by uczcić nasz sukces) spałem sześć godzin, napędzany zmęczeniem i dwoma tabletkami na rozluźnienie mięśni. Po przebudzeniu ciało miałem niemrawe, a umysł rozmemłany i nieszczelny, i to wrażenie jeszcze mnie nie opuściło. Odkąd wczoraj podjąłem decyzję, że ulegnę szantażowi tych drani, którzy przetrzymują Irinę, po prostu dają się ponieść biegowi wydarzeń. To łatwe. Trzeba jedynie zrzucić z siebie odpowiedzialność. Raz za razem powtarzać sobie w myślach, że nie ma alternatywy. Nie ma nic, co mógłbym zrobić, żeby odwrócić sytuację i nie dopuścić do katastrofy.

W banku niezbyt mi pomagają.

– Robiliśmy, co w naszej mocy, żeby zgromadzić pełną sumę, ale udało nam się zdobyć tylko trzy miliony w gotówce, panie Sax – mówi mi dyrektor oddziału. – Resztę możemy wpłacić czekiem bankowym. Jest równie dobry, co pieniądze w gotówce.

Nie wiem, czy rosyjska mafia przyjmuje чеки. Z tego względu, że musieliby zrealizować je osobiście, myślę. Ale kiedy zobaczą tę całą gotówkę, na pewno pozwolą nam odejść. Na pewno.

Wtedy odzywa się mój telefon.

WYMIANA NASTĄPI DZIŚ W NOCY.

O 11 PODAMY CI MIEJSCE.

ŻADNEJ POLICJI.

Następne zdanie wszystko zmienia.

EPITAFIUM

Nie jestem idiotą. Wiem, że porywacze najprawdopodobniej wezmą pieniądze (nawet tę niepełną sumę) i nigdy jej nie wypuszczą. Żeby tego uniknąć, będę musiał zaryzykować.

Jadę do pustego biura, bo wszyscy pracownicy cieszą się dwoma dniami zasłużonego odpoczynku, jakie dała im Marcia. Szkoda mi ich. Bardzo możliwe, że za kilka dni nie będą mieli do czego wracać, a ja nie mam wielkiej ochoty stanąć z nimi twarzą w twarz ani zmierzyć się z prawnymi skutkami związanymi z defraudacją, którą właśnie popełniłem. Ale być może znajdzie się jakieś rozwiązanie, a to wszystko dzięki pięciu słowom pod wiadomością od porywaczy.

Wysłane z mojego Infinity Mobile™.

Wyłączam alarm i uruchamiam swój komputer. Połączenie, jakie dwa dni temu nawiązałem w swoim laptopie z serwerem Infinity, który mamy w naszym biurze, nadal jest aktywne. Tym razem jednak zadanie jest znacznie bardziej skomplikowane. Znalezienie terminala, z którego

przysłano esemesa, zajmuje mi długie, zmudne godziny nurkowania w systemie Infinity. Tak jak przypuszczałem, to numer z karty prepaid, ale jasne jest, że te typy nie grzeszą inteligencją. Jedyne włożyli kartę SIM do telefonu, którego używają na co dzień, nie wiedząc, że terminal też został powiązany z wysłaną wiadomością. A najlepsze, że dziś smartfony są łatwiejsze do namierzenia niż zioło na festiwalu reggae.

Po wielu próbach i zabrnięciu w kilka ślepych zaułków, nieustannie obawiając się, że zabezpieczenie systemu mnie rozłączy, zidentyfikowałem IMEI terminala. Po minucie mam ostatnią znaną lokalizację przy Ridgeway Avenue. Szybkie sprawdzenie i okazuje się, że to Auto Body Shop, warsztat naprawy samochodów. Bez opinii na najważniejszych stronach. Jego właścicielem jest firma z siedzibą w Delaware.

To wszystko.

Teraz mógłbym zadzwonić do inspektora Freemana i do jego przyjaciela, agenta Boyda, podać im adres i trzymać kciuki. Jeden telefon sprawił, że Irina wpadła w ich ręce, i jeden telefon mógłby ją z nich uwolnić. Ja mógłbym czekać spokojnie w domu, bezpieczny, i trzymać kciuki, licząc na pozytywne zakończenie.

Zostać w domu, czekając, aż coś się wydarzy. Historia mojego życia. Zdanie, które idealnie pasowałoby na moje epitafium.

„Simon Sax: został w domu, czekając”.

Mógłbym też jednak pojechać do tego warsztatu i rzucić okiem, może czegoś się dowiem.

Z tego, co wiem, to niezależna robota tego typu z brodą. Skoro nie powiedział o tym swojemu szefowi, temu całemu Borysowi Mogliewiczowi, to znaczy, że chce, aby wiedziało o tym możliwie najmniej osób. Może będzie tam sam.

Może kiedy wyjdę na ulicę, z nieba spadną donuty.

Szybko sprawdzam i okazuje się, że to tylko dwadzieścia minut jazdy samochodem.

Pojechać, rzucić okiem, a potem zadzwonić na policję. Tylko żeby się upewnić. Za pół godziny wszystko byłoby załatwione.

Co mogłoby pójść nie tak?

WARSZTAT

Rzut oka jest naprawdę szybki. Nie ma tu zbyt wiele do oglądania.

Auto Body Shop mieści się w parterowym budynku z czerwonej cegły. Po jednej stronie są zamalowane na czarno cztery okna i kolejne trzy po drugiej stronie drzwi, które niezbyt zachęcają do wejścia. Szyld jest wykonany metodą sitodruku na markizie z taniego plastiku, który mógłby wieńczyć wejście do sklepu żelaznego albo spożywczaka.

Ulica jest spokojna, nie ma prawie żadnego ruchu kołowego, a chodniki są puste. Przed warsztem jest zaparkowana jedynie toyota camry. Nie wygląda na samochód mafiosa. Tak naprawdę nie wygląda na niczyj samochód. Jeśli istnieje jakieś słowo na określenie tego, na co patrzę, to pospolitość w najbardziej obiektywnym znaczeniu tego terminu.

Tutaj nie może się dziać nic złego.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Może neonu z sylwetką nagiej kobiety albo mnóstwa typów w dresach z ortalionu stojących w drzwiach. Przechodzę przez ulicę popychany ekstremalną normalnością tego miejsca i nagle wpadam na to, że może ta szara patyna konwencjonalności to tylko perfekcyjny kamuflaż. Kiedy ta myśl rozgościła się w mojej głowie,

trzymam już rękę na klamce i pracownik w białej koszulce i o znudzonej twarzy do kompletu patrzy na mnie z zaciekawieniem. Siedzi za stołem z laminowanej sklejki (nazwanie tego kontuarem byłoby obrażą dla kontuarów) w nijakiej recepcji z trzema krzesłami i zakurzonym plastikowym fikusem.

Nagle to miejsce nie wydaje mi się już tak niewinne, ale nie mam też odwagi odwrócić się na pięcie. Myślę, żeby wejść, wymyślić coś i stąd spadać. Myślę, by pobiec z powrotem do samochodu. Zanim zdążę się zorientować, stoję naprzeciwko stołu.

Typ lustruje mnie z góry na dół (musi wyciągnąć szyję). Przygląda się moim džinsom, mojej bluzie z kapturem w rozmiarze XXL, plecakowi na plecach, i czeka, aż coś powiem. Ja odwzajemniam lustrację: niski, chudy, może nawet za chudy, włosy w kolorze słomianego blondu obcięte jak od miski, cienkie usta.

– Zaraz zamykamy – odzywa się.

Ach, okej, w takim razie... Nie odpowiadam. Cisza przeciąga się przez kilka żalosnych sekund, aż on czuje się zmuszony ją wypełnić.

– Czego pan chce? – pyta z charakterystycznym słowiańskim akcentem.

Mózg odłącza mi się od ust.

– Przyszyła mnie Borys – mówię, starając się zachowywać normalnie. Uśmiecham się.

Typ za stołem otwiera szeroko oczy, z lewej dłoni wypada mu długopis. Leżący przed nim papier jest pokryty bazgrołami, które tworzą skomplikowane figury geometryczne. Na marginesach narysował też kilka penisów.

– Aleks! – woła. – Aleks, chodź!

Na jego pryszczatej twarzy widać strach.

– Słuchaj, ja nic o tym wszystkim nie wiem – mówi, odchylając się nieco na krześle. – To sprawka Wani. Ja tylko tu jestem. Płacą mi za siedzenie tu i wyrzucanie ludzi. Przekaż to Borysowi.

Robię krok do przodu i opieram ręce na stole. Typ cofa się jeszcze trochę.

Niejaki Aleks wyłania się zza drzwi prowadzących do tylnej części. Jest ubrany w szary kombinezon mechanika usiany starymi plamami. Ma ogoloną głowę i choć jest trochę ode mnie niższy, jego dłonie (które wyciera tłustą szmatą) są wielkie jak szynki.

– Co jest, kurwa?

– Ten koleś mówi, że przysłała go Borys.

Aleks przeświała mnie wzrokiem.

Ja wytrzymuję, nie przestając się uśmiechać. Nie mam żadnego planu i właśnie to sprawia, że moja żalosna gra okazuje się strzałem w dziesiątkę. Daję się ponieść i odnoszę absurdalny, nielogiczny sukces.

Przez jakieś cztery sekundy.

– Nie znam cię.

– Nie musisz mnie znać. Robicie coś, czego nie powinniście – odpowiadam ostro.

To nie jest strategia. Albo wypluję to, co mam do powiedzenia, albo ryzykuję, że zwymiotuję na to okropne brązowe linoleum. Mechanik nie wydaje się zbyt zastraszony.

– Niech Borys powie to Wani.

Próbuję szybko myśleć. Jeśli Wania to ten typ z brodą, jak się domyślam, może jest między nimi jakiś konflikt. A może te typy bardziej boją się jego niż własnego szefa. Nie mam jak się tego dowiedzieć, nie mam też innego sposobu ucieczki, jak tylko do przodu.

– Właśnie po to przyszedłem.

Żeby mnie do niego zabrali. W ten sposób będę mógł zaoferować mu pieniądze w jego własnym otoczeniu, dobić targu i stąd uciec. Zastanawiam się, czy mają tu Irinę.

Aleks mówi coś po rosyjsku do typa za stołem.

– Wani tu nie ma. Musisz wrócić później – tłumaczy mi ten drugi.

Nie zrozumiałem nic z tego, co mu powiedział, ale postawiłbym dziesięć milionów dolarów na to, że tłumaczenie nie było zbyt wierne. Teraz to naprawdę wszystko schrzaniłem. Jeśli wyjdę z warsztatu bez Iriny, a oni będą myśleli, że Borys się o wszystkim dowiedział, Wania nie będzie miał innego wyjścia, jak zatrzeć ślady, eliminując dowody swojego nieposłuszeństwa.

Na czubku języka czuję znajome mrowienie, które poprzedza jąkanie, a mój żołądek jest na wojennej ścieżce, błagając o opróżnienie. Udaje mi się zdusić trochę silniejszy skurcz klepnięciem w żołądek. Nie mogę pokazać, że jestem zdenerwowany. Nie mogę też odejść. Muszę sprawić, żeby mnie do niej zaprowadzili. A jeśli Wani tu nie ma, może zdołam ich oszukać.

Myśl. Pomyśl, co powiedziałby jeden z jego zbirów. Pomyśl, jakby z nim rozmawiał. Ochłapanie prawdą kłamstwa to ścieżka diabła, mawiała moja

matka. Ona, która codziennie powtarzała, jak dobry jest dla nas mój ojciec.

– Nie zamierzam wracać na Divan i wysłuchiwać Borysa, jak recytuje jakieś bzdury Shakespeare’a.

Aleks wydaje dźwięk przypominający głuchą czkawkę, który w niektórych kulturach można by zinterpretować jako śmiech.

– Wania nie tutaj – powtarza.

– To zaprowadźcie mnie do tej kobiety.

– Nie mogę tego zrobić.

– W takim razie będę musiał powiedzieć Borysowi, że nie chcieliście pomóc.

Blondyn i mechanik pokazują mi dwie skrajności (od „zesrałem się w gacie” do „mam w dupie, co zrobisz”) na skali reakcji na mafijne groźby.

Może tak będzie najlepiej. Może nie musiało tak być. Tom znalazłby wyjście z tej sytuacji, bo miał gadane, ale ty nie masz tego co trzeba. To jest prawdziwe życie, a w prawdziwym życiu nikt nie mówi, że Luca Brasi śpi z rybami ani że pomarańcze nie toczą się po ziemi.

– W porządku. To na razie – wypalają moje usta, znowu odłączone od mózgu.

Zaczynam się odwracać, ale Aleks mnie zatrzymuje.

– Nie odchodź, przyjacielu. Chodź na zaplecze i napij się czegoś. Wania zaraz będzie, *da?*

Blondyn wydaje się zdezorientowany i zamierza coś powiedzieć, ale mechanik nie daje mu dojść do głosu, mówiąc coś po rosyjsku. Ja obchodzę stół i kieruję się do drzwi. Mechanik klepie mnie po plecach, gdy przechodzę obok niego.

– Tutaj sami przyjaciele.

Chcę coś powiedzieć, ale zanim zdążę otworzyć usta, Aleks szarpie za pasek mojego plecaka i przygniata mnie do ściany. Głową uderzam o framugę, a w uszach słyszę głuche dzwonięcie. Ślepy i zamroczony, macham rękami, żeby pozbyć się naciskającej mi na plecy wielkiej łapy mechanika, ale on porządnie trzyma plecak. Na nieszczęście dla niego już wcześniej doświadczyłem podobnej sytuacji. W czasach liceum byłem dużym i silnym nastolatkiem, ale zawsze znajdzie się ktoś silniejszy od ciebie. W moim przypadku byli to kolesie z drużyny futbolowej, którzy lubili przyciskać mózgowca do szafek. Łapali też za plecak, doskonała metoda na unieruchomienie – do czasu, aż nękany wymyśli, jak się go pozbyć.

Zamiast napierać do tyłu albo walczyć z jego ramionami, wybijam się w górę, po czym padam na kolana. Mechanik, który nie puszcza paska, zostaje pociągnięty do przodu przez moje sto kilogramów, a jego nos rozbija się o ścianę z mokrym i nieprzyjemnym trzaskiem. Obaj toczymy się po podłodze (jak pomarańcze), on usiłuje przycisnąć przedramieniem moją szyję, a ja próbuję walnąć go łokciem w klatkę piersiową. Nasze nogi splatają się w parodii tańca towarzyskiego. Staram się od niego uwolnić, ale on trzyma mnie mocno.

W tym momencie blondyn rzuca się na mnie z nożem w rękę. Usiłuje wbić mi go w szyję, ale w tym całym zamieszaniu chybia i zatapia ostrze w moim lewym ramieniu.

Wydaję żałosny krzyk, kiedy ostrze toruje sobie drogę w moim ciele, muskając obojczyk. Ból jest nieznośny, ale jeszcze gorsza jest inwazja metalu w moje ciało. Transparentna, niezmienna rzeczywistość, której my, ludzie, próbujemy zaprzeczyć każdego dnia (że jesteśmy stworzeni z kości, wapnia, miękkiego i kruchego ciała) materializuje się z ponurą klarownością.

Ból i prawda pobudzają mnie do działania. Kopię blondyna (bardziej dzięki szczęściu czy instynktowi niż zwinności, której nie mam), a ten pada na plecy, próbując złapać się krzesła na kółkach, na którym pięć minut wcześniej wygodnie siedział, rysując penisy.

Znika z mojego pola widzenia, ale nie mogę się nim przejmować, bo mechanik ściska mnie za szyję. Tracę siły i świadomość, powietrze nie może przedostać się z moich otwartych ust do suchych płuc. Zazdroszczę mu ciepłego i silnego oddechu, który czuję na karku. W jakiś sposób udaje mi się uwolnić prawą rękę, która była uwięziona pod moim ciałem, i wyciągam sobie nóż z barku. Podobno ostrze tnie przy wchodzeniu i wychodzeniu i boli znacznie bardziej przy wyciąganiu. Nie wiem tego, bo ledwo czuję ból. Wzrok mi się zamazuje i mogę pomyśleć jedynie o tym, żeby wbić nóż w przedramię Aleksa – z którym szybko nawiązałem bliskie relacje. Czubek noża się ślizga, najpierw po jego grubym i brudnym kombinezonie, potem po napiętej skórze, która otacza kości jego przedramienia, ale ja się nie poddaję, próbuję dalej, modląc się, bym nie wbił go sobie we własną klatkę piersiową.

Przy czwartej próbie osiągam cel i nóż zatapia się aż po rękojeść.

To na nic. Ucisk nie ustępuje. Czuję, że zaraz stracę przytomność.

Wtedy zaczynam przekręcać rękojeść, która obraca ostrzem w jego przedramieniu, i daję Aleksowi lekcję na temat natury człowieka i tego, jak bardzo boli, gdy podwójne stalowe ostrze skrobie jednocześnie kość łokciową i promieniową.

Mechanik wyje z bólu i ucisk na moją szyję słabnie. Udaje mi się uwolnić od jego ręki i przetoczyć się na bok, tylko po to, by natknąć się na blondyna, który celuje we mnie z pistoletu.

– Koniec zabawy, gruby.

Dobrze oświetlone pomieszczenie

Afgańczyk opowiadał jej kiedyś o torturach. Całymi godzinami opisywał metody na złamanie ludzi.

Irina słuchała go racjonalistycznie – nie znając znaczenia tego słowa, była wszak zdecydowaną zwolenniczką empiryzmu. O ile ludzkie emocje można zredukować do interakcji chemicznych, o tyle działania są fizyczne. Ciągniesz z jednej strony, naciskasz z drugiej. Rozgrywasz, ćwiartujesz, łamiesz, palisz, zatykasz, wyciągasz. Stosujesz prąd. Rozciągasz, przebijas, przewiercasz, przypiekasz, wyrywasz, miażdżysz, wkładasz, wyjmujesz. Rozbijasz na mniejsze kawałki iluzoryczną niepodzielną jedność ciała i duszy, zakamuflowaną pod kłamstwem cielesnej powłoki, i czekasz na rezultat.

Zasady były proste.

Niestety poznanie ich na nic się jej przydało.

„Najpierw trzeba poinformować osobnika, co zamierzasz zrobić. Dzięki temu jego mózg zacznie pracować na twoją korzyść, uprzedzając ból”.

– Najpierw wyrwę ci paznokcie u stóp – zapowiedział Wania z uśmiechem.

„Pokazać mu narzędzia, których użyjesz”.

– Tymi obcęgami.

„Uprzedź go, jakie będą fizyczne konsekwencje.

– Będzie krew, a chodzenie stanie się męką. O ile jeszcze kiedyś będziesz chodzić.

„Daj mu jasno do zrozumienia, że jeśli nie będzie współpracował, to się nie skończy”.

– A teraz powiesz mi, kto pomógł ci spalić ciężarówkę z pieniędzmi. Powiesz mi wszystko.

„Wykorzystuj krótkie przerwy. Nie przestawaj mówić. Użyj każdej osobistej informacji, jaką masz, żeby złamać opór osobnika”.

– Bardzo się cieszę, że przyjechałaś aż tutaj, żeby nas odnaleźć.

Wania zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się głęboko. Ona zamknęła oczy, ale to nie pomogło. Wciąż widziała ten żar w kolorze brudnej pomarańczy. Czuła, jak kolejny raz przypala jej skórę.

– Przyznam ci się do czegoś. Zawsze żałowałem, że uciekłaś. Przez całą noc szukaliśmy cię w lesie, wiesz? Byłem ciekaw, czy krzyczałabyś tak samo jak twoja siostra. Używały jej setki mężczyzn, noc w noc. W końcu obciągała tylko za działkę i butelkę wody. No dobrze, na czym skończyliśmy?

„Powtarzaj, że nie ma powodu, by czuć się źle. Wcześniej czy później i tak wszyscy mówią. Zaproponuj pocieszenie, kiedy to się stanie”.

– Ćśśś – powiedział Wania, głaszcząc ją po głowie. – Już dobrze. Już dobrze.

„Nie trać z oczu swojego celu. I przestań, kiedy nadejdzie pora”.

– Powiedziałaś ci już wszystko, co wiem – wyrzuciła z siebie Irina wiele godzin później, wyczerpana i przepelniona wstydem. – Dlaczego to ciągniesz?

Wania wybuchnął śmiechem.

– Czy to nie oczywiste, *pizda*? Bo mogę.

WARSZTAT

Lufa pistoletu jest wycelowana w moją twarz. Nie myślę. Gdybym myślał, nie zrobiłbym tego, co zamierzam zrobić. Kopię krzesło na kółkach, które uderza blondyna w biodro i odpycha go do tyłu. Szczęście – przeznaczenie, los, entropia albo ogólna ludzka głupota – mi sprzyja, ponieważ blondyn nie zdołał otworzyć ognia. Nie słyszę kliknięcia, kiedy się podnoszę, z piorunującą szybkością płyt tektonicznych, mogę jednak dostrzec osłupienie na jego twarzy, kiedy uświadamia sobie, co się dzieje.

– Zabezpieczenie, durniu! – wrzeszczy mechanik leżący na podłodze.

Blondyn odwraca pistolet (może przypomina sobie moment, kiedy ktoś dał mu broń, żeby schował ją do szuflady w razie problemów, i żałuje, że powiedział, że oczywiście wie, jak jej używać) i naciska przycisk obok spustu.

Magazynek wysuwa się z kolby i spada na ziemię.

Blondyn na niego patrzy. Potem patrzy na mnie i śmieje się nerwowo.

– Daj mi pistolet – mówię, wyciągając rękę.

– Nie rób tego – odzywa się mechanik, wstając z trudem. – Podnieś magazynek i zastrzel go.

Nóż nadal ma wbity, ale szerokość ostrza jest znacznie większa niż szerokość między kośćmi przedramienia. Kiedy z całych sił obracałem rękojeścią, ostrze musiało się mocno zaklinować. Jeśli spróbuje je wyciągnąć, będzie bolało. Bardzo.

Aleks musi myśleć o tym samym, ponieważ gdy tylko palcami lewej dłoni muska rękojeść z czarnego plastiku, jego twarz wykrzywia się w grymasie.

– Na co czekasz, cymbale? – ponagla go bezradny mechanik.

Dodaje coś po rosyjsku, czego tamten nie jest w stanie do końca przetworzyć. Znowu patrzy na ziemię, a potem na mnie – stoję niecałe dwa metry od niego. Robię krok do przodu, skracając dystans.

– Cholera – mówi blondyn. – Ja chcę tylko być prawnikiem. Powiedziano mi, że to będzie łatwa robota, żadnych dziwnych historii.

Ale nie puszcza pistoletu. A ja się zastanawiam (przydają się lata grania w gry wideo), czy w komorze została kula, zanim magazynek spadł na ziemię. Czy któryś z nich się zorientuje.

– Daj mi pistolet – powtarzam. I robię kolejny krok w jego stronę.

Mechanik mówi coś po rosyjsku i blondyn reaguje w dziwny sposób. Patrzy na pistolet, potem patrzy na mnie, oceniając swoje możliwości.

Wreszcie mi go podaje, trzymając za lufę.

– Nie! – krzyczy ten drugi. Jego głos jest stłumiony, pusty.

– Jeśli powie o tym Borysowi, już po nas.

– Nie powie Borysowi, cymbale. To narzeczony tej pizdy – odpowiada mechanik, który wydaje się zamroczony. Traci dużo krwi.

Ja też.

Magazynek wciąż leży na podłodze. Mógłbym go podnieść (blondyn wydaje się zbyt spokojny i oszołomiony, by mógł mnie zaatakować), ale jestem pewien, że jeśli się schylę, wyląduję nieprzytomny na podłodze. Nie wspominając o tym, że nóż o dwudziestocentymetrowym ostrzu wbił mi w ramię ten niegroźny skurwysyn.

– Przysuń mi to.

Blondyn kręci głową.

Celuję do niego z broni i przesuwam dźwignię bezpiecznika w dół.

– W komorze została jedna kula.

Jęk protestu mechanika sprzedaje bluff lepiej niż ja. Nie mam pojęcia, czy jest tam kula czy nie, ale gdy tylko blondyn się schyla i podaje mi magazynek, wkładam go do pistoletu i cofam się o krok.

– Gdzie jest Irina?

– Z tyłu – odpowiada natychmiast mechanik.

Szybkość, z jaką jest gotów współpracować, wzbudza we mnie podejrzenia. Tam w środku musi być ktoś jeszcze, bo nie zostawiliby jej samej. O ile wciąż żyje.

– Idźcie tam.

Warsztat jest duży, cuchnie benzyną i starymi oponami. Jest tu miejsce dla kilkunastu samochodów, choć teraz widzę tylko cztery, jeden z nich na podnośniku. Z tych trzech, które stoją na ziemi, moją uwagę przykuwa sportowy mercedes ze zdemontowanymi kołami i częścią nadwozia. Proszę blondyna, żeby przyniósł klucze, i otwieram bagażnik.

– Wy dwaj, do środka.

Mechanik patrzy na mnie tak, jakbym mówił po chińsku.

– Stary, to SLK. Nie zmieścimy się.

Uśmiecham się i wykonuję gest pistoletem. Krótki. Szybki.

– Ty pierwszy.

Mam coraz cięższą głowę. Jeśli nie zajmę się szybko tymi kolesiami, przewrócę się na ziemię. Przez moment wyobrażam sobie tę scenę, jak padam na oleisty cement, a oni rzucają się na mnie, zabierają mi broń i mnie kopią. Horyzont wydaje się niestabilny i wzrok mi się zamazuje. Mrugam, nie przestając pokazywać zębów.

– Zaraz zemdlejesz, kretynie.

Zgrywaj twardziela. Zgrywaj twardziela. Miliony hollywoodzkich filmów nie mogą się mylić.

– Może. Ale ty tego nie zobaczysz. Do środka.

Mechanik pochyla nieco głowę i widzę, jak szykuje się, żeby się na mnie rzucić. Jeśli to zrobi, to będzie koniec.

W końcu się poddaje i wchodzi do bagażnika. Blondyn robi to samo, kuląc się jak tylko może. Mimo to, kiedy opuszczam drzwi, muszę użyć siły, żeby je zamknąć.

Marnuję osiem cennych sekund na zastanowienie się, czy uduszą się tam w środku, aż wspomnienie o tym, że próbowali mnie zabić, stawia moje moralne priorytety w odpowiedniej perspektywie.

Muszę na chwilę usiąść. Tylko żeby trochę odpocząć.

Boże, jak boli.

Rozglądam się po warsztacie, ale nie ma tu zbyt wielu miejsc, gdzie można by kogoś więzić. Wreszcie znajduję (niezdarnie zakamuflowane

przez stół warsztatowy na kółkach) drzwi zasłonięte plastikową kotarą, które prowadzą do krótkiego korytarza pomalowanego na jaskrawozielony kolor.

W głębi są drzwi.

Stojąc przed nimi, zastanawiam się, co się, do cholery, stało. Jak ja tu dotarłem. Jaka seria głupich decyzji doprowadziła mnie do tej chwili.

Mój pierwszy błąd polegał na tym, że się w niej zakochałem.

Mój drugi błąd polegał na tym, że nie zapytałem ją o tę bliznę.

Zła wiadomość jest taka, że jestem o krok od popełnienia trzeciego błędu, a będzie on znacznie gorszy niż dwa poprzednie.

Z mojego prawego ramienia zwisa plecak, a w nim, w mocno ściśniętych plikach po sto, znajduje się przyszłość moja i wszystkich moich pracowników. Jeśli przejdę przez drzwi, które mam przed sobą, jeszcze bardziej zrujnuję życie wszystkich, których znam, i ich rodzin.

Z mojego lewego ramienia wypływa gorący strumień, który cieknie po rękę i skapuje z lufy pistoletu. Uchwyt lepi się od krwi, która zasycha między palcami. Ściskam go mocniej, żeby dodać sobie pewności siebie.

Nie działa.

Szkarłatna kałuża obok mojego buta robi się coraz większa, w miarę jak ogarniają mnie wątpliwości, a siły witalne wyciekają przez ranę. Oświetlający korytarz biały neon mruga, a moje oczy na moment tracą ostrość. Trzęsą mi się kolana, a strach jest lodowatą stalową kulą w moich trzewiach.

Jestem o krok od popełnienia największego błędu w swoim życiu.

Dobra wiadomość?

Dobra wiadomość jest taka, że nie będę żył na tyle długo, by go żałować.

TERAZ

TRZECI BŁĄD

1

PONOWNE SPOTKANIE

Kiedy otwieram drzwi, dzieją się trzy rzeczy.

Irina podnosi głowę. Ledwie unosi drżący podbródek, tak jakby zwałił się na nią cały świat. Jej twarz to paradoks, jest podzielona między nienaruszone piękno po prawej stronie i zdeformowaną opuchlizną po lewej. Może cały czas bili ją w to samo miejsce, żeby zwiększyć ból. Może po prostu są praworęczni. Może zaraz stracę rozum. Źle znoszę to, że ktoś krzywdzi osoby, które kocham. Znoszę to jeszcze gorzej, kiedy dzieje się to z mojej winy.

Typ z hipsterską brodą – Wania – wychodzi z łazienki. Zapina spodnie. Słysząc odgłos spłuczki. Pod pachą trzyma czasopismo o grach wideo. Jeśli zrobi się nudno, będziemy mieli o czym rozmawiać.

Ja zacznę mdleć. Rana po nożu boleśnie promieniuje i pulsuje, a lewe ramię sprawia wrażenie, jakby było niewrażliwym, ciężkim kawałkiem betonu. W takich chwilach jak ta cieszę się, że jestem leworęczny. Przełożyłbym pistolet do drugiej dłoni, ale moja prawa ręka jest bardzo zajęta podtrzymywaniem mnie przy framudze drzwi. Serce bije mi coraz szybciej i trudno mi oddychać.

Wania patrzy na mnie ze zdumieniem i otwiera na swojej twarzy tę ranę, którą inni zwą uśmiechem.

– Umówiliśmy się na późniejszą godzinę, Simon.

Kiedy wchodzisz do pomieszczenia, mierząc do kogoś z broni, masz pewne oczekiwania względem tego, co zrobi ta osoba. Jest mnóstwo rzeczy, których Wania nie robi. Nie rusza się. Nie pyta, jak ich znalazłem. Nie odrywa wzroku od broni. Nawet w moim żalonym stanie mogę dostrzec, że ocenia sytuację, zanim przejdzie do działania. Tamci dwaj idioci to tylko para nieszczęśników. Ale ten koleś to już naprawdę poważna sprawa. Wiem to, ponieważ ja trzymam pistolet kalibru .44 z ośmioma kulami, a on czasopismo, i to ja jestem posrany ze strachu.

Możliwe, że ma to jakiś związek z tym, że zostało mi jakieś trzydzieści sekund do utraty przytomności.

– Przyniosłem ci pieniądze. Ale wygląda na to, że zabiorę ją gratis.

Zrzucam na podłogę plecak z kasą. Musi ważyć ponad dziesięć kilogramów, a po zdjęciu go czuję się nieco lepiej. Suwak pęka i kilka plików wypada na podłogę.

Wania patrzy na pieniądze i robi krok w swoje lewo.

Pomieszczenie musiało być wcześniej pokojem wypoczynkowym dla pracowników, a może gabinetem. Jedyne meble to krzesło, na którym siedzi Irina, oraz stół na środku. Na stole leży otwarte pudełko po pizzy, popielniczka zapełniona petami, nóż, obcęgi i groźnie wyglądający chromowany rewolwer. Wanię dzieli od niego zaledwie parę metrów.

– Simon – woła mnie Irina zmęczonym, nieobecny głosem, jakby znajdowała się całą wieczność stąd. – Zastrzel go.

Brzmi dobrze. Brzmi łatwo. Gdyby tylko lufa przestała się trząść.

– Odsuń się od stołu – mówię do Wani.

Robię krok do przodu, a on wykonuje polecenie. Problem polega na tym, że przesuwa się w moją stronę.

– Nie sądzę, żeby odważył się do mnie strzelić. Twój narzeczony nie jest zabójcą.

Mógłbym opowiedzieć Wani o Wypadku. O pewnej doradczyni do spraw społecznych, która nie uważa tak samo. Ja zresztą przez długi czas też tak nie uważałem. Etykieta jest raczej ironiczna. Wania ma jednak rację. Nie mam odwagi pociągnąć za spust. Nie wiem, czy bardziej boję się huk, krwi, która wypłynie z jego ciała, czy może tego, że najprawdopodobniej spudłuję.

„Masz osiem kul. On stoi w odległości niecałych trzech metrów. Nikt nie jest tak nieudolny”.

Ja jestem.

– Pod ścianę – nakazuję Wani.

Wania nie słucha. Idzie zresztą w przeciwnym kierunku.

– Strzel do niego, Simon. Nie zastanawiaj się. Strzelaj.

– Posłuchaj swojej narzeczonej, Simon. Strzelaj – przedrzeźnia ją Wania.

Jeszcze jeden krok. Teraz nie dałoby się spuścić.

Wyciąga do mnie rękę.

– Daj mi pistolet, Simon. Wszystko będzie dobrze.

Pociągam za spust.

Wania się kuli, podnosi rękę nad głowę. Odgłos wystrzału huczy mi w uszach. Trochę tynku odpada z dziury, jaką właśnie zrobiłem w ścianie. Odrzut przesyła przez moją zdrętwiałą rękę prąd elektryczny, który po dotarciu do ramienia eksploduje bólem.

Śmiech Wani miesza się z echem wystrzału. To też już wcześniej przeżyłem. To śmiech tych wszystkich, którzy patrzyli na mnie z góry, odkąd pamiętam. To ścieżka dźwiękowa, która rozbrzmiewała w sali gimnastycznej w moim liceum, pod trybuną boiska do baseballu czy podczas konkursu talentów. To nieustający, uwłaczający chór tych, którzy zdecydowali o tym, kim jestem, zanim dali mi szansę być kimś innym.

Niezdarny, żalony i beznadziejny Simon znów ponosi klęskę. Co za niespodzianka.

Cóż, nie tym razem.

Z ogromnym wysiłkiem powstrzymuję drżenie. Ponownie pociągam za spust i teraz kula trafia Wanę w biodro. Siła uderzenia sprawia, że dziwnie odskakuje i macha rękami w absurdalnej parodii tańca. Nosi duży złoty zegarek, który lśni w świetle neonu.

Pistolet w mojej dłoni odmawia posłuszeństwa i moje palce nie mogą go utrzymać. Nie słyszę, jak upada, ponieważ sam staram się uniknąć zderzenia z podłogą, która nagle zbliża się do mojej twarzy z zawrotną prędkością.

Usiłuję zatrzymać ją niewłaściwą ręką. Ból przechodzi we wściekły ogień, niczym kolejne dźgnięcie w ramię.

W telewizji jest znacznie łatwiej. Bruce Willis dostaje dwie lub trzy kulki i podnosi się, jak gdyby nigdy nic. Mnie wbijają nóż w ramię (miejsce,

które, jak powszechnie wiadomo, jest neutralnym terytorium, Szwajcarią wśród ran) i ledwie mogą się ruszać.

Chyba już nie pójdę do kina, myślę, zanim na chwilę zamknę oczy. Tylko na chwilę.

– Simon. Musisz mnie rozwiązać – woła Irina zza mglistej zasłony. – Chodź tu i uwolnij mnie.

Upłynęła minuta. Może tydzień. Czuję, że moja głowa jest przyszyta do płytek na podłodze. Słyszę zduszony jęk i myślę, że jest mój, aż uświadamiam sobie, że pochodzi od Wani, któremu Desert Eagle (nazwa broni przychodzi mi do głowy nagle, przypominam sobie nawet, że kiedy miałem trzynaście lat, używałem jej w grze na PC, której tytułu nie pamiętam) zrobiła olbrzymią dziurę. A przynajmniej to właśnie widziałem, zanim się przewróciłem. Dziura w człowieku, której nie mogę pogodzić z rzeczywistością. To coś, czego nie powinno tu być.

Nas też nie powinno tu być.

Podnoszę się do klęku i idę na czworakach (a dokładniej na trojakach) w stronę stołu. Wyciągam rękę, chwytam się brzegu i próbuję się dźwignąć, nie licząc się z tym, że jestem zbyt ciężki jak na tani plastikowy mebel z rodzaju tych ogrodowych. Stół się przewraca, a ja jestem cały w popiele, petach i brzegach pizzy.

– Pospiesz się, Simon – mówi Irina.

W jej głosie słyszę niepokój. Kiedy podążam za jej wzrokiem, rozumiem dlaczego.

2

WYŚCIG

Wania się obrócił i czołga się w stronę mojego pistoletu, który leży w tym samym miejscu, w którym go upuściłem. W którymś miejscu na stole leżał jego rewolwer, chociaż teraz go nie widzę.

– Szybko, Simon. Proszę.

Pistolet leży zbyt daleko, żebym mógł sięgnąć go przed nim. Wania i ja ścigamy się na śmierć i życie w zwolnionym tempie, on w stronę broni, ja w stronę krzesła, na którym siedzi Irina, zostawiając ślady krwi na białych płytkach. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że zdjęli jej spodnie i buty, zostawiając ją w samych majtkach i koszulce. Jej bose stopy są przywiązane do nóg plastikowymi zaciskami, a nadgarstki, złączone, są owinięte taśmą klejącą.

– Zaczynaj od rąk. Przetnij taśmę.

Moje palce są śliskie i lepkie od krwi. Żałuję, że nóż zostawiłem w przedramieniu mechanika. Może zdołali go wyjąć i utworowali sobie drogę pomiędzy siedzeniami, i za chwilę tu wpadną. Może obaj się udusili w tak niewielkiej przestrzeni.

Rzeczywistość, zwykle tak bogata w możliwości, teraz zamyka swój wachlarz. Albo uwolnię Irinę, albo Wania zabije nas oboje.

Palce się ślizgają, szukając brzegu taśmy. Mój oddech, mocny i ochrypły, zostaje stłumiony przez oddech Wani, który pośród jęków bólu coraz bardziej zbliża się do mety. Nie jestem w stanie wychylić głowy za krzesło, żeby sprawdzić, ile mu jeszcze zostało, by sięgnąć pistolet. Nie mam odwagi tego nie zrobić.

Dzieli go niecały metr. Czołga się, zatykając ranę lewą ręką, podczas gdy prawa, wyciągnięta przed siebie, pozwala mu się odpychać. Szkoda, że sam na to nie wpadłem.

– Nie mogę znaleźć brzegu.

– Użyj zębów – mówi Irina głosem skąpanym w dziwnym spokoju.

Czuję, jak napina mięśnie, kiedy zbliżam usta do taśmy.

Maksymalnie rozsuwa nadgarstki, żeby napiąć taśmę, ale ten, kto ją związał, znał się na swojej robocie. Obwiązał wiele razy i teraz taśma jest zbita i gorąca, tworząc zwartą masę. Wtedy sobie przypominam, że mam coś, co mogłoby pomóc. Wkładam prawą rękę do kieszeni dzinsów (lewa jest bezwładna) i wyciągam pendrive, który zawsze przy sobie noszę. Zębami zdejmuję nasadkę i używam krawędzi do tarcia taśmy. W górę, w dół, tak szybko, jak tylko mogę.

– Dalej, Simon. Już prawie.

Tym razem nie patrzę, ale słyszę metaliczny dźwięk oraz jęk i wyobrażam sobie jego opuszki palców muskające kolbę. Naciskam ze wszystkich sił i nędzny plastik pendrive'a rozpada mi się w palcach. Trę dalej, choć obwody wewnętrzne, teraz na wierzchu, wbijają mi się w paliczki.

Nagle taśma znika. Ręce Iriny są wolne. Ze stopami wciąż przywiązanych do nóg krzesła, rzuca się na podłogę. Krzesło uderza mnie w twarz i upadam na plecy. Przewrócony stół znajduje się między nami a Wanią, zapewniając niesamowitą ochronę w postaci czterech milimetrów marnego miękkiego plastiku. Nie mogę widzieć jego, ale widzę Irinę, która odwraca się do mnie.

– Nie ruszaj się.

W rękę trzyma rewolwer Wani.

Strzał zrobił w stole dziurę wielkości monety o nominale dwudziestu pięciu centów. Krawędzie są czyste, idealne. Irina robi kolejne trzy dziury, celując niżej. Słysząc krzyk. Irina strzela jeszcze dwa razy.

Wedle moich obliczeń Wani zostało sześć kul.

Jej – jedna.

Irina czołga się w stronę stołu, łapie za krawędź i ciągnie go w naszą stronę, opuszczając zasłonę i odsłaniając Wanię, ale on się nie rusza. Pistolet tkwi nieruchomo w jego ręce.

– Uwolnij mnie, Simon – mówi, nie przestając celować do Wani. Rzuca mi obcegi, które leżały pod pudełkiem po pizzy.

Oswabdzam jej nogi i Irina z trudem się podnosi. Kuśtyka w jego stronę. Ja podpieram się na łokciu, żeby spróbować dojrzeć, co się dzieje.

– Chciałabym to przedłużyć, Wania. Żebyś cierpiał tak, jak cierpiała moja siostra.

Irina stoi do mnie plecami. Nie widzę jego twarzy. Nie słyszę też odpowiedzi, która wychodzi z jego ust pośród kaszlnięć.

– Tak. Tak musi być – dodaje Irina.

Pociąga za spust.

3

PRZYSTANEK

Irina opatruje mnie jak może, używając taśmy klejącej i rękawa mojej bluzy, żeby zatamować ranę na ramieniu. Pracuje w milczeniu i ja też się nie odzywam. Wiem, że powinienem przeprosić, że ją zdradziłem i wydałem mordercom z rosyjskiej mafii, którzy ją torturowali i okaleczyli, ale hej, ona mnie okłamała.

Oczywiście, kiedy podsumowuję błędy jednej i drugiej osoby, wychodzi mi, że jestem dłużny.

Szlag, gadam jak mój ojciec.

Upodobnić się do niego, to ostatnie, czego chciałem. Nagle mam ogromną chęć ją przeprosić.

– Przykro mi z powodu twojego ucha – mówię. Mój własny głos brzmi nierealnie.

Ona kładzie mi palec na ustach i kręci głową. Pomimo rozciętych i zakrwawionych ust stara się uśmiechnąć, a czułość tego gestu jest niczym łagodny balsam, który odstrasza śmierć.

– Nie mów dużo. Ostrze chyba musnęło płuco.

Ha. A więc to nie było tylko dźgnięcie w ramię.

– Wal się, Bruce Willis – mamroczę.

– Co mówisz, Simon?

– Żebyś mi wybaczyła. To wszystko, co się stało... to moja wina.

Patrzy na mnie dziwnie swoim zdrowym okiem. Próbuje rozszyfrować znaczenie tego spojrzenia. Widzę w nim winę, również wyrzut, a także pogardę dla mojej słabości. Widzę odrzucenie, jakie czuje ktoś silny i odważny wobec tchórza, który nigdy nie miał śmiałości stawić czoła życiu ani podejmować ryzyka.

Wtedy nachyla się nieco i całuje mnie w usta. To długi, powolny pocałunek. Żadne z nas nie jest w doskonałej formie, a mimo to jest to najlepszy pocałunek, jaki kiedykolwiek przeżyłem.

Chyba nigdy nie zrozumieję kobiet. A na pewno nie tę.

– Musimy się zbierać. Możesz wstać?

Okazuje się, że z jej pomocą owszem, mogę. Irina jest znacznie silniejsza, niż się wydaje, nawet taka zmaltrretowana. Jej lewa ręka też jest spuchnięta i ledwie może nią ruszać. Wydaje mi się, że ma kilka złamanych palców i wyrwali jej trzy paznokcie. Ale przynajmniej może chodzić.

Znalazła swoje spodnie, zmięte w rogu pomieszczenia. Butów nigdzie nie widać. Bosa przeszukuje ciało Wani i zabiera mu coś, co wkłada do kieszeni. Później pomaga mi nad nim przejść. Ten drań był tak miły, że umarł na moich dziesięciu milionach dolarów. Wiele z tych plików, które wypadły na podłogę, jest teraz zabarwionych na czerwono.

– Mogłabyś to podnieść? Ja chyba nie dam rady.

Robi to szybko i bez słowa. Byłby to dla niej idealny moment, żeby przeprosić za to, że ujawniła sprawę z pieniędzmi i mogła zaprzepaścić wszystko, co mam (jasne, że ją przypalali papierosami i ucinali kawałki ciała, więc to całkiem zrozumiałe), ale Irina nie jest skora do udzielania wyjaśnień ani przeproszania.

Ja natomiast spieszę z wyjaśnieniami. Opowiadam jej, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin. Streszczam wizytę policji i FBI. Mówię o typach, których zamknąłem w bagażniku mercedesa.

Kiedy przechodzimy obok samochodu, ona nawet nie patrzy w tamtą stronę. Ze środka nie dobiega żaden dźwięk. Gdy wychodzimy na ulicę, świeże powietrze wydaje się nierealne, nieskazitelnie czyste. Normalność działa na mnie odurzająco. Myślałem, że nie wyjdę z tego warsztatu żywy. Sądziłem, że już nigdy nie zjem chipsów, rozłożony na sofie, nie obejrzę

z Arthurem filmów z agentem 007, nie siądę przed komputerem, żeby wklepywać kody.

Nic dziwnego, że nie chciałem umrzeć.

Niestety, słodki powrót do życia przynosi ze sobą szereg pilnych praktycznych kwestii, jak zakażenie rany i znaczna utrata krwi. Albo fakt, że jestem winny defraudacji, napadu z bronią w rękę i współudziału w – co najmniej – jednym zabójstwie. Dobrze byłoby opowiedzieć o tym wszystkim Freemanowi i jego przyjacielowi, agentowi Boydowi.

Mój telefon jest w wewnętrznej kieszeni plecaka, ale kiedy chcę go wyjąć, Irina mnie powstrzymuje.

– Musimy zadzwonić na policję – wyjaśniam.

– Nie zadzwonisz na policję. – Irina potrząsa głową. – Ani na policję, ani do szpitala. Nie dziś. Wyjaśnię ci wszystko w samochodzie.

Nie jestem w stanie kłócić się z uzbrojoną kobietą, a tym bardziej usiąść za kółkiem. Gdy tylko moje ciało opada na fotel pasażera, czuję, że znowu pogrążam się w ciemności. Jestem wyczerpany, pusty.

– Musisz się nawodnić. I doprowadzić do porządku.

Mgliście rozpoznają drogę do domu, choć Irina dwukrotnie zbacza z trasy.

Pierwszy raz za stacją paliw. W automacie kupuje kilka butelek i torebek cukierków. Podaje mi napój izotoniczny i zmusza mnie do wypicia całego, a później półlitrową coca-colę. Moje ciało wchłania cukier równie żarłocznie, jak rząd podatki. Po kilku minutach czuję się lepiej, ale ból się nasilił.

Głucha na moje protesty, ciągnie mnie do toalety znajdującej się za dystrybutorami, poza zasięgiem wzroku pracowników. Jest zamknięta na klucz (jeden z tych kluczy przymocowanych szerniałym sznurkiem do ciężkiego kawałka żelaza, w razie gdyby kuśiło cię, by ukraść coś, co przeszło przez milion brudnych rąk), ale Irina majstruje przy zamku kawałkiem plastiku i udaje jej się otworzyć. Jeśli wcześniej martwiłem się o zakażenie, to postawienie stopy w tym miejscu (które wygląda tak, jakby ostatni raz sprzątano tu w czasach, gdy lata zaczynały się od 19) niezbyt pomaga.

– Umyj twarz i ręce – mówi Irina, podczas gdy sama doprowadza się do porządku. – Masz jakieś ciuchy w samochodzie?

Moja zniszczona bluza została na podłodze w warsztacie, a koszulka jest zakrwawiona i jeszcze do końca nie wyschła.

– W bagażniku jest torba.

Mój strój na siłownię. Zapisalem się tam jeszcze w czasach, gdy lata zaczynały się od 19. Poszedłem chyba ze dwa razy. Nawet kiedy Arthur i ja zaczęliśmy mieć kłopoty finansowe, był to jeden z ostatnich wydatków, jakie wykreśliłem z naszego miesięcznego budżetu.

Irina wraca po minucie z żółtą fluorescencyjną koszulką i bluzą od zielonego dresu z ortalionu. Wszechświat ma dziwne poczucie humoru.

Nie pamiętałem, że są tak brzydkie. Widać, jak rzeczy wychodzą z mody, kiedy zostawisz je w bagażniku samochodu na dekadę lub dwie.

Próbuję zdjąć koszulkę przez głowę, ale ledwie mogę podnieść rękę, ból jest zbyt silny.

– Zostaw, bo znów będziesz krwawił. Włożymy bluzę na to. I miejmy nadzieję, że nie zwrócą uwagi.

– Że kto nie zwróci uwagi?

Ale ona już z powrotem prowadzi mnie do samochodu.

– Szybko, mamy mało czasu.

Drugi raz zbacza z trasy, żeby wstąpić do całodobowej apteki. Czerwony szyld odbija się w lusterku wstecznym, podczas gdy ona układa na odwrocie ulotki reklamowej Papa Joe's Pizza listę rzeczy, które muszę kupić.

– Z tym ostatnim – mówi, podając mi papier – będą ci robić problemy. Nie ustępuj. To ważne. Potem pojedziemy do domu.

Powoli czytam listę, by mieć pewność, że wszystko rozumiem. Nie chcę tak szybko ulec. Mam przeczucie, że wciąga mnie w coś, czego będę żałował.

– W porządku. Zrobię to. Ale tylko jeśli odpowiesz mi szczerze na jedno pytanie.

Rzuca mi długie spojrzenie.

– Dlaczego mnie pocałowałaś?

Irina chichocze. Nie wiem, czy chcę wiedzieć dlaczego. Nie wiem, czy chcę krzyknąć, czy znowu ją pocałować, czy obie te rzeczy.

– Naprawdę, Simon. Nie dziwię się, że musiałeś korzystać ze strony randkowej. Jesteś zerem.

– To już wiemy. A odpowiedź na moje pytanie?

– Pocałowałam cię, bo na to zasłużyłeś.

– Mimo tego, co zrobiłem?

Przechesuje mi dłonią włosy i gładzi mój kark.

– Simon, nieważne, co zrobiłeś. Przyszedłeś po mnie. Tylko to się liczy.

4

SPOKOJNA NOC

Kiedy wracam do samochodu, ona ignoruje bandażę, gazy, środek odkażający i leki przeciwbólowe i od razu szuka pomarańczowego opakowania z czarnymi literami.

– Jak to zdobyłeś?

– Powiedzmy, że jestem biedniejszy o dziesięć tysięcy dolarów.

Farmaceuta nie chciał sprzedać mi tego bez recepty. Musiałem zmyślić, że właśnie wyjeżdżamy na wycieczkę na wieś, a moja żona ma uczulenie na wszystko. Nie sądzę, żeby uwierzył choćby w jedno słowo, ale kiedy położyłem na ladzie plik banknotów, szybko obejrzał się przez ramię (na pewno w stronę kamer monitoringu) i ukrył go pod powieścią Jamesa Pattersona, którą czytał. Pewnego lata pracowałem na nocną zmianę w sklepie całodobowym, żeby dorobić sobie na pokrycie kosztów studiów, i pierwsze, czego uczy się każdy pracownik, to sprawić, żeby kamery w jakiś tajemniczy sposób zepsuły się na kilka minut, jak na przykład wtedy, gdy masz zamiar opchać się darmowymi słodyczami albo, jak w tym przypadku, sprzedać niebezpieczne lekarstwa bez recepty.

– Niech pan z tym uważa. To może doprowadzić do zatrzymania akcji serca.

Irina zdaje się tym nie przejmować. Najpierw połyka kilka tabletek przeciwbólowych i mnie zmusza do tego samego. Następnie wyjmuje z pudełka jedną ampułkostrzykawkę, dwukrotnie uderza opuszkami palców w wewnętrzną część lewego łokcia i wstrzykuje sobie adrenalinę prosto do żyły. Obserwuję tę operację z czymś w rodzaju obrzydliwej fascynacji.

Jeśli jest coś, czego nie cierpię bardziej niż brzegów pizzy i jabłka, są to właśnie igły.

– Będziesz musiał prowadzić. Po tym głównie czuję się okropnie.

Przyjazd do domu zajmuje nam dziesięć minut. Byłoby szybciej, gdybyśmy nie musieli się zatrzymać, żeby Irina zwymiotowała na poboczu. Kiedy po zaparkowaniu odwracam się do niej, wygląda na nieco zamroczoną i zdezorientowaną. Opiera się o maskę, dopóki oddech jej się trochę nie uspokoi.

– Dlaczego to robisz?

– Bo o mało nie zemdlałam. A nie możemy sobie na to pozwolić.

Tym razem to Irina wspiera się na mnie w drodze do drzwi. Tak bardzo się cieszę, że znów tu jestem, że prawie nie zwracam uwagi na ostatnie zdanie. Cieszę się nawet na widok regału zrobionego ze skrzynek po jabłkach – aż tak może człowieka zmienić bliskość śmierci.

Mam otępiały mózg i zniszczoną wolę. Myślę tylko o tym, by się położyć i spać, ale Irina ma inne plany. Zdaje się, że jej ciało odzyskało energię, chociaż porusza się jakoś dziwnie, jej ruchy są gwałtowne i widać, że musi się wysilić, żeby móc się skupić. Chodzi tam i z powrotem, zamyka drzwi i okna, stawia na ogniu patelnię z olejem i gasi światła na parterze, które zawsze zostawiam włączone.

– Co ty, do cholery, robisz?

Upija mały łyk z jednej z butelek z napojem orzeźwiającym, podnosząc palec, by mnie uciszyć.

– Ćśś. Słuchaj.

Z zewnątrz dobiega dźwięk samochodu, który się zatrzymuje, i zamykanie kilku drzwi.

– Myślałam, że będziemy mieli więcej czasu – mówi, wyjmując z aptecznej torby kolejną ampułkostrzykawkę i chowając ją do tylnej kieszeni spodni. – Ranę zszyję ci później.

To „później” brzmi tak, jakby dochodziło z bardzo daleka. Z drugiej strony bardzo wysokiego ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym i pilnowanego przez uzbrojonych strażników.

Podchodzę do jednego z okien w salonie i rzucam okiem przez żaluzje. To, co widzę, sprawia, że w trzewiach znowu czuję lodowatą kulę. Na moim podjeździe jest Borys Mogliewicz. Obok niego stoją dwa typy, chyba obserwują dom. Nie widzę dokładnie, co trzymają w dłoniach (jest zbyt ciemno, a Irina zgasła też światła przy wejściu), ale bardzo wątpię, żeby były to bukiety kwiatów.

Borys Mogliewicz jest w moim domu. Ale jak to możliwe?

– Odejdź od okna, Simon.

Wtedy przypominam sobie, jak Irina nachyliła się nad Wanią, zabrała mu coś i schowała to sobie do kieszeni spodni, i już rozumiem, co się dzieje.

– To byłaś ty. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła. – Ty do niego zadzwoniłaś.

Ona wzrusza ramionami.

– Wysłałam wiadomość. Kiedy byłeś w aptece. Myślę, że teraz jesteśmy kwita.

Rzuca to z domową naturalnością. „Jeśli chodzi o telefony do szefów rosyjskiej mafii, to mamy remis, podaj mi, proszę, sól”. Może jeszcze za wcześnie na takie przypuszczenia, ale zaczynam podejrzewać, że moja dziewczyna (czy kimkolwiek jest) to kompletna wariatka.

– Irino, musisz tylko pójść do FBI i zaświadczyć, że to on zabił twoich rodziców. Agent Boyd...

Pogarda wypływa z jej nosa tak mocnym strumieniem, że tworzy między nami prąd powietrza. Stoimy bardzo blisko siebie i czuję, że skóra jej ramion jest lodowata.

– Jeśli przeżyje, żeby zeznawać. Jeśli go skażą. Jeśli nie pójdzie na układ, żeby uniknąć więzienia. Ten *mudak* zabił całą moją rodzinę, Simon.

Chcę coś powiedzieć, ale znajomy głos, dziecięcy, wesóły, senny, mi na to nie pozwala, wołając mnie ze schodów.

– Simon! Wróciliście!

Po raz nie wiadomo który przeklinam zwyczaj mojego brata, który przychodzi tu spać bez uprzedzenia. Serce mi się ściska, strach, jaki czuję, zwiększa się dziesięciokrotnie. I nie jestem jedyny. Niepokój dostrzegam też na twarzy Iriny, która w swoich planach nie brała pod uwagę Arthura.

Zadzwonię na policję.

Muszę tylko wziąć telefon. Który wciąż siedzi w moim plecaku. W samochodzie. Albo pamiętać, żeby przywrócić telefon stacjonarny, z którego zrezygnowaliśmy wiele miesięcy temu. Kiedy byliśmy biedni.

Arthur. Arthur ma telefon.

– Zabierz go na górę, Simon – mówi Irina, wyciągając pistolet. – Nie hałasujcie. I cokolwiek usłyszycie, nie wychodźcie, dopóki was nie zawołam.

W domu Simona

Adrenalina przestała działać, a ona poczuła, że znowu wracają ból i osłabienie. W myślach dokonała przeglądu swojego stanu fizycznego. Miała kilka złamanych żeber. Przedtem kaszłąc, zasłoniła usta, a potem dłoń miała pełną krwi, więc musiała mieć też przebite płuco. Wołała nie myśleć o krwotoku wewnętrznym, choć wiedziała, że tylko się oszukuje. Symptomy było widać jak na dłoni, łącznie z zimną skórą i opuchniętym brzuchem.

To wszystko rezultat pieaszczot Wani. Kiedy bił, zawsze uderzał w to samo miejsce po jednej stronie jej ciała, tak że ostatecznie się zastanawiasz (pragnąc, błagając), dlaczego nie kontynuuje po drugiej stronie. Jej prawa ręka była zdrętwiała, ale cóż, lewa miała trzy zmiażdżone palce, była spuchnięta i bezużyteczna. Z pewnością wdało się zakażenie z powodu wyrwanych paznokci, ale to było jej najmniejsze zmartwienie. Wiedziała, że nie utrzyma się na nogach zbyt długo. A jeśli w ciągu kilku godzin nie dostanie pomocy lekarskiej – umrze. Nie żeby ją to martwiło, jeśli zdoła dokończyć swoją pracę.

W miejscu, w którym powinno być jej odcięte ucho, nie czuła bólu (ból żeber natomiast przypominał słońca w tym ciasnym pomieszczeniu), tylko irytujące swędzenie, które wręcz błagało, żeby podrapała się w coś, czego już tam nie ma.

Z nogami było w porządku. Przypalali jej też uda i robili rzeczy, o których wołałaby nie pamiętać. Doświadczyła tego już wcześniej (nigdy jednak tak obrzydliwego i nigdy od jednego z nich), a pozytywne było to, że nie zostawiało poważnych skutków, a przynajmniej fizycznych. Te

drugie, koszmary, jakie miały przyjść, mogły się ustawiać w kolejce. W taki czy inny sposób wszystko miało się skończyć tej nocy.

W jej głowie wszystko nabrało sensu. Kolejny raz przyszedli zaatakować dom. Kolejny raz było ich trzech. Kolejny raz na ich czele stał Borys. Tym razem jednak ona nie jest już bezbronną dziewczynką, która – pochłonięta zabawą – nie widziała, jak nadchodzą. Tym razem to ona zaprosiła potwory do zabawy.

Telefon Wani znowu zawibrował w jej kieszeni. Wyłączyła go przez materiał dzinsów. Potem lepiej to przemyślała i odłożyła go na podłogę, obawiając się, że przeszkodzi jej w swobodnym poruszaniu.

Wiedziała, że wysłanie Borysowi wiadomości na WhatsAppie z telefonu Wani było ryzykowne. Zanim postanowiła to zrobić, przeczytała kilka łańcuchów wiadomości, naśladowując jego chaotyczny styl, po rosyjsku i z jednym z błędów ortograficznych, które zwykle popełniał. Wania – rzekomo – napisał Borysowi, że Irina uciekła i że trzyma ją teraz w domu Simona. Wahala się między poproszeniem o pomoc a dodaniem, że ma dla niego niespodziankę. Zdecydowała się na to drugie. Lepiej pasowało do psychopatycznej osobowości Wani.

Miała co do niego tyle planów. Podczas tych wielogodzinnych tortur wycofywała się do swojego sekretnego miejsca, tego samego, które tworzyła sobie za każdym razem, gdy Afgańczyk kazał jej się zanurzać w lodowatym górskim strumieniu. Ból był tylko opcją. W każdej chwili mogła przekroczyć cienką granicę powierzchni i wrócić do życia. Trzeba było tylko wytrzymać sekundę dłużej. Za każdym razem sekundę dłużej. Tylko trochę więcej nadziei.

Złamanie człowieka, zamienienie go w przerażonego śmiecia było tylko kwestią czasu. Prawdziwą tragedią w czasie tortur nie jest ból, jaki odczuwasz, tylko to, jak wielkie części duszy są z ciebie wyrwane. Czasami jest to cała dusza. Kiedy pojawił się Simon, ona już prawie całkiem ją straciła. Tylko nienawiść, bezwzględna potrzeba zemsty pozwoliły jej zachować powiew zdrowego rozsądku. Afgańczyk mówił, że złamanie torturowanego słyhać, jeszcze zanim to nastąpi – lekkie westchnięcie, rozpoznawalny urywany jęk, zapowiadające następujące zdanie, które wypowie:

„Proszę, zabij mnie”.

Chciała tylko, żeby Wania wypowiedział to zdanie, ale niewiele już brakowało, żeby to ona wydała urywany jęk, kiedy Simon wpadł do

pomieszczenia. Simon, ten niezdarny, naiwny i dobrotliwy Simon. Kto by pomyślał, że kryje w sobie to wszystko. Tchórzostwo i przemoc. Zdradę i poświęcenie.

Wania umarł zbyt prosto, zbyt szybko. Rozczarowanie, które przyspieszyło rozwój wydarzeń. Kiedy policja i FBI dowiedzą się, co się wydarzyło w warsztacie, Borys najprawdopodobniej ucieknie z Chicago, wróci do Ukrainy z mnóstwem pieniędzy, żeby kupić sobie policjantów, psy i wysokie mury. Ona miała tylko jedną szansę i właśnie dlatego wysłała tamtą wiadomość, chociaż sama jest w tak żalnym stanie.

Mimo to nie spodziewała się, że Borys przyjedzie tak szybko, pragnąc wyeliminować świadkinię, która – jak sądził – zginęła z rąk jego zastępcy, teraz nieodpowiadającego na jego telefony.

Źle obliczyła czas podania adrenaliny i teraz miała za to słono zapłacić. Już wcześniej próbowała tego leku za namową Afgańczyka (w normalnym stanie i po brutalnej walce w wąskich uliczkach Magnitogorska, co nie skończyło się dla niej najlepiej) i jej reakcja przez pierwsze trzy czy cztery minuty zawsze wyglądała tak samo. Widzenie tunelowe, bardzo silne mdłości, zimny pot i przyspieszone tętno. Wszystko naraz – wystarczająco dużo, żeby unieszkodliwić ją podczas walki.

Będzie musiała wytrzymać bez tego.

Oceńnię, że ma około minuty, zanim wejdą do środka. W pistolecie, z którego Simon strzelił do Wani, było sześć kul. Irina nie ufała za bardzo tej broni, był to model gazowy i to, co zyskiwał na sile strzału, tracił na precyzji. Nie mogła ryzykować wymiany ognia na odległość. Musiała strzelić dopiero wtedy, gdy będzie absolutnie pewna, że trafi.

Czekała oparta o ścianę, która oddzielała salon od kuchni, skąd mogła obserwować jednocześnie drzwi łączące kuchnię z garażem i główne wejście. Wiedziała, że Borys ma wątpliwości i nie zadzwoni do drzwi. Rozdzielią się. Drzwi do garażu zostawiła otwarte, ponieważ chciała, żeby co najmniej jeden z nich wszedł z tamtej strony. Pozostali dwaj zaczekają na zewnątrz, aż ten pierwszy otworzy drzwi.

To było logiczne. Proste. Tak właśnie postąpiłaby ona. Albo mogła spróbować wejść z obu stron naraz. Drzwi wejściowe były słabe. Ale nie będą ryzykować i ich nie wyważą, żeby nie zwracać uwagi sąsiadów. Ona też nie chciała syren, które wystraszyłyby Borysa. Chciała jedynie, żeby znalazł się w zasięgu strzału.

Usłyszała hałas w garażu. Ktoś potknął się o kartonowe pudło. Przy drzwiach wejściowych nie było słychać niczego.

Właśnie w tym momencie znowu zaczęła mdleć.

5

GRA

Arthur stoi w połowie schodów, kiedy biorę go pod ramię i zmuszam do wejścia na górę. Nie podoba mu się to.

– Co się dzieje, Simon?

Wiele razy czułem w swoim życiu poczucie wyższości wobec postaci z telewizora, w tych cudownie wyreżyserowanych momentach, kiedy krzyczysz do bohaterów, jacy to oni są głupi. W momentach, kiedy ukrywają przed bliskimi ważną informację tylko po to, żeby zaoszczędzić im cierpienia. Setki razy zaczynałem zdanie od słów „Gdybym ja znalazł się w takiej sytuacji, powiedziałbym im, że...”.

– Arthur, zagramy w grę. Chodź do mojego pokoju.

– Nie chcę iść do twojego pokoju. Chcę spać. Jestem zmęczony.

W moim pokoju są dwoje drzwi, za którymi można się schować, te wejściowe i te od łazienki (mój brat korzysta z toalety w korytarzu), ale Arthur ciągnie mnie, kiedy próbuję go prowadzić w innym kierunku, więc ustępuję i zamykamy się u niego.

W jego pokoju jest ciemno, nie licząc światła lampki nocnej, którą zawsze zostawia włączoną. Jest w piżamie. Ma wpół przymknięte powieki

i podły nastrój, w jaki wpada zawsze, kiedy budzi się w środku nocy.

– Dlaczego tak późno wróciłeś?

– Byliśmy w odwiedzinach u przyjaciół. A teraz zagramy w grę.

– Nie jestem dzieckiem, Simon – mówi wkurzony. – Co się dzieje?

Nic się nie dzieje. Tylko uzbrojeni faceci zaraz wejdą do domu. A pistolet taty ma policja. Zabrali go, ponieważ sądzili, że zastrzeliłem z niej Toma, który nie żyje, a ja nie miałem jeszcze odwagi powiedzieć o tym Arthurowi.

– Musisz dać mi swój telefon.

On patrzy w drugą stronę i zaczyna nucić piosenkę. *Oops, I Did It Again*. Robi to zawsze, kiedy wie, że złamał jakąś zasadę. A ta najważniejsza, jedyna, której musi zawsze przestrzegać, oprócz zawiadamiania, że przyjdzie spać do domu, dotyczy tego, że nigdy, przenigdy nie powinien wychodzić na ulicę bez swojego telefonu.

– Nie, Arthur. Nie, Britney Spears, nie.

On zwiesza głowę.

– Był rozładowany. Podłączyłem go do ładowania.

– Na miłość boską, Arthur, w domu też są gniazdka.

– Nie zawsze działają.

Tu mnie zagał. Niedogodności związane z miesiącami życia w niedostatku i nocami bez prądu. Milczę i zastanawiam się, czy zabarykadowanie drzwi komodą na coś się przyda. Wskoczenie przez okno nie wchodzi w grę. Za domem znajduje się nasyp (dlatego nie mamy tylnego ogrodu) i nie ma sposobu, bym wydostał się tędy, nie rozbijając sobie głowy, a tym bardziej Arthur, którego koordynacja ruchowa jest tylko trochę lepsza od mojej.

– Jesteś na mnie zły, Simon?

Pamiętam, że wcześniej zadał mi to pytanie raz, wiele lat temu. Tamtego wieczoru, kiedy ojciec wrócił późno z pracy, a mama uznała, że już dłużej nie wytrzyma, i zamknęła się w łazience z butelką wina, fiolką tabletek i żyletką. Wieczoru, kiedy to ja musiałem przygotować kolację, kiedy poprosiłem Arthura, żeby poszedł na górę i zapytał mamę, czy chce kanapkę czy coś innego. Wieczoru, kiedy Arthur zszedł na dół i powiedział, że nie, chociaż z drugiej strony drzwi nie usłyszał niczego, ale doszedł do wniosku, że to znaczy, że mama nie chce nic. Wieczoru, kiedy tata wrócił i zdarzył się Wypadek, a Arthur chciał tylko wiedzieć, czy jestem na niego zły.

– Nie, oczywiście, że nie. Wszystko będzie dobrze. Nie ma się czym przejmować.

Wtedy zaczynają padać strzały.

W domu Simona

Irina czuła, że ma bardzo lekką głowę i bardzo ciężkie powieki. W tej chwili jedyną rozsądną opcją było położyć się na podłodze. Grawitacja ciągnęła ją za kręgosłup niczym setka malutkich sznurków.

Kroki w garażu było słychać coraz bliżej.

Nogi jej słabły, a na ścianie nie było żadnego uchwytu. Już tylko chwila dzieliła ją od utraty przytomności. Nie miała innego wyjścia, jak wykorzystać ampułkostrzykawkę z adrenaliną, która jej została. Sięgnęła do tylnej kieszeni dżinsów, ale kiedy ją wyciągnęła, tubka upadła na podłogę i potoczyła się przez drzwi kuchenne aż do lodówki.

W pełne pole widzenia z garażu.

Potrzebowała tej tubki i tego, co zawierała. Potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek czegokolwiek innego. Ale nie była w stanie tam podejść. Jej ciało było kompletnie wyczerpane, a mięśnie miała jak z waty. Wiedziała, że gdyby Afgańczyk ją teraz zobaczył (jeśli nadal żył tam, na końcu świata), śmiałyby się z niej. Opowiedziałby jej, jak kiedyś załatwił sześciu mudzahedinów (sam jeden, dwiema kulami w klatkę piersiową), a potem niósł na plecach ранego kolegę. Irina знаła tamtego żołnierza. To był dla niej ktoś ważny. Tyle że nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Może gdyby na chwilę usiadła i pomyślała, zdołałaby sobie przypomnieć. To wszystko, czego potrzebowała. Zebrać myśli.

„Nie możesz chodzić. Możesz się czołgać. Weź tę tubkę”.

Głos Afgańczyka rozbrzmiał przy jej uchu (nie przy tym zdrowym, tylko przy tym drugim. Ciekawa rzecz, po raz pierwszy pomyślała o nim w taki sposób. O tym uchu, którego nie ma, ale wciąż tu jest). Zmusił ją do tego, by nieco się podniosła i ruszyła na czworakach w stronę ampułkostrzykawki. Światło w kuchni było zgaszone, ale przez okno wpadała jasność, nawet przez zaciągnięte zasłony (okropne, ze wzorem w kolby kukurydzy). W ciemności pomarańczowa ampułkostrzykawka była czerwona. Ciemność zdawała się gęstsza przy drzwiach prowadzących do

garażu. Ona była idealnym celem. Musiała wziąć tę tubkę, zanim cienie się przesuną i ktoś tu wejdzie.

Irina schowała się za kuchenną wyspą. Stały tu dwa taborety. Jeden był nieco kulawy. Nie powinna ich dotknąć. Powinna dalej iść na czworakach. Okrążyć wyspę, poniżej pola widzenia mężczyzny.

Lekko chrzęszczący odgłos kroków zamienił się teraz w znacznie solidniejszy dźwięk. Garażowy beton ustąpił miejsca kuchennym płytkom. Jeszcze dwa kroki i mężczyzna ją zobaczy. Jeszcze dwa kroki i będzie musiała tylko strzelić do pochylonego i odwróconego tyłem celu.

Rozległa się seria pstryknięć. Mężczyzna próbował włączyć światło. Ta krótka pauza pozwoliła Irinie prześlizgnąć się na drugą stronę wyspy. Przypominała sobie jak przez mgłę, że wyłączyła bezpieczniki – zakamuflowane na ścianie obok lodówki za obrazem przedstawiającym uśmiechniętą filiżankę kawy, która groziła, że „To będzie wyjątkowy dzień!”.

Wiązka białego światła zraniła cienie. Mężczyzna miał latarkę albo telefon. Wiązka krążyła po kuchni, przeszukując kąty z eteryczną teksturą, jakiej nadawał jej dym unoszący się z patelni, którą Irina postawiła na ogniu. Mężczyzna zaczął okrążyć wyspę, chociaż Irina nie była pewna, czy robi to we właściwym kierunku, w koniecznym kierunku. Jeśli wybrał przejście między wyspą a zmywarką, nie zdoła sięgnąć tubki. Jeśli poszedł drugą stroną, będzie miała szansę, by wziąć ampułkostrzykawkę i przemknąć do garażu.

Próbowała wyczuć, z której strony się zbliża, ale nie była w stanie tego zrobić. Nie mogła też tak trwać w bezruchu. Musiała wybrać. Zaczerpnęła haust powietrza, który nie wystarczył na napełnienie płuc, i wciąż na czworakach zaczęła się przemieszczać między wyspą a zmywarką, co okazało się właściwą stroną. Jeden ruch, dwa, cztery. Ten czwarty kosztował ją ostatni gram energii, jaki mogła wykrzesać, ale w końcu zdołała sięgnąć po tubkę oburącz i schować się za skromną osłoną po przeciwległej stronie wyspy, dosłownie tuż przed tym, jak promień światła oświetlił miejsce, które właśnie opuściła.

„Już ją mam. To wszystko”.

Siedząc z plecami przyciśniętymi do drewna, poczuła, że jej się udało, świętowała zwycięstwo, które w jej otepiałym mózgu wydawało się niekompletne.

„Właśnie. Odpocznij sobie chwilę. Nie ma pośpiechu”, powiedział głos Afgańczyka kpiącym tonem.

Jest coś, o czym zapomniała. Coś kluczowego.

„Wstrzyknij sobie zawartość tubki. Teraz”.

Spróbowała, przyłożyła końcówkę do wewnętrznej części łokcia i nacisnęła tłok po drugiej stronie, ale nic się nie stało.

„Nasadka. Musisz zdjąć nasadkę, która zakrywa igłę, *sestra*”.

Tym razem to głos Oksany rozbrzmiewał w jej głowie albo obok niej. Była tu, razem z nią. Była martwa i obie już niedługo się spotkają. Wszyscy będą niedługo martwi, chyba że zdoła znaleźć i wyciągnąć mały kawałek zielonkawego plastiku.

Pomógł promień światła, który znajdował się coraz bliżej. Mężczyzna okrażał wyspę. Ona zdołała zdjąć nasadkę i wbić igłę w skórę. Nacisnęła tłok.

Ten drugi zastrzyk w tak krótkim czasie uderzył ją ze znacznie większą siłą niż pierwszy. Strumień płynnego ognia wdzierał się do jej krwiobiegu, w miarę jak lek dokonywał cudu, paląc (niewielką) dostępną ilość glikogenu i zamieniając go w energię. Odeszło osłabienie, ale zniknęła także kontrola. Jej serce zamieniło się w młot pneumatyczny, a krew dudniła w uszach tak głośno, że Irina aż się dziwiła, że mężczyzna tego nie słyszy. Że nie wpadnie na drugą stronę wyspy i nie podziurawi jej jak sito.

– Wejdźcie od frontu. Zdaje się, że na dole nikogo nie ma – powiedział jakiś głos po rosyjsku. – Ale nie zamierzam sam iść do piwnicy albo na górę.

Irina potrzebowała kilku mglistych chwil, by zrozumieć, że głos mężczyzny jest prawdziwy i że nie mówi do niej. Wiedziała, że powiedział coś ważnego, czego znaczenia nie mogła w pełni rozwikłać, tak jakby była kompletnie oderwana od tej sytuacji. Świat był teraz bardzo głośnym i przerażającym miejscem z dwoma jedynymi ogniskami, jej głową pełną zawrotów i żołądkiem, który groził wymiotami. Żadna z tych dwóch opcji nie wchodziła w grę. Musiała się podnieść. Podnieść się i do niego strzelić. Strzelić z pistoletu, którego nie miała, bo zapomniała go podnieść z podłogi w salonie.

Mężczyzna skręcił za rogiem wyspy. Promień światła oświetlił ją całkowicie. Irina nie mogła go widzieć. Jedynie działać. Wykorzystać chwilowe wahanie. Rozległy się krzyk i strzał. Prześlizgnęła się do drugiego przejścia. Jeszcze więcej krzyków.

Irina wstała, chwyciła patelnię pełną oleju, umieściła ją przed sobą, trzymając w wyciągniętych rękach, a potem przekreśliła nadgarstki, jak gdyby odbijała wolejem najgorętszą na świecie rakietą tenisową. Płyn rozprzestrzenił się po całej kuchni, łącznie z zasłonami (które stały w płomieniach), blatem, jej nadgarstkami, a przede wszystkim twarzą mężczyzny, który zaczął wrzeszczeć i strzelił jeszcze raz, w ciemno.

Nawet strzały w ciemno są niebezpieczne. A ten musnął ramię Iriny, tworząc bordową bruzdę. Dzięki adrenalinie prawie nie poczuła ukąszenia kuli.

Irina rzuciła się nad wyspą z nogami do przodu i zaatakowała głowę mężczyzny, tym razem bekhendem, który chybił o włos, kiedy on się schylił (bardziej instynktownie niż dlatego, że widział zbliżający się cios) i patelnia przełamała się o marmurowy blat. Zanim mężczyzna zdążył dojsć do siebie, Irina wskoczyła na niego kolanami, lądując na jego brzuchu. Mężczyzna machał rękami i usiłował wycelować w nią z pistoletu, ale Irina odepchnęła broń lewym przedramieniem i wbiła uchwyt patelni (wciąż z ostrymi kawałkami metalu na końcu) w jego szyję. Uchwyt zamienił się w prowizoryczny nóż, który przebił tchawicę i mężczyzna umarł, rżąc w agonii.

Irina nie zobaczyła jego twarzy. Światło zgasło, zanim to wszystko się stało.

Walka trwała w sumie cztery sekundy.

Pomyślała, że Afgańczyk byłby zadowolony. Ale jej stary mistrz najwyraźniej oniemiał.

Wzięła pistolet zabitego mężczyzny i ruszyła do drzwi prowadzących do salonu. Jej tętno się nie zmniejszyło, a widzenie tunelowe nie zniknęło. Zdrowym okiem była w stanie dostrzec tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nią. Bez widzenia peryferyjnego stawienie czoła dwóm uzbrojonym napastnikom wydawało się niemożliwe.

Gdy tylko podeszła do drzwi salonu, dwa strzały oderwały znaczną część framugi. Miała mglistą świadomość – ze względu na coraz większy żar, dym oraz płomienie, które budziły się do życia za jej plecami – że kuchnia się pali. Nie martwiła się tak bardzo ogniem, ile tym, że jej sylwetka będzie łatwym celem dla mężczyzn w salonie.

„Ogień osłaniający. Poszukać miejsca, skąd można strzelać”.

Plan lepiej brzmiał w jej głowie niż w rzeczywistości. Strzelać na oślep i wpaść do ciemnego pomieszczenia, gdzie znajdowało się dwóch wrogów,

których pozycji nie знаła.

Ale to jedyny plan, jaki miała.

Odwróciła się, oddała dwa strzały (kąąt czterdzieści pięć stopni między oboma strzałami, tak jak Afgańczyk kazał jej powtarzać dziesiątki razy), a następnie rzuciła się na podłogę, przyciśnięta do ściany. Jeden z nich był po drugiej stronie sofy, domyśliła się na podstawie pozycji strzelania. Gdzie był drugi – nie miała pojęcia.

Na podłodze była narażona. Przeczłogała się na drugi koniec sofy, błagając w duchu, żeby ten drugi nie zaatakował z lewej.

– Idź z drugiej strony – powiedział głos Borysa z mroku. – Szybko, ja...

Irina wstała i strzeliła przez poduszcзки. Zbir Borysa cieszył się całą ochroną, jaką mogła mu zapewnić niewielka guma piankowa przed dwoma kulami kalibru .40. Pierwsza przeszła mu szczękę. Druga trafiła w ramię i go powaliła.

Irina znowu się schyliła i strzał Borysa przeciął powietrze (coraz gęstsze, coraz gorętsze, płomień wdarły się już do salonu) nad jej głową.

„Biegnij do drzwi, Borys”, pomyślała Irina, która ze swojego miejsca widziała wejście. „Uciekaj, żebym mogła strzelić ci w plecy, tak jak ty zamordowałeś mojego ojca”.

Wtedy usłyszała głos Simona oraz kroki Borysa wbiegającego na piętro.

„Nie. Nie”.

Podniosła się, by ruszyć za nim.

Nagle wszystko się zmieniło.

Za jej plecami stara gazowa kuchenka wybuchła, wypierając ogromną masę gorącego powietrza, rozbijając szyby i rzucając Irinę na podłogę, jakby uderzyła ją ręka giganta. Tylko ściana w salonie (teraz zamieniona w ścianę ognia) uratowała ją przed zniszczeniem przez falę uderzeniową.

Jej włosy i spodnie zajęły się ogniem. Przetoczyła się po podłodze, starając się ugasić samą siebie. Kawałki szkła wbijały jej się w ręce. Powietrze zastąpił gęsty, nieprzenikniony dym. W jej prawym udzie tkwiła wielka drzazga.

Ledwie mogła widzieć i obficie krwawiła z nosa. Spróbowała się podnieść. Nie udało jej się.

„Możesz się czołgać. Zrób to. Czołgaj się”, powiedziała Oksana. „Jeśli ci się uda, dam ci prezent”.

„Nie mogę się ruszyć”.

Nie wypuściła pistoletu. Przynajmniej tyle jej zostało. Przynajmniej teraz, gdy miała umrzeć, zrobi to z bronią w ręku. Ze świadomością, że zrobiła, co mogła.

„Gówniane pocieszenie”, powiedział Afgańczyk. „Po to do mnie przyszłaś?”

Irina wiedziała, że nie miała normalnego życia. Ani śmiechów, ani miłości, ani nadziei. Ani pocieszenia, ani pokoju. Ani szczęścia.

„Bo nas nie uratowałaś”, powiedziała Oksana.

„Byłam dzieckiem. Byłam tylko małą dziewczynką, która się bawiła”, broniła się Irina.

„Nigdy nie umiałaś sobie wybaczyć”, odpowiedziała Oksana. „Myślisz, że w śmierci znajdziesz zapomnienie? W ten sposób chcesz spędzić wieczność?”

„Dasz radę. Czołgaj się”.

Jej ciało zaczęło się przemieszczać w stronę schodów.

W domu Simona

W ciemności rozległy się jeszcze dwa strzały i on padł na ziemię.

Borys Mogliewicz nie wiedział, co robić, i to było dziwne.

Kiedy pół godziny wcześniej dostał wiadomość od swojego zastępcy, nie mógł w to uwierzyć. Wania powiedział mu wcześniej, że weźmie sobie dwa dni wolnego, i Borys wiedział, że oznacza to zamknięcie się w jakimś burdelu z pół kilogramem kokainy i kilkoma prostytutkami. Po czterdziestu ośmiu godzinach z pokoju wyszedłby tylko on.

Wania oddawał się swoim nawykom (które on sam nazywał wytchnieniem) coraz częściej. Wcześniej zdarzało się to raz w roku, teraz co dwa lub trzy miesiące. Borysa martwił nie tyle wydatek (prostyutki, które brał, były zwykle świeżym mięsem, dopiero co zaimportowanym z Krymu), ile pogłębiające się uszkodzenie mózgu Wani, któremu coraz trudniej było wykonywać polecenia. Wiedział, że musi z nim skończyć, ale problem polegał na tym, że go potrzebował. Ograniczył do niezbędnego

minimum brutalną siłą swojej organizacji, żeby zaoszczędzić sobie kosztów i problemów, koncentrując się na przestępstwach w białych rękawiczkach. Tyle że ataki tej suki zmniejszyły jego zdolność reakcji i możliwości mięśniowe. Przez nią stracił już jedenastu ludzi – ośmiu zabiła ona, trzech musiał zabić sam dla przykładu.

Nie zostało ich wystarczająco wielu, żeby zabić Wanę. I żaden, który odważyłby się to zrobić.

Ale przynajmniej ją złapali.

Do jej schwytania doszło dzięki inteligencji i inżynierii społecznej, a nie przemocy, i z tego Borys był dumny. Wystarczyło tylko zmanipulować to grube popychadło, obrócić go przeciwko niej – w tego typu zadaniach Borys czuł się dobrze. Z każdym dniem zrzucał na Wanę coraz więcej brzydkich i brudnych spraw, ponieważ dzięki temu łatwiej mu było okłamywać samego siebie. Bez wahania poprosił go, żeby złapał tę sukę, zmiękczył ją trochę i wyciągnął od niej potrzebne informacje. Nie mogła przecież robić tego wszystkiego sama.

Okazuje się, że jednak mogła.

Kto by pomyślał, że ta brudna rudowłosa dziewczynka, sama skóra i kości, która chodziła razem z siostrą w stronę gospodarstwa, mogła mu przysporzyć tyle problemów.

Wania powiedział mu, że już wszystko wyśpiewała. A on kazał mu się jej pozbyć. O tej porze powinna być już na dnie jeziora Michigan. Tyle że tam nie była. A później Wania przysłał mu tę wiadomość.

Borys przyjechał do domu Simona, myśląc, że Wania dowiedział się o niej czegoś więcej, jednocześnie jednak był mocno zaniepokojony faktem, że nadal żyje. Bo ta suka była pojedynczym elementem, który nie pasował do jego idealnej maszyny. Zjawiała się prosto z przeszłości, o której on chciał zapomnieć, bez strachu i bez zobowiązań. W ciągu kilku dni rozwaliała wszystko, co Borys „Pająk” Mogliwicz budował przez całe lata.

Kiedy się okazało, że Wani tu nie ma, a z kuchni wyłoniła się ona z pistoletem w dłoni, Borys (ukryty za regalem zrobionym ze skrzynek po jabłkach) stracił kilka cennych chwil, zanim skojarzył fakty. Nie uwolniła się sama. Musiał jej pomóc ten narzeczony.

– Ilja – zawołał swojego człowieka, który stał obok sofy.

Kiedy tamten się odwrócił, Borys dał mu znać ręką.

– Idź z drugiej strony. Szybko, ja...

Nie zdążył dokończyć zdania. Ta suka wyłoniła się z ciemności, strzelając, i Ilja padł na ziemię, ranny albo martwy, i Borys zrozumiał, że znajduje się w niekorzystnym położeniu.

Zostały mu dwie możliwości. Mógł pobiec do drzwi albo schodami w górę. Zdało mu się, że usłyszał głosy.

Narzeczony. Może ktoś jeszcze. Opóźniony brat, o którym mówili mu jego ludzie.

„Właśnie. To jest moja przewaga”, pomyślał Borys z uśmiechem. „Ale nie mogę się stąd ruszyć, nie zwracając jej uwagi. Podłoga skrzypi. Usłyszy mnie”.

Wtedy kuchnia wybuchła i Borys wykorzystał swoją szansę.

6

KONIEC

Znacznie trudniej jest okłamywać Arthura, kiedy zaczynają padać strzały.

– Co to?

Jestem wyczerpany i mój mózg nie jest w stanie wymyślić żadnej sensownej wymówki. Strzał w twoim domu nie brzmi tak samo jak w telewizji. Strzał w twoim domu sprawia, że ściany się trzęsą, a twoja przepona drga jeszcze długo po tym, jak dźwięk milknie. Nie ma sposobu, by okłamać brata w kwestii strzału w twoim domu.

Jest ich więcej. Jeden z nich rozłupuje drewnianą podłogę pod naszymi stopami, choć kula jej nie przebija, a Arthur biegnie w ciemności, by mnie objąć. Wczepiam się w niego (w mojego starszego brata z duszą wiecznego dziecka), próbując wymyślić jakieś rozwiązanie. Upływają minuty i nie znajduję żadnego. Czuję większą wściekłość niż strach. Kiedy upadają bariery, które postawiłeś, żeby chronić życie swoje i tych, których kochasz, kiedy kruchość życia i to, jak łatwo je stracić, ujawnia się na twoich oczach, świat zamienia się w niesprawiedliwe i przerażające miejsce, z którego – podobnie jak z tego pokoju – nie ma jak uciec.

– Simon, powiedz mi, co się dzieje.

Nie zostaje nic oprócz prawdy.

– W domu są źli faceci. Musimy ich unikać.

Uświadamiam sobie, że Arthur płacze. Przytulanie go powoduje straszny ból ramienia, ale jeśli w ten sposób zdołam go trochę uspokoić, to jest to cena, którą mogę zapłacić.

– Zbiry – mówi Arthur, wciągając smarki. – Na złych facetów mówi się zbiry.

Nie mogę sobie przypomnieć, w którym filmie usłyszał to słowo. *W Doktorze No? W Pozdrowieniach z Rosji?* Mój umysł upiera się, żeby uciec tą drogą (prostą, odwieczną drogą, którą zawsze umykałem przed dyskomfortem bycia Simonem Saxem poprzez zastępcze doświadczenia), aż pewne niespodziewane zdarzenie przywraca go do rzeczywistości.

Jedna z listew uniosła się nieco na skutek strzału sprzed chwili. Z otworu wydobywa się smuga gęstego, szarawego dymu, który w słabym świetle wpadającym przez okno staje się srebrzysty.

Odsuwam się trochę od Arthura i nachylam, żeby dotknąć podłogi. Drewno jest bardzo gorące. Myślę, że kuchnia (pomieszczenie tuż pod nami) się pali. A to jest bardzo stary dom, suchy jak podpałka.

Mamy poważne problemy.

– Arthur, posłuchaj mnie. Musimy stąd wyjść. Stań za mną. Złap się za mój pasek i zejdziemy po schodach. Kiedy ci powiem, biegnij do drzwi. Zrozumiałeś?

Mój brat kręci głową. Wiem, że zrozumiał. Ale jest bardzo przestraszony.

– Arthur, ja też się boję.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. On, który zawsze znajdował we mnie oparcie, który postrzegał mnie jako niewzruszoną siłę, dzięki której świat nie może wyrzucić mu krzywdy, nie pojmuję tego, co właśnie usłyszał.

– Simon się boi?

Zawsze się boję. Zawsze się bałem i zawsze będę się bał. Ale siedzenie cicho niczego nie rozwiąże. Nigdy tego nie robi.

– Tak, Arthur. Simon się boi.

Patrzy na mnie i prostuje nieco ramiona. Przesuwa ręką po głowie, przedwcześnie dotkniętej łysieniem, a potem kładzie mi dłoń na klatce piersiowej, staje na palcach i całuje mnie w policzek.

– Nie martw się, braciszku. Jestem przy tobie...

Nie może dokończyć zdania, ponieważ uniemożliwia mu to kaszel. Pokój jest teraz pełen gęstego dymu, a ja nie mam odwagi otworzyć okna, ponieważ to mogłoby spowodować przeciąg i ogień rozprzestrzeniałby się znacznie szybciej.

Najpierw dotykam klamki, tak na wszelki wypadek. Podobno (tak w *Ognistym podmuchu* mówił jeden z Baldwinów, nie pamiętam który, wszyscy wydają mi się jednakowi) nie można otwierać drzwi, jeśli klamka jest bardzo gorąca. Wydaje się normalna. Już trochę spokojniejszy otwieram drzwi i gdy tylko wychodzę na korytarz, ciemna masa uderza mnie w policzek i rzuca mnie na podłogę w błogosławione, zaskakujące ciemności.

Najpierw słyszę głosy. Krzyczą w języku, którego nie rozumiem. To nie moja sprawa, to pierwsze, co myślę. Zamknijcie się i dajcie mi spać.

Później ból w ustach przypomina mi, że ktoś uderzył mnie czymś bardzo twardym. Ten w ramieniu, że zostałem dźgnięty nożem. Dym zaś – że jestem w palącym się domu.

Mam coś w ustach. Coś twardego. Zęby.

Połykam je.

Muszę wypłynąć na powierzchnię z samego dna błotnistej jeziora. Kiedy udaje mi się otworzyć oczy, widzę mojego brata. Borys trzyma go za szyję. Przykłada mu broń do głowy. Obaj stoją plecami do ściany, przy barierce, z której widać salon.

Borys krzyczy w stronę schodów. Z dołu, pośród trzasku ognia, który wspina się już po ścianie (pożerając papier w kwiaty), dociera głos Iriny. Słaby.

Wszystko się powtarza.

Mój ojciec znowu wraca do domu nad ranem, pijany, cuchnie alkoholem i tanimi perfumami. Znowu wchodzi do swojego pokoju i zastaje zamknięte drzwi do łazienki. Znowu wyważa drzwi i znajduje moją matkę martwą w wannie. Znowu pokonuje korytarz, wyciąga Arthura z łóżka, podnosi go nad balustradę, wałąc go pięścią w brzuch.

– To ty ją zabiłeś, potworze. Ty ją zabiłeś, pomocie – mówi znowu mój ojciec. Alkoholik, ciemieżyciel.

„Nie powinieneś nazywać tego Wypadkiem, Simon. To nie był wypadek”, powiedziała mi psycholożka, do której kiedyś poszedłem. Nie chciałem dalej do niej chodzić. Nie pozwalałam, żeby ktokolwiek mówił mi o Arthurze. Nie pozwalałam, żeby ktokolwiek mówił mi o tym, co się stało.

Ale to nie był wypadek.

Podnoszę się, podchodzę do Arthura. Borys wciąż krzyczy i strzela w stronę schodów. Robię kolejny krok w jego stronę. Jeszcze tylko jeden. Żeby się nie zorientował. Ale on to robi. I się odwraca. A razem z nim – broń.

Tylko że to już nie jest Borys. To znowu mój ojciec.

Już raz cię zabiłem i zrobiłbym to ponownie, draniu.

Znowu uderzam go w twarz. Znowu wrywam mu Arthura z rąk i odpycham w stronę korytarza, gdzie upada rozmemłany, płacząc.

Nie płacz, braciszku.

Borys podnosi pistolet, ale nie daję mu czasu. Mojego ojca wystarczyło tylko popchnąć z całych sił i balustrada się złamała. Ale później wymieniliśmy ją na nową i nie mogłem ufać temu drewnu. Będę potrzebował dodatkowych stu kilogramów, żeby wykonać tę robotę.

Biegnę do niego i go obejmuję. Czuję, jak jego ciało walczy z moim, lecz nie udaje mu się nie dopuścić do złamania balustrady. Potem obaj spadamy w pustkę, która otwiera się nad salonem w płomieniach.

Podczas upadku zamykam oczy, ale już się nie boję. Słyszę uderzenie i gwałtowny trzask.

Nie czuję bólu.

Borys nie rusza się pod moim ciałem. Zanim znowu zanurzam się w ciemności, słyszę wołający mnie głos Iriny, a w oddali zbliżające się wycie syren.

Teraz się zjawiacie, co?

7

SPOSTRZEŻENIE

Obudzenie się w szpitalnym łóżku jest znacznie mniej przyjemne, niż się ludziom wydaje.

Na szczęście utrata świadomości jest na to dobrym lekarstwem.

OSTATNI BŁĄD

1

POŻEGNANIE

Po tym wszystkim zrobiło się wielkie zamieszanie.

Przez pewien czas leżałem w szpitalu. Najlepsze trzy dni w moim życiu. Byłem otoczony pielęgniarkami, które oczyszczały mi rany. Jadłem pizzę, które przemycał mi Arthur, i czytałem komisyy. Z policjantem stojącym przy drzwiach, w razie gdyby zbiry Borysa Mogliewicza postanowiły pomścić śmierć swojego szefa, ale tak się nie stało.

Odwiedzili mnie wszyscy pracownicy firmy, na czele z Marcją, która dała mi jasno do zrozumienia, że po tak traumatycznym doświadczeniu mogę odpoczywać, ile tylko będę potrzebował. Przynieśli ze sobą balony, uśmiechy, tort czekoladowy z napisem PRZEPRASZAMY, ŻE UWAŻALIŚMY CIĘ ZA MORDERCĘ umieszczonym na bezie, oraz mnóstwo hałasu. Wszyscy wreszcie zrozumieli, co się stało.

Ucieszyłem się na ich widok, ale nie mogłem się doczekać, kiedy sobie pójda. Zanim się zjawili, chciało mi się sikać, a nie mogłem pozwolić, żeby Marcia zobaczyła mój tyłek przez rozcięcie okropnej zielonej koszuli. Tak więc czekałem, starając się nie myśleć o łazience znajdującej się parę

metrów dalej ani nie patrzeć na dziewczynę z księgowości pijącą wodę z butelki.

– Dzięki za zwrot miliona dziewięciuset dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów, które ukradłeś – powiedziała mi. – Pozostałe dziesięć tysięcy odbierzemy z twojej wypłaty.

Infinity nie wniosła oskarżenia o defraudację. Trudno wściekać się na bohatera, który załatwił szefa rosyjskiej mafii – nawet jeśli w tak niegodny sposób, jak zmiżdżenie go własnym ciężarem. Irina jednak owszem, była wściekła, choć nic nie powiedziała. Ona musiała spędzić w szpitalu znacznie więcej czasu niż ja, większość w kajdankach, którymi przykuto ją do łóżka – dzięki uprzejmości inspektora Freemana. Kiedy czułem się na tyle dobrze, że mogłem ją odwiedzić, poprosiła mnie o długopis z wymiennym wkładem. Kiedy jej go przyniosłem, sama zdejmowała sobie kajdanki za każdym razem, kiedy musiała zrobić siku.

– To jest niepoważne – powiedział inspektor Freeman, kiedy zjawił się po raz szósty, żeby spisać jej zeznania i zastał nas spacerujących po korytarzu.

– Gdybym chciała uciec, nie złapalibyście mnie – powiedziała, wracając do pokoju o kuli i ciągnąc wieszak na kółkach z kroplówką.

– Jestem o tym przekonany – odparł Freeman z bardzo poważną miną.

Ani FBI, ani chicagowska policja nie postawili nam żadnych zarzutów. Zeznania Iriny były kluczowe, żeby rozbić siatkę prania brudnych pieniędzy *Mafiji*, a wiele biznesów, które wcześniej należały do firm widm Mogliewicza, zostało zamkniętych. Zatrzymano mnóstwo osób.

Nic z tego wszystkiego nie jest naprawdę ważne.

Ważne jest tylko to, że ona wyjeżdża.

– Zostań ze mną – mówię i czuję się głupio.

To miało być przecież dorosłe pożegnanie. Dojrzałe potwierdzenie osobistego rozwoju. Bohater wraca do domu z nagrodą, z nową, powiększoną wizją świata, który pozwala mu odtąd być panem swojego losu.

„Sam”. Bohater wraca „sam”. Nie zapominajmy o tym.

– Nie mogę zostać, Simon – odpowiada ona, kręcąc głową. Zmieniła fryzurę, teraz ma włosy obcięte na boba, zasłaniające brak ucha. Wygląda piękniej niż kiedykolwiek wcześniej. – Muszę wracać do domu.

Do jakiego domu?

Lotnisko jest zatłoczone. Stoimy w kolejce, gdzie zmęczony policjant sprawdza paszporty jeden po drugim. Kochankowie całują się po raz ostatni, namiętnie. Pachnie podróżą, pożegnaniem i toksyczną chmurą, która wydobywa się z działu perfumeryjnego.

– Myślałem, że mnie kochasz.

Patrzy na mnie smutnymi oczami i chyba dostrzegam w nich coś innego. Pod zielonym lodem w dalszym ciągu poruszają się mroczne widma, ale teraz nie wydają się już takie niespokojne. Może to tylko moja wyobraźnia, ale stara blizna na jej twarzy wydaje się bledsza.

– Kocham cię, Simon. Ale nie wiem jak. I nie mogę zostać, by to sprawdzić. Nie jestem z tych, co czekają, aż wrócisz z pracy, szorując kuchnię.

– Kuchnia się spaliła. Ty ją spaliłaś.

Razem z połową mojego domu, moimi włosami i brwiami. Regał ze skrzynek po jabłkach niestety przetrwał.

Irina się uśmiecha i chwyta mnie za podbródek, podnosząc moją głowę.

– Wrócę do Ukrainy. Mam na swojej liście jeszcze kilku facetów, którym muszę złożyć wizytę.

– A później?

– Później... nauczę się żyć – mówi, podając policjantowi paszport.

Nigdy przedtem nie słyszałem w jej głosie strachu. Ale w tym ostatnim zdaniu był. Doskonale ją rozumiem, bo przez całe swoje życie strasznie bałem się żyć. Chcę jej powiedzieć, że możemy się nauczyć razem, ale jest już za późno. Przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i macha do mnie ręką, po czym znika w drodze do schodów ruchomych.

Zostaję jeszcze dłuższą chwilę, gapiąc się w punkt, w którym zniknęła. Nie mogę wyrzucić sobie z głowy jednego zdania.

„Kocham cię, Simon. Ale nie wiem jak. I nie mogę zostać, by to sprawdzić”.

Co powiedziała Irina, kiedy zapytałem ją, czy mnie kocha? Powiedziała, że kochać to potrzebować siebie. Powiedziała, że miłość to potrzeba.

Cóż, myślę, że mógłbym nauczyć paru rzeczy na temat potrzeby.

Wyjmuję kartę kredytową, kuśtykając w stronę kasjerki lotniczej przy stanowisku sprzedającym bilety Aerofłotu. To uśmiechnięta Azjatka w zbyt mocnym makijażu i włosami zebranymi w tak ciasny kucyk, że aż boli od samego patrzenia. Mógłbym przysiąc, że gdzieś już ją widziałem. Uśmiecha się do mnie, kiedy widzi, że podchodzę, a potem zauważam, jak

patrzy na moją rękę na temblaku, na moje nieistniejące brwi, na opuchnięte usta i na mój sztywny chód.

Uśmiech drży jej tylko trochę. To doświadczona profesjonalistka.

– W czym mogę panu pomóc?

Ja też się uśmiecham, pokazując, że brakuje mi parę zębów, aby już całkiem ją przestraszyć. Patrzymy na siebie w milczeniu. Ten moment przedłuża się tak, że staje się niezręczny dla obojga.

Mrugam raz. Dwa razy.

– Tak naprawdę to w niczym.

Wychodzę na ulicę, łokciami torując sobie drogę między tymi, którzy się żegnają. Słońce zachodzi w oddali, to jeden z tych wielobarwnych zachodów słońca w Chicago. Jak wiele Instagram zawdzięcza zanieczyszczeniom. Na niebie samotna mewa kieruje się na wschód.

Za nią też nikt nie podąża.

NOTA OD AUTORA

Lubię zamieszczać różne szczegóły dotyczące prawdziwych zdarzeń, które mnie zainspirowały lub posłużyły jako dokumentacja do moich powieści. I są tacy czytelnicy, którzy z jakiegoś powodu to doceniają.

Biznes polegający na szukaniu żon drogą korespondencyjną wciąż dynamicznie się rozwija we wszystkich krajach bałtyckich, głównie w Rosji i Ukrainie. Ten ostatni jest największym krajem Europy, ale wciąż tkwi w drugim świecie: według danych rządowych średnia pensja wynosi 290 euro miesięcznie, choć pierwszy lepszy kelner w kraju powie ci, że kwota bardziej zbliżona do rzeczywistości to 140 euro miesięcznie.

Strony internetowe zajmujące się kojarzeniem małżeństw na odległość to siedlisko naciągania, oszustw i kłamstw i jest wiele kobiet, których praca polega na rozkochaniu w sobie samotnych, zdesperowanych mężczyzn. Strony te pobierają opłaty za każdą minutę rozmowy i każdy wysłany mail, więc wyraźnie widać, jakim schematem posługują się takie firmy jak Anastasia Internacional, która rejestruje zyski rzędu setek milionów dolarów rocznie. Oszustwo staje się przestępstwem, kiedy niektóre z tych kobiet proszą zakochanych w nich mężczyzn o pieniądze na bilet lotniczy. Kiedy taki naiwniak dokona przelewu, może się już pożegnać ze swoją narzeczoną.

Jednak małżeństwo z katalogu to dynamicznie rozwijający się sektor. Wyrosło wokół niego wiele firm, a teraz działalność rozpoczynają operatorzy turystyczni, którzy sprzedają podróże w celu zdobycia partnerki. Jednym z głównych kierunków tych operatorów jest Odessa. Wyobraźcie sobie taką scenę: autobus pełen zdesperowanych singli w wieku od trzydziestu do siedemdziesięciu lat (niekiedy starszych) wypuszcza swoich pasażerów przy lokalu w centrum miasta. Dopiero co minęła pora śniadania, ale ponad setka kobiet, które czekają na nich w środku, jest ubrana tak, jakby to miało być wieczorne wyjście: obcisłe sukienki, głębokie dekolty, niebotycznie wysokie obcasy, które podkreślają już i tak imponujący wzrost Ukrainek. Jest krymski szampan (nigdy, przenigdy go nie próbuj, Drogi Czytelniku) bulgoczący w kieliszkach ustawionych na stołach, gdzie tłumacze i tłumaczki pomagają pokonywać bariery komunikacyjne podczas castingu, poszukiwania pracy czy sprzedaży produktu, jakkolwiek chcemy to nazwać. Co naturalnie odbywa się w obie strony. One wymagają bezpieczeństwa finansowego, które stoi ponad mniej istotnymi czynnikami, takimi jak wygląd fizyczny, wiek czy osobowość. Oni mogą mniej martwić się wyglądem (ten szczegół został już wzięty pod uwagę przez doradców firmy kontaktowej, którzy wybrali wyłącznie piękne kobiety) i przechodzą od razu do zabezpieczenia swojej inwestycji. Oto prawdziwa rozmowa między kandydatką na żonę i Amerykaninem:

ONA (24 lata, niebieskie oczy, idealny uśmiech): Czego pan szuka u Ukrainki?

ON (53 lata, chorobliwa otyłość, hawajska koszula): Przede wszystkim podoba mi się w was olbrzymi szacunek dla rodziny i to, że nie zostałyście jeszcze zniszczone przez feminizm. W dzisiejszych czasach prawie niemożliwe jest znalezienie prawdziwych kobiet w Stanach Zjednoczonych.

Historia Afgańczyka jest całkowicie moim wymysłem, ale to, co przytrafiło się dziewiętemu oddziałowi w górach w prowincji Kunar, oparłem na prawdziwym zdarzeniu z 1985 roku, które przeżył niestety tylko jeden z trzydziestu jeden sowieckich żołnierzy sił specjalnych, zamordowanych przez garstkę mudżahedinów. Ocalałym był sierżant, który

po tym krwawym dniu postradał zmysły i już do końca życia musiał przebywać na oddziale psychiatrycznym szpitala wojskowego.

Prawdziwa jest także brutalność, z jaką Afgańczyk ostrzeliwuje cywilów. Identyfikacyjny incydent zdarzył się w podobnym okresie, o czym opowiada książka *Afgantsy: The Russians in Afghanistan 1979–1989* Rodrica Braithwaite'a.

Jeśli chodzi o zdanie „Dla tryumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”, które Simon przypisuje Kennedy'emu albo Magneto, to jego autorstwo nie jest jasne.

Kennedy błędnie przypisuje je Edmundowi Burke'owi z jakiegoś przemówienia, chociaż uważa się, że prawdziwym autorem tego zdania w jego oryginalnym brzmieniu jest brytyjski walebnik Charles F. Akered. Jedno z najczęściej (i najgorzej) cytowanych zdań w historii.

Gra karciana UNO jest prawdziwa, można ją kupić za niecałe dziesięć euro w każdym hipermarkecie czy sklepie z zabawkami. Zdecydowanie ją odradzam, jeśli nie chcecie stracić przyjaciół i rodziny.

Algorytm Lisy, choć możliwy, jest owocem mojej wyobraźni, ale eksperci są zgodni co do tego, że potrzebują niespełna dziesięciu lat, aby go stworzyć. Przy jego opisie posiłkowałem się takimi modelami jak BoW, SIFT i Krzyż Roberta.

Niestety nie wymyśliłem sobie tego, że Rosja jest największym konsumentem heroiny na świecie: mając zaledwie 1,8 procent światowej populacji, spożywa 12,5 procent rocznej produkcji.

Evsei Agron istniał naprawdę, był miłośnikiem elektrycznego poganiacza bydła oraz wymuszeń. Został zamordowany przez swojego następcę – to najpopularniejsza metoda zmiany władzy w *Mafiji*. Szanowny Czytelnik nie powinien jednak dopatrywać się żadnych podobieństw między „Pajakiem” Borysem Mogilewiczem a rosyjskim mafiosem Siemionem Mogilewiczem (uważanym za najbogatszego i najbardziej niebezpiecznego gangstera na świecie, znanym z tego, że wyznaczył cenę za życie wielu dziennikarzy). Jeśli znajdzie podobieństwa, będzie to czysty zbieg okoliczności.

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania niech zechcą przyjąć:

Antonia Kerrigan i cały jej zespół: Hilde Gersen, Claudia Calva, Tonya Gates i pozostałe, jesteście najlepsze.

Carmen Romero i Ernest Folch, którzy uwierzyli w tę książkę i mieli do mnie większą cierpliwość, niż na to zasługiwałem.

Rodrigo Cortés, który pomógł mi znaleźć motywacje Iriny, masę błędów w manuskrypcie i najlepszą tortillę w Madrycie. Tekst „wystarczająco gratis” jest jego.

Moja koleżanka i przyjaciółka Raquel Martos, która dała mi kilka tygodni, żebym mógł poprawić powieść, i z którą praca (oraz uczenie się od niej) jest wielkim luksusem każdego dnia.

Arturo González-Campos, którego cenię mimo wszystko i któremu pozwoliłem przeczytać manuskrypt. Wbrew wszystkiemu okazało się to pomocne.

Manuel, Dioni, Alejandra, Isabelita, Virginia, Ani, Raquel, Rosario, Azucena i cały personel Hospedería Santa Cruz za utrzymanie mnie przy życiu na ostatnim etapie pisania książki.

Manuel Soutiño, który jak zawsze przeczytał powieść kilka razy i jak zawsze podzielił się ze mną cennymi uwagami. Mam nadzieję, że będziesz

na posterunku następnym razem, jak zawsze. Manel Loureiro też będzie musiał być, Itzhak bardzo na to nalegał.

Bárbara Montes, która była blisko w trakcie całego procesu, pomagając mi przy dokumentacji, wskazując mi błędy, podpowiadając brakujące sceny i zapewniając bezwarunkowe wsparcie moralne. Bez Ciebie by mi się nie udało. Dziękuję za wszystko. Kocham Cię i chcę obejrzeć z Tobą wszystkie filmy z serii *Rekinado*.

Oraz Ty, Czytelniku. Za to, że moje książki odniosły sukces w czterdziestu krajach – dziękuję i ściskam mocno. Ostatnia prośba: jeśli spędziłeś miło czas, napisz do mnie i podziel się swoją opinią.

juan@juangomezjurado.com

twitter.com/juangomezjurado

Cicatriz

Copyright © Juan Gómez-Jurado 2015

in collaboration with Antonia Kerrigan Literary Agency

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2024

Copyright © for the translation by Barbara Bardadyn 2024

Redakcja – Kornelia Dąbrowska

Korekta – Paulina Stoparek, Anna Strożek, Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład – Katarzyna Kotynia

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Midjourney

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2024

ISBN epub: 9788383304397

ISBN mobi: 9788383304403



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,

Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska, Kamila Piotrowska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

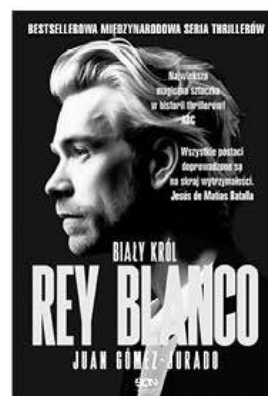
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labortiga.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

POZNAJ RÓWNIEŻ TRYLOGIĘ O ANTONII SCOTT

Wciągająca seria, pełna tajemnic, charakteryzująca się nieokiełznanym tempem i poczuciem humoru, które wciągają od pierwszych stron.



**BESTSELLEROWA SERIA THRILLERÓW, KTÓRA
W SAMEJ HISZPANII SPRZEDAŁA SIĘ W PONAD
DWÓCH MILIONACH EGZEMPLARZY!**

Szukaj w dobrych księgarniach

sqn

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl